

Imperium Grozy VII

Nadciaga zły los

Cook Glen



calibre 0.7.27

Glen Cook
Imperium Grozy VII Nadciaga
zły los

(An ill fate marshalling) Przełożył Robert Bartołd

Prolog: Rok 1013 od ufundowania Imperium Ilkazaru: Zamek Greyfell w Księstwie Greyfells w północnej Itaskii

Pułkownik przemierzał ciche korytarze, stawiając kroki z nerwową energią uwięzionej pantery. Służący schodzili mu z drogi, a gdy ich mijał, obracali głowy, by za nim spojrzeć. Jego wewnętrzne napięcie sprawiało, że otaczała go aura niebezpieczeństwa.

Dotarł do drzwi komnaty, do której go wezwano. Wbił w nie wzrok, wspiął się na palce, po czym znowu stanął na całych stopach. Obawiał się tego, co mogło znajdować się po drugiej stronie drzwi. Były one czymś więcej niż tylko wejściem do pokoju. To były wrota do przyszłości, a jemu coś tu śmierdziało.

Coś wisiało w powietrzu. Wczoraj wieczorem przybył do zamku i od razu wyczuł atmosferę napięcia. Książę coś planował. Jego ludzie byli przerażeni. Ostatnio wszyscy książęta wklali się w przedsięwzięcia, które się nie udawały, a każda taka porażka uderzała boleśnie w rodzinę książęcą i jej sługi.

Pułkownik zebrał się w sobie i zapukał.

–Wejść.

Wszedł do środka. Przy długim stole siedziało sześciu mężczyzn. Sam książę zajmował miejsce u jego szczytu. Gestem wskazał przybyłemu miejsce naprzeciwko siebie. Pułkownik usiadł.

–Teraz skończymy z domysłami – powiedział książę. – Nasza kuzynka Inger otrzymała propozycję małżeńską.

–To jest przyczyna tych wszystkich szeptów i nocnych posłańców? – zapytał ktoś ze zgromadzonych. – Wybacz mi, Dane, ale to brzmi nieco...

–Pozwól, że rozwinę ten temat. Zrozumiecie, dlaczego jest to zagadnienie godne zebrań rodzinnych na najwyższym szczeblu.

–W czasie oblężenia miasta przez siły Shinsanu nasza kuzynka opiekowała się rannymi w szpitalu. Zakochała się w pacjencie. Przypuszczam, że był to dość gorący romans, chociaż – co rozumiałe – niechętnie na ten temat mówiła. Gdy oblężenie się załamało i front przesunął się na południe, myślała, że to koniec tego związku. Nie miała od swego ukochanego żadnych wieści. Banalna historia. Została wykorzystana przez żołnierza, który pomaszerował dalej. Jednak cztery dni temu ten mężczyzna się jej oświadczył. Zastanawiała się nad odpowiedzią i poprosiła mnie o radę. Panowie, w końcu bogowie uśmiechnęli się do naszej rodziny. Stworzyli nam wspaniałą okazję. Admiratorem naszej kuzynki jest Bragi Ragnarson, marszałek Kavelinu, który dowodził sojuszniczymi armiami podczas Wielkich Wojen Wschodnich.

Przez dłuższą chwilę w pokoju panowała głucha cisza. Pułkownik wstrzymał oddech. Ragnarson. Śmiertelny wróg Greyfellsów od całego pokolenia. Odpowiedzialny za zabójstwo jednego księcia i za krwawe niepowodzenia z pół tuzina przedsięwzięć rodziny. Prawdopodobnie dla wszystkich obecnych w pokoju był on najbardziej nienawidzonym człowiekiem, tylko nie dla niego. On był żołnierzem. Nie nienawidził nikogo.

Nie podobało mu się to, co zaczął wyczuwać. To było zgodne z tradycją knowań

Greyfellsów.

Cała szóstka zaczęła mówić jednocześnie. Książę uniósł rękę.

–Proszę? – Odczekał chwilę. – Panowie, jeżeli ta wiadomość jest dla was za mało ekscytująca, zastanówcie się nad taką: ci głupcy chcą go tam uczynić królem. Nie udało im się znaleźć nikogo, kto byłby skłonny przyjąć koronę. Rozumiecie? Jest to dla nas okazja nie tylko do zemsty na odwiecznym wrogu, to szansa przejęcia tronu najbogatszego i najlepiej strategicznie położonego z Pomniejszych Królestw. Szansa, byśmy na stałe przenieśli bazę poza Itaskię i uwolnili się od tego paskudnego kłopotu z nieustannie wrogim państwem. Szansa przejęcia najważniejszego pionka w rozgrywce między wschodem a zachodem. Szansa odzyskania utraconej świetności.

Podniecenie księcia udzieliło się wszystkim zebranych. Jedyne pułkownik był mniej zaintrygowany. Oto kolejny przykład brudnej roboty Greyfellsów, a miał przecucie, że zostanie poproszony, by jej część wziąć na swoje barki. W jakim innym celu by go tu zaproszono?

–Proste, podstawowe pytanie – kontynuował książę – brzmi: czy powinniśmy pozwolić naszej kuzynce przyjąć te oświadczenia? – Uśmiechnął się. – Albo raczej: czy ośmielimy się jej na to nie pozwolić? Grzechem byłoby nie skorzystać z takiej okazji. Hę?

Nikt się nie sprzeciwił.

–Ale przecież nie możemy ot tak zgodzić się na to i mieć nadzieję, że wszystko się uda – powiedział ktoś.

–Oczywiście, że nie. Inger była dźwignią. Stopą w drzwiach. Będzie odwracać uwagę. W tej chwili pragnie tylko znowu zobaczyć się ze swoim absztyfikantem, ale sądzę, że nakłonimy ją, żeby została agentką rodziny. Dla pewności i w celu zajęcia się codziennymi sprawami proponuję wysłać tam obecnego tutaj pułkownika.

Pułkownik zachował kamienną twarz. A więc o to chodzi. Cuchnąca sprawa. Czasami wolałby nie mieć wobec tej rodziny długu wdzięczności.

–Czy ktoś może podać jakiś powód, dla którego nie powinniśmy obrać zaproponowanego przeze mnie kierunku działania? – zapytał książę.

Zebrani pokręcili przecząco głowami.

–W takiej sytuacji nie musiałeś pytać – powiedział ktoś.

–Chciałem uzyskać jednomyślność co do sposobu działania. A zatem zgoda?

Będziemy

wykorzystywać tę możliwość, przynajmniej do czasu, gdy napotkamy jakąś przeszkodę nie do pokonania?

Odpowiedzią było potakujące skiniecie głów.

–Dobrze. Świetnie. – W głosie księcia słychać było wielkie zadowolenie. – Byłem pewny, że to się wam spodoba. Na razie to wszystko. Pozwólcie, że wniknę w tę sprawę głębiej. Sprawdzę, czy nie kryją się tu jakieś pułapki. Będę was informował. Możecie odejść. – Odchylił się do tyłu. Gdy uczestnicy zebrania zbliżali się do drzwi, dodał: – Nie rozmawiajcie na ten temat z nikim. Bez żadnych wyjątków. Pułkowniku, chciałbym, żebyś został.

Pułkownik wstał, ale nie zdążył odejść od stołu. Usiadł więc znowu. Oparł

przedramiona na blacie i wpatrywał się w jakiś punkt nad prawym ramieniem księcia.

Gdy drzwi zamknęły się za wychodzącymi, książę powiedział:

–W rzeczywistości posunęliśmy się już dalej, niż to przedstawiłem. Babeltausque skontaktował mnie z paroma starymi przyjaciółmi z czasów Pracchii. Zgodzili się pomóc.

Babeltausque był czarownikiem na usługach rodziny. Pułkownik go nie znosił.

–Pułkowniku, ma pan dziwny wyraz twarzy. Nie pochwała pan tego?

–Nie, panie. Nie ufam czarodziejowi.

–Być może nie powinniśmy. To oślizłe, szczone typy. Niemniej wydaje się, że dysponujemy odpowiednimi środkami, by zrealizować to przedsięwzięcie. Musimy jedynie zrobić kobietę i pobłogosławić ją na drogę.

–Rozumiem.

–Naprawdę mam wrażenie, że pan tego nie pochwała.

–Przykro mi, panie. Nie chcę, żeby wyglądało to tak, jakbym był przeciwny.

–A zatem podejmiesz się tej misji? Pojedziesz do Kavelinu w naszym imieniu? Nie będzie cię tutaj przez całe lata.

–Jestem do twojej dyspozycji, panie. – Jakżeż chciał, żeby tak nie było. Ale człowiek musi spłacać swoje długi.

–Dobrze, dobrze. Pozałatwiał swoje sprawy na zamku. Będę cię informował o rozwoju wydarzeń.

Pułkownik wstał, skłonił się lekko i energicznym krokiem wyszedł z pokoju. Żołnierz nie zadaje pytań, powiedział sobie. Żołnierz wykonuje rozkazy. A ja, co smutne, jestem żołnierzem w służbie księcia.

Rok 1016 OUI Władcy Bragi zamruczał, niecałkiem rozbudzony. Inger potrząsnęła nim jeszcze raz.

–No dalej, Wasza Królewska Mość. Wstawaj.

Uniósł powiekę. Pozbawione szyb okno zdawało się odwzajemniać jego spojrzenie zimnym wzrokiem.

–Ciemno jeszcze.

–Tylko ci się tak wydaje.

Zaczął narzekać, gdy jego stopy zetknęły się z zimną podłogą. Był to jeden z tych dni, które zaczynają się przymrozkiem przechodzącym około południa w piekielny skwar. Owinął się niedźwiedzią skórą i powiedział sobie, że musi być jakiś powód, by wstać.

W Kavelinie panowała wiosna. Dni były upalne, noce zimne. Ogólnie rzecz biorąc, pogoda najczęściej była paskudna.

Bragi ziewał i próbował zetrzeć z powiek resztki snu.

–Pada? Czuję się, jakbym miał głowę pełną wełny.

–Niestety tak. Jedna z tych waszych kaveliniańskich niezawodnych mżawek.

Powiedział to, co wszyscy zawsze mówili w takiej sytuacji:

–To dobrze dla rolników.

Inger doprowadziła rytuał do końca.

–Potrzebujemy jej. – Przybierała różne pozy. – Nieźle jak na starą kobitkę, co?

–Całkiem nieźle. Jak na żonę. – Nie wkładał w te żarty serca.

Wydęła swoje zbyt małe usta.

–Co ma znaczyć to „jak na żonę”?

Jego uśmiech był równie bezbarwny jak samopoczucie.

–Wiesz, jak to się mówi. Że dawna trawa zawsze wydaje się zieleńsza.

–Pasiesz się na pastwisku kogoś innego?

–Co? – Dźwignął się na nogi i zaczął niepewnym krokiem kręcić się po pokoju, szukając swojego ubrania.

–Ostatnia noc to dopiero drugi raz w tym miesiącu. Nie przejął się tym.

–Starzeję się.

Coś w nim zakrakało sarkastycznie. Oszukiwał siebie, nie ją. Paskudna, czarna rozpadlina ziała u jego stóp. Kłopot w tym, że nie wiedział, czy ma ją dopiero przeskoczyć, czy też jest już po drugiej stronie i patrzy w tył.

–Ragnarson, czy jest inna kobieta? – Nie było w niej teraz nic z kociaka.

Przypominała

wściekłą kocicę. Typowy dla niej cukierkowy uśmiech zniknął z jej ust.

–Nie. – Przynajmniej raz mówił prawdę. Nie miał na smyczy żadnej małej naiwniaczki. Ostatnio nie rozpały go miękkie krągłości, ciepłe wzgórciki i wilgotne uda. Stanowiły dla niego bardziej rozrywkę niż poważne zainteresowanie. Bardziej irytowały, niż podniecały.

Czy to oznaka starzenia się? Czas jest nieuchwytnym złodziejem.

Martwiło go to nasilające się zubożenie. Zanik chęci kolekcjonowania

„skalpów” pozostawił pustkę podobną do tej, jaką czuł po stracie starego przyjaciela.

–Na pewno?

–Absocholeralutnie, jak powiedziała Szyderca.

–Szkoda, że go nie spotkałam. – Inger się zamyśliła. – Harouna też nie. Może rozumiałabym cię lepiej, gdybym ich znała.

–Powinnaś ich poznać...

–Zmieniasz temat.

–Kochanie, od tak dawna nie miałem żadnej przygody, że nie wiedziałbym, co robić. Prawdopodobnie stałbym jak słup soli, aż dama skłębaby mnie w żywy kamień. Inger zanurzyła grzebień we włosach. Zniknął w jej szczurzołond kosmykach. Zastanawiała się. Bragi miał określoną reputację, ale nie żył zgodnie z nią.

Może był zbyt zajęty. Kavelin był jego kochanką. I to bardzo wymagającą.

Ragnarson przypatrywał się kobiecie, która była jego żoną i królową Kavelinu. Stanowiła jedyny podarunek, jaki dały mu wojny. Czas dobrze się z nią obszedł. Była wysoką, elegancką kobietą o cukierkowej urodzie i jeszcze bardziej cukierkowym poczuciu humoru. Miała najbardziej intrygujące usta ze wszystkich, jakie w życiu widział. Niezależnie od jej nastroju, wydawało się, że za chwilę pojawi się na nich drwiący uśmiech. Coś w jej zielonych oczach nasilało tę zapowiedź śmiechu.

Na pierwszy rzut oka było widać, że jest damą. Uważniejsze spojrzenie mogło podpowiedzieć, że ma prostolinijną naturę. Była zagadkową, intrygującą istotą, chowającą się w skorupie, która – ilekroć się otwierała – ukazywała nową tajemnicę. Bragi uważał, że Inger jest najdoskonalszą królową, jaką tylko król może sobie wymarzyć. Była stworzona do tej roli.

Na jej ustach znowu pojawił się tajemniczy uśmiech.

–Może i mówisz prawdę.

–Oczywiście, że mówię prawdę.

–I jesteś rozczarowany, co?

Nie odpowiedział. Miała talent do zarczowania go pytaniami, na które wolałby nie odpowiadać.

–Może lepiej zobacz, co z dzieckiem.

–Znowu zmieniasz temat.

–Masz, cholera, rację.

–W porządku. Odpuszczę ci. Co mamy dzisiaj w planie? – Nalegała, żeby w pełni uczestniczyć w sprawach państwa. Sprawowanie władzy królewskiej było dla Bragiego czymś nowym. Zmaganie się z kobietą o silnej woli dodatkowo komplikowało to zadanie.

Krąg jego starych towarzyszy zgadzał się z nim. Niektórym bardzo się nie podobało to „wtrącanie się” Inger.

Wróciła z pokoju dziecka. W ramionach niosła ich syna Fulka.

–Spał bardzo dobrze. Teraz chce, żeby go nakarmić.

Bragi otoczył ją ramieniem. Popatrzył na niemowlę. Dzieci były dla niego cudem.

Fulk był jego pierwszym dzieckiem z Inger, a dla niej pierwszym w ogóle. Był

silnym sześciomiesięcznym chłopcem.

–Dzisiaj rano przyjmuję tłum ludzi w sprawie wiadomości od Derela – powiedział Bragi. – Po obiedzie mam grać w captures.

–Przy tej pogodzie?

–Oni nas wyzwali. Tylko oni mogą to odwołać. – Zaczął sznurować buty. – Dobrze sobie radzą w błocie.

–Nie jesteś na to trochę za stary?

–Nie mam pojęcia. – Być może faktycznie był na to za stary. Spowolnione reakcje. Mięśnie nie spisywały się już tak jak dawniej. Być może był starym mężczyzną rozpaczliwie trzymającym się jedną ręką iluzji młodości. Captures nie bardzo go bawił. – A co z tobą?

–Nuda śmiertelna. I nie skończy się, dopóki Zgromadzenie nie zakończy obrad. Czuję się jak prawdziwa władczyni.

Powstrzymał się od przypomnienia jej, że sama domagała się prawa zajmowania się kobietami towarzyszącymi delegatom.

Rozpoczęcie sesji wiosennej miało nastąpić za tydzień, ale zamożniejsi członkowie już byli w mieście, korzystając z oferty towarzyskiej Vorgrebergu.

–Idę poszukać czegoś do jedzenia – powiedział Bragi. – Był królem bardzo bezpośrednim. Nie miał cierpliwości do pompy i ceremoniału, a luksusy, na które pozwalała jego pozycja, znosił z trudem. Był żołnierzem z krwi i kości. Starał się utrzymywać spartański, żołnierski wizerunek.

–Nie dasz mi całusa?

–Myślałem, że masz już dość.

–Skąd! Fulkowi też.

Pocałował dziecko i wyszedł.

Może Fulk stanowił problem? Zastanawiał się nad tym, schodząc do kuchni. Walka z żoną rozpoczęła się w okresie wybierania imienia. Tę rundę przegrał.

To był trudny poród. Inger nie chciała mieć więcej dzieci. On tak, chociaż nie uważał się za

dobrego ojca.

Inger martwiła się też o ojcowiznę Fulka. Urodził się z drugiego małżeństwa Ragnarsona. Bragi miał troje starszych dzieci i wnuka, który nosił jego imię. Ten ostatni mógł właściwie uchodzić za jego własnego syna. Jego ojciec, pierworodny Ragnarsona, zginął pod Palmisano.

Pierwsza rodzina króla mieszkała w jego prywatnym domu, poza granicami właściwego Vorgrebergu. Domem i dziećmi zajmowała się wdowa po jego synu. Od tygodni u nich nie był.

–Muszę się tam wkrótce wybrać – mruknął. Niepoświęcanie uwagi własnym dzieciom było jedną z przewin, które sobie wyrzucał.

Zanotował w pamięci, żeby zasięgnąć porady prawnej swojego sekretarza, Derela Prataxisa, gdy tylko wróci on ze swojej misji.

Ragnarson mógł się czuć wybranym bogów. Uważał jednak, że szczęście już dawno powinno się od niego odwrócić. Stanowiło to część jego obawy przed

starością. Nadchodził kres. Jego reakcje były coraz wolniejsze. Być może nie powinien już polegać na instynkcie. Dopadała go śmiertelność.

Może podczas tej sesji Zgromadzenia powinien negocjować jakieś porozumienie w sprawie sukcesji? Gdy wymuszali na nim przyjęcie korony, nie zgodzili się na jej dziedziczenie.

Zbliżał się do głównej kuchni zamku. Z otwartych drzwi dobiegały intensywne zapachy i donośny głos.

–No, to prawda. No. Dziewięć kobiet jednego dnia. Wiesz, co mam na myśli. W ciągu dwudziestu czterech godzin. No. Młody wtedy byłem. Czternaście dni w drodze. Kobiety na oczy nie widziałem, nie mówiąc już o tym, żeby jakąś mieć. No. Nie wierzysz mi, ale to prawda. Dziewięć kobiet jednego dnia.

Ragnarson uśmiechnął się. Ktoś podpuścił Josiaha Galesa. Bez wątpienia celowo. Gdy go poniosło, tworzył spektakl jednego aktora. Mówił coraz głośniejszymi głosami, wymachiwał rękami, tańczył, tupał, przewracał oczami, podkreślając odpowiednią gestykulacją każde zdanie.

Josiah Gales, sierżant piechoty. Doskonały łucznik. Drobnny trybik w pałacowej maszynierii. Jeden z dwustu żołnierzy i zdolnych rzemieślników, których Inger wniosła w posagu, ponieważ młodsza linia rodu Greyfellów z Itaskii popadła w dumne ubóstwo.

Bragi ponownie się uśmiechnął. Ci z północy nadal się śmiali, myśląc, że tanim kosztem pozbyli się niesfornej kobiety, a zarazem zyskali powiązanie z cenną koroną.

W kuchni zaś sierżant szarżował dalej.

–Czternaście dni na morzu. Byłem gotów. Ile kobiet miałeś jednego dnia? Nie popisywałem się. Pracowałem. No. Ta siódma. Nadal ją pamiętam. No. Jęczała i drapała. „Och! Och! Gal es! Gales! Nie wytrzymam dłużej!” – krzyczała. No. To prawda. Dziewięć kobiet jednego dnia. W dwadzieścia cztery godziny. Młody wtedy byłem.

Gales powtarzał to w kółko. Im bardziej był nakręcony, tym częściej to robił, wypowiadając

każde zdanie przynajmniej raz do każdego, kto znajdował się w zasięgu głosu. Jego słuchaczom rzadko to przeszkadzało.

Bragi podszedł do dyżurnego kucharza.

–Skrug, został od wczoraj jakiś kurczak? Chciałem tylko coś przegryźć.

Kucharz skinął głową. Kiwnął w stronę Galesa.

–Dziewięć kobiet jednego dnia.

–Słyszałem to już wcześniej.

–I co pan myśli?

–Jest konsekwentny. Nie wyolbrzymia, opowiadając tę historię po raz kolejny.

–Był pan w Simballawein, gdy wylądowali Itaskianie, prawda?

–W Libiannin. Nie natknąłem się na Galesa. Zapamiętałbym go.

Kucharz roześmiał się.

–Naprawdę robi wrażenie. – Postawił przed Bragim tacę z zimnym kurczakiem. –

Wystarczy, panie?

–W zupełności. Siądźmy sobie tutaj i popatrzmy na przedstawienie.

Publiczność Galesa stanowiąca służba przybyła do miasta wraz z doradcami i pomocnikami, z którymi Bragi miał się spotkać tego ranka. Dla nich opowieści sierżanta były nowością. Reagowali właściwie. Gales relacjonował kolejne elementy wymyślonej autobiografii.

–Cały świat objechałem – oświadczył. – To znaczy, byłem wszędzie. No. W Itaskii. W Hellin Daimiel. W Simballawein. No. Miałem kobiety wszelkiego możliwego typu. Białe. Czarne. Brązowe. Wszelkiego możliwego typu. Tak. To nie bujda. Teraz mam pięć różnych kobiet. Tutaj, w Vorgrebergu. Jedna ma pięćdziesiąt osiem lat.

Ktoś gwizdnął. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Przechodzący strażnik pałacowy oparł się o drzwi.

–Hej! Gales! Pięćdziesiąt osiem lat? Co ona robi, gdy już się położy? Zarzyna cię na śmierć?

Zebrani zarykiwali się śmiechem. Gales wyrzucił ręce w górę, czym wywołał ogromną wesołość. Tupnął i odkrzyknął:

–Tak, pięćdziesiąt osiem lat. To prawda. Nie bujam.

–Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Gales. Co ona robi?

Sierżant wywijał się. Unikał odpowiedzi.

Ragnarson upuścił kurczaka. Śmiał się zbyt mocno, żeby go utrzymać w ręce.

–Poczucie humoru w złym guście – warknął kucharz.

–W najgorszym – zgodził się Bragi. – Prosto z rynsztoku. Dlaczego więc nie potrafisz zmasać tego uśmiechu z twarzy?

–Gdyby to był ktokolwiek inny...

Słuchacze Galesa stłumili jego protesty. Zasypali go pytaniami o tę starszą przyjaciółkę.

Zaczerwienił się jak sztubak. Miotał się, rycząc ze śmiechu, na próżno starając się odzyskać panowanie nad zebranymi.

–Powiedz nam prawdę, Gales – nalegali. Bragi pokręcił głową i mruknął:

–Jest zdumiewający. On to uwielbia. Nie mogę tego znieść.

–A jaki z niego pożytek? – przytomnie zapytał kucharz.

–Rozśmiesza ludzi. – Bragi stłumił chichot. To było sensowne pytanie. Ludzie Inger okazali się pożyteczni, ale często się zastanawiał, co właściwie oznaczała ich obecność. Nie byli lojalni ani wobec niego, ani wobec Kavelinu. A Inger w głębi serca pozostała Itaskianką. Pewnego dnia może to przysporzyć kłopotów.

Żuł kurczaka i obserwował Galesa. Do kuchni wszedł jego wojskowy adiutant.

Dahl Haas jak zawsze wyglądał na świeżo wykąpanego i ogolonego. Należał do tego typu ludzi, którzy mogli ubrani na białą przejść przez kopalnię węgla i wyjść z niej bez jednej plamki.

–Czekają na ciebie w prywatnej sali audiencyjnej, panie. – Stał wyprostowany jak pika. Obrzucił spojrzeniem Galesa. Na jego twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia.

Bragi nie rozumiał tego. Ojciec Dahla od wielu dziesiątków lat był jego zwolennikiem. A przecież był równie prostym człowiekiem jak Gales.

–Będę tam za chwilę, Dahl. Poproś ich o cierpliwość.

Żołnierz odmaszerował sztywno, jakby miał do pleców przybitą deskę. Drugie pokolenie, pomyślał Ragnarson. Inni odeszli. Dahl był ostatni.

Palmisano zabrało mu wielu starych przyjaciół, jedynego brata i syna Ragnara. Królestwo Kavelinu było małą, głodną ofiar boginią-dziwką. Czasami zastanawiał się, czy nie wymaga ono zbyt wiele, czy przyjmując koronę, nie popełnił największego życiowego błędu.

Był żołnierzem. Tylko żołnierzem. Rządzenie to nie jego specjalność.

Vorgreberg drżał, podekscytowany. Nie było to silne, podszyte strachem wzburzenie, zapowiadające straszliwe wydarzenia. Było to lekkie, niecierpliwe podekscytowanie, które pojawia się, gdy ma się wydarzyć coś dobrego.

Przybył posłaniec ze wschodu. Wieści, które przynosi, wywrą wpływ na życie każdego obywatela.

Właściciele domów handlowych posłali chłopców, by pokręcili się przy bramach zamku Krief. Młodzieńcom surowo przykazano, żeby nadstawiali ucha. Kupcy trwali w stanie gotowości jak sprinterzy w blokach startowych, czekając na właściwe słowo.

Kavelin, a zwłaszcza Vorgreberg, od dawna czerpał korzyści z tego, że jest położony na uboczu głównego szlaku łączącego wschód z zachodem. Ale już od kilku lat wymiana towarowa była bardzo słaba. Jedynie najodważniejsi przemytnicy ośmielali się rzucić wyzwanie czujnemu wzrokowi żołnierzy Shinsanu, którzy okupowali bliski wschód.

Po dwóch latach wojny nastąpiły trzy lata pokoju sporadycznie przerywanego gwałtownymi potyczkami na granicy. Ludzie ze wschodu i z zachodu stale stawali naprzeciwko siebie na przełęczy Savernake, jedynej handlowo rentownej drodze wiodącej przez góry M'Hand. Ani jeden, ani drugi garnizon graniczny nie przepuszczał podróżnych za swoje posterunki.

Kupcy po obu stronach gór pomstowali na ten ciągły stan konfrontacji.

Wieść gminnaniosła, że król Bragi wysłał następnego emisariusza do lorda Hsunga, prokonsula tervola w Throyes. Miał on ponownie spróbować podjąć rozmowy o wznowieniu handlu. U kupców ta plotka wzbudziła ogromne nadzieje. Nie zważano na to, że poprzednie zaproszenie do rozmów zostało odrzucone.

Działania zbrojne i okupacja wstrząsnęły gospodarką Kavelinu. Chociaż królestwo było w przeważającej mierze krajem rolniczym i prężnym, przez trzy lata od wyzwolenia nie powróciło jeszcze do dawnego stanu. Rozpaczliwie potrzebowało wznowienia handlu i napływu świeżego kapitału.

Na zamku zebrali się sprzymierzeńcy króla. Michael Trebilcock i Aral Dantice stali u szczytu długiego dębowego stołu w mrocznym pokoju zebrań, rozmawiając cicho. Nie było ich od miesięcy.

Czarodziej Varthlokkur i jego żona Nepanthe stali w milczeniu przed ogromnym kominkiem. Czarodziej wydawał się bardzo strapiony. Wpatrywał się w skaczące płomienie, jakby przyglądał się czemuś znacznie bardziej odległemu.

Gjerdrum Eanredson, szef sztabu armii, spacerował po pokrytej parkietem

podłódze, uderzając raz po raz pięścią w otwartą dłoń. Miotał się jak zwierzę w klatce.

Cham Mundwiller, wessoński magnat z Sedlmayr i rzecznik króla w Zgromadzeniu, popalał fajkę – moda ta przywędrowała niedawno z królestw na dalekim południu. Wydawał się zaabsorbowany herbem poprzedniej dynastii Krief, wiszącym na ciemnej boazerii wschodniej ściany komnaty.

Mgła, która do czasu zdetronizowania była księżniczką wrogiego imperium, siedziała blisko szczytu stołu. Wygnanie uczyniło z niej cichą, łagodną kobietę. Leżała przed nią otwarta torebka z robótkami ręcznymi. Igły śmigwały w zawrotnym tempie. Zamiast niej wymachiwał nimi mały dwugłowy, czteroręki demon. Nogi przewiesił przez krawędź stołu. Jego głowy stale coś mruczały, strofując się nawzajem za zgubione oczka. Mgła łagodnie je uciszała.

W pokoju był jeszcze z tuzin innych osób. Zebrani pochodzili z różnych rodzin: poczynając od tych aż do mdłości szanowanych po szokująco podejrzane. Król nie był człowiekiem, który dobiera przyjaciół, opierając się na pierwszym wrażeniu. Wykorzystywał talenty, które miał pod ręką.

Gjerdrum, przemierzając pokój, mamrotał.

–Kiedy, do diabła, on się tu zjawi? Ściągnął mnie aż z Karlsbadu.

Inni przybyli z jeszcze bardziej odległych stron. Sedlmayr Mundwillera leżał w pobliżu granicy Kavelinu na dalekim południu u stóp gór Kapenrung, w cieniu położonego dalej Hammad al Nakiru. Mgła, obecnie kasztelanka Maisaku, zjechała ze swej przypominającej orle gniazdo warowni na przełęczy Savernake. Varthlokkur i Nepanthe przybyli bóg jeden wie skąd; prawdopodobnie z Fangredu leżącego pośród nieprzebytych gór zwanych Smoczymi Zębiskami. A blady Michael wyglądał, jakby dopiero co wrócił z wygnania w krainie cieni.

Tak było. Tak właśnie było.

Michael Trebilcock stał na czele wywiadu króla. Był człowiekiem, którego osobiście znał mało kto, ale jego imię budziło powszechną grozę.

Wkroczył adiutant króla.

–Właśnie rozmawiałem z Jego Wysokością. Przygotujcie się. Już idzie.

Mundwiller odchrząknął, wytrząsnął fajkę do kominka i zaczął ją ponownie nabijać.

Wszedł Ragnarson. Zlustrował zebranych.

–Jest nas tu wystarczająco dużo – powiedział.

Ragnarson był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną o blond włosach. Miał widoczne blizny, choć nie tylko czysto fizycznej natury. Kilka siwych włosów srebrzyło się na jego skroniach. Wyglądał na pięć lat młodszego, niż był w rzeczywistości. Captures utrzymywał go w formie.

Ścisnął dłonie, wymieniał pozdrowienia. Nie było w nim ani krzty rezerwy właściwej królewskiemu majestatowi. Był królem, ale tutaj po prostu jednym ze starych przyjaciół.

Rozbawiła go ich niecierpliwość.

–Jak tam manewry? – zapytał Gjerdruma. – Czy oddziały dadzą sobie radę z

letnimi ćwiczeniami rezerwistów?

–Oczywiście. Są najlepszymi żołnierzami w Pomniejszych Królestwach. –

Eanredson nie potrafił ustać w miejscu.

–Młodość i ten jej szalony pośpiech. – Gjerdrum nie miał jeszcze trzydziestki. – A jak ci idzie z piękną Gwendolyn?

Eanredson mruknął coś w odpowiedzi.

–Nie martw się. Ona też jest młoda. Wyróżniesz z tego. No dobrze, moi drodzy. Usiądźcie. To zajmie tylko parę minut.

Zgromadzonych było więcej niż krzesel. Trzech mężczyzn musiało stać.

–Raport o postępach od Derela. – Bragi położył postrzępioną kartkę papieru na sztucznie postarzonej dębowym blacie stołu. – Obejrzyjcie go sobie. Mówi, że lord Hsung przystał na naszą propozycję. Usiądźcie od aprobaty jego przełożonych.

Delikatny szmer dał się słyszeć wśród zebranych.

–Zaakceptował wszystko? – dopytywał się Gjerdrum. Jego mina wyrażała niedowierzanie. Mundwiller ssał fajkę i kręcił głową, nie dając temu wiary.

–Co do joty. Bez poważniejszych zastrzeżeń. Bez żadnych targów. Prataxis mówi, że ledwo spojrział na naszą propozycję. Nie naradził się ze swoimi dowódcami legionów. Podjął decyzję, zanim jeszcze Derel tam dotarł.

–Nie podoba mi się to – gderał Eanredson. – To zbyt radykalna zmiana stanowiska.

Mundwiller przytaknął skinieniem głowy i wydmuchnął dym. Kilka innych osób również skinęło głowami.

–Takie jest również moje zdanie. Dlatego tutaj jesteście. Widzę dwie możliwości: albo jest to jakaś pułapka, albo zimą coś się stało w Shinsanie. Prataxis nie snuł domysłów. Wróci w przyszłym tygodniu. Wtedy poznamy całą historię.

Bragi przyjrzał się zgromadzonym. Nikt nie chciał tego skomentować. Dziwne. Stanowili zadufaną w sobie, zarozumiałą zgraję. Wzruszył ramionami.

–Do tej pory nas zwodzili. Żądali niemożliwych opłat celnych i wyklócali się o każde słowo wszystkich porozumień, a tu nagle otwierają szeroko bramy. Gjerdrum, masz jakiś pomysł dlaczego?

Na twarzy Eanredsona pojawił się grymas niezadowolenia – wyraz, który postanowił przybrać na ten dzień.

–Może legiony Hsunga znowu osiągnęły pełną sprawność. Może chce mieć otwartą przełęcz, żeby posyłać szpiegów.

–Mgło? Pokręciłaś głową – powiedział Ragnarson.

–To nie to.

Varthlokkur rzucił jej jadowite spojrzenie, które zaskoczyło Ragnarsona. Ona też je zauważyła.

–Więc? – nalegał król.

–To nie miałyby sensu. Mają Moc. Nie muszą posyłać szpiegów. – To nie była cała prawda. Ragnarson wiedział o tym, ona zaś wiedziała, że Ragnarson wie. Wyjaśniła swoją uwagę. – Mogą widzieć wszystko, co tylko chcą, chyba że Varthlokkur lub ja to osłaniamy. – Wymieniła szybkie spojrzenie z czarodziejem, który teraz wydawał się

usatysfakcjonowany. – Gdyby chcieli tu mieć fizycznie obecnego agenta, posłaliby go szlakiem przemytników.

Coś przepłynęło między czarodziejem i czarodziejką, Ragnarson zauważył tylko, że do tego doszło, nie wiedział jednak, co to było. Zaskoczony, postanowił poczekać na wyjaśnienie.

–Może. Ale jeśli odrzucasz ten argument, to co sensownego proponujesz w zamian? – Rozejrzał się wokół. Dantice i Trebilcock umknęli wzrokiem.

Ragnarson był zaniepokojony. Wyczuwał jakieś podteksty. Mgła, Varthlokkur, Dantice i Trebilcock byli jego najbardziej wnikliwymi doradcami w kwestiach dotyczących Imperium

Grozy. Teraz wydawało się, że są wyjątkowo niechętnie nastawieni do udzielania rad. Wyglądali, jakby trzymali rękę na pulsie, zmiennym i dziwnym, niezbyt skłonni wypowiedzieć jednoznaczną opinię.

–Nie jestem pewna. – Spojrzenie Mgły pobiegło ku Aralowi Dantice’owi. Chociaż Dantice nie zajmował żadnego oficjalnego stanowiska, dzięki przyjaźni z królem i z członkami społeczności kupieckiej był kimś w rodzaju ministra handlu. – Coś się dzieje w Shinsanie. Ale ukrywają to. Varthlokkur prawie się uśmiechnął. Bragi pochylił się, oparł podbródek na prawej dłoni i zapatrzył się w dal.

–Dlaczego odnoszę wrażenie, że ty wiesz, ale nie chcesz mi powiedzieć? Zgadywanie nic nie kosztuje.

Kobieta skupiła się na swojej robótce. Czarodziej patrzył na nią.

–Być może doszło tam do zamachu stanu – powiedziała Mgła. – Nie wyczuwam już Ko Fenga. – W jej głosie pobrzmiwało ostrożne wahanie. – Ostatniego lata kontaktowałam się parę razy z dawnymi sprzymierzeńcami. Coś wisiało w powietrzu, ale nie udało mi się ustalić nic konkretnego.

Trebilcock prychnął.

–Tervola, nie ma wątpliwości! Czarodzieje zawsze odmawiają podawania konkretów. Panie, Ko Feng został pozbawiony tytułów, zaszczytów i nieśmiertelności u schyłku ostatniej jesieni. Praktycznie oskarżyli go o zdradę stanu, ponieważ nie wykończył nas pod Palmisano. Zastąpił go człowiek o nazwisku Kuo Wenchin, który był dowódcą trzeciego korpusu Armii Środkowej. Każdy, kto miał cokolwiek wspólnego z Pracchią lub Fengiem, został przydzielony do bezpiecznych i mało istotnych placówek Armii Północnej i Wschodniej. Ko Feng zniknął. Kuo Wenchin i jego banda to wyłącznie młodszy tervola i aspiranci, którzy w ogóle nie brali udziału w Wielkich Wojnach Wschodnich.

Trebilcock splótł palce na wysokości swojej bladej twarzy, opierając łokcie o stół, i popatrzył na Mgłę, jakby chciał zapytać: „Co o tym sądzisz?”, po czym skierował spojrzenie na Arala Dantice’a. Na jego twarzy malowało się napięcie. Nienawidził zgromadzeń i nie cierpiał publicznie zabierać głosu. Trema była jedynym słabym punktem w jego zbroi osłaniającej go przed strachem.

Trebilcock to dziwna postać. Nawet jego przyjaciele uważali go za osobnika dziwaczniejszego i wyniosłego.

–Mgło? – Bragi zwrócił się do czarodziejki.

Wzruszyła ramionami.

–Najwyraźniej moje kontakty nie są tak dobre jak Michaela. Chcą tam o mnie zapomnieć.

Ragnarson spojrział na Trebilcocka. Michael odpowiedział nieznacznym wzruszeniem ramion.

–Varthlokkurze, co ty o tym myślisz?

–Nie obserwowałem Shinsanu. Byłem zajęty sprawami domowymi.

Nepanthe, która wpatrywała się w blat stołu, spłonęła rumieńcem. Była w ósmym miesiącu ciąży.

–Jeżeli jesteś przekonany, że to ważne, mógłbym posłać Niezrodzonego – zaproponował czarodziej.

–Nie, nie warto. Nie ma sensu ich prowokować. Cham? Milczysz. Jakies przemyślenia?

Mundwiller pyknął z fajki i wypuścił błękitny obłoczek dymu.

–Nie mogę powiedzieć, że wiem, co się tam dzieje, ale od czasu do czasu słyszę co nieco z plotek przemytników. Mówią, że w Throyes były bunty. Być może Hsung chce łączyć ich niedoli, żeby zażegnać powszechne powstanie przeciwko swoim marionetkom.

Król znowu obrzucił spojrzeniem Trebilcocka. Michael nie zareagował. W geście dobrej woli Ragnarson kazał Michaelowi przestać wspierać throyeńskich partyzantów i zerwać z ich przywódcami. Czy Michael sprzeciwił się tym rozkazom?

Michael był genialny i miał dużo energii, ale nie można go było całkowicie sobie podporządkować. Służba wywiadowcza w zbyt wielkim stopniu stała się jego domeną. Ale był naprawdę dobry, bardzo użyteczny. I miał talent do zjednywania sobie wszędzie przyjaciół. To oni stale przekazywali mu wieści. A poprzez Dantice'a wykorzystywał kupców Kavelinu do zbierania jeszcze większej liczby informacji.

Król spod przymkniętych powiek przyglądał się zgromadzonym.

–Ale macie dzisiaj humorki. – Żadnych komentarzy. – Dobrze. Niech tak będzie. Jeżeli nie chcecie ze mną rozmawiać, to na razie wszystko, dopóki nie przyjedzie Derel. Tymczasem pomyślcie o tym, co się tam dzieje. Wykorzystajcie swoje kontakty. Musimy wypracować jakieś stanowisko. Gjerdrum, jeśli uważasz, że naprawdę musisz mieć na oku Credence'a Abacę, wracaj do Karlsbadu. Tylko wróć, gdy pojawi się Prataxis. Tak? Generale Liakopulosie?

Generał został na stałe wynajęty od gildii najemników, pomagał usprawnić armię Kavelinu.

–To nie wiąże się z tematem tego spotkania, panie, ale jest ważne. Otrzymałem złe wieści z Wysokiej Iglicy. Tury umiera.

–To smutna wiadomość. Ale... Był starcem już w czasach wojen El Murida – powiedział Bragi. Po czym zadumany, dodał: – Po raz pierwszy spotkałem go, gdy wyrwaliśmy się z Simballawein. Bogowie, miałem tylko szesnaście lat...

Uniosła go fala wspomnień. Szesnastolatek. Uciekinier z Trolledyngii, gdzie w wojnie o sukcesję zginęła jego rodzina. On i jego brat, nie mając dokąd pójść, zaciągnęli się do gildii i niemal od razu wrzucono ich we wrzący kocioł wojen El

Murida. Byli wówczas, on i Haaken, durnymi dzieciakami, ale wyrobili sobie markę. Podobnie ich przyjaciele – Reskird Smokobójca, Haroun i zabawny człowieczek, Szyderca.

Odwrócił się plecami do zebranych. Łzy napłynęły mu do oczu. Nie było ich już teraz, całej czwórki, a wraz z nimi tak wielu innych. Reskird i jego brat zginęli pod Palmisano. Haroun zniknął na wschodzie. Szyderca... Bragi swojego najlepszego przyjaciela zabił własnymi rękami.

Pracchia, wykorzystując fakt, że miała w swoich rękach syna Szydercy, sprawiła, że ten był gotów zabić Bragiego.

Ja przeżyłem, powiedział do siebie Ragnarson. Przeszedłem przez to wszystko. Zaczynałem od zera. Wypracowałem okres pokoju. Lud tej małej brodawki na mapie uczynił mnie swoim królem.

Ale ta cena! Ta przeklęta cena!

Stracił nie tylko brata i przyjaciół, ale też żonę i kilkoro dzieci.

Każdy z obecnych w tej sali poniósł jakieś straty. Poczucie straty było jedną z łączących ich więzi. Poirytowany, otarł oczy i pomyślał, że jest zbyt sentymentalny.

–Rozejdźcie się. Informujcie mnie na bieżąco. Michael, zaczekaj chwilę.

Zgromadzeni zaczęli wychodzić. Bragi zatrzymał na krótko generała Liakopulosa.

–Czy powinienem wysłać kogoś na pogrzeb?

–Byłby to wyraz szacunku. Tury był twoim mistrzem w cytadeli.

–W takim razie zrobię tak. Był wielkim człowiekiem. Mam wobec niego dług wdzięczności.

–Ciebie i Kavelin darzył szczególnym uczuciem.

Bragi przyglądał się wychodzącym ludziom. Większość nie odezwała się ani słowem podczas całej narady, pomijając wymianę pozdrowień. Czy to jakiś znak?

W głębi duszy wyczuwał coś bardzo, ale to bardzo złego. Nadchodził czas zmian. Los nadciągał ze swoimi siłami. Na horyzoncie gromadziły się ciemne chmury.

Rok 1016 OUI Rozmowy Tam dzieje się coś, co sprawi, że pojawią się długotrwałe kłopoty – zauważył Michael Trebickock. – Ale masz czas, żeby temu zaradzić.

–Co to znaczy?

–Jak to co? Było tutaj dwudziestu ludzi, prawda? Dobrze poinformowanych ludzi, dzięki którym Kavelin funkcjonuje. Policz miejscowych. Gjerdrum. Mundwiller. Aral. Baron Hardle. To wszyscy. Kogo nie było? Królowej. Prataxisa. I Credence'a Abaki. To jeszcze jeden tubylec, a Abaca jest tylko Marena Dimura.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Zbyt wielki wpływ obcych. Nikt się teraz tym nie martwi. Mamy na głowie Shinsan. Załóżmy, że ta umowa przejdzie. Przytulimy się do Imperium Grozy. Handel ożywi gospodarkę. Gdy ludzie przestaną się martwić o nią i o Shinsan, co zostanie? My. Nie utracili swojej narodowej tożsamości. Możesz się znaleźć w gorszych opałach niż ostatnio w Krief.

–Ależ ty jesteś domyślny – rzędził Bragi.

Ale Michael miał rację.

Kavelin był najbardziej narodowościowo zróżnicowanym z Pomniejszych Królestw. Na jego ludność składały się cztery odrębne grupy: Marena Dimura, będący potomkami starożytnych rdzennych mieszkańców tych ziem, Siluro – potomkowie urzędników cywilnych z czasów, gdy Kavelin był prowincją Imperium Ilkazaru, Wessończycy – potomkowie Itaskiańczyków, których Imperium przesiedliło z ich ojczyzny, i Nordmeni – potomkowie ludu, który zniszczył Imperium. Tarcia między tymi grupami etnicznymi ciągnęły się przez stulecia.

–Możesz mieć rację, Michael. Możesz mieć rację. Pomyślę o tym.

–Dlaczego mnie zatrzymałeś?

–Gramy dziś po południu w captures. Gram na prawej. Chciałbym, żebyś mi towarzyszył.

Trebilcock chrząknął z niesmakiem. Nie lubił gier i nienawidził wszelkiego wysiłku fizycznego bardziej wyczerpującego od porannej konnej przejażdżki z przyjaciółmi. Captures był wymagający. Mógł ciągnąć się w nieskończoność, jeśli siły były wyrównane.

–Z kim gramy?

–Z Panterami Charygin Hall.

–Chłopaki kupców. Podobno są dobrzy. Stoją za nimi pieniądze.

–Są młodzi, wytrzymali, ale brakuje im finezji.

–A propos młodości. Nie robisz się troszkę za stary na captures? Bez obrazy, oczywiście?

Captures to gra Marena Dimura, pierwotnie rozgrywana na rozległych terenach leśnych.

Grając, rozstrzygano spory między wioskami, chociaż w lasach pozostawały ofiary złamanych reguł gry.

Wersję miejską rozgrywano na bardziej ograniczonym terenie. „Boisko” w Vorgrebergu miało powierzchnię jednej mili kwadratowej i leżało na północ od

miejskiego cmentarza. Drużyna liczyła czterdziestu zawodników. Istniały też reguły, które miały uatrakcyjnić tę grę.

Poza tym wszyscy oszukiwali.

Captures przypominał „kradzież flagi”. Drużyny starały się odebrać piłki swoim przeciwnikom i dostarczyć je do swoich „zamek”. Każda drużyna zaczynała z pięcioma piłkami wielkości głowy wołu. Każda starała się uniemożliwić przeciwnikom odebranie własnych piłek albo odzyskać te, które utraciła. Były dwie odmiany gry. W krótkiej wygrywała ta drużyna, która jako pierwsza dostarczyła wszystkie piłki przeciwnika do swojego zamku. W długiej wersji zwycięzcą zostawała drużyna, która zdobyła wszystkie piłki. Ta druga mogła trwać tygodniami. W okolicach Vorgrebergu grano w odmianę krótką.

–Nie mam już takiej pary jak dawniej – przyznał Bragi. – I nogi szybciej mi się męczą. Ale to jedyna rozrywka, która mi została. Tylko wtedy mogę pobyć sam i pomyśleć. Tam nic mnie nie rozprasza.

–A w punkcie nie ma nikogo, kto by podsłuchiwał, gdybyś chciał zamienić parę słów z członkiem swojej drużyny?

–Tutaj nawet ściany mają uszy, Michael.

Trebilcock jęknął. Nie miał ochoty marnować popołudnia, uganiając się po lesie... Zaraz jednak uśmiechnął się szeroko. Mógł sam usunąć się z boiska. Zawodnik nie mógł wrócić do gry, jeśli jego przeciwnik wyrzucił go w obecności sędziego. To było najważniejsze. Sędzia musiał być świadkiem każdego naruszenia reguł. Oszukiwanie z fantazją stanowiło o duchu gry.

–Spotkajmy się tam – powiedział Bragi. – Wylosowaliśmy zachodni zamek. Postaraj się przyjść przed południem. – Uśmiechnął się. Wiedział, co Michael sądzi o tej grze. – Włóż jakieś stare ciuchy.

–Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Mogę już iść?

–Ruszaj. Tam porozmawiamy.

Trebilcock odszedł przygarbiony. Bragi przyglądał się jego oddalającej się sylwetce. Wysoki, tyczkowaty szef szpiegów wyglądał jak karykatura mężczyzny. Jego skóra była tak blada, że wydawało się, iż nigdy nie zaznała słońca. Odnosiło się wrażenie, że to mięczak.

Były to pozory. Trebilcock był jak żywe srebro i odznaczał się niesamowitą wytrzymałością. Odbił kilka niebezpiecznych misji w czasie Wielkich Wojen Wschodnich. Sukcesy zapewniły mu reputację superagenta. Niektórzy z kręgu wtajemniczonych obawiali się go bardziej niż wrogów, których obserwował i na których polował.

–Michael – mruknął Bragi – czy jesteś jednym z problemów, w obliczu których kiedyś stanę?

Trebilcock był jednym z najbardziej kompetentnych ludzi Ragnarsona. Bragi żywił wobec młodych silne ojcowskie uczucia. Ale Michael lubił chadzać własnymi drogami, w swoim świecie cieni. Czasami wprawiał ludzi w zakłopotanie.

Ragnarson usiadł przy stole. Na chwilę oddał się wspomnieniom, przywołując

zdarzenia, które doprowadziły go do tej chwili, tego miejsca i stanowiska. Przypominał sobie tych, których stracił... Otrząsnął się jak pies po przepłynięciu strumienia. Dosyć tego! Człowiek może popaść w obłąd, martwiąc się o to, co powinien był zrobić inaczej.

–Muszę zobaczyć się dzisiaj z dziećmi – mruknął. – Jeśli nie będę zbyt mocno poobijany, żeby się tam dowlec.

Michael wyprowadził swego wierzchowca za bramę zamku. Wskoczył na niego i przyjął niedbałą postawę w siodle. Mżawka przylepiła mu kosmyki włosów do czoła. Strażnicy obojętnie zasalutowali mu ze strażnicy.

–Ten to naprawdę przypomina ducha – szepnął jeden z nich.

–Wygląda, jakby spóźnił się na własny pogrzeb – zauważył drugi. – Kto to jest? Pierwszy wzruszył ramionami.

–Jeden z ludzi króla. Rzadko się go tu widuje.

Nazwisko Trebilcocka z pewnością nie było im obce. Był powszechnie znaną postacią. Niższe warstwy społeczeństwa miały się przed nim na baczności. Był ostry w stosunku do czarodzieja Varthlokkura, którego stwór, Niezrodzony, zaglądał w mrok ludzkich umysłów. Planujący wielkie zbrodnie i zdrady nieuchronnie zwracali na siebie uwagę Michaela. Po czym spadał na nich bezlitosny młot.

Trebilcock usilnie pracował nad swoim paskudnym wizerunkiem.

Aral Dantice czekał na niego na brukowanej ulicy łączącej zamek z otaczającym go miastem. Skierowali konie do przypałacowego parku. Wiśnie i śliwy były obsypane kwieciem.

–Późno dzisiaj zaczynamy – zauważył Michael. Od lat urządzali sobie przejażdżki po parku, gdy tylko mieli okazję. Zwykle na ścieżkach do jazdy konnej można było spotkać innych ludzi z zamku. Dzisiaj towarzyszyła im tylko mżawka.

–Wcześniej była jeszcze bardziej paskudna pogoda – odparł Dantice.

Rozmawiali o dawnych czasach i przestali plotkować. Stawali się coraz bardziej czujni.

Aral był krępy, barczystym dwudziestokilkuletnim mężczyzną. Bardziej wyglądał na ulicznego oprycha niż na szanowanego kupca. Przed śmiercią ojca rzeczywiście był bardziej tym pierwszym. Później jednak zmienił niemal zbankrutowaną firmę zajmującą się wyposażaniem karawan w kwitnący interes. Stał się głównym dostawcą uprzęży i koni dla królewskiej armii.

–Rzeczywiście. – Trebilcock zakreślił łuk ręką, obejmując otaczające ich tereny. –

Chciałbym je przeprojektować. W Rebsamenie miałem takiego doradcę. Jego hobby było kształtowanie krajobrazu. Ktokolwiek zaprojektował ten park, nie miał za grosz wyobraźni. To jedynie jakiś przekłęty sad.

Aral popatrzył na niego krzywo.

–Usunąłbym te wszystkie drzewa owocowe. Wykopałbym jezioro. Zrobiłbym symetrycznie drugi staw. Po każdej stronie dałbym rząd topoli, jedną przy drugiej, żeby obramować zamek. Może posadziłbym trochę krzewów i kwiatów z przodu, żeby było kolorowo wiosną i latem. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Aral uśmiechnął się.

–Byłoby interesujące zobaczyć, co mógłbyś z tym zrobić. – Zlustrował zamek. – Musiałbyś albo zburzyć Wieżę Fiany, albo zbudować drugą po lewej stronie. Żeby nadać pałacowi architektoniczną równowagę.

Trebilcock wyglądał na zaskoczonego.

–Równowagę? Co ty wiesz o równowadze?

–To, co można wiedzieć. Mikę? To ma sens, prawda? Nie chciałbyś, żeby wyglądał asymetrycznie. A tak na marginesie, czego chciał?

–Kto?

–Król. Kiedy kazał ci zostać.

–Nie uwierzyłbyś. Ja jeszcze teraz nie wierzę. Chce, żebym dzisiaj po południu zagrał obok niego po prawej w drużynie Strażników w meczu captures.

Aral przyjrzał mu się uważnie, pytając marszcząc brew.

–Naprawdę? – Roześmiał się. – No tak. Dzisiaj grają Strażnicy i Pantery, tak? Bitwa niepokonanych. Stary lis próbuje podprowadzić co lepszych zawodników. – Dantice pochylił się, pomacał biceps Michaela. – Postaw na Pantery, Mikę. Charygin Hall zaangażował najlepszych ludzi, jakich można kupić. Nikt ich nie pokona przez lata.

–Jakie są notowania? Jest duża rozpiętość?

–Możesz dostać pięć do jednego, jeśli jesteś na tyle głupi, żeby postawić na Strażników. A przy różnicy dwóch punktów możesz dostać nawet dziesięć do jednego, jeśli postawisz na zwycięstwo Strażników.

Ujechali z pięćdziesiąt jardów, nim Trebilcock powiedział zadumany:

–Myślę, że każę swoim bankierom postawić kilkaset nobli. Na Strażników.

Dantice i Trebilcock zawrócili. Zdaniem Arala w sprawach finansowych Michael był frajerem.

–Po kiego diabła? To twoje pieniądze, a masz ich więcej, niż jesteś w stanie przepuścić, ale po jaką cholere je marnować?

–Przemawia przez ciebie szowinizm klasowy, Aral. Strażnicy także są niepokonani. Gdy

będiesz obstawiał, pamiętaj, kto jest w ich drużynie. Król nie lubi porażek.

Michael czuł, że Dantice mu się przygląda. Wyczuwał, że chce zadać jakieś pytanie. Czy chodziło mu o coś więcej niż to, co powiedział?

–Mikę?

–Tak?

–Ciągle rozrabiasz z tymi Throyeńczykami? Odniosłem wrażenie, że Bragi ci przygadywał.

–Może i przygadywał. Jestem z nimi w kontakcie. Nie chcę palić żadnych mostów. Sytuacje się zmieniają. Możemy potrzebować ich w przyszłym roku. Do czego zmierzasz, Aral?

–Ja? Do niczego, chodzi tylko o dostawy dla armii. Nie jestem pewny, kiedy król każe mi przyjść.

Trebilcock skinął głową. Rozmowa stała się pojedyńkiem na półprawdy i jawne uniki.

–Może chciał, żebyś przekazał prawdziwą historię swoim przyjaciółom. O tym, że może zostanie otwarta przełęcz. Żeby plotki nie były za bardzo przesadzone.

–To wszystko, czego się domyślam. Jak długo zamierzasz zostać w mieście? Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się któregoś wieczoru na ulicę Arsen. Pamiętasz lokal Grubasa? Zmienili wystrój. Dawna klasa. Sprowadził parę dziewczynek z wybrzeża. Moglibyśmy wyrwać coś miłego, jak za dawnych czasów.

–Nie sądzę, żebym to jeszcze wytrzymał, Aral.

–Daj spokój. Nie będziesz żył wiecznie. Równie dobrze możesz się zabawić, kiedy masz okazję. Musisz czasami wyjść z ukrycia.

–Będę tutaj do przyjazdu Prataxisa. Dam ci znać. – Pokonali już połowę drogi wiodącej wokół pałacu. – Gdyby dobrze się to zrobiło, można byłoby zaprojektować jeziora tak, by swoim układem przypominały ramiona krzyża – powiedział Michael.

Dantice potrafił być denerwująco praktyczny.

–A jak zamierzasz doprowadzać świeżą wodę? – zapytał. – Musiałbyś ją stale dostarczać, prawda? W przeciwnym razie te twoje jeziora miałyby wodę stojącą lub by wyschły.

–Cholera! Ja tylko się na głos rozmarzyłem, Aral. Chcesz mnie zdołować sprawami praktycznymi, to spytaj, kto będzie płacił robotnikom.

–Hej, Mikę! Ja tylko żartowałem.

–Wiem, wiem. Jestem zbyt drażliwy. Moi ludzie cały czas mi to powtarzają. Przede wszystkim nie chciałem tutaj przyjeżdżać, a król jeszcze zapędza mnie do gry w captures. Nienawidzę captures.

–Dlaczego się nie wymówiłeś?

Michael tylko popatrzył na Dantice'a. Nie przyszło mu to do głowy. Król nie prosiłby go o to, gdyby nie było takiej potrzeby.

–Jakie wieści z Hammad al Nadiru, Mikę? Masz tam kogoś zaufanego?

Pytanie zostało rzucone trochę zbyt nonszalancko.

–A co? – warknął Trebilcock.

–Wiesz co, ty naprawdę jesteś drażliwy. Po prostu mam długoterminową umowę na wierzchowce z jednym z generałów Megelina. A słyszę plotki o tym, że El Murid może podjąć próbę powrotu. Mówi się, że Megelin się nie sprawdza i z każdym dniem staje się coraz mniej popularny.

–W takim razie masz lepsze źródła informacji niż ja. Słyszę tylko, że miesiąc miodowy nadał trwa. Muszę lecieć. Chcę zrobić parę zakładów, zanim pojedę w las grać w captures. Zatrzymałem się w pałacu. Rankami będę jeździł konno. Daj mi znać, gdybyś chciał, żebym na ciebie zaczekał.

Aral uśmiechnął się.

–Nie zapomnij o lokalu Grubasa. Myślę, że czeka cię niespodzianka.

Michael otarł z czoła krople deszczu. Nie cierpiał kapeluszy. Czasami trzeba płacić za swoje dziwactwa.

–Pomyślę o tym.

Ragnarson zmierzał przez dziedziniec ku stajniom, gdy dostrzegł Varthlökkura na murach zamku. Skręcił w jego stronę.

Czarodziej przyglądał się wschodowi, jakby ten mógł go ugryźć. A wcześniej dziwnie się zachowywał.

–Czy to coś, o czym możesz mówić?

–Co? Nie bardzo. To nic konkretnego. Coś na wschodzie. Raczej nie przypomina to Shinsanu.

–Nie wspomniałeś o tym dzisiaj rano.

–Nepanthe. Zbyt wiele utraciła. Nie chciałbym dobić jej fałszywą nadzieją.

–Co masz na myśli?

–Chodzi o Ethriana. Być może on żyje. – Ethrian był synem Nepanthe z pierwszego małżeństwa, zaginionym w czasie Wielkich Wojen Wschodnich.

–Co? Gdzie on jest? – Ragnarson miał wobec swego chrześniaka ogromny dług. Okrutny los zmusił go do zabicia jego ojca.

–To tylko niejasne wrażenie, które czasami odnoszę. Nie potrafię tego określić.

Ragnarson zarzucił go pytaniami. Czarodziej jednak nie odpowiadał. Uważał, że Bragi zbyt idealizuje swojego dawnego przyjaciela, Szydercę, i zdarzenia związane z jego śmiercią. Bragi nie miał wyboru. Mógł albo zabić, albo zostać zabity.

Ragnarson zapytał w zamyśleniu:

–Nigdy nie znaleźliśmy żadnego dowodu, że Ethrian nie żyje. Czy jest coś jeszcze?

–Coś jeszcze?

–Coś, o czym nie chciałeś mówić wcześniej. Wszyscy ukrywali się przed wszystkimi. Twoje oświadczenie, że byłeś zajęty, nie było przekonujące.

Varthlokkur obrócił się nieco, przenosząc na rozmówcę wzrok do tej pory utkwiony w horyzoncie. Jego oczy rozbłysły rozbawieniem.

–Robisz się coraz śmielszy. Pamiętam młodszego Bragiego, który trząsał się na sam dźwięk mojego imienia.

–Nie wiedział, że nawet ludzie potężni są podatni na ciosy.

–Dobrze powiedziane. Ale nie dawaj za to głowy.

Ragnarson wyszczerzył zęby.

–Mam zamiar wrócić do tej rozmowy, gdy będziesz w nieco mniej czarodziejskim nastroju. Gdy będziesz gotów odpowiadać na pytania. – Skinął lekko głową i zostawił czarodzieja pogrążonego w myślach.

Josiah Gales czuł się sfrustrowany. Nie potrafił odseparować królowej od stada dworskich matron. Nawet gdy zdawała sobie sprawę z takiej potrzeby, niełatwo było jej się wyrwać.

W końcu nadeszła taka chwila. Wkroczyła do zasłoniętej alkowy, skinęła na Galesa. Na jej ustach błąkał się ten charakterystyczny kpiący uśmiech. Dał nura za nią.

–O czym rozmawiali, Josiah? – Nikt inny nie nazywał go Josiah.

–W zasadzie o niczym.

–O czymś musieli rozmawiać, prawda?

–Tak, ale nie warto było czaić się w tych zakurzonych korytarzach, moja pani.

Usłyszałem mnóstwo razy „Witaj, jak się masz, kupę czasu się nie widzieliśmy” i „Co

się ostatnio, do cholery, dzieje z Shinsanem?” Po czym Jego Wysokość kazał im się rozejść. Powiedział, że spotkają się ponownie, gdy wróci Prataxis. To nasunęło mi myśl, że on może coś podejrzewać.

–On zawsze jest podejrzliwy, Josiah. I ma powód.

–Nie chodzi tylko o tę jego zwykłą podejrzliwość. Król coś powiedział.

–A co powiedział?

–Kazał Trebilcockowi poczekać, aż wszyscy wyjdą. Poprosił go, żeby zagrał z nim w captures. Wtedy to powiedział.

–Ale co?! – Między brwiami królowej pojawiła się zmarszczka świadcząca o zniecierpliwieniu. Zerknęła za kotarę. Jej trzódka jeszcze się za nią nie stęskniła.

–Że nawet ściany mają uszy. Uśmiech Inger zniknął.

–Hmm. To daje do myślenia. Dziękuję ci, Josiah.

–Jestem twoim niewolnikiem, pani.

Opuściła alkowę z lekko zmarszczonymi brwiami. Jej podopieczne będą miały w niej mniej

uprzejmą gospodynię niż do tej pory.

Gales przygryzł dolną wargę. Czy mówił zbyt śmiało? Czy zdradził zbyt wiele?

Josiah Gales był ofiarą beznadziejnej miłości. Nie było najmniejszej szansy, że zostanie skonsumowana w jakikolwiek bardziej intymny sposób niż ten, do którego właśnie doszło.

Rozumowo już dawno temu pogodził się z tym, zanim jeszcze w życie jego pani wkroczył Ragnarson. Ale jego serce nie chciało przyznać, że istnieją nieprzekraczalne bariery między damą z wyższych sfer i żołnierzem piechoty w średnim wieku.

Pozwolił sobie w wyobraźni jeszcze raz przeżyć chwilę, która właśnie minęła. Fantazja zbesztła go za to, że nie był wystarczająco śmiały.

Rok 1016 OUI Captures Król Kavelinu przerwał przejażdżkę po cmentarzu Vorgrebergu. Wcześniej wyjechał z miasta, żeby mieć trochę czasu przed grą.

Najpierw odwiedził mauzoleum rodziny Krief. Rządziła Kavelinem przed nim. Pochylił się nad przeszklonym sarkofagiem swojej poprzedniczki i byłej kochanki. Cieleśna powłoka Fiany została zmyślnie zachowana dzięki umiejętnościom Varthlokkura.

–Śpiąca królewno – wyszeptał do zimnej, nieruchomej postaci. – Kiedy się przebudzisz? – Wyobraźnia podpowiadała mu, że jej pierś powoli unosi się i opada. Jego serce chciało w to wierzyć. Głowa jednak nie mogła przekonać się do kłamstwa.

Kochał ją. Urodziła mu córkę, której prawie nie znał. Mała Carolan została pochowana obok. To zazdrosne królestwo powaliło je...

W ich miłości był ogień. Było to jedyne w życiu tak doskonale fizyczne dopasowanie, w którym wszelkie potrzeby i upodobania były w najwyższym stopniu zgodne. Namiętność, którą pamiętał, kazała mu wątpić w obecne zaangażowanie w związek z Inger. Trochę bał się oddać tej ostatniej kobiecie, zaangażować się całkowicie. Los zawsze znajdował sposób, by uderzyć w tych, na których mu zależało.

Pocałował szybę nad ustami Fiany. Wyobraźnia ukazała mu na chwilę cień jej uśmiechu.

–Miej do mnie cierpliwość, Fiano. Robię, co mogę. – Po chwili dodał: – Nadchodzą ciężkie czasy. Oni nie wiedzą, że ich podejrzewam. Uważają, że chodzę z głową w chmurach. Nie doceniają mnie. Podobnie jak nie doceniali ciebie. A ja będę pozwalając im myśleć, że jestem tylko tępym żołnierzem, dopóki nie wpadną w dołek, który dla nich wykopię.

Wydawało się, że kiwnęła głową, okazując, że rozumie.

W Vorgrebergu martwili się o niego. Nie przychodził tutaj często, ale wszystkim wydawało się dziwne, że w ogóle odwiedzał zmarłych. Za jeszcze dziwniejsze uznawano, że do nich mówił.

Niech sobie myślą, co chcą. To był jego azyl, jedno z miejsc, w którym mógł pomyśleć, miejsce, w którym skrywał się, gdy chciał być sam.

Wyszedł na zewnątrz i usiadł na wilgotnej trawie obok świeżego grobu. Deszcz przestał padać. Przez jakiś czas nie robił nic, tylko siedział i od czasu do czasu rzucał grudę rozmięklej ziemi w pobliski nagrobek. Elementy łamigłówki zaczynały do siebie pasować. Nie wiedział jeszcze, w jaki obraz się układają, ale szeptał tu, plotka tam i wieści o czymś dziwnym za górami... To wszystko coś znaczyło.

Jako chłopiec odbył z ojcem jedną długą podróż. Popłynęli z Tonderhofn wraz z lodową krą i byli jednym z pierwszych smoczyczych statków, które przepłynęły przez Jęzory Ognia. Po kilku

dniach żeglugi po oceanie zostali unieruchomieni przez flautę. Morze przybrało wygląd wypolerowanego zielonego jadeitu. Załoga nie była w nastroju do pracy przy wiosłach. Wściekły Ragnar skorzystał z okazji i przekazał synom trochę swojej życiowej filozofii.

–Rozejrzyjcie się chłopcy – powiedział mężczyzna znany zarówno jako Wściekły Ragnar, jak i Wilk z Draukenbringu. – Co widzicie? Piękno oceanu? Jego spokój? Łagodność?

Nie wiedząc, czego od niego oczekiwano, młody Bragi skinął głową. Jego brat Haaken nie chciał posunąć się tak daleko.

–Pomyślcie o morzu jak o życiu. – Ragnar chwycił zarobaczony kawał świni, którą złożyli w ofierze przed ryzykownym przejściem przez zdradzieckie prądy Jęzorów. Nabił go na włócznię, przechylił nad górną częścią nadburcia, wysunął drzewce nad wodę i umieścił kilka cali nad szklistą powierzchnią. Następnie oparł się o burtę statku i czekał.

Wkrótce Bragi dostrzegł, że pod zielonym szkłem coś się porusza. Coś przemknęło pod smoczym statkiem. Płetwa cięła powierzchnię wody w odległości pięćdziesięciu jardów.

Coś wynurzyło się z głębin. Porwało mięso, włócznię i mało brakowało, a wciągnęłoby i Ragnara, nagle szarpnięcie bowiem rzuciło go o reling. Woda jakby się zagotowała, a następnie uspokoiła. Bragi nie zauważył, co porwało zgniłe mięso.

–Tam – powiedział Ragnar. – Widzicie? Tam w dole zawsze coś jest. Gdy jest najspokojniej, wtedy trzeba uważać. Wtedy polują te wielkie – podkreślił.

Ogromny, ciemny kształt przepłynął w pobliżu statku, zbyt głęboko, żeby można było dostrzec coś więcej jak tylko cień w zieleni. Ragnar zaczął kopać i kłać swoich ludzi. Uznali, że wiosłowanie będzie mniej nieprzyjemne niż ciągle wrzaski i wściekłość kapitana.

Bragi pstryknął grudką ziemi w łodygę chwastu pozostawionego z zeszłego roku. Szczęśliwie trafił. Chwast padł.

Bragi wstał.

–Gdy wielcy polują... – mruknął i ruszył przez wzgórze. Podeszedł do rzędu grobów. Spoczywała w nich jego pierwsza żona i dzieci, które stracił w Kavelinie.

Elana była niezwykłą kobietą. Musiała być święta, skoro trwała przy jego boku w czasach, gdy był najemnikiem, skoro co roku rodziła mu dziecko, skoro zносиła jego nieobecny, błędzący w dali wzrok i uczucia bez protestu. Była córką itaskiańskiej dziwki, ale sama była damą. Odcisnęła piętno na jego duszy. Najbardziej brakowało mu jej wtedy, gdy miał kłopoty.

Było w nim coś, co nie pozwalało mu dzielić się wszystkim w taki sposób z Inger.

Fiana była zarówno namiętnością, jak i symbolem oddania wyższej idei. Elana była stała, prosta, rodzinna, reprezentując być może owo najściślejsze, najbardziej intensywne i podstawowe z ludzkich uczuć i powiązań.

Dziwne, pomyślał, patrząc na rząd nagrobków. Ani jednej, ani drugiej nie oddał się całkowicie. Inger zaś nie dawał nic, czego nie dał im. Jak wielkie są zasoby jednego mężczyzny?

Nie był pewien, co dawał swojej królowej żonie. Jakimś uczuciem zapewne ją darzył. Przez większość czasu wydawała się zadowolona.

Długo tam stał, wspominając lata spędzone z Elaną i przyjaciół, którzy nadawali tamtym czasom szczególny smak.

Wszystko to już minęło. Nadeszły szare dni, jałowe i bezbarwne, do których jego znajomi niewiele wnosili.

Może naprawdę się starzał. Może w miarę zbliżania się starości blakną radości, smutki i barwy, a wszystko staje się taką papką, że po prostu dochodzi się do wniosku, że czas już położyć się i umrzeć.

Rzucił okiem na przesuające się po niebie słońce. Czas szybko ucieka, podczas gdy on tu sobie wspomina dawne dzieje. Najlepiej będzie, jak przestanę się objać. Królowi nie przystoi spóźniać się na grę w captures.

Po drodze spotkał Pantery. Gdyby był kimś innym, bezlitośnie wyśmiewaliby Strażników. Drużynę Panter tworzyli młodzi ludzie, podekscytowani i strasznie napaleni. Byli ulubieńcami młodych kobiet, które z oskomą rzucają się na zwycięzców i gardzą pokonanymi. Sądzi, że przez lata pozostaną na szczycie.

Jeden śmiałek to zasugerował.

Ragnarson wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Być może czeka cię niespodzianka, chłopcze. My, stare przyki, znamy parę sztuczek.

Młodzieniec przyjął jego słowa z typowym lekceważeniem.

Czy kiedykolwiek był czas, kiedy ja byłem tak młody, tak pewny siebie, tak pozytywnie nastawiony do mojego świata i moich odpowiedzi? – zastanawiał się Bragi. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek był właśnie taki.

Gracze rozdzielili się i udali do swoich zamków.

Pierwsze minuty gry będą wolne od nieczystych zagrywek. Sędziowie zebrali drużyny przy ich zamkach. Policzyli zawodników i spisali ich nazwiska. Gdy zespoły były gotowe, zagrali na rogach, po czym znowu w nie zadęli, żeby obwieścić rozpoczęcie gry.

Łamanie reguł zwykle zaczynało się po tym, jak drużyny przechodziły do obrony i ataku.

Zespół Bragiego zaczął oszukiwać przed czasem. Zastosował w grze parę swoich sztuczek z rządowych rozgrywek.

Przygotowując się do spotkania z Panterami, umieszczono między nimi szpiega na wysokich obcasach i o gorącej krwi. Bragi się spóźnił. Podał sędziom swoje nazwisko i dołączył do Trebilcocka, który trzymał się na uboczu grupy. Młodzieniec miał wygląd winowajcy. Pozostali skupili się na chłopaku, który był przyjacielem ich szpiega.

–Chcę wygrać za wszelką cenę. Będą się bić z każdym w środkowej strefie – powiedział mężczyzna. Był kapitanem zespołu. Przyjaciele nazywali go Slugbait. – Zamierzają mocno się

bronić jakimiś sześcioma ludźmi na dwieście jardów przed swoim zamkiem.

Reszta ma się zwalić na nas, a potem po prostu dokonać odwrotu z naszymi piłkami. Sądzą, że nas upokorzą, bo uważają, że jesteśmy bandą starych zgredów, którzy nie będą w stanie dotrzymać im kroku. Mamy kilka możliwości. Uważam, że najlepiej będzie walczyć z nimi ich własną bronią. Nie strzeżemy naszego zamku. Wszyscy idziemy tam, zalewamy ich obrońców, zabieramy im piłki. Wysyłamy pięciu ludzi,

żeby przemycili je po flankach. Reszta dopada ich, gdy wracają z naszego zamku. Rzucamy się na nich i odbieramy im nasze piłki. Snakeman? Dlaczego tak podskakujesz?

–Będą wiedzieli, że zostali wykiwani, gdy zorientują się, że nikogo nie ma w naszym zamku, Sług. Zatem jedyne, co zrobimy, to odwrócimy sytuację. Wtedy oni zaczną gonić za nami. Zmęczą nas. A wtedy – do widzenia.

–Sług dobrze kombinuje – powiedział Ragnarson. – Ale Snake też. Uważam, że powinniśmy odwrócić sytuację. Tylko musimy ten stan utrzymywać przez cały czas. Myślę, że możemy do przechylenia szali na naszą korzyść wykorzystać starą sztuczkę Marena Dimura. Gdy dojdziemy do ich obrońców, złapiemy ich, zaniemiemy do sędziego zamkowego i wyrzucimy z boiska. To sprawi, że będą mieli sześciu zawodników mniej. Potem zabierzemy ich piłki w las i zakopimy je w jakimś miejscu. Następnie zagramy mocną obronę na zamku Panter. To ich piekielnie zdezorientuje. Gdy któryś z nich się przebiję, druga linia też może go złapać i wyrzucić z boiska. Wystawimy tylko kilku napastników, żeby mieli oko na nasze piłki, dopóki nie usuniemy całej bandy Panter z boiska.

–Strasznie dużo biegania – poskarżył się Michael. – Przez tydzień nie będę mógł się podnieść z łóżka.

–Jesteś młodszy ode mnie.

Ludziom spodobał się pomysł Ragnarsona. Był nietypowy. Wytrąci Pantery z równowagi.

–Hej, wy, zamierzacie tak głądzić przez cały dzień? Gramy w captures. Chcemy skończyć przed zachodem słońca.

–No to dmij w ten róg! – odkrzyknął Sług. – Zaczynamy tak, jak zaproponował król – rzucił swojej drużynie.

Michael jęknął.

–Mnie też wcale nie sprawia to takiej frajdy – powiedział do niego Bragi. – Liczyłem na to, że przez większość czasu gdzieś sobie posiedzę.

Rogi zagrały i wydały odgłos jak tonąca gęś.

–Na boki! – warknął Slugbait. – Nie mogą nas zobaczyć.

Pół godziny później Ragnarson i Trebilcock zajęli pozycje w obronie. Stali zwróceny plecami do zamku Panter.

–Sądzę, że trochę się zniechęcili – wysapał Bragi. Paliły go płuca. Nie oszczędzał się.

Obrońcy Panter walczyli mężnie, gdy wyrzucano ich z boiska. – Zostawili w obronie nie sześciu, a dziesięciu ludzi.

Trebilcock był skwaszony.

–Wyrolowali cię. Wiedzieli, że dziewczyna była podstawiona. Posłali pięciu ludzi do twojego zamku. Reszta schowała się wśród skał i drzew i obserwowała, gdzie zostały ukryte ich własne piłki. Zabiorą je i schowają gdzieś indziej.

Na twarzy Ragnarsona pojawił się szeroki uśmiech.

–Ty byś tak zrobił, Michael. Ale to dzieciaki. Nie uważają, że powinni uciekać się do podstępów. – Rozejrzał się wokół, upewniając się, że nie ma w pobliżu jakichś

niepożądanych oczu i uszu. – Opowiedz mi w skrócie, co robisz i co wiesz. Chcę czegoś więcej niż ogólników.

Michael zrobił jeszcze bardziej kwaśną minę.

–Mikę, jesteś porządnym człowiekiem. Jednym z moich najlepszych. Ale to nie może się tak toczyć. Nie mogę iść do Hsunga i składać obietnic, gdy moi ludzie nie robią tego, co chcę. Nie mogę nic planować, jeśli nie powiesz mi, co się, do diabła, dzieje. Nie dałem ci tej roboty po to, żebyś bawił się w chowanego. Sytuacja wygląda tak: albo grasz w drużynie, albo z niej wypadasz.

Trebilcock wpatrywał się w Ragnarsona. Wydawał się zaskoczony.

–Mówię poważnie. Przypuszczam, że opowiesz mi o planach Hsunga. Ty wiesz, co się dzieje na wschodzie. I powiesz mi, jak się dowiedziałeś.

–Dlaczego?

–Ja nie oceniam tylko informacji. Oceniam także źródło, Michael.

Trebilcock westchnął. Wydawał się zdenerwowany.

–Częścią umowy jest to, że go nie ujawnię. Należy do ludzi Hsunga. Ma wstęp na narady i dostęp do dokumentów.

–Shinsańczyk czy Throyeńczyk?

–Czy to ma znaczenie?

–Ma cholernie wielkie znaczenie. Nie ufam węzom i nie ufam nikomu po drugiej stronie Słupów Niebiańskich.

–Shinsańczyk. Ale jest godny zaufania.

–Dlaczego? Oni nie dopuszczają się zdrady.

–Nie przeciwko Imperium. Ale przywódców, którzy im nie odpowiadają, zdradzą. Mamy dowód, że próbują z powrotem osadzić na tronie Mglę. Będzie trupem chwilę po tym, jak pozwolimy dowiedzieć się o tym Hsungowi. Hsung jest szwagrem Kuo.

–Szantaż? – Ragnarson przyglądał się uważnie Michaelowi. – Nu Li Hsi i Yo Hsi byli braćmi. Przez czterysta lat usiłowali zabić się nawzajem. Skąd wiesz, że ten człowiek przekazuje ci prawdziwe informacje?

–Za każdym razem ma rację.

–Masz zatem możliwość sprawdzenia go.

–Nie. – Michael wpatrywał się w pokrytą liśćmi ziemię jak uczeń łajany przez nauczyciela.

–Czy powiedział ci coś istotnego? Coś, do czego byśmy się nie dokopali?

Zorientujesz się, gdy przekaże ci jakieś kłamstwo, w które zechcą, żebyś uwierzył?

–Tak. Powiedział mi, dlaczego dają Prataxisowi to, czego chce.

–Tak?

–Spodziewają się tego lata wojny z Matayangą. Matayangańczycy przygotowują się do tego od upadku Escalonu. Silniejsi już nie będą, a legiony nadal są słabe. Pewnego dnia będą musieli stanąć do walki, więc dlaczego nie mieliby uderzyć jako pierwsi? Przysparzają zmartwień tervola. Oni nie chcą mieć kłopotów gdzie indziej, więc Hsung zamierza stać się twoim najlepszym przyjacielem poza Kavelinem. Musi oddać swój legion odwodu Armii Południowej. Kuo ogołaca całe to przekłete imperium, żeby wzmocnić południe. Nie dobrał się tylko do Armii Wschodniej. Nikt

nie może tego zrozumieć, bo na wschód od nich nie ma nic.

–No, Michael, to mnie bardziej satysfakcjonuje. Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? Dlaczego muszę doprowadzić cię do wściekłości, żeby coś z ciebie wyciągnąć?

Trebilcock nie odpowiedział.

–Jak bardzo możemy naciskać Hsunga?

–Otrzymał rozkazy, by iść na ugodę, jednak pełno w nich „jeżeli”, „i” oraz „ale”. Nie naciskaj go. Ma władzę prokonsula. Po prostu nie może najechać Kavelinu bez zgody Kuo.

–Co oznacza, że może sprawiać nam wszelkie kłopoty, jakie tylko zechce, o ile nie będzie używać własnych oddziałów, tak?

–Właśnie.

–Wygląda na to, że twój przyjaciel przesyła nam wiadomość, która mówi: jeśli zostawicie nas w spokoju, to my też damy wam spokój.

–Można tak na to spojrzeć.

–A ty ciągle podjudzasz throyeńskich partyzantów?

–Nie. Utrzymuję z nimi kontakty. To wszystko. Pewnego dnia możemy ich potrzebować. Przekazują mi informacje, ponieważ mają nadzieję, że ich poprzemy. Zorganizowali mi tam wtyczkę. Wszystko, co robią poza tym, robią na własny rachunek.

Głos Michaela nieznacznie zadrżał. Ragnarson nie sądził, aby było to spowodowane złością. Trebilcock potrafił się opanować.

Zmienił taktykę.

–O co chodzi z Mglą?

Trebilcock wyczuł, że nie było to tylko zdawkowe zainteresowanie.

–Nic z tego nie wyjdzie. Podobne działania są prowadzone, odkąd tutaj przyjechała. Zawsze

będą kliki, które zechcą mieć ją za figurantkę.

–Chcieć i mieć to nie to samo. Ona nigdy nie zgodzi się na mniej niż cesarską władzę. Co sądzisz o dzisiejszej postawie czarodzieja? Czy nie zachowywał się trochę dziwnie?

Trebilcock wpatrywał się w las.

–A kiedy on nie był dziwny?

–Wychodzi z siebie. Wrzeszczy na ludzi. Jakby próbował ich zastraszyć. Jakby mówił: jeśli otworzysz gębę, to spuszczę na ciebie tyle nieszczęść, że będziesz miał ich dość do końca życia.

–O tym musiałbyś porozmawiać z nim. Wychwyciłem coś między nim a Mglą.

–Już rozmawiałem. Nie miał nic do powiedzenia.

Michael wzruszył ramionami.

–Rozum podpowiada, że ten problem nie jest natury politycznej. Varthlokkur nie włącza się w takie rozgrywki. To musi być coś osobistego. A w jego przypadku „osobiste” znaczy „Nepanthe”. Jego wielka obsesja.

Stulecia temu dziecko, które stanie się Varthlokkurem, przyglądało się, jak jego

matka płonie na rozkaz czarodziejów Ukazani. Dziecko uciekło do Imperium Grozy i nauczyło się magii na kolanach ówczesnych tyranów Shinsanu, Yo Hsi i Nu Li Hsi. Varthlokkur wyszedł z cienia jako człowiek zemsty i obrócił stare imperium w perzynę. A gdy skończył, odkrył, że nie ma już żadnego celu w życiu. Nic poza przeczuciem, że pewnego dnia urodzi się kobieta, którą pokocha. Jeśli poczeka.

To czekanie bardziej wiązało się z udręką niż z radością, ponieważ ta kobieta, gdy przyszedł odpowiedni czas, zakochała się w innym mężczyźnie. Mężczyźnie, który – o ironio losu – był synem Varthlokkura z jego wcześniejszego, krótkiego i pozbawionego miłości, małżeństwa.

Tą kobietą była Nepanthe, a tym mężczyzną – Szyderca, i to oni, przed śmiercią Szydercy z ręki Ragnarsona, dali życie swemu jedynemu synowi, Ethrianowi, który wpadł w ręce wroga w czasie Wielkich Wojen Wschodnich i o którym od tamtej pory słuch zaginął; poza tym, że stanowił kartę przetargową, dzięki której Pracchia zmusiła Szydercę do próby zabójstwa Ragnarsona.

Ethrian. To było imię przeklęte.

Mężczyzna, który spłodził czarodzieja, nosił imię Ethrian i był ostatnim cesarzem Ilkazaru. Kobieta dała imię swojemu dziecku po ojcu, chociaż ono porzuciło je, wkraczając do Imperium Grozy. Czarodziej z kolei nazwał swojego syna Ethrianem, chociaż dziecko było zaledwie niemowlęciem, gdy rozdzielono je z rodzicami, i dopiero w późniejszych latach dowiedział się, że nosi to imię, gdyż przydomek Szyderca zbyt do niego przylgnął, by to zmieniać...

Varthlokkur spełnił w końcu, po śmierci Szydercy i zniknięciu czwartego Ethriana, swoje marzenie – cztery stulecia cierpliwości zostały nagrodzone. Miał obsesję na punkcie tej kobiety i strasznie bał się utracić to, co z takim trudem udało mu się zdobyć. A ona? Być może go

kochała. Ale była osobą dziwną, zamkniętą w sobie i samotną, nawet wśród wiernych przyjaciół, fale zagłady zalewające świat ukradły jej wszystko, co kochała. Ostatni z wielu braci, Valther, mąż Mgły, padł pod Palmisano. A wojna upomniała się o jej jedynego syna. Teraz zaś była w ciąży z drugim dzieckiem i jej serce przepelniał zatruwający życie strach o to, jakiej ceny zażąda los...

Bardzo cicho Trebilcock powiedział:

–Są jedynie jakieś pogłoski. Moje źródło w Throyes mówi tylko o sprawach związanych z jego własnymi celami, nie o większych zgryzotach Shinsanu. Ale coś się dzieje daleko na wschodzie. Coś, co wszystkich tervola już przepelniło grozą, o której nie rozmawiają nawet między sobą. Wydaje się, że jest to coś, czego boją się tak bardzo – albo bardziej – jak wojny z Matayangą. Jednak jedyne, do czego udało mi się dotrzeć, to imię lub tytuł: Wybawiciel. Nie pytaj! Nie wiem.

–Ale to właśnie wyniuchał czarodziej?

–Tego nie wiem. Podejrzewam jednak, że tak.

–A on i Mgła wiedzą więcej, niż są skłonni powiedzieć. Trebilcock pozwolił sobie na jeden ze swoich rzadkich wybuchów śmiechu.

–Wszyscy wiemy więcej, niż jesteśmy skłonni powiedzieć. Na jakikolwiek temat. Nawet ty.

Bragi zastanawiał się nad sposobami zgłębienia tej sprawy, być może uda się dokopać do czegoś, o czym Michael nie wiedział, ale w odległości ćwierć mili rozległy się głośnie wrzaski i wycie dobiegające od strony zamku Strażników.

–Psiakrew! – zaklął Bragi. – Wiesz, co zrobili? Postanowili trzymać się swojego planu. Chodź. – Ruszył w las. Michael sprężystym krokiem udał się jego śladem. Po kilku minutach Ragnarson dyszał jak stary osioł.

Dołączyli do kilku kolegów z drużyny na szczycie trawiastego zbocza, z którego widać było ogólną bijatykę. Dwadzieścia pięć Panter otoczyło piłki Strażników. Dwunastu Strażników usiłowało przebić się przez ich linie.

–Wszyscy na ziemię – powiedział Bragi do stojących w pobliżu mężczyzn. – Zejdźcie im z oczu. – Słyszał, jak jego koledzy z drużyny przedzierali się przez zarośla. Ci idioci z dalszej linii opuścili swoje pozycje. – Uderzymy na nich, gdy wejdą tu na górę. – I sam rzucił się w trawę.

Przed oczami latały mu czarne plamy. Nie mógł oddychać głęboko albo dostatecznie szybko.

Odgłosy szamotaniny przybliżyły się. Bragi wychylił się z trawy. Już niedługo. Dołączyło do niego jeszcze paru ludzi.

–Czekajcie, pójdę sam – powiedział im. – Poczekajcie, aż przejdę kilka kroków, a potem ruszcie za mną.

Pantery sformowały klin. Strażnicy szaleli wokół nich jak szczenięta obszczekujące stado krów.

Jeszcze kilka stóp. Teraz! Bragi rzucił się naprzód, kopiąc w piszczele zawodników będących na czele Panter. Powalił ich z pół tuzina.

Usłyszał ryk Michaela. Przyglądał się, jak ten chudy, blady mężczyzna gwałtownie atakuje grupę. Pantery zaczęły uciekać z tego całego kotła.

Bragi skręcał się i klął. Ktoś wykręcał mu rękę. Pod brodą miał czyjś but. Sznur tłukących go kończyn stawał się coraz dłuższy.

Usłyszał ekstatyczne „hura” Slugbaita.

–Mam jedną! – Część walczących przeniosła się błyskawicznie w dół zbocza i w las; Pantery goniły jak posokowce.

Dwaj niosący piłki zawodnicy Panter wyrwali się i popędzili do swojego zamku. Najgłośniejsze okrzyki i wrzaski przesunęły się w tamtą stronę.

Ragnarson wypełził spod stosu powalonych uczestników bójki i wziął się za bary z następnym zawodnikiem niosącym piłkę. Michael chwycił jego zdobycz i cicho zniknął w lesie. Bragi wrzeszczał i gromił kolegów z drużyny, starających się usunąć z boiska jeszcze kilka Panter.

Zgiełk ucichł. Obydwa zespoły zniknęły w lesie. Zwycięskie rogi Panter zabrzmiały dwukrotnie, mimo że stracili tylu graczy. Z zamku Strażników dobiegało jedynie przeraźliwe wycie, co wskazywało, że jedna ich piłka trafiła do celu.

Od strony Panter, stamtąd, gdzie czekali pod czujnym okiem sędziego ich zdjęci z boiska gracze, niósł się drwiący śmiech.

Ragnarson i Trebilcock wrócili na swoje pozycje.

–Może twoja strategia byłaby lepsza na captures w wersji długiej – stwierdził Michael.

–Myślę, że masz rację. Credence Abaca opowiedział mi o niej kiedyś. Mówił, że gdy grają Marena Dimura, wiążą i kneblują ludzi, po czym wieszają ich wysoko na drzewach, żeby nikt nie mógł ich znaleźć. Czasami obydwie strony są tak tym zajęte, że zapominają o piłkach i nagle zaczyna brakować zawodników do ich przenoszenia.

–Nie sądzisz, że przesadzał? Gdyby rzeczywiście tak było, ludzie wisieliby na drzewach tak długo, aż poumieraliby z głodu.

–Jaki wynik?

–Dwa do kółka. Dla Panter. A ja postawiłem dwieście nobli na zwycięstwo Strażników.

–Dwieście? Bogowie! – Ragnarson zapomniał o pytaniach, które chciał zadać. – Coś ty? Zglupiałeś?

–Myślałem, że wyskoczysz z jakąś niespodzianką.

–Wyskoczę, ale może być już za późno. Kontynuuj to, co mi opowiadałeś. Wiesz coś jeszcze o wschodzie?

–Throyeńskie marionetki Hsunga mogą okupować wybrzeże Kotsum Hammad al Nakiru. To ukartowane, żeby Hsung mógł zagrozić z morza flance Matayangi.

Ragnarson uśmiechnął się lekko.

–Co teraz się dzieje w Hammad al Nakirze? Przecież nie będą spokojnie na to czekać, prawda?

–Nie wiem, jak można byłoby temu zaradzić. El Murid ukrywa się w Sebil el Selib. Obecnie nie ma prawie żadnych zwolenników. Wydaje się, że nie interesuje się niczym poza opium. Megelin jest tak nieudolnym królem, że ludzie po prostu go ignorują, mając nadzieję, że odejdzie.

–To smutne. Naprawdę smutne. Syn Harouna. Jak może nie być dobry? Jest synem swego ojca.

–Twój przyjaciel nie nauczył go wiele poza tym, jak walczyć. Powiada się, że w czasie wojny to diabeł, nie człowiek, ale gdyby nie El Senoussi i Beloul, jego rząd by się rozpadł. Doszły mnie słuchy, że jego urzędnicy są bardziej skorumpowani niż kiedyś urzędnicy El Murida.

–Prawdopodobnie to ci sami ludzie. Bez ograniczeń, które narzucała religia.

–Mniejsza z tym. Zachód może uznać, że zagrożenie ze strony Hammad al Nakiru przestało istnieć. Śpiący olbrzym przestał chrapać. Leży do góry brzuchem, a robactwo już go niemal zżarło.

–To niedobrze. Jeśli Itaskiańczycy przestaną się obawiać Hsunga i El Murida, zostaniemy pozbawieni ważnej pomocy wojskowej. Masz kogoś w Al Rhemish?

–Dwóch solidnych ludzi.

–A w Sebil el Selib?

–Jednego z moich najlepszych.

–Poślij tam kogoś innego. Kogoś niezależnego. Sprawdzanie krzyżowe. Nie wierzę w ani jedno słowo, które mi powiedziałaś. Może ktoś cię okłamuje.

–Panie!

–Opanuj się, Michael. Ufam ci, gdy robisz coś osobiście.

Chociaż charakter masz pokrętny. Może zbyt pokrętny dla twego własnego dobra. Myślę, że ludzie cię oszukują, a ty im wierzysz, ponieważ zmusiłeś ich, żeby w twoim imieniu oszukiwali kogoś innego. Psiakrew! Coś mi uciekło. Sam siebie nie rozumiem. O co mi teraz chodziło?

–Wydaje mi się, że się domyślam. I może masz rację. Zbyttno się angażuję w samą grę, a za mało zajmuję ludźmi. To prawda. To, że ich werbuję, nie oznacza, że będą moimi wiernymi oczami i uszami. Przychodzą mi na myśl nazwiska trzech czy czterech, którzy prawdopodobnie sami nie wiedzą, po której są stronie.

–A reszta świata?

–Aral może ci powiedzieć więcej niż ja. Wykorzystuję jego przyjaciół kupców na zachodzie. Odnoszę wrażenie, że cenzuruje wszystko, zanim dotrze to do mnie.

Ragnarson wpatrywał się w nadgniłe poszycie leśne. Ostatnie słowa Michaela stanowiły, w najlepszym razie, unik. A może zwyczajne kłamstwo. Michael miał dziesiątki zagranicznych kontaktów. Kontrahenci jego rodziny. Dawni znajomi ze szkoły. Ludzie, których poznał w czasie wojny. –Wszyscy chętni baczyć dla niego na to czy na tamto. Niektóre wiadomości, którymi łaskawie zechciał się podzielić, nie mogły pochodzić z żadnego innego źródła.

Bragi pominął to milczeniem.

–A jak wygląda sytuacja tutaj, w Kavelinie?

–Twoi wrogowie ciągle pozostają przyczajeni. I tak będzie, dopóki Varthlokkur i jego Niezrodzony od czasu do czasu pojawiają się tutaj. Uważają, że jedyne, co mogą zrobić, to czekać, aż umrzesz.

–Nikt nie planuje przyspieszyć mojego spotkania z Mroczną Panią?

–Nic o tym nie słyszałem. Dalsza obserwacja to strata czasu.

Ragnarson wstał.

–Kilka Panter próbuje przemknąć obok nas tym żlebem w dole – powiedział. – Mają jedną z naszych piłek. Zachowuj się naturalnie.

Trebilcock rzucił okiem. Niczego nie zauważył. Nic nie usłyszał. Uważał, że ma lepszy wzrok i słuch niż król.

–Jesteś pewny? Skąd wiesz?

–Gdy będziesz uczestniczył w tych grach tak długo jak ja, Michaelu, będziesz wyczuwał sztuczki, zanim one nastąpią. Pomyśl o tym, że kiedy dożyjesz mojego wieku, też siądziesz gdzieś na jakimś gładzie z kimś młodym.

Trebilcock przedstawiał śmieszny widok. Ragnarson wiedział, że zastanawiał się nad tym, co mu przed chwilą powiedział.

–Może mimo wszystko dobrze obstawiłeś. Dzisiaj rano. Doświadczenie liczy się w takim samym stopniu jak energia i zapal. Tutaj to ty masz energię, więc ześlizgnij się za nimi i pogoń ich w moim kierunku. Ja się na nich zasadzę.

Michael skinął głową i zniknął w lesie. Jego twarz była bardziej blada niż zwykle.

Bragi przyglądał się, jak odchodzi. Czy jego przesłanie było dla Trebilcocka czytelne? Przyjaciel Michael kroczył po linii. Mogła mu się owinąć wokół szyi.

Michael nie wyglądał na szczęściarza, który dokona czegoś wielkiego. Wyglądał

jak człowiek z odcisniętą na czole pieczęcią zagłady.

Ragnarson nie chciał, żeby coś się przydarzyło Michaelowi. Lubił go.

–Niech cię diabli porwą, Kavelinie – mruknął, zajmując swoją pozycję. I dodał: – Michael, na miłość boską, zrozum, co chciałem ci przekazać. Jest już niemal za późno.

Siedząc w kucki i czekając, przypomniał sobie Andvbura Kimberlina z Karazji, młodego rycerza, którego poznał w czasie wojny domowej w Kavelinie. Kolejny człowiek, którego lubił. Andvbur stałby się jednym z najwybitniejszych ludzi Kavelinu, gdyby nie grzeszył zbytym idealizmem i niecierpliwością. Zamiast miękko wylądować, leżał w grobie ze skręconym karkiem.

–Tylko nie myśl, że znasz jedyne rozwiązanie, Michaelu. Wszystko jest w porządku, póki możemy rozmawiać.

Kilka stóp dalej trzasnęła gałązka. Bragi przygotował się do ataku.

Rok 1016 OUI Życie rodzinne To był dziwny zachód słońca. W chmurach rozproszonych nad zachodnim horyzontem pobłyskiwały pastelowe zielenie. Zielen to rzadkość podczas zachodów. Ragnarson zastanawiał się dlaczego.

Starzec musiał dwa razy krzyknąć, żeby zwrócić jego uwagę.

–Przepraszam. Co mówiłeś?

–Byłeś dzisiaj na captures? Ragnarson roześmiał się.

–Czy byłem? Jak zawsze. – Bolały go wszystkie mięśnie. Będą musieli użyć dźwigu, żeby ściągnąć go z konia.

–Jaki był wynik? Znajomek powiedział mi, że Strażnicy wygrali. Dlaczego gość miałby tak kłamać? Chcę wiedzieć, bo może uciszę plotki.

–Na kogo stawiałeś?

–Na Pantery, trzema punktami. To było najlepsze, co mogłem dostać.

–Mam nadzieję, że nie postawiłeś posagu córki, tatuśku. Dostałeś w kość.

Zdumienie, ba, nawet rozpacz, odmalowała się na obliczu starca. Ragnarson nie zdołał opanować wybuchu śmiechu.

Czuł się dobrze, gdy go nie rozpoznawano. Przez kilka minut mógł być innym człowiekiem. Ten staruszek niczego od niego nie oczekiwał.

–Nie kłamałbyś tylko po to, żeby zobaczyć, jak stary człowiek cierpi, co?

–Nie chcę zepsuć ci wieczoru. Ale sam zapytałeś. Było pięć do trzech. Dla Strażników.

–To niemożliwe.

–Wiesz, jak to jest. Pantery były zbyt pewne siebie.

–Król grał, prawda? Powinienem był to przewidzieć. Szczęście króla. Nawet gdyby wpadł do szamba, to wyszedłby obwieszony złotymi łańcuchami.

Ragnarson udał atak kaszlu, żeby nie zapaść z zachwytu. On? Szczęściarz? Z tym wszystkim, co mu się przydarzyło?

Pojechał w kierunku swojego domu w alejach Lieneke, myśląc, że powinien był przywieźć jakieś prezenty. Jakieś drobiazgi, aby zagłuszyć poczucie winy wobec swoich dzieci.

Przejeżdżał przez park, gdy ubrany na biało człowiek zastąpił mu drogę. Bragi wyciągnął miecz z pochwy, rozejrzał się w poszukiwaniu pozostałych dwóch. Harishe zawsze pracowali trójkami.

Mężczyzna uniósł latarnię, oświetlając swoją twarz.

–Spokojnie, panie. – Miał łagodny głos, który przypominał głos kapłana. – Żaden sztylet

z twoim imieniem nie został poświęcony. – Harishe byli zabójcami – fanatycznymi wyznawcami religii, którą El Murid sprowadził z jałowego łona pustyń Hammad al Nakiru. Za jego młodości sekta rozszerzała swe wpływy na wschód i zachód z szaloną gwałtownością letniej burzy. Podupadała, w miarę jak charyzma jej Ucznia blakła. Dzisiaj miała niewielu wyznawców poza Hammad al Nakirem, a nawet tam liczba jej zwolenników się zmniejszała.

–Habibullah? To ty?

–To ja, panie. Przysłała mnie lady Yasmid.

Ragnarson nie widział go od czasów przedwojennych. Za panowania Fiany był ambasadorem Hammad al Nakiru w Kavelinie. W tamtym okresie tym pustynnym królestwem władał El Murid. Haroun żył. Jego syn Megelin nie nałożył jeszcze korony i prowadził zwycięskie armie rojalistów do Al Rhemish. Żona Harouna, córka El Murida, Yasmid, prześliznęła się do Vorgrebergu w nadziei, że Bragi pomoże jej zakończyć gorzką walkę między mężczyznami z jej rodziny. Wysłał ją do jej ojca właśnie z Habibullahem i od tamtej pory nie miał żadnych wieści.

Ragnarson przeszywał wzrokiem zapadające ciemności. Fanatycy El Murida już wcześniej próbowali go zabić. Teraz nie zauważył jednak żadnych oznak zdrady. Zsunął się z konia. Wyglądało na to, że bóle przeszły.

–W takim razie chodźmy do parku. – Nie schował miecza do pochwy.

Habibullah usiadł po turecku w cieniu krzewu, opierając na kolanach ręce zwrócone wewnętrzną stroną ku górze. Czekał cierpliwie, gdy Bragi buszował z mieczem po krzakach. Wydawało się, że uważa to zachowanie za absolutnie racjonalne.

Upewniwszy się o swoim bezpieczeństwie, Bragi usiadł naprzeciwko mężczyzny w bieli.

–Być może będziesz musiał pomóc mi wstać, jeśli zeszywnięję.

Habibullah uśmiechnął się.

–To była ostra gra?

–Łagodnie rzecz ujmując. Co cię sprowadza? – Wiedział, że Habibullahowi nie przeszkadza to, że od razu przechodzi do rzeczy. Zbyt wielu tych przeklętych ambasadatorów owijało sprawy w bawełnę i używało eufemizmów. Nie można było mieć pewności, czego, do jasnej cholery, chcą. Habibullah był bardziej bezpośredni.

Bragi uznał, że może on mieć do powiedzenia coś godnego uwagi. Nikt nie przekradałby się przez tak duży obszar wrogiego terytorium i nie nawiązywałby kontaktu w sposób tak starannie zaplanowany tylko w celach towarzyskich.

–Lady Yasmid przesyła pozdrowienia.

Bragi skinął głową. Znał córkę El Murida, chociaż niezbyt dobrze, od dzieciństwa.

–Poleciła mi wyjaśnić obecną sytuację w Hammad al Nakirze. Pragnie, aby zrozumiał pan, jak i dlaczego sprawy się zmieniły od czasu zwycięstwa Megelina. – Habibullah cofnął się daleko w przeszłość: do dnia, w którym Yasmid przyszła do Bragiego błagać o pomoc. W tym miejscu

podjął opowieść. Była ona długa. Rozwodził się nad faktem, że pokonani zwolennicy Ucznia trzymają się obecnie tylko w świętych miejscach Sebil el Selibu i wzdłuż bogatego wschodniego wybrzeża morskiego Hammad al Nakiru i zaczęli popadać w rozpacz. Powiedział: – Sam Uczeń zrezygnował. Tylko siedzi i śni opiumowe sny o minionych czasach. Nie zdaje już sobie sprawy z miejsca i czasu, w którym żyje. Rozmawia z ludźmi nieżyjącymi od dwudziestu lat. Zwłaszcza z Biczem Bożym.

–Co prowadzi nas do...

–Do oczywistego wniosku. Ruch nie jest już zagrożeniem dla Kavelinu ani dla

żadnego innego zachodniego królestwa. – Konfidencjonalnym tonem Habibullah dodał: – Z trudem tylko można uznać go za zagrożenie dla heretyka na Pawim Tronie, a i to tylko dlatego że Harishe nadal uważają go za swój główny cel.

–Być może. Nie sądzę jednak, żeby Uczeń zmienił poglądy. Stanowiłby zagrożenie, gdyby mógł.

–Rzecz w tym, że nie może. Nie będzie w stanie, już nigdy. Z drugiej strony, może nim być heretyk.

Bragiemu wydawało się, że wie – polegając na raporcie Michaela – do czego zmierza ten człowiek. Intuicja podpowiadała mu, że najlepiej będzie wysłuchać Habibullaha do końca.

–Mów dalej. To ciekawe.

–Dzisiaj zagrożenie dla świata – twojego i mojego – znajduje się na wschodzie. Ściśle mówiąc: w Throyes. Nazywa się ono lord Hsung. Jest on człowiekiem zdeterminowanym i podstępny. Wysłał ambasadorów do Sebil el Selib. Zaproponowali nam pomoc w odbiciu Al Rhemish. Lady Yasmid użyła swoich wpływów i kazała ich przegonić. Byli tacy, którzy się z nią nie zgadzali, ale jej argumenty były nie do zbiccia. Owca nie oszukuje lwa. Wybrany nie może iść ręką w rękę ze sługusami Złego.

–Tak. Nie wiedziałem, że Yasmid ma takie wpływy.

–Ma dużo większe... O ile będzie chciała je wykorzystać. Ona nadal jest naznaczoną spadkobierczynią Wybranego.

–Miałem na myśli wolę. Energię. Działanie.

–Rozumiem. Tak, brakowało jej inicjatywy. Ragnarson nadstawił ucha. Coś w głosie Habibullaha sugerowało, że czasy się zmieniły.

Habibullah znowu mówił konfidencjonalnym tonem.

–Nasi agenci w Al Rhemish mówią, że Hsung wysłał ambasadorów do Megelina w tym samym czasie co do nas. Tervola mają w nosie, kogo oni skaptują. A istnieją dowody, że spotkali się tam z bardziej życzliwym przyjęciem. Megelin ma teraz czarodzieja, który skrył się w Najświętszych Świątyniach Mrazkin. Mistrza Mocy, nie jakiegoś nieudolnego, miejscowego shaguna.

–Hm... – Bragi zrozumiał jeden z nie wypowiedzianych argumentów Habibullaha. Gdyby Shinsan miał ludzi na dworze Megelina, to Kavelin i El Murid mieliby nagle zbieżne interesy. No proszę. Po tylu latach wrogości. – Sugerujesz, że powinniśmy połączyć siły w jakiejś sprawie?

–Właśnie. Jeżeli Megelin ma układ z Hsungiem, to oczywiście nie jest już twoim przyjacielem. Sprzedał cię Imperium Grozy.

–Jak mam ubić interes ze starym wrogiem? Wyobrażasz sobie, jak próbuję nakłonić do tego moich ludzi? Na podstawie istniejących dowodów? Starsi nadal są równie przerażeni El Muridem co Shinsanem.

–Jak już powiedziałem, Uczeń nie jest ostatnio bardzo zainteresowany sprawami tego świata. Nie jest, używając terminologii matematycznej, składową równania.

–To znaczy? – Ragnarson miał wrażenie, że docierają do sedna sprawy.

–Lady Yasmid... Powiedzmy, że rozważa możliwość wykazania odrobiny

inicjatywy.

Śmiech Ragnarsona zabrzmiał ostro, szcześliwie i gorzko.

–Zamierza go obalić?

–Nie obalić. Niecałkiem. Raczej rządzić w jego imieniu. O ile będzie to miało jakiś sens.

–Jakiś sens?

–Jaki sens ma podejmowanie takiej próby, jeśli znajduje się między rojalistami a Shinsanem i nie ma się przyjaciela, który przyjdzie z pomocą? Ziarno pszenicy między kamieniami młyńskimi miałyby większe szanse. Na dłuższą metę byłoby lepiej dla Wiernych, gdyby nie prowadzono ich ku pewnej zgubie.

Bardzo powściągliwy apel, pomyślał Bragi. Yasmid pozwoli, by upadek się pogłębiał, chyba że ktoś da jej trochę nadziei. A jeśli do upadku dojdzie, Hsung i jego Armia Zachodnia będą mieli dostęp do południowych przełęczy górskich. Hsung mógłby pomaszerować na zachód przez pustynię i uderzyć na królestwa zachodnie od południa zamiast od wschodu. Raz jeszcze posłuchał intuicji.

–Powiedz jej, żeby ruszała. Nie mogę obiecać oficjalnego sojuszu. Zrozum.

–Rozumiem. Żadnych trwałych zobowiązań. Tylko nadzieja. I proszę, żeby tylko nasza trójka wiedziała o tym, że pozostajemy w kontakcie. Poinformuję panią i wrócę najszybciej jak to możliwe.

Ragnarson skinął głową.

–Habibullahu, jesteś lepszy, niż gdy byłeś ambasadorem. Dużo bardziej skuteczny. – Wiele tu powiedziano, a mnóstwo w słowach, które nie padły.

–Lady Yasmid skierowała mnie na drogę większej dojrzałości.

–Tym lepiej dla niej. – Bragi jęknął, gdy z wysiłkiem podnosił się na nogi. Mięśnie miał zastępe jak beton. – Jutro nie będę mógł się ruszyć. – Odchodził, nie odwracając się, dopóki nie wyszedł z zasięgu rzutu nożem. Rozumny człowiek nie ryzykuje niepotrzebnie. Harishe byli mistrzami w tej sztuce.

Kontynuował jazdę do domu, łamiąc sobie głowę nad zmiennymi kolejami losu. Tak wiele spraw przyjmowało zupełnie inny obrót.

Ta umowa z Yasmid... Coś mu mówiło, że ma rację. Miał przeczucie, że przyjdzie dzień, gdy będzie potrzebował przyjaciół równie rozpaczliwie jak ona teraz. A ludzie Hammad al Nakiru, niezależnie od przekonań religijnych i poglądów politycznych, mogą okazać się równie niezawodnymi przyjaciółmi, jak nieugiętymi byli wrogami. Czyż ojciec Megelina, Haroun, dwukrotnie nie zrezygnował z szansy zdobycia Pawiego Tronu, by pomóc przyjaciołom? Czy to nie przyjaźń właśnie była powodem tego, że chłopiec siedział teraz na Pawim Tronie, obierając własną, dziwną drogę?

A co z Michaelem? Jego relacja potwierdzała słowa Habibullaha, i na odwrót. Więc jeśli nie było spisku... – Psiakrew! – Paranoja przybierała zbyt wielkie rozmiary.

Powinien doprowadzić do ich spotkania. Ale Habibullah chciał, żeby rzecz pozostała na razie w tajemnicy. Prawdopodobnie bardziej z korzyścią dla Hsunga niż kogokolwiek innego. Nie mogę działać przeciwko synowi Harouna, no nie? Ale jeśli tego nie zrobię, opuszczę w potrzebie jego żonę, a jest mi ona droższa niż ten

chłopiec...

–Toć to zagwozodka, jak mawiał Szyderca – mruknął. Matka i syn na stopie wojennej, a on miał zobowiązania wynikające z przyjaźni i wobec niej, i wobec niego. – Myślę, że gdy trzeba dokonać takiego wyboru, muszę kierować się własną korzyścią. – Co oznaczało, że jego intuicja miała całkowitą rację. Będzie musiał trzymać z Yasmid.

Bragi pociągnął za sznur dzwonka. Za drzwiami ktoś wyrzekął na późną porę odwiedzin. Otworzył je jakiś starszy człowiek ze sztyletem w ręku. Nikt nie ufał nocnym gościom.

–Witaj, Will.

–Panie! Nie spodziewaliśmy się ciebie.

–To prawda. Przez połowę czasu sam nie wiem, co robię.

–O jejkule! – Dziewczęcy głos dobiegł z głębi domu. – Tatuś przyszedł! Słyszę tatusia!

Zdołał zrobić trzy kroki, zanim uderzył w niego huragan końskich ogonów i machających rąk. Jego syn Gundar także biegł, ale w chwili, gdy znalazł się w polu widzenia Bragiego, stał się statecznym, dwunastoletnim mężczyzną.

–Witaj, ojczu.

–Witaj, Gundarze. – Weszła jego synowa. – Cześć, Kristen. Wchodzą ci na głowę? – Czy to możliwe, że miała dopiero dziewiętnaście lat? Wyglądała na cholernie starą i mądrą.

–Ojczu. – Uśmiech pojawił się na jej zaciśniętych ustach. Teraz wyglądała na swoje lata. – Nie sprawiają żadnych kłopotów.

–Gdzie mój chłopak? Gdzie Bragi?

–Pewnie psoci. Proszę, wejdz. Rozgość się. Znajdzie się coś do jedzenia. Co porabiałeś? Nurzałeś się ze świniami w bajorze? Ależ jesteś brudny!

–Grałeś w captures, co tatusiu? – zapytał Gundar.

–Grałem. I przetrzepaliśmy skórę Panterom, pięć do trzech. – Zwycięstwo coraz bardziej go ekscytowało. Może jeszcze nie tak całkiem nadawał się na kupę gnoju.

–Pantery? Tatusiu! – Głos chłopca przeszedł w pisk.

–Coś nie tak?

–Miałeś przegrać – powiedziała Kristen. – Postawił przeciwko tobie.

–A gdzie solidarność rodziny?

–Ale tatusiu...

–Nie przejmuj się. Wysłuchuję tego przez cały dzień. – Pół żartem, pół serio dodał: – Mam nadzieję, że przyjaciele Kavelinu nie zaczną myśleć w ten sposób. Mielibyśmy wielkie kłopoty.

–Jak się ma dziecko? – zapytała Kristen. Jej głos drżał. Bragi potarł czoło, starając się ukryć zmarszczone brwi. Szybko do tego przeszła, pomyślał.

–Zdrowe jak ryba. Mnóstwo je i tyleż wrzeszczy.

–To dobrze. Czasami, gdy poród jest ciężki...

Kusiło go, by zabrać Inger, Kristen, ich bachory i Gundara, wytrząść je w jakimś worku, po czym ustawić w rzędzie i wyjaśnić, że tylko jego uczyniono królem. W

umowie nie było nic o potomkach. A gdyby miał możliwość wskazania swojego następcy, prawdopodobnie nie wybrałby nikogo z rodziny. Wybrałby kogoś, czyje umiejętności i osąd widział poprzez jego działanie, kogoś o takich cechach, które byłyby odpowiedzią na potrzeby Kavelinu.

Sukcesja zdecydowanie mogła kiedyś przysporzyć kłopotów i pewnego dnia będzie musiał ruszyć tyłek i to wszystko uporządkować.

Ale miał czas. Mnóstwo czasu. Zostało mu jeszcze wiele lat, prawda?

Uświadomił sobie, że coraz częściej się waha, pozostawia sprawy, aby same się rozwiązywały. Czy była to kolejna oznaka starzenia się? To stawanie się człowiekiem bardziej biernym, bardziej pogodzonym z losem? O większych zasobach cierpliwości?

Piętnaście lat temu nie czekałby, żeby zobaczyć, co się kroi.

Wskoczyłby, zakręcił młynka i sprawiłby, że coś się stanie. A rezultaty mogłyby nawet nie być pozytywne.

Mogło też chodzić o „szczęście”, o którym wspomniał tamten starzec. Dar intuicyjnego wyczuwania właściwego kursu. Tym razem intuicja mogła mu mówić, żeby leżał sobie w chwastach i czekał. Było zbyt wiele możliwych niespodzianek w najwyraźniej nie powiązanych elementach, które do tej pory ustalił.

Muszę być cierpliwy, pomyślał. Muszę pozwolić, by to się wykryło. Wszystko to, co wydaje mi się, że widzę, może być fałszywymi wskazówkami. Na flankach może czekać

więcej takich Habibullahów.

–Jesteś dzisiaj bardzo posępny – powiedziała Kristen.

–Co? Och, to był ciężki mecz. Naganiałem się za dwóch piętnastolatków.

–Jeśli jesteś taki zmęczony, może byłoby lepiej, gdybyś został tutaj dzisiaj na noc.

Przyjrzał się dokładnie temu domowi. Kristen sprawiła, że był jasny i pogodny. Miała bardzo dobry gust jak na córkę wessońskiego żołnierza, pomyślał. Prosto i elegancko.

–Nie mogę. Dla mnie nadal jest tu za wiele duchów.

Kristen skinęła głową. Tutaj zamordowano jego pierwszą żonę i kilkoro dzieci. Nie potrafił pogodzić się z tym domem. Od tamtej pory spał tutaj tylko kilka razy.

–Nie – powtórzył. – I tak muszę odwiedzić dziś wieczorem Mglę. Może tam się zatrzymam. I co ma znaczyć ten uśmiech, młoda damo. Nic mnie z nią nie łączy i nigdy nie będzie łączyć. Jest dla mnie stanowczo zbyt przerażająca.

–Wcale tak nie myślałam. Jeżeli ma jakiś romans, to z Aralem Dantice'em.

–Z Aralem?

–No pewnie. Pojawia się tutaj, ilekroć ona przebywa w mieście. Widziałam go dziś rano.

Bragi zmarszczył brwi i zamyślił się.

–Na miłość boską, usiądź – powiedziała Kristen. – Każę przygotować coś do jedzenia. Dzieci, lepiej idźcie do łóżek. Czas na was. Powiedzcie Bragiemu, żeby przyszedł przywitać się z dziadkiem.

Rozległy się krzyki protestu. Ragnarson też chciał, żeby z nim zostały, ale siedział cicho. Przekazał swoje obowiązki wychowywania dzieci Kristen. Nie zamierzał ingerować w zaprowadzone przez nią zwyczaje czy dyscyplinę.

Popelniał ten błąd tylko raz. Powiedziała mu wtedy, co myśli. Gdy ma rację, jej język staje się ostry jak brzytwa.

I najwyraźniej chciała porozmawiać bez chwytających każde słowo małych uszu. Dziwne, zadumał się. Właściwie już prawie z nikim nie rozmawiam. Wszyscy moi prawdziwi przyjaciele nie żyją. Albo się oddalili, jak Michael, tak że powstała między nami przepaść. To nie tylko przed Inger nie potrafię się otworzyć. Przed wszystkimi.

Nie tak dawno temu, idąc alejami Lieneke, zastanawiał się, czy tym, czego potrzebuje, jest kochanka. Nie jakaś tam kobieta do figli. Taka, w której zakochałby się bez pamięci, jak w Fianie. Teraz zdał sobie sprawę, że doskwiera mu nie tylko brak kochanki. Brakowało mu także przyjaciół. Przyjaciół do grobowej deski, którym można wszystko powiedzieć, takich jak ci, których sprowadził do Kavelinu na wojnę domową. Krąg jego znajomych składał się teraz z ludzi związanych wspólnym interesem. Jednak te wspólne interesy stawały się coraz bardziej rozbieżne wraz ze zmniejszaniem się fizycznego zagrożenia. Jutrzejsza porażka może skrywać się za wczorajszym zwycięstwem.

W tym czasie jego najbliższym przyjacielem był Derel Prataxis. Ale mogło tak być dlatego, że on stanowił trwały interes Derela. Ten daimielliański uczony spisywał końcówkę współczesnej historii Kavelinu, od wewnątrz.

Bragi zastanawiał się, czy mógłby spowodować jakiś kryzys, żeby wymusić zwarcie szeregów...

Michael? Jaki był jego punkt widzenia? Czy dostrzegał konsekwencje zbyt bezpiecznego pokoju? Czy w tej sytuacji mącił? Co on powiedział o powstającym problemie?

Brzmiało to, jakby mówił o dobrej okazji. Odzwierciedlało to sposób myślenia Michaela.

–Stało się coś? – zapytała Kristen.

–Nic, co potrafiłbym nazwać. Tylko poczucie, że coś nie jest w porządku. Coś wisi w powietrzu. Ludzie, z którymi rozmawiałem, też to czują. To się samo podsycy. – Rozejrzał się wokół siebie. Dzieci poszły do łóżek. Mały Bragi dziś wieczór najwyraźniej nie był zainteresowany swoim dziadkiem. Podobnie najmłodszy syn Ragnarsona, Ainjar. On także się nie pokazał. – Zapomnijmy o tym. Pomówmy o tym, co trapi ciebie.

Zaskoczyła go. Podczas gdy on zbierał argumenty do sprzeczki o sukcesję, ona powiedziała:

–Nie robię się coraz młodsza. Nie chcę spędzić reszty życia jako wdowa po Ragnarze.

Jego pierwszą reakcją było zdumione „He”. Popatrzył na nią. Mięśnie jej karku były ściągnięte. Napięcie usztywniło jej ciało. Była blada. Pocierała palce lewej ręki palcami prawej.

–Mam dziewiętnaście lat.

–No to masz już z górki.

–Daj spokój. Mówię poważnie.

–Wiem. Przepraszam. Będziesz inaczej patrzyła na te sprawy, gdy będziesz w moim wieku. Mów dalej.

–Mam dziewiętnaście lat. Ragnar odszedł dawno temu. Nie chcę spędzić całego życia jako pomnik na jego cześć.

–Rozumiem. – Był to problem, którego nie przewidział. Różnica pochodzenia, jak sądził. Kavelińczycy mieli zwyczaje, których nigdy nie zrozumie. – Dlaczego mi to mówisz? To twoje życie. Idź naprzód i przeżyj je.

Rozluźniła się trochę.

–Myślałam, że będziesz... Myślałam, że mógłbyś...

–Pojawił się ktoś, kto cię interesuje?

–Nie. To nie to. Tego bym nie zrobiła. Tylko... Czuję się uwięziona. Nie mam nic przeciwko zajmowaniu się domem i opiekowaniu się dziećmi – tak naprawdę to uwielbiam – ale to nie wszystko, co istnieje, prawda? Wszystkie moje przyjaciółki są...

–Powiedziałem już, że to twoje życie. Rób, co chcesz. Jesteś rozsądną dziewczyną. Nie sprawisz sobie ani mnie takich problemów, z którymi nie moglibyśmy sobie poradzić.

Napięcie zupełnie ją opuściło. Wyglądała teraz na osłabioną. Czy jestem aż tak przerażający? – zastanawiał się.

–Tak się bałam, że uznasz mnie za zdrajczynię.

Prychnął.

–Bzdury. Bogowie nie po to stworzyli ładne dziewczyny, żeby się marnowały przy zmarłych mężczyźnach. Gdybym nie był w takim wieku, że mógłbym być twoim ojcem, i gdybyś nie była żoną Ragnara, sam bym się za tobą uganiał. – Urwał. Nie tak powinien był to powiedzieć. Te słowa dają zbyt wiele możliwości błędnych interpretacji.

Znała jego sposób wysławiania się na tyle dobrze, żeby zrozumieć, co chciał jej powiedzieć.

–Dzięki. Miło mi słyszeć, że nie jestem jeszcze starą wiedźmą.

–Zostały ci jeszcze dwa lub trzy lata. A wracając do twoich przyjaciółek, co się stało z tą drobnutką? Sherilee. Jakoś tak...

Kristen uśmiechnęła się zalotnie.

–Zainteresowany?

–Nie. Ja... mhm... nie widuję jej tutaj ostatnio. Pytam z ciekawości.

–Widziałam, jak na nią patrzysz. Tym razem gra, która chodzi ci po głowie, nie ma nic wspólnego z bieganiną po lasach.

Uśmiechnął się słabo, niezdolny do protestu. Kobietę, o której była mowa, widział kilkakrotnie i za każdym razem nie mógł wykrztusić słowa. Nie wiedział dlaczego. To znaczy, rozumiał reakcję swoich gruczołów, ale nie to, dlaczego akurat ta kobieta ją wywołała.

–Niczego nie szukam, Kristen. Po prostu ciekawiło mnie to. W końcu jest w twoim

wieku.

–Za kilka miesięcy skończy dwadzieścia dwa lata. Nie pozwól, by Inger zobaczyła, jak na nią patrzysz. Poderżnęłaby ci gardło. Sherilee stale tu bywa. Widuję ją mniej więcej raz na tydzień. Po prostu ty rzadko tu zaglądasz. Wiesz, ona się ciebie trochę boi. Jesteś taki wyciszony i zamyślony, przez ciebie staje się spięta.

–Jestem taki, ponieważ to ona na mnie tak działa – przyznał. – Powinienem być już wystarczająco stary, żeby kobiety nie wpływały na mnie w taki sposób. Nie powinienem nawet ich dostrzegać, jeśli są takie młode.

–Nic nie powiem. Po prostu jeszcze bardziej się przekonuj.

–A ty się nie wyśmiewaj. Dla mnie to nie jest zabawne. Powiedziałaś, że Aral odwiedza Mglę, gdy ona jest w mieście. Opowiedz mi o tym.

–Zmieniasz temat.

–Zauważyłaś. Jak na kobietę jesteś stanowczo za bystra. Nic ci nie umknie.

–No dobrze. Poddaję się. Wiem tylko tyle, że gdy Mgła przyjeżdża do miasta, on codziennie przychodzi do jej domu. Dzisiaj rano widziałam, jak przechodził. Udawał, że jest bardzo zainteresowany parkiem. Ale i tak go rozpoznałam.

–Nie sprawiał wrażenia, że się przemyka, co?

–Nie wiem.

–Nie jechałby ot, tak sobie, alejami Lieneke, gdyby się skradał, prawda?

–Nie znam go na tyle, żeby to wiedzieć.

Służąca dała znak Kristen, a ta zaprowadziła Bragiego do kuchni, gdzie zjadł z apetytem prawie całego kurczaka.

–Ostatnio jadam tak dużo kurczaków, że w końcu się w jakiegoś zamienię. Wydaje mi się, że koniecznie muszę zobaczyć się z Mglą. Dowiedzieć się, co, do licha, się dzieje. Ale wprawi mnie to w zakłopotanie, jeśli oni bawią się tylko w jakieś tam barabara.

–Ona jest od niego dziesięć razy starsza!

–Nie wygląda na swoje lata. A Aral jest w wieku, w którym większość procesów umysłowych zachodzi poniżej pasa.

Kristen spojrzała na niego figlarnie.

–Czy mężczyźni kiedykolwiek z tego wyrastają?

–Niektórzy. Jednym z nas zajmuje to więcej czasu niż innym. Stary Derel prawdopodobnie wyrósł z tego, gdy miał dwanaście lat. A propos... Powinien wrócić do Dnia Zwycięstwa. Będziemy mieli niezłą fetę z tej okazji. Przyślę po ciebie powóz... Wydaje się prawie niemożliwe, że to było tak dawno temu. Musiałaś być wtedy zasmarkanym dzieciakiem z włosami związanymi w koński ogon.

–Pamiętam. Matka i ja wyszłyśmy was powitać, gdy wracaliście spod Baxendałi. Tak naprawdę chciałyśmy spotkać tatę. Wszyscy byliście tacy brudni, oberwani i... promienni. Pamiętam, że mój ojciec wyłamał się z szeregu, żeby mnie chwycić i uściskać. Myślałam, że połamie mi żebra. Nadal trudno w to uwierzyć. Pobiliśmy najlepszych, jakich mieli.

–Nie bez łutu szczęścia. Mam przysłać po ciebie powóz?

–Jeżeli uda mi się znaleźć coś, co będę mogła na siebie włożyć.

–Dobrze. Lepiej już pójdę, jeśli chcę złapać Mgłę, zanim pójdzie spać.

Ale nim opuścił dom, obszedł wszystkie sypialnie, żeby spojrzeć na śpiące dzieci i wnuka. Wyszedł w vorgrebiańską noc, czując się lepiej w swej roli króla. To dla takich jak one się trudził. Wczorajsze maleństwa dzisiaj były Kristen i Sherilee. Te dzieci także potrzebowały szansy.

Mgła spotkała się z nim w bibliotece, każąc mu czekać dwadzieścia minut. Nie przeprosiła.

–Ciężko pracujesz – powiedziała na powitanie.

Zlustrował ją wzrokiem. Była zimna jak lód. Zastanawiał się, dlaczego jej piękno nie działało na niego tak jak na tylu innych mężczyzn. Zdawał sobie sprawę z jej urody, ale nigdy nie był nią przytłoczony czy onieśmielony.

–Byłem w moim starym domu. Chciałem się z tobą zobaczyć. Pomyślałem, że oszczędzę
sobie ponownej drogi i zrobię to teraz.

–Wyglądasz na wyczerpanego.

–Miałem ciężki dzień. Wybacz moje maniery. Być może nie są takie, jakie powinny być.

–Co cię dręczy?

–Ciekawi mnie, co knujecie z Aralem?

–Co knujemy?

–Widzę, jak pewne elementy się układają. Wolałbym jednak usłyszeć jakieś wyjaśnienie, zanim wyciągnę wnioski.

–A więc?

–Mamy księżniczkę na wygnaniu pozbawioną studzącego jej zapalę męża, który zginął pod Palmisano. Mamy też młodego kupca, zamożnego i wpływowego. A w Armii Zachodniej lorda Hsunga są tervola, którzy pozostają sprzymierzeńcami wygnanej księżniczki. – Obserwował ją uważnie, nie dostrzegł jednak żadnej reakcji.

Mgła nie dawała się łatwo zaskoczyć.

–Zastanawiające jest to, że te elementy układają się właśnie wtedy, gdy – jak się wydaje – może dojść do wojny Shinsanu z Matayangą. – I znowu czekał na jej reakcję. Tym razem Mgła wydawała się trochę podenerwowana.

Odnosiło się wrażenie, że zagłębiła się w siebie. Ragnarson przez kilka chwil usiłował odczytywać tytuły na grzbietach książek zebranych w bibliotece.

W końcu usłyszał:

–Masz rację. Pozostaję w kontakcie z ludźmi w Shinsanie. Konkretnie z przywiązaną do tradycji frakcją, która jest niezadowolona z lorda Kuo. Oni uważają, że jestem w stanie przywrócić stabilność i tradycyjne wartości. To tylko gadanie. Nic z tego nie wyjdzie.

–Dlaczego nie?

–Te ugrupowania nie mają dość władzy ani wpływów. Bragi złożył dłonie pod nosem.

–Jaką rolę odgrywa w tym Aral?

–Klimat dla handlu poprawiłby się, gdyby wschodem rządził przyjaciel. Aral stara

się zorganizować zaplecze finansowe.

Bragi wpatrywał się w książki. Jej słowa brzmiały wiarygodnie. Na razie. Czy ujawniała dwie trzecie prawdy, żeby ukryć resztę?

–Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Na pewno korzystny dla Kavelinu, o ile historyczny bezwład Shinsanu da się przewyciężyć. W przeciwnym razie i tak nie ma znaczenia, kto jest u władzy.

Mgła ponownie kazała mu siedzieć w przedłużającym się milczeniu. Nie pozwolił, by go to rozproszyło.

–I co ty na to? – spytała w końcu.

–Nie sprzeciwiałbym się temu planowi. Ale najpierw chcę zawrzeć układ. Jesteś kasztelanką Maisaku. Nie chcę się martwić o utrzymanie przełęczy Savernake.

–Rozumiem. Chcesz gwarancji. Co masz na myśli? Bragi uśmiechnął się. Jej podejście zdradzało charakterystyczny dla niej sposób myślenia.

–Nie teraz. Nie tutaj. Potrzebujemy czasu, żeby to przemyśleć. I chcę mieć świadków. Varthlokkura i Niezrodzonego.

–Nikommu nie ufasz, co?

–Nie teraz. Już nie. Dlaczego miałbym komuś ufać? Twój plan to tylko jeden z moich kłopotów. Zamierzam stąpać uważnie i ostrożnie, dopóki wszystko nie będzie pod kontrolą.

Roześmiała się. Odpowiedział uśmiechem. Powiedziała:

–Wielka szkoda, że urodziłeś się na zachodzie. Byłbyś wspaniałym tervola.

–Być może. Moja matka była czarodziejką. Wydawała się zaskoczona. Zaczęła coś mówić, ale przeszkodziła jej służąca, która oświadczyła:

–Pani, przyszedł jakiś pan, który szuka Jego Wysokości. Bragi spojrzał na Mgłę i wzruszył ramionami.

–Wpuść go – powiedziała.

Dahl Haas wpadł do pokoju. Mimo późnej pory wyglądał świeżo.

–Panie, wszędzie cię szukam.

–O co chodzi? – Bragi miał złe przeczucie. Haas wyglądał na przybitego.

–Sytuacja nadzwyczajna, panie. Proszę. – Spojrzał wymownie na Mgłę.

Co się stało? – zastanawiał się Bragi.

–Porozmawiamy później – powiedział do Mgły i wyszedł za zdenerwowanym Dahlem. – No dalej, wyrzuć to z siebie, Dahl.

–Chodzi o generała Liakopulosa. Ktoś usiłował go zabić.

–Usiłował? Wszystko z nim w porządku? – Armia Kavelinu stanowiła podstawę władzy Ragnarsona. Liakopulos był jednym z jego najważniejszych oficerów.

–Jest w kiepskim stanie. Zostawiłem z nim doktora Wachlela. Lekarz powiedział, że nie wie, czy przeżyje. To było trzy godziny temu.

–Jedźmy więc. Kto to zrobił? Jakaś awantura? – Generał często chodził do najgorszych spelunek. Ostrzegano go, ale daremnie.

–Nie, panie. Zabójcy. – Haas, jadący obok króla, wprowadził swojego wierzchowca w kłus. – Jeździł konno poza terenami pałacowymi. Urządzili na niego zasadzkę w parku. Jednego z nich zabił, ale dość paskudnie go zranili. Gales go znalazł i zabrał

do pałacu.

–Kim był ten zabity? – Wiatr świstał w uszach Bragiemu. Niósł zapach deszczu.

–Nikt go nie rozpoznał. Nie miał na sobie nic, co pozwalałoby go zidentyfikować.

–Harish?

–Nie. Miał jasną cerę. Być może pochodził z północy.

–Gdy wrócimy, znajdź Trebilcocka.

–Był z generałem, gdy wychodziłem, panie. – Haas znowu popędził swojego wierzchowca. Zwierzę było mocno gonione od dłuższego czasu. Bragi dostrzegł jego zmęczenie i zwolnił tempo. – Zdawał się traktować to jako sprawę osobistą. Jakby to był atak na niego – dodał Dahl.

–Dobrze. – Bragi zwolnił jeszcze bardziej. Dla jego wierzchowca to też był długi dzień.

Jeszcze się nie skończył. Nie dla Bragiego.

Rok 1016 OUI Tajemnice Ragnarson wpadł do pokoju, w którym leżał generał Liakopulos. Członek Gildii był blady jak kreda.

–Jak on się czuje?

Doktor Wachtel, żylasty, starszy mężczyzna, który od zawsze był Królewskim Medykiem, odparł:

–Odpoczywa.

–Przeżyje?

–Nie wiadomo. Stracił mnóstwo krwi. Rany nie są takie groźne. Żaden istotny dla życia organ nie został uszkodzony. Ale gdy się było ciętym tyle razy...

–To ten trup?

–Zabójca? Tak.

Ragnarson uniósł Iniane przykrycie. Ujrzał mało atrakcyjnego młodego mężczyznę średniego wzrostu, z niewielką nadwagą. Próbował go sobie wyobrazić jako żywego, poruszającego się człowieka. Przypomnił sobie, że ludzie, gdy są martwi, wyglądają na mniejszych i potulniej szych.

–Gdzie jest Trebilcock?

–Przed godziną generał odzyskał przytomność. Opisał napastników. Zranił dwóch pozostałych. Michael poszedł ich szukać.

–Mhm. Rozmawiałeś o tym z Varthlokkurem?

Strażnicy przy drzwiach poruszyli się. Wachtel wzruszył ramionami.

–Być może wie. Ja mu nie mówiłem. Nie widziałem potrzeby.

–Być może potrafiłby ci pomóc.

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi.

–Czy jestem niekompetentny? – Był najlepszym lekarzem w Kavelinie i zazdrośnie strzegł swojej reputacji.

–Straż. Niech jeden z was idzie po czarodzieja. Jest w brązowym apartamencie gościnnym. – Do Wachtela zaś Ragnarson powiedział: – Któż będzie lepszy, żeby przesłuchać naszego przyjaciela? – Wskazał martwego mężczyznę.

–Mhm. – Wachtel zawarł w tym chrząknięciu całą swoją odrazę. Współpracował już wcześniej z czarodziejem. Odczuwał głęboką nienawiść do czarów we wszelkiej postaci, chociaż niechętnie przyznawał, że Varthlokkur był mistrzem magii życia i czasami dawał nadzieję tam, gdzie zawodziła jego własna sztuka.

Lekarz dłużej nie protestował. Był naprawdę porządnym człowiekiem, niezdolnym do złośliwości czy nikczemności. Gdyby dla Liakopulosa nie było żadnej innej nadziei, sam wezwałby czarodzieja.

Chociaż z pewnością nie przyszłoby mu do głowy przekazać czarodziejowi zwłoki. Wachtela interesowali wyłącznie żywi.

Zachowywał się całkiem uprzejmie, gdy przyszedł otumaniony snem Varthlokkur. Szybko opisał, gdzie zadano rany, ich głębokość i zagrożenie, jakie stwarzały dla pacjenta. Powstrzymał się od zmarszczenia brwi, gdy Varthlokkur przesunął ręce nad generałem, przeprowadzając kolejne badanie.

–Zrobiłeś wszystko co w twojej mocy? Gorący rosół i tak dalej? Zioła na

uśmierzenie bólu?

Wachtel skinął głową.

–Powinien wyzdrowieć. Może mieć niedowład jednej ręki, no i pozostaną blizny.

Nie ma potrzeby, żebym ja tu interweniował.

Grymas niezadowolenia na twarzy Wachtela przeszedł w ponury uśmiech. Zwrócił się w stronę Ragnarsona.

–Zbadaj tego – powiedział Bragi do czarodzieja. – To napastnik, którego

Liakopulos zabił.

–Jeden z zabójców? – Varthlokkur podniósł powiekę nieboszczyka i wpatrywał się w jego oko.

–Przypuszczalnie. – Do wszystkich zebranych w pokoju Ragnarson skierował pytanie: – Nie doszło do żadnej pomyłki, prawda?

–Generał rozpoznał go, gdy odzyskał przytomność – odparł Wachtel.

Varthlokkur spojrział na Bragiego, ale nie powiedział ani słowa. Ragnarson dostał gęsiej skórki.

–Niezrodzony? – zasugerował nieśmiało.

Czarodziej skinął głową.

–To najprostszy sposób. Na dole, na jednym z zamkniętych dziedzińców, tam gdzie nikomu nie będziemy przeszkadzać.

–Straż. Niech któryś z was znajdzie sierżanta. Powiedzcie mu, że potrzebuję czterech ludzi i noszy.

Przyszło czterech strażników. Jednym z nich był Slugbait. Uśmiechnął się szeroko do Ragnarsona i zadzwonił kieszenią pełną monet, zanim przyjął bardziej oficjalną postawę. Tutaj był znowu żołnierzem, nie kapitanem drużyny captures. Wraz ze swoimi towarzyszami ułożył zwłoki na noszach i czekał na polecenia.

–Tylny dziedziniec do ćwiczeń – powiedział im Ragnarson. – Połóżcie go tam i zostawcie.

Spojrzeli na Varthlokkura, po czym odwrócili wzrok. Pobledli. Domyślali się, co będzie się działo.

–Czy ktoś przepytał Galesa? – zapytał Bragi.

–Trebilcock – odparł Wachtel. – Nie przysłuchiwałem się temu. – Varthlokkurze, czy nie wydaje ci się, że Liakopulos łatwiej oddycha?

Czarodziej pochylił się nad generałem.

–Tak sędzę. Najgorsze już zdecydowanie za nim. Przeżyje. Ragnarson i czarodziej udali się za strażnikami, którzy nieśli nosze.

–Widziałem się dzisiaj z Mglą – powiedział Bragi. – Natknąłem się na parę spraw, które mnie zaciekały. Odpowiedziała na moje pytania, ale mówiła mało konkretnie.

–No i co?

–Jest wplątana w jakiś spisek, który ma jej przywrócić tron. Twierdzi, że skontaktowała się z nią grupa tervola, ale że nic z tego nie będzie. Angażuje się w to bardziej, niż przyznaje.

–I?

–Niewiele masz do powiedzenia.

–A co chcesz, żebym powiedział?

–Jakie masz przypuszczenia? Czy ona naprawdę się w to wplątała? A jeśli tak, to czy może coś zdziałać? Jakie będą tego konsekwencje dla Kavelinu? Zarówno gdy uda się jej to przeprowadzić, jak i gdy sromotnie przegra?

–Czy jest wplątana? Oczywiście. Gdy już raz zdobędzie się tron, nie oddaje się go bez walki. Gdy żył Valther, czuła się ograniczana. Teraz już nie. Weź pod uwagę jej punkt widzenia. Od Palmisano nic jej tu nie trzyma. Kiedyś tak. Jej poczucie własnej wartości skłoni ją do przejęcia tego, co prawnie jej się należy.

–Mimo to jest narażona na niebezpieczeństwo. Ze względu na dzieci.

–Czyż wszyscy nie jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwa? – W głosie Varthlokkura dała się słyszeć nuta zgorzknienia. – Są zakładnikami losu.

–Czy uda się jej wrócić na scenę?

–Nie wiem. Nie wiem, co się dzieje w Shinsanie. Nie chcę wiedzieć. Chcę ich ignorować i chcę, żeby oni ignorowali mnie.

–Ale nie będą.

–Oczywiście, że nie. I tu dochodzimy do kwestii konsekwencji. Mam wrażenie, że nie będzie miało większego znaczenia, czy ona wygra, czy przegra. Shinsan to Shinsan – zawsze był i zawsze będzie. Gdy nadejdzie ta chwila, nie będzie miało znaczenia, kto tam rządzi. Ty i Kavelin zwróciliście na siebie szczególną uwagę. Jutro czy też za sto lat, ale cios na pewno spadnie. Myślę, że to trochę potrwa. Muszą się podnieść po dwóch wyniszczających dziesięcioleciach. Muszą przetrwać zagrożenia zewnętrzne. Muszą utrzymać swoje nowe granice. Będą skakać jak jednonoga dziwka w dzień zawinięcia floty do portu.

Ragnarson zachichotał i spojrzał spod oka na czarodzieja. To nie była metafora w stylu

Varthlokkura.

–Przepraszam. Wspomniałeś o Mgle. To mi przypomniało o Visigodredzie, co z kolei sprawiło, że pomyślałem o jego uczniu, Marco. Słyszałem, że Marco mówił kiedyś coś podobnego.

Visigodred był ich wspólnym znajomym, itaskiańskim czarodziejem, który pomagał w czasie Wielkich Wojen Wschodnich. Był starym przyjacielem Mgły. Jego uczeń, ordynarny karzeł o imieniu Marco, zginął pod Palmisano.

–Marco. To zabawne. Dzisiaj każda przekłeta rozmowa prowadzi w końcu do kogoś, kto poległ pod Palmisano.

–Zostawiliśmy tam wielu dobrych ludzi. Bardzo wielu. Być może koszt tego zwycięstwa był większy, niż mogliśmy ponieść. Dobrzy ludzie odeszli, a zostali szubrawcy. Już niedługo zaczną swoje rozgrywki o władzę.

Znajdowali się teraz na tylnym dziedzińcu ćwiczebnym, stojąc nad ciałem. Żołnierze oddalili się w pośpiechu.

–Może już zaczęli – powiedział Bragi.

–Może. Odsuń się. Z pewnością nie chciałbyś być zbyt blisko.

–Nie chcę być nawet w tej samej prowincji – mruknął Ragnarson. Przysiadł jednak na schodach i czekał.

Varthlokkur nie robił nic efektownego. Po prostu stał z pochyloną głową i zamkniętymi oczami, koncentrując się. Ani on, ani król nie drgnęli przez dwadzieścia minut.

Ragnarson wyczuł to, zanim zobaczył. Zesztywniał. Prawą ręką sięgnął po miecz, z którym się nie rozstawał. Skrzywił się. Jakby zwykła stał mogła coś poradzić przeciwko Niezrodzonemu.

Nienawidził tego stwora. Stworzony przez jednego z Książąt Taumaturgów, został wprowadzony do łona jego Fiany. Rósł tam i rósł, a jego przyjście na świat zabiło ją.

Varthlokkur odebrał to dziecko zła i uczynił z niego straszliwe narzędzie, które zwrócił przeciwko jego stwórcom.

Stwór przepłynął nad wschodnią ścianą, wyglądał jak jakiś nowy, dziwaczny, mały księżyc. Jaśniał lekko, blado, miał kolor dopiero co wzeszłego księżyca w pełni. Podskakiwał łagodnie jak unoszona przez wiatr bańka mydlana puszczona przez dziecko.

Zbliżał się do Varthlokkura, stając się stopniowo coraz wyraźniejszy. Była to kula o średnicy około dwóch stóp z lekką poświatą. W środku coś się kuliło i skręcało... Z bliska przypominało płód. Humanoidalny. Ale nie ludzki. Właściwie nieludzki.

Miał otwarte oczy. Spojrzał Ragnarsonowi prosto w twarz. Bragi zwalczył przyływ nienawiści, nagłą chęć cięcia mieczem, rzucenia kamieniem, zrobienia czegoś, co obróciłoby wniwecz tę nikczemność. Ten stwór zabił Fianę.

Varthlokkur wykorzystywał go wielce skutecznie w czasie wojny. Niezrodzony trzymał

tervola na wschód od gór M'Hand jeszcze do tej pory. Była to jedyna broń w arsenale zachodu, która mogła ich przerazić. Shinsanie będą musieli znaleźć jakiś sposób, by go zniszczyć, zanim znowu ruszą na zachód.

Stwór ten sprawiał, że Ragnarson czuł się na tronie bezpiecznie. Na rozkaz Varthlokkura unosił się w kavelińskie noce, wynajdując wszelkie zdrady. Potrafił dokonać niezliczonych – zarówno niegodnych, jak i cudownych – rzeczy, sam zaś był niemal niezniszczalny.

Ragnarson zmusił się do siedzenia. Z wysiłkiem odwrócił wzrok od kołyszącej się kuli. Nie chciał ujrzeć szyderstwa w tej małej, okrutnej twarzy.

Varthlokkur gestem sprowadził swojego stwora powoli w dół, aż unosił się on tuż nad martwym zabójcą. Coś tam mamrotał. Bragi rozpoznał język starożytnego Ilkazaru. Nie znał go. Był to język młodości czarodzieja. Używał go do wszystkich swoich czarów.

Przez skórę trupa przebiegł dreszcz. Nogi poruszyły się gwałtownie. Wstał jak marionetka niepewnie pociągana za sznurki. Gdy już stanął, oparł się o tę siłę, którą wykorzystywał Niezrodzony, by go podtrzymywać, czymkolwiek ona była.

–Kim jesteś? – zażądał odpowiedzi Varthlokkur. Martwy człowiek nie odpowiedział. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

Czarodziej z Ragnarsonem wymienili spojrzenia. Zwłoki powinny lepiej reagować.

–Dlaczego tu jesteś? Gdzie jest twój dom? Dlaczego zaatakowałeś generała? Gdzie są twoi towarzysze? – Na każde pytanie odpowiedzią było milczenie. –

Zaczekaj chwilę – powiedział czarodziej do swojego stwora.

Usiadł obok Ragnarsona, oparł łokieć na kolanie i podparł brodę dłonią.

–Nie rozumiem – narzekał. – Nie powinien być w stanie nic przede mną ukryć.

–Może nie ukrywa.

–Jak to?

–Może nie ma nic do ukrycia?

–Každy ma jakąś przeszłość. Ta przeszłość jest odcisnięta nu ciele i umyśle. Gdy dusza ulatuje, ciało pamięta. Spróbuję czegoś innego. – Popatrzył na Niezrodzonego z napięciem malującym się na twarzy.

Martwy człowiek chodził w kółko. Skakał. Przeskakiwał nie istniejącą skakankę. Robił salta. Pompki i przysiady. Wymachiwał rękami, piał jak kogut i starał się wzbić w powietrze.

–Czego to dowodzi? – zapytał po jakimś czasie Ragnarson.

–Że Niezrodzony nad nim panuje. Że mamy do czynienia z człowiekiem.

–Więc może był pustym człowiekiem. Może nigdy nie miał duszy.

–Może masz rację. Mam jednak nadzieję, że się mylisz.

–Dlaczego?

–Bo wówczas musiałby być czymś wytworem. Czymś powołanym do życia w pełni swego

rozwoju i pozbawionym wszystkiego poza poleceniem zabójstwa. Co oznacza znakomitego wroga. Prawdopodobnie takiego, którego uważaliśmy za zniszczonego. Pytanie brzmi: dlaczego napadł na generała? Dlaczego atakować łapę lwa i zmarnować to, co mogło być celnym ciosem w głowę?

–Zgubiłem się. Co ty, do diabła, wygadujesz?

–Myślę, że opieramy się na błędnym założeniu śmierci.

–Nic mi to nie mówi. – Czarodziej miał zwyczaj krążyć wokół tematu, zataczając kręgi jak ćma wokół płomienia. Ragnarsona to drażniło.

–Wyjaśniliśmy, bezpośrednio lub pośrednio, losy wszystkich członków Pracchii, z wyjątkiem jednego. Założyliśmy, że jego ciało zaginęło w stosach trupów pod Palmisano. – Ta kulminacyjna bitwa mocno dała się we znaki wszystkim. Wedle wiedzy Ragnarsona druga strona straciła wszystkich kapitanów z wyjątkiem Ko Fenga.

Bragi drapał się po brodzie, wsłuchiwał się w burczenie swojego pustego żołądka, marzył o tym, żeby gdzieś smacznie sobie spać, i kilkakrotnie bezskutecznie próbował rozwikłać zagadkę, przed którą postawił go czarodziej.

–No dobra. Poddaję się. O kim mówisz?

–O Norathu. Magdenie Norathu. Eskalońskim renegacie. Głównym uczonym i twórcy potworów Pracchii. Nigdy nie znaleźliśmy jego ciała.

–Skąd wiesz? Nigdy nie spotkałem kogoś, kto wiedziałby, jak on wygląda.

Norath był czarodziejem innym niż wszyscy. Jego narzędziami nie były zaklęcia i demony nocy. On kształtował życie. Stwarzał ludzi i potwory tak samo niebezpieczne jak te, które byli w stanie wezwać z Tamtej Strony Varthlokkur, Mgła i im podobni.

–Możesz zaproponować coś bardziej prawdopodobnego?

–Wyciągasz cholernie pochopny wniosek – powiedział Ragnarson. – Nawet jeśli wątpliwości przemawiają na twoją korzyść, dlaczego miałby atakować Liakopulosa? Robisz z igły widły.

–Możliwe, możliwe. Ale to jedyna hipoteza, która pozostaje w zgodzie z faktami.

–Znajdź trochę więcej faktów. Sprawdź inną hipotezę. Powiedz, że temu człowiekowi wymazano duszę, zanim go tu przysłano. Ktokolwiek pragnął śmierci generała, zakładał, że wykonawcy zadania natkną się na ciebie, prawda?

–Być może. Ale nie wydaje mi się, żeby można było przeprowadzić coś takiego, nie niszcząc całkowicie mózgu. Pozwól, że spróbuję czegoś innego.

Varthlokkur wstał i wolnym krokiem podszedł do Niezrodzonego. Położył rękę na ochronnej kuli stwora. Zamknął oczy. Ciało mu zwiotczało jak u trupa. On i zwłoki opierały się o siebie, dwie pijane marionetki podtrzymywane przez Niezrodzonego.

Ragnarson walczył z ogarniającą go sennością. Wstał i rozciągnął swoje obolałe mięśnie.

Zastanawiał się, co robi Trebilcock. Pojawienie się zabójców musiało być ogromnym ciosem dla dumy Michaela. Z uporem maniaka będzie chciał wydostać jakieś informacje choćby spod ziemi.

Wysoka, szczupła postać czarodzieja powoli się prostowała. Rumieniec wrócił mu na twarz. Przesunął ręką przed oczami, jak gdyby chciał odpędzić chmurę komarów. Chwiejnym krokiem podszedł do Ragnarsona, wzrok miał ciągle zamglony. Po chwili powiedział:

–Wniknąłem w niego. To zdumiewające, jak mało w nim jest. Umiejętności i spryt potrzebne zabójcy, ale bez żadnej przeszłości, bez lat rozwoju i treningu... Liczy sobie może z miesiąc. Przybył skądś z zachodu. Pamięta, jak przejeżdżał przez Pomniejsze Królestwa, żeby się tutaj dostać, ale nie bardzo orientuje się w kierunkach czy geografii. Z nim i jego braćmi ktoś był. Ten ktoś wiedział, o co chodzi, i powiedział im, co mają robić. Ma niejasne wspomnienia swego ojca, żyjącego nad morzem. Jego jedynym celem była likwidacja Liakopulosa.

–Gdy to poskładamy, będzie to wyglądało na uderzenie Gildii w jednego ze swoich.

–Co? Och, rozumiem. Wysoka Iglica jest na zachodzie i stoi nad morzem. Nie. Uważam, że mój strzał w ciemno trafił jednak bliżej celu. On pamięta swojego ojca. Albo stwórcę, jeśli wolisz. To wspomnienie odpowiada temu, co wiadomo o Norathu.

–Dlaczego Liakopulos?

–Nie wiem. Zwykle pytasz, kto na tym skorzysta. W tym przypadku nikt mi nie przychodzi do głowy. Generał nie miał żadnych wrogów.

–Ktoś był skłonny ogromnie dużo zainwestować, byle się go pozbyć.

–Oczywiście nasuwa się Shinsan. Ale oni starają się dogadać. Wyciągają rękę w geście przyjaźni. A skrytobójstwo nie jest w ich stylu.

–Ktoś stara się ich zrobić? Ktoś, kto nie chce pokoju?

Varthlokkur wzruszył ramionami.

–Nie potrafię wymienić ani jednej osoby, która zyskałaby, utrzymując stan napięcia.

–Matayanga. Buntowniczy przyjaciele Michaela w Throyes.

–Wątpię. Zbyt wielkie ryzyko akcji odwetowej, gdyby zostali odkryci. A on przybył z zachodu, nie ze wschodu.

Ragnarson pokręcił głową.

–Jestem półprzytomny ze zmęczenia. Nie potrafię nic wymyślić. Liakopulos po prostu nie jest aż tak ważny. Jest dla mnie cenny, ponieważ to geniusz, jeśli chodzi o szkolenie żołnierzy, ale to nie bardzo czyni z niego zagrożenie dla kogokolwiek... Nie mogę się tym teraz zajmować. To był ciężki dzień. Prześpię się z tym.

–Każe dostarczyć trupa z powrotem do Wachtela, a potem pošle Radeachara, żeby znalazł jego braci i pana. Odezwij się do mnie jutro.

Radeachar to imię, jakie Varthlokkur nadał stworowi. W języku jego młodości znaczyło „Ten, Który Służy”. W czasach świetności Ilkazaru określenie Radeachar było tytułem

nadawanym czarodziejom, którzy służyli w armiach imperium.

–Dobrze. Cholera! Minie chyba z pięć minut, zanim ruszę to swoje cielsko!

Gdy Ragnarson odwrócił się, by odejść, z wejścia na dziedziniec wycofał się jakiś cień. Cichy obserwator pozostał nie zauważony nawet przez sługę Varthlokkura. Zniknął w pałacowych korytarzach.

Ragnarson zrobił kilka kroków i zatrzymał się.

–Miałem cię zapytać. Czy mówi ci coś imię, tytuł czy jak tam to nazwać – Wybawiciel?

Varthlokkur podskoczył jak ukąszony. Sztywno wyprostowany stanął przed królem.

–Nie. Gdzie to usłyszałeś?

–Gdzieś. Jeśli ono nic nie znaczy, to dlaczego zachowujesz się, jakby...

–To, jak się zachowuję, jest moją sprawą, Ragnarson. Nigdy o tym nie zapominaj. Zapomnij nawet, że w ogóle słyszałeś to imię. Nigdy więcej go nie wypowiadaj, ani zwracając się do mnie, ani w mojej obecności.

–No cóż, przepraszam waszą stukniętą czarodziejskość. Ale mam tu robotę do wykonania i wszystko, co może mieć wpływ na Kavelin, jest jak najbardziej moją sprawą. A ty i siedmiu bogów nie skłonicie mnie do zmiany decyzji, jeśli uznam, że jest coś, co muszę zrobić.

–Stwórz, o którym wspomniałeś, czymkolwiek jest, nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z Kavelinem. Wyrzuć go z pamięci. Teraz odejdz. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Zdeprymowany Ragnarson zmusił swoje ciężkie nogi, by poniosły go w kierunku kuchni. Co, do diabła, ostatnio się działo z czarodziejem? Stary zrzęda wiedział dużo więcej, niż skłonny był wyznać, do cholery.

Bragi powoli przestawał się martwić. Żołądek domagał się jedzenia. Był pustą dziurą, żądającą wypełnienia, zanim pozwoli ciału spocząć.

Ragnarson włókł się noga za nogą słabo oświetlonym korytarzem, marszcząc brwi i wspominając dziwaczne zachowanie Varthlokkura, gdy nagle coś zatrzeszczało pod jego stopą. W nocy zamek oświetlało niewiele lamp olejowych. Ledwo było coś

widać. Jedna z jego małych oszczędności.

Usłyszawszy dziwny dźwięk, Bragi zatrzymał się, odwrócił i dostrzegł pognieciony kawałek papieru. Było na nim coś zapisane. Papier to rzadki towar. Nie wyrzucało się go. Ktoś musiał go zgubić. Podniósł kartkę i zaniósł pod najbliższą lampę.

Ktoś okropnym charakterem zapisał jakieś nazwiska. Niektóre Bragi ledwo odczytał. Ortografia też nie była najmocniejszą stroną autora zapisków.

LICOPULOS ze znaczkiem za nazwiskiem, który został przekreślony. ENREDSON. ABACA. DANTICE. TREBILCOK. W drugiej grupie, jakby przesuniętej na bok, znajdowały się nazwiska Varthlokkura, Mgły i innych sprzymierzeńców. Przed nazwiskami trzech żołnierzy postawiono gwiazdki.

Bragi oparł się o ścianę, zapominając o zmęczeniu. Wygładził i złożył papier, po czym wsunął go do kieszeni płaszcza.

Jego trzech najlepszych żołnierzy. Dlaczego? I dlaczego jego nazwiska nie było na tej liście?

Przyszło mu do głowy, żeby wrócić z tym do Varthlokkura, ale uznał, że to może poczekać. Ruszył ponownie w stronę kuchni, mrużąc:

–Założę się, że ten stary dziwak nic nie odkryje. Człowiek, który ich ścigał, był tutaj, w zamku.

Coś go zaczęło dręczyć. Chwilę trwało, zanim zorientował się, że to jego przytłumiony instykt samozachowawczy. Ta notatka! Przecież wskazywała na niego i tylko na niego. Być może zostawiono ją właśnie po to, by ją znalazł.

Wyjął kartkę, ponownie rozłożył, popatrzył i przytknął do płomienia najbliższej pochodni. Wtem przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Oddarł nazwiska Trebilcocka i Varthlokkura, a resztę częściowo spalił. Pozwoli Michaelowi i czarodziejowi pójść za ich fragmentami.

Kucharze nie mieli nic poza zimnym kurczakiem. Siedział, zamyślony, jedząc powoli.

Gdzieś w korytarzach rozbrzmiewał, coraz bliżej, jakiś głos.

–Powiedziała: „Och, Gales, przecież możesz pożyczyć mi koronę. Dostałeś dobrą robotę”. Odparłem: „Cholera”. No. Nie kłamię. One wiedzą, że masz tylko grosze... Ona powiedziała: „Gales, pożycz mi koronę”. Ja odparłem: „Cholera”. No. Też młoda kobieta. Bardzo urodziwa. „Gales, masz dobrą robotę”. Odparłem: „To nie suka”.

Sierżant wkroczył do pomieszczenia. Towarzyszył mu młody strażnik, który wyglądał, jakby z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

–Tak – mruknął Ragnarson. – To nie suka.

Rok 1016 OUI Bał Zwycięstwa Muzycy dobywali ze swoich instrumentów rzewne dźwięki. Pary, tańcząc, sunęły po parkiecie wspaniałej sali. Ragnarson nie zwracał uwagi ani na muzyków, ani na tancerzy. Derel Prataxis wrócił do domu i popędził ze swojej kwatery na uroczystości z okazji Dnia Zwycięstwa, gdy tylko się odświeżył. Korzystając z każdej okazji, Ragnarson przyciszonym głosem rozmawiał ze swoim emisariuszem.

– Jest absolutnie szczery – mówił Prataxis o lordzie Hsungu. – Chce pokoju i przyjaźni. Taką już ma naturę. Mówi dokładnie to, co myśli. Ale jutro może powiedzieć coś przeciwnego z taką samą żarliwą szczerością. To rzadki dar. Wciąga cię w krąg swych ludzi i czyni jednym ze swoich zaufanych. Sprawia, że czujesz się, jakby wtajemniczał cię w wielkie sprawy. Robi to tak skutecznie, że może schwycić cię w pułapkę, nawet jeśli zdajesz sobie sprawę z tego, co się dzieje.

– Znałem mężczyznę, który tak oddziaływał na kobiety – mruknął Bragi. – Kupowały to nawet wtedy, gdy wiedziały, o co mu chodzi.

Ragnarson krótko poinformował pomarszczonego mędrca o dziwnych zdarzeniach, które nastąpiły w czasie jego nieobecności, i na koniec zapytał:

– Czy słyszałeś tam coś o kimś, kogo nazywają Wybawicielem?

– Słyszałem pogłoski. Nic więcej. Tervola na dźwięk tego imienia zaciskają zęby i drżą. Ale żadnych konkretów. Związany jest z dalekim wschodem Shinsanu. Tak sądzę.

– Dziwne. Co Varthlokkur może mieć z tym wspólnego?

– Będziesz musiał jego o to zapytać.

– Zapytałem. Nie chciał o tym rozmawiać.

Prataxis był jednak bardziej zaintrygowany tym, że Varthlokkur nie był w stanie ustalić miejsca pobytu mistrza tych, którzy zaatakowali Liakopulosa. Poczynania Mgły, Dantice'a i Trebilcocka zbył jako możliwe do przewidzenia. Bardzo zainteresował go kontakt z agentem Yasmidy, o którym Bragi mu powiedział wbrew napomnieniu Habibullaha.

– To interesujące. Ponieważ Hsung ma plan, który jest zgodny z jego rozkazami, ale sprzyja także odwiecznemu pragnieniu Shinsanu, aby zdominować zachód.

Bragi uniósł palec w uciszającym geście. Przez chwilę okazywał zainteresowanie uroczystością. Inger rozmawiała z najwyższymi urodzonymi nordmeńskimi damami Kavelinu. Obdarzyła go jednym ze swoich zniewalających uśmiechów. Mrugnął do niej.

– Dobra, mów dalej, Derel.

– Hsung zrobił z Throyes całkowicie zależne państwo, chociaż udaje, że tak nie jest. Jego

zamysł jest taki: wyśle Throyeńczyków, żeby wykonali robotę za Shinsan, a potem, gdy zaczną się protesty, wyprze się ich.

– A zatem?

– A zatem zamierza wysłać ich wzdłuż wschodniego wybrzeża Hammad al Nakiru. Throyeńczycy zgłaszali pretensje do tego obszaru od wieków, podobnie jak Hammad

al Nakir rości sobie pretensje do Throyes. Hsung chce kontrolować południe aż do Souk el Arby. A nawet dalej, jeżeli Throyeńczycy sobie z tym poradzą.

–Michael mówił mi o tym. Uważał, że Hsung chce zająć porty, by przeprowadzać ataki z morza na Matayangę.

–Dobry drugorzędny powód. I dobra przykrywka. Ale u Throyeńczyków łatwiej o przecieki niż wśród ludzi Hsunga. Prawda jest taka, że chce mieć dostęp do przełęczy górskich przez Jeba al Alf Dhulquarneni. Tę w pobliżu Throyes i obydwie Sebil el Selib. Czy Michael powiedział ci, że Hsung ma ambasadorów zarówno w Sebil el Selib, jak i w Rhemish? I obie te delegacje proponują zawarcie sojuszów?

–Michael nie jest dobrze poinformowany w sprawach Hammad al Nakiru. Ale wiedziałem, że Hsung ma agentów w Sebil el Selib. – Bragi zwracał uwagę na uroczystości, nie zadając sobie jednak trudu koncentrowania się na nich. Wieści Derela wypełniły kilka luk.

–Sprytne – powiedział. – Mogą to zrobić przy odsłoniętej kurtynie, a my nie możemy nawet pisać. Hsung utrzymywałby po prostu, że wypełnia swoje traktatowe zobowiązania. Gdybyśmy usiłowali go powstrzymać, to my bylibyśmy agresorami.

–Właśnie.

–Co możemy zrobić?

–Mamy kilka możliwości. Możemy pozwolić sprawom toczyć się swoim biegiem i mieć nadzieję, że nic z tego nie wyjdzie. Możemy zignorować ogólne potępienie i przeprowadzić atak wyprzedzający, jeżeli sytuacja matayangańska ulegnie pogorszeniu. Możemy też zagrać w grę Hsunga. Nie mamy środków, ale mamy głowy na karku.

–Dwie pierwsze propozycje są bezsensowne. Wyjaśnij mi, co miałeś na myśli, mówiąc o tym, że mamy głowy na karku.

–Masz sporo bardzo inteligentnych i przebiegłych współpracowników. Weźmy Michaela. Potrafi zwodzić. Potrafi być bezlitosny. Jest bardziej inteligentny, niż to okazuje. A ludzie, których skaptował, są najlepsi. Jednak twoim największym atutem jest posiadanie wśród swoich legalnego pretendenta do tronu Shinsanu. To powinno zostać wykorzystane. Teraz zastanów się nad słabymi punktami Hsunga. Musi obstawić całą równinę Róe. Armia Zachodnia skurczyła się do pięciu legionów. Najlepsze są w Gog-Ahlan, strzegąc przełęczy, i w Throyes. Jeden jest w Argonie. Kolejny w Necremnos. Piąty jest rozrzucony po mniejszych miastach.

–To ciągle jest trzydzieści tysięcy najlepszych żołnierzy, Derel.

–Pewnie. Dla Kavelinu mnóstwo. Ale nie tak znowu dużo, gdy weźmiesz pod uwagę ludność równiny Róe. To, czym się staną, będzie zatem symbolem władzy Shinsanu, a nie władzy w ogóle. Znikną w powszechnym powstaniu.

–Narobiliby mnóstwo szkód.

–Z pewnością. Ale i tak zostaliby pokonani.

–Naciskałem Michaela, żeby nie mącił. A teraz ty mówisz, że powinienem namieszać.

–Hsung nie przestanie cię szturchać. Nie pozwól, żeby uszło mu to płazem. Oddaj mu.

–Wtedy będzie wrzeszczał o mojej nikczemności.

–Nie angażuj w to własnych ludzi. Nie bezpośrednio. Nie będzie mógł nic zrobić.

On też działa pod pewnymi ograniczeniami. Musi dbać o wizerunek człowieka miłującego pokój. To oznacza, że będzie musiał znosić prowokacje. Sprowadza się to do tego, że ty podejmiesz ich grę, tyle że ostrzej. Z powodu kłopotów z Matayangą oni są w gorszej sytuacji niż my.

–Derel, gdy spojrzymy na to z pewnej perspektywy, wszystko wydaje się trochę bez sensu. Jaką to sprawi różnicę za sto lat?

–Być może żadnej. Niektórzy moi koledzy podpisują się pod teorią bezsensowności historii. Nawet jeśli tak jest, istnieją punkty zwrotne. Zazwyczaj rozpoznaje się je dopiero z perspektywy czasu. Jeden z najwspanialszych momentów w dziejach Kavelinu nastąpił w Itaskii. Nadal jeszcze odczuwamy jego pozytywne konsekwencje.

Ragnarson uśmiechnął się szeroko.

–Ty swoje, a ja swoje. Tym razem straciłem wątek.

–Mówię o dniu, w którym opuściłeś swoje gospodarstwo rolne, żeby poskarżyć się na drobny kłopot, który ci się przydarzył. Ledwo słyszałeś o Kavelinie. Sześć miesięcy później prowadziłeś armię Fiany. Teraz jesteś królem.

–Tak rozumując, można uznać, że Haaken i ja zmieniliśmy bieg historii, uchodząc z Trolledyngii, zamiast walczyć z Uzurpatorem.

–Zdecydowanie. Gdybyś został, od dwudziestu pięciu lat byłbyś trupem. Inni ludzie by żyli. Wojny El Murida miałyby inny przebieg. Coś innego mogłoby wydarzyć się we Freylandzie. Książę Greyfell mógł zostać królem Itaskii. Wynik wojny domowej w Kavelinie mógłby być inny. Być może w ogóle nie doszłoby do Wielkich Wojen Wschodnich.

Słowa Prataxisa zdenerwowały Ragnarsona. Sprawiały, że nie tylko życie, ale sama historia wydawała się krucha. Gdy był chłopcem, uczono go, że jest inaczej. Trolledyngianie zdecydowanie wierzyli w przeznaczenie.

–Odbiegamy od tematu – rzucił rozdrażniony.

–Wcale nie. Nie od mojego. Chcę, żebyś zrozumiał, że ilekroć wykonujesz jakiś ruch, kształtujesz przyszłość. Kształtujesz ją nawet wtedy, gdy nie robisz nic. Największe szanse na ukształtowanie jej zgodnie z własną wolą masz wtedy, gdy przejawiasz inicjatywę. Wtedy

pojawia się więcej skutków. Niektóre z nich będzie można wykorzystać.

–Dobra. Rozumiem, o co ci chodzi. Wybiorę się tam i nie pozwolę, by wrzenie w tym kotle ustało. Nie chcemy, żeby twoja teoria okazała się niesłuszna.

–Panie...!

Bragi wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Nie mogłem się powstrzymać. Czasami traktujesz siebie zbyt poważnie. – Ragnarson wstał i przyjrzał się uważnie zgromadzonym. Przyszły setki ludzi. Najwięcej od czasu wojny. Większość członków Zgromadzenia i ich kobiety. Cała jego klika, z wyjątkiem Michaela, Mgły i Varthlökkura, który unikał wszelkich uroczystości. Wielu ze starej szlachty nordmeńskiej, którzy teraz nazywali siebie

ziemianami, ponieważ mieli największe posiadłości ziemskie. Wpływowi członkowie społeczności kupieckiej. Przedstawiciele cichej, rzadko widywanej i absolutnie niezbędnej klasy urzędników Siluro. Credence Abaca i grupa wodzów Marena Dimura, którzy utworzyli krąg w jednym z kątów sali. Przywodzili Ragnarsonowi na myśl krowy w zimie, stojące tak nos przy nosie, z ogonami odwróconymi do wiatru. Picie mogło skłonić ich do wymiany myśli, do czego też takie uroczystości niekiedy doprowadzały.

Rozglądał się za Trebilcockiem. Michael ciągle jeszcze się nie pokazał i nie było go widać od momentu zamachu na życie Liakopulosa. Ragnarson zaczął się martwić. Chciał z nim porozmawiać.

Ludzi stale przybywało. Na sali zaczynało się robić tłoczno. Jeśli wszyscy zaproszeni się pojawią, będzie mu trudno ich pomieścić.

Weszła Mgła w towarzystwie Arala Dantice'a. Jej pojawienie się wywołało taki efekt jak gaz paraliżujący. Mężczyźni przestali rozmawiać. Patrzyli z przerażeniem lub pożądaniem.

Kobiety patrzyły z przerażeniem, zazdrością i nie skrywaną nienawiścią. Wrażenie, jakie zrobiła, było niesamowite. Nawet muzycy zgubili rytm.

A jak dobrze zagrała nieświadomą wrażenia, jakie wywarła!

Za Mgłą i Aralem pojawiła się Kristen z kilkoma przyjaciółkami. Zauważył, że jego synowa zaprosiła sporo osób. Wszyscy jej goście byli stanu wolnego i piękni.

To go zaskoczyło. Opadł z powrotem na krzesło.

–Derel, właśnie coś zauważyłem.

–Tak, panie?

Bragi oparł podbródek na splecionych palcach obu dłoni. Zamyślony, powiedział:

–W dzisiejszych czasach mamy wiele wolnych kobiet. Urodziwych kobiet. To nienaturalne.

–Przyjmij prawa małżeńskie Hammad al Nakiru.

–Co?

–Pozwól, żeby mężczyzna mógł mieć więcej niż jedną żonę.

–Bogowie! Jedna sprawa dość kłopotów. – Rozejrzał się po sali. Zobaczył wiele niezamężnych młodych kobiet. Większość stanowiły córki gości. Każda miała w oku błysk łowczyni.

–Wojna zabrała wielu młodych mężczyzn – zauważył Prataxis. – W Kavelinie kobiety stanu wolnego przewyższają liczebnie wolnych mężczyzn w stosunku pięć do jednego.

–To dlaczego ja jestem żonaty?

–To błąd taktyczny, panie. Michael wydaje się prosperować. Ale to gra, w której nieliczni przetrwają. Łowczyni wie, jak usidlić swoją ofiarę.

–To coś, o czym nigdy tak naprawdę nie myślałem. Taka nierównowaga musi spowodować jakieś skutki.

–Zdecydowanie tak. Naruszy tradycyjną moralność. Jedyne, co możesz zrobić, to sprawić, by wszystkie dziewczyny, które mają nieślubne dzieci, rodziły chłopców. Po jakimś czasie pojawią się mężowie dla wszystkich, chociaż będą trochę młodzi.

Bragi spojrzął na niego skwaszony. To był żart w stylu Prataxisa.

–Nie jest to problem wyłącznie Kavelinu. W taki czy inny sposób, w takim czy innym miejscu zachód znajduje się w stanie wojny od czasu, gdy Bicz Boży wyrwał się z Hammad al Nakiru. To już drugie pokolenie, w którym panuje nierównowaga między liczebnością płci. Jeszcze jedno i uparci obrońcy dawnej moralności znikną. Przyspieszeniu ulegną zmiany zachowań kobiet...

–Mam pytanie, Derel.

–Tak, panie?

–Czy na każdy temat możesz zrobić wykład? Prataxis wyglądał na zdumionego, a także na nieco urażonego.

–Tylko żartowałem. Ilekroć coś zauważę, ty już o tym wiesz. I bez końca mówisz o tym, jak i dlaczego do tego doszło, jak i dlaczego to działa, jakie to ma znaczenie...

–Jestem uczonym z Rebsamen – odparł Prataxis oficjalnie. – Nauczono mnie obserwować i rozumować. Nie ma w tym nic tajemniczego. Sam to robisz, chociaż nie do końca sobie to uświadamiasz. Dlatego właśnie częściej podejmujesz decyzje właściwe niż błędne.

–Derel, nie miałem zamiaru cię obrazić. – Dlaczego ten facet był tak pozbawiony poczucia humoru i tak cholernie drażliwy? Sam prosił, by pozwolono mu zamieszkać wśród barbarzyńców... Nie. Derel sprzeciwiłby się takiemu określeniu. Jest niedostatecznie precyzyjne. Wolałby takie, które obejmuje też zadufaną w sobie ignorancję.

–Ojczy?

Spojrzął w dół. Jego synowa stała u stóp podium, na którym umieszczono trony.

–Kristen! Znalazłaś coś, co mogłaś włożyć. A ja myślałem, że ci się to nie uda.

–Kłamczuch. Wiedziałaś, że przyjdę tutaj, nawet gdybym musiała pojawić się naga, jak mnie pan Bóg stworzył. To moje przyjaciółki. – Wskazała dziewczęta, które jej towarzyszyły. –

Nie masz nic przeciwko temu, że je zaprosiłam?

–Im nas więcej, tym weselej. Wolę patrzeć na nie niż na łysych staruchów z brodami. Ale może byłoby dobrze w obecności ludzi okazać swojemu królowi nieco szacunku. – Uśmiechnął się. Przyjaciółki Kristen natychmiast nisko się ukloniły.

–Och, tak. – Podenerwowana Kristen ugięła kolana.

–Wystarczy. A teraz powiedz mi, kim są te wszystkie piękne damy?

Kristen wskazywała je po kolei.

–Anya, Tilda, Julie. I Sherilee. Julie i Sherilee spotkałeś już wcześniej.

Dziewczęta w onieśmieleniu opuściły głowy. Z wyjątkiem drobnej blondynki. Ona patrzyła mu w oczy. Ale jej blade ręce drżały. Zaciśnęła je kurczowo w pięści i nadal na niego patrzyła. W jej spojrzeniu nie sposób było wyczytać zachęty, ale też nie było w nim widać odrazy.

–Bawcie się dobrze, drogie panie. Kristen, czy zaszczycisz starego człowieka tańcem?

Prośba zaskoczyła ją, ale tylko na chwilę.

–Nie takiego starego, jak sądzę. – Rzuciła szybkie spojrzenie na blondynkę. –

Dobrze. Jeśli to królewskie polecenie.

Na jego ustach gościł już tylko cień uśmiechu.

–Tak właśnie jest. – Opuścił podium, kątem oka pochwycił zdumione spojrzenie

Inger. Kiepski był z niego tancerz.

Szybko tego dowiedział. Nie znał kroków.

–Niech to diabli – westchnął. – I tak chciałem tylko porozmawiać. Podejdź tutaj i spróbuj tego musującego wina, które Cham sprowadził z Delhagen. Mówi, że stanie się wielkim przebojem eksportowym.

–Porozmawiać? – Oczy Kristen skrzyły się bardziej niż wino.

–Musiałaś powiedzieć coś tej Sherilee.

–Ja? Ojczy!

–Mogłaby być moją córką.

–Myślałam, że mężczyźni wolą kobiety młode i świeże. Krief był o pięćdziesiąt lat starszy od królowej Fiany.

–Jestem człowiekiem żonatym. Królem. Nieważne. To pułapka, w którą nie chcę wpaść.

–Brzmi to tak, jakbyś sam siebie przekonywał.

Uśmiechnął się bez przekonania, popatrzył w kierunku dziewcząt. Drobną blondynka obserwowała ich, przebijając się wzrokiem przez tłum. Bojaźliwość czyniła ją jeszcze bardziej pociągającą.

–Więc muszę najpierw przekonać siebie. I co z tego? Słowo daję, Kristen. Nie naciskaj. To zbyt wielka pokusa. Nie wiem jak ona, ale ja bym sobie z tym nie poradził.

Rozbawienie opuściło Kristen.

–Mówisz poważnie, tak?

–Tak. Naprawdę. To, jak na nią patrzę, to, co wiem o niej i o swoich odczuciach, sprawia, że jestem pewny, iż wpadłbym jak śliwka w kompot. Zrobiłbym z siebie kompletnego idiotę. Raz na jakiś czas to nawet zabawne, ale teraz nie mam czasu. Nie potrafię zajmować się dwiema kochankami naraz. Myślę, że moją główną damę czekają ciężkie czasy.

Uniosła brew w niemym pytaniu.

–Kavelin – Bragi rzucił lakonicznie.

–Och, myślisz, że będą kłopoty?

–Być może. Próbuję im zapobiec. Wyczujesz je dzisiaj. Posłuchaj, o czym rozmawiają ludzie. Najważniejszymi tematami w tym roku nie są plony w rolnictwie ani wydobywanie w kopalniach.

–Czy to ma coś wspólnego z generałem Liakopulosem?

–Możliwe. Może byś tak napuściła ją na Michaela, co?

–Nie jest zainteresowana Michaeliem.

–Niech cię diabli porwą. Dlaczego musiałaś to powiedzieć? Wybacz mi. – Jeszcze raz spojrzął na Sherilee. Taka malutka. Jak zabawka. A każda jej krągłość i linia to spełnienie marzeń mężczyzny. Pokręcił energicznie głową. – Niech i mnie diabli porwą. – Odszedł, zostawiając zdeprymowaną Kristen.

Na podium dołączyła do niego Inger. Jej nieustanny drwiący uśmiech był teraz ledwie widoczny.

–O co chodziło? – Nie lubiła Kristen. Obie były matkami kandydatów do tronu Kavelinu.

–Pieniądze na życie. Chce osobnego nauczyciela dla Ainjara i Bragiego. Próbowała podejścia „zachęcamy starszego pana”.

–Pazerna mała czarownica. To nigdy nie zawodzi. Plebs...

–Inger...

–Tak?

–Weź mnie za rękę.

Ujęła jego dłoń. Uśmiech powrócił na jej twarz. Uścisnął jej rękę raz, lekko, dodając sobie pewności.

–Inger. Nie traktuj tego jako zarzutu. Ale trzymasz za rękę zwykłego żołnierza piechoty, który mnóstwo rozmyślał. I wyszłaś za niego.

–Co masz na myśli?

–Nie sądzę, żeby to, kim byli nasi rodzice, miało większe znaczenie. Wszyscy bierzemy to, co możemy dostać. Zamień dziecko Marena Dimura z nordmeńskim, a gdy staną się dorosłymi ludźmi, będą zachowywać się tak jak ludzie, którzy je wychowali. Krew nie ma tu nic do rzeczy. Milcz, Derel.

Już wcześniej spierał się z Prataxisem o rolę krwi i wychowania. Derel z największą przyjemnością poparłby obydwie stanowiska. Dla niego wszelkie dyskusje były rozrywką.

–Usiłuję przekonać się do tego, co robisz – powiedziała Inger. – Ale to niełatwe. Z chłopca możesz w najlepszym razie zrobić chłopca w ładnych ciuchach.

–A z jego dzieci? To o dzieci mi chodzi. I o samego chłopca też. – Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: – Jest mi obojętne, jak ktoś mówi czy zachowuje się przy stole, kochanie. Dla mnie liczy się to, co ma tutaj – postukał się w skroń – i jak dobrze robi to, co do niego należy.

–Jak Abaca? – Jej sarkazm był wyraźny. Nienawidziła Credence’a Abaki.

–Właśnie. Ma plugawy język, okropne maniery i najlepszy umysł taktyczny, z jakim się w życiu zetknąłem. W całym życiu. Myślę, że z czasem się ucywilizuje.

–On jest gorszy nawet od chłopca. Przecież ci odrażający ludzie jedzą robaki...

–Kochanie, jeżeli pochodzenie jest aż tak ważne, to ciebie i mnie czeka mnóstwo kłopotów.

Zmrużyła oczy. Bojowy uśmiech zniknął z jej ust. Pochyliła się. Kosmyk blond włosów opadł jej na lewe oko.

–Co to ma znaczyć?

–Jesteś z krwi Greyfellów. Greyfellowie byli zdrajcami, sprzedawczykami, mordercami i buntownikami od szczenińczych lat mojego dziadka. Jeżeli liczy się krew, to będzie lepiej, jeśli każę mieć cię na oku moim pięćdziesięciu najwierniejszym ludziom.

Twarz jej stężała. Odpłynęła z niej wszystka krew. Zerwała się na równe nogi. Bładość przeszła teraz w purpurę. Bełkotała coś gniewnie.

–Usiądź, kochanie. Chciałem tylko wykazać, że w twoim rozumowaniu jest luka.

–Nie wydaje mi się, żeby to był miły sposób.

–Może i nie. Ale myślę, że musisz się z tym zgodzić.

Spojrzała na niego hardo.

–Pewnie tak. Bo jeśli nie, to mogę skończyć, dzieląc życie z twoimi kolesiami z drużyny captures. Baronowa Kartye chce ze mną porozmawiać. Zaraz wracam.

–Nie przekonałeś jej – powiedział Prataxis.

–Wiem. Jutro otwieramy Zgromadzenie. Chcesz im coś powiedzieć?

–Rozmowy przyniosły owoce. Legion na przełęczy pozwoli kupcom przechodzić od jutra za dwa tygodnie. Transportowanie i sprzedaż broni nie będą dozwolone. Członkom karawan wolno będzie posiadać zwyczajową broń do obrony własnej. Karawany z zachodu nie mogą iść dalej na wschód niż do Throyes. Interesy z Argonem, Necremnos i krajami od nich zależnymi muszą być prowadzone przez throyeńskich pośredników. I radzi się nam, żeby handel z Matayangą uzależnić od obecnej sytuacji militarnej.

–Dla mnie brzmi to całkiem rozsądnie.

–Znajdą się krzykacze. Ta umowa faworyzuje Throyeńczyków.

–W tym kraju zawsze ktoś o coś się spiera. Ich karawany i tak będą się ścigać, żeby przejść przez przełęcz.

–Każdy, kto może sobie pozwolić na wystawienie karawany, już ma jedną przygotowaną. Będą się nawzajem tratować, gdy wypowiem te magiczne słowa.

–Więc zmarnowałem czas wielu ludzi, każąc im czekać na ciebie.

–Są myśli, które trzeba przedstawić. Punkty widzenia, które trzeba zaprezentować.

–Przez ostatni tydzień wszyscy zachowywali swoje refleksje dla siebie.

–Pozwól mi ich wkurzyć. Powiedzą, co myślą.

–Nie...

Kobiety obok grupy Marena Dimura Abaki podniosły krzyk. Mężczyźni groźnie pokrzykiwali. Ragnarson usłyszał, jak stal uderza o stal.

Poderwał się z tronu.

–Z drogi, do cholery! – ryknął, przeciskając się przez tłum. Wyższy od większości swoich gości, zauważył poruszenie, gdy wkroczyli strażnicy. Dobrze. Byli w gotowości. Nie oczekiwał, że wieczór minie bez co najmniej jednej burdy. – Zejdiesz mi z drogi, do cholery? – warknął na otyłą starą matronę. Kobieta wyglądała, jakby miała lada chwila zemdleć.

Gdy dotarł na miejsce, strażnicy rozdzielili zwaśnionych mężczyzn. Jednym z nich był Credence Abaca, a drugim młody dżentelmen, ziemianin, syn barona, który przyjechał do miasta na sesję Zgromadzenia. Sam baron przepychał się właśnie przez tłum.

Abaca i młodzieniec gwałtownie oskarżali się nawzajem.

–Milczeć! – ryknął Ragnarson. – Ty pierwszy. – Wskazał młodszego.

–Składał niestosowne propozycje mojej siostrze. – Młody szlachcic był ponury i przyjął postawę obronną. Była to w jego środowisku postawa coraz

powszechniejsza.

–Credence?

–Poprosiłem ją do tańca, panie. – Abaca odzyskał pewność siebie. Możliwe, że wcale jej nie stracił. Był świetnym taktykiem nie tylko w kwestiach militarnych. Po mistrzowsku manipulował i potrafił być równie pozbawiony serca jak pająk. W jego zachowaniu nie było śladu skruchy.

–To wszystko?

–Na mój honor, panie.

–Ty nie masz honoru, ty...

–Zamknij dziób, chłopcze! – warknął Ragnarson. – Wpadłeś teraz po uszy. – Szukał wzrokiem kobiety, o którą chodziło. Jej ojciec odciągnął ją na bok. Na jego ustach błąkał się wyczekujący uśmiezek. Ragnarson zastanawiał się, czy tym razem to nie Abaca został wyprowadzony w pole. Ziemianie nadal byli śmiertelnie obrażeni z tego powodu, że Marena Dimura został mianowany zastępcą dowódcy armii. Jedynie najbardziej zaufanym Nordmenom

pozwalano piastować jakieś stanowiska. Ragnarson zwrócił się do młodzieńca.

–Ośmieliłeś się wyciągnąć miecz w pałacu? Przeciwno jednemu z moich oficerów? Nordmen nie potrafił utrzymać języka na wodzy.

–Ktoś musi pokazać tym... tym... zwierzętom, gdzie ich miejsce. Wyzywam go na pojedynek!

–Nie masz prawa tego zrobić – poinformował go Ragnarson.

–Ale i tak przyjmuję wyzwanie – powiedział Abaca. Był niskim, szczupłym mężczyzną o oliwkowej skórze. Miał wielkie, czarne wąsy i głębokie bruzdy na twarzy. Jego małe, ciemne oczy skrzyły się jak obsydian.

–Credence! – rzucił ostro Bragi. – Wystarczy. – Abaca rozluźnił się i cofnął o krok. Doskonale panował nad sobą. – Dobrze. – Bragi odwrócił się do młodzieńca. – Synu, dopuściłeś się poważnego przestępstwa. Ziemianom wolno nosić broń w pałacu, ale nie mają prawa jej używać. – Wskazał na grupę Marena Dimura, w której tylko Abaca był uzbrojony. – To zaszczyt, nie prawo. Zlekceważyłeś go. Pozbawiłeś się możliwości wyzwania kogokolwiek na pojedynek, łamiąc prawo. Za to przestępstwo grozi kara śmierci. Mógłbym kazać cię powiesić. – Młodzieniec zbladł jak ściana. – Ale to przyniosłoby nam wstyd. Prawdziwymi przestępstwami, z którymi mamy tutaj do czynienia, są głupota, arogancja i kiepscy rodzice. Sierżancie Wortel – warknął na strażnika stojącego najbliżej Abaki.

–Tak, panie?

–Wyprowadź tego chłopca na zewnątrz. Daj mu dwadzieścia batów. Na tyle mocnych, żeby trochę pomyślał następnym razem, gdy jego język będzie szybszy od zdrowego rozsądku.

–Tak jest, panie. – Wortel był zadowolony i wcale tego nie ukrywał. Ten starszy mężczyzna, Wessończyk, dorastał pod trzaskiem nordmeńskich biczów.

Ragnarson więcej nie zwracał na nich uwagi. Młodzieniec dużo pokrzykiwał i groził. Ale gdy uświadomił sobie, że naprawdę zostanie wychłostany, stał się milczący, zbladł i wyglądał na przerażonego.

Bragi stanął przed ojcem młodego człowieka.

Panował nowy ład i nowe prawo. Ziemianie już nie panoszyli się w kraju. Nic nie trzeba było mówić. Nordmeni wiedzieli, że muszą płacić, gdy ich dawne przyzwyczajenia biorą górę.

Niemniej jednak Ragnarson chciał coś udowodnić. Zapytał:

–A może wolałbyś, żeby twój syn był trupem?

–Trupem? – wychrypiał baron.

–Byłby trupem, gdybym pozwolił im walczyć.

–Miałby go zabić jakiś Marena Dimura? – zdziwił się baron z szyderczym uśmieszkiem. – To śmieszne.

–Okłamuj się, jeśli chcesz. Baronie, wziąłem pod uwagę wiek twojego syna. Jest zbyt

młody, żeby mieć jakieś pojęcie o rzeczywistości. Zrobiłem to, co musiałem, żeby go uratować. – Krzyk bólu niósł się echem po dziedzińcu. W oczach barona błysnęła żądza mordy. – Ale pozwolę tobie walczyć z Credence'em. Sądzę, że to ty podpuściłeś chłopaka, więc tak naprawdę ty powinienes walczyć. Credence, wybierz rodzaj broni.

–Noże, panie. Oni nie lubią noży, ci panowie ziemianie.

Jak takie małe usta mogą się rozciągnąć w tak szerokim uśmiechu, zastanawiał się Ragnarson, patrząc na Abacę.

–Baronie? Jesteś gotów?

Nordmen poczerwieniał, chrząknął, rozglądał się, szukając poparcia wśród swoich ludzi. Jeśli nawet jakieś dostrzegł, to było ono wytworem jego wyobraźni.

Wyprostował się i rzekł:

–To raczej nie jest sposób, w jaki dżentelmeni...

–Jacy dżentelmeni? – zapytał Bragi. – Do tego całego zamieszania doszło właśnie dlatego, że nie chcecie uznać pułkownika Abaki za dżentelmena. Dlaczego teraz miałoby się to zmienić? – Nie chcąc, żeby zabrzmiało to zbyt ostro, Ragnarson dodał: – Jedną z podstaw prawa, baronie, jest to, że wszyscy musimy się liczyć z konsekwencjami naszych czynków. Urodzenie już wam nie gwarantuje nietykalności.

Przyznaje wam tylko pewne ograniczone przywileje. Od was z kolei oczekuje się opieki i kierowania ludźmi w waszych lennach. To wszystko jest zawarte w tradycyjnym hołdzie lennym, który sięga czasów Jana Żelaznorękiego. Ty sam składałeś ten hołd trzykrotnie. Staremu królowi, królowej Fianie, a potem mnie. Od ziemian wymagałem zawsze jedynie tego, by stosowali się do niego.

Bragiemu wydawało się, że do ziemianina zaczyna coś docierać. Baron zaczął przejawiać zakłopotanie.

–Zostawmy całą tę sprawę, dobrze? Odeślij swoją rodzinę na kwaterę. Zaczekaj na swojego chłopaka. Każę doktorowi Wachtelowi się nim zająć. Credence, noc spędzisz w koszarach. Później będę miał ci coś jeszcze do powiedzenia. Derel, wnieśmy trochę życia w tę uroczystość.

Gdy baron się oddalił, Ragnarson zapytał:

–Jak mi poszło?

–Całkiem nieźle – odpowiedział Prataxis. Uczony stosował własną metodę zastraszania. Zapisywał każde wypowiedziane słowo. Nordmeni odczuwali niemal zabobonny lęk przed magiczną pamięcią jego zapisków. – Znasz go? Czy może żywić urazę?

–Nie sędzę. Jest po prostu impulsywny. Przeżył wojnę domową. Od tamtej pory nie miałem powodu, by go powiesić. To z grubsza wszystko, czego można się spodziewać po ziemianach. Zrób parę notatek. Zaciśnij pętlę tak jak kiedyś. Podobnie jak zrobiliśmy to w przypadku pana Lindwedela, Anvbura i Captala. Niech to będzie delikatne przypomnienie. I poproś Varthlokkura, żeby Niezrodzony się pokazał. To powinno wystarczyć.

Ragnarson przystanął na chwilę, żeby wziąć wino dla Prataxisa i piwo dla siebie.

–Czasami to takie cholernie przygnębiające. Oto ja, trzeci z kolei monarcha, który wypruwa sobie flaki, żeby w tym kraju dobrze się żyło. A gdy odejdziesz od bram Vorgrebergu dalej niż na strzał z łuku, natkniesz się na te same stare, irracjonalne brednie, z którymi zderzył się czołowo stary Krief w chwili koronacji.

–To jest państwo feudalne, panie. Brak elastyczności to jedna z cech charakterystycznych tego ustroju. I jest to cecha pozytywna, biorąc pod uwagę siły, które działają, aby stworzyć społeczeństwa feudalne. W jego strukturze jest miejsce dla każdego człowieka z jego jasno określonymi obowiązkami i przywilejami. Słabość tego ustroju polega na tym, że mało elastycznie reaguje na nowe koncepcje. Za naszego życia, sięgając czasów Bicza Bożego, który nie zniknął z pola w porze żniw, zostało rozkołysane zbyt wielką ich liczbą. Teraz chce ono zachowywać się jak żółw i schować głowę, dopóki nie minie najgorsze. Tyle tylko że ta burza nie minie. Więc wstecznicy uderzają. Konflikty społeczne to jeden ze skutków.

–Usiłujesz mi coś powiedzieć?

–W królestwie takim jak Kavelin zmiany będą powolne i bolesne. Możesz cisnąć zbyt mocno. Reakcja będzie przypominać powracającą gorączkę. Zamieszalesz raz, wygrywając wojnę domową. Teraz znowu się szykują.

–I nie ma nic, co mógłbym z tym zrobić?

–Ciągnąc dalej tę medyczną analogię, przyłóż kompresy, żeby jak najbardziej złagodzić opuchliznę i uśmierzyć ból.

–Podaj mi przykład takiego kompresu.

–Przesłane prywatnie pojednawcze słowa mogłyby pomóc w przypadku barona. Nie chcesz, żeby myślał, że złośliwie go upokorzyłeś. Połóż nacisk na sprawę ocalenia życia chłopca i zgódź się z uprzedzeniami ziemianina, nie przyznając tego wprost. Ci analfabeci odczuwają ogromny podziw dla magicznej sztuki czytania i pisania. Będzie pod ogromnym wrażeniem, jeśli poświęcisz czas, żeby napisać list.

Ragnarson gwizdnął bezgłośnie.

–Ja chciałem go upokorzyć. Chciałem, żeby wisiał, aż sześcinnie. Czasami przez ziemian chce mi się płakać. Tak, napisz mi jedną z tych swoich króciutkich notek. Przepiszę ją własnoręcznie i każę Dahlowi ją przemycić.

Wpadł na kogoś. Wino wylało mu się z kielicha. Spojrzał w dół.

Patrzyła na niego przyjaciółka jego synowej. Po chwili szybko, nerwowo dygnęła.

–Przepraszam, Wasza Wysokość. Ale ze mnie niezdara. – Mówiła wysokim głosem. Odrobinę piskliwym. To nie był jej normalny głos. Ten słyszał w domu w alejach Lieneke. Była podenerwowana. W jej oczach widać było przerażenie.

–Proszę przyjąć moje przeprosiny, panienko. To moja wina. Nie patrzyłem, dokąd idę.

Odszedł zamyślony. Czy obawiała się mężczyzny? Przerażało ją to, że był królem? Czy bała się samej siebie?

Niech cię diabli porwą, Kristen. Masz niewyparzoną gębę.

Derel znowu zaczął mówić. Bragi nakazał sobie skupić się na jego słowach. Gdy Prataxis skończył, powiedział:

–Poślij wiadomość Michaelowi, żeby się ze mną skontaktował. Musimy porozmawiać.

Rok 1016 OUI Decyzje Ragnarson siedział z jedną nogą wyciągniętą na małym, kwadratowym stoliku. Miał zamknięte oczy. Śnił na jawie.

Po jego lewej stronie zasiadał Varthlokkur. Z ust czarodzieja wystawał koniuszek języka. Powoli spod jego pióra wylaniał się rysunek.

–Wspomnienia są wystarczająco wyraźne – powiedział do siedzącego naprzeciwko niego Prataxisa. – Jednak żaden ze mnie artysta.

Rysunek to potwierdził. Przedstawiał twarz mężczyzny. Ale jakiego?

–Może lepszy byłby węgiel drzewny, który można rozetrzeć – zasugerował Prataxis.

–Lepszy byłby artysta, który potrafiłby pracować na podstawie moich opisów.

Czarodziej i uczony bawili się ilustrowaną historią Upadku. Varthlokkur był ostatnim żyjącym uczestnikiem tych wydarzeń. Najpoważniejsza obszerna praca na temat tej epoki, Czarodzieje Ilkazaru, była żarliwą antyimperialną propagandą. Historyk Prataxis ilekroć jego drogi krzyżowały się z drogami czarodzieja, odgrzebywał wspomnienia i przelewał je na papier. Był przekonany, że powtarzanie dawnych kłamstw jest grzechem.

Ostatni król Ilkazaru zabił matkę Varthlokkura. W zemście Varthlokkur zniszczył imperium.

–Nie potrafię oddać prawdziwego wyglądu tego człowieka – narzekał czarodziej. – Chciałbym móc bezpośrednio odcisnąć na papierze myśl.

Ragnarson chrząknął jak stary wieprz obudzony przez świniopasa.

–A dlaczego nie? Chodzą słuchy, że dobry czarodziej może myślą wywołać obrazy w misach do wróżb. Więc przywołaj swoje wspomnienia tych czarodziejów i królów z dawnych czasów. A artysta niech namaluje to, co zobaczy w misie. – Pociągnął nosem, kichnął, poszukał chusteczki. Był właśnie po następnej grze w captures w dżdżysty dzień, rewanż z Panterami. Gra była długa i pozostawiła po sobie zabójcze przeziębienie. Pantery wygrały, pięć do czterech, spornym punktem. Sami sędziowie nadal się kłócili.

Varthlokkur i Prataxis wymienili spojrzenia.

–Czy to by zadziałało? – spytał uczony.

–Może – marudził Varthlokkur. Obrzucił króla złym spojrzeniem. Gniewało go, gdy jakiś laik pouczał profesjonalistę.

Otworzyły się drzwi. Do środka wkroczył Dahl Haas. Przyjąwszy sztywną postawę na baczność, obwieścił:

–Gjerdrum Eanredson, Wasza Wysokość. – Lekki grymas przemknął przez jego twarz. Nie był zadowolony z nazbyt swobodnej pozy, jaką przyjął król.

–Dawaj go tu, Dahl.

Gjerdrum zajął wolne krzesło. Na jego przystojnej twarzy Wessończyka widoczna była konsternacja. Ragnarson usiadł prosto.

–To wszystko, Dahl. Pilnuj, czy ktoś się nami zbytnio nie interesuje.

Haas wycofał się, wyraźnie urażony, że nie poproszono go, by został.

–O co chodzi? – zapytał Eanredson.

Ragnarson zaczął obcinać sobie paznokcie małym nożykiem. Prataxis zmarszczył nos.

–Piętrzą się dziwne sprawy. Doszedłem do wniosku, że nadszedł czas, byśmy podjęli jakieś kroki.

Eanredson przeczesał ręką włosy. W pokoju było gorąco.

–Długo o tym myślałem – kontynuował Bragi. – Uznałem, że jesteście jedynymi ludźmi, którym mogę teraz ufać. Stąd ta narada wojenna. Postanowimy, co robić. – Wytarł nóż o spodnie. – No dobra. Macie jakieś pytania?

Zdumiony Gjerdrum zapytał:

–Jakiego rodzaju problemy? Myślałem, że jesteśmy w całkiem niezłej sytuacji. – Niewiele uwagi poświęcał polityce.

–To długa lista, Gjerdrum. Zebrałem wszystkie kłopoty w trzy grupy, po czym oceniłem, jak wielu ludzi dotkną. I tak, obszar pierwszy: Mgła, Arał i ich kohorty prawdopodobnie spiskują, by Mgła odzyskała tron. Jeśli im się to uda, problem numer dwa może zniknąć. A jest to Hammad al Nakir, gdzie dzieją się dziwne rzeczy. Chodzi mi głównie o manipulacje Hsunga. Wydaje się, że próbuje obejść naszą flankę, robiąc marionetkę z Pawiego Tronu. Trzeci problem jest natury ogólnej. Sukcesja. W chwili obecnej nie wydaje się to istotne. Jestem zdrow. Ale ktoś może wbić mi nóż w plecy, tak jak zrobiono to Liakopulosowi. A wtedy co? Wojna domowa? Gjerdrum, gdybym dzisiaj wieczorem wykitował, co zrobiłaby armia?

–Nie wiem. To nie jest coś, nad czym się zastanawialiśmy. Poparlibyśmy tego, kogo wybrałoby Zgromadzenie, jak sądzę.

–A gdyby tym kimś był ktoś z ziemian? Ktoś z dawnej szkoły. Pogodzilibyście się z tym? A Credence? Marena Dimura trzeba brać pod uwagę.

–Nie wiem, jak ja bym postąpił. Credence uszedłby do lasu. Walczyłby.

–Jeden z twoich synów byłby naturalnym kandydatem, nawet jeśli nie jest to ustanowione prawem – stwierdził Varthlokkur.

–Ale ja mam trzech synów. I wnuka. Który z nich? Wnuk jest pierworodnym mojego najstarszego, jeśli uznajecie taki sposób sukcesji. Gundar to najstarszy z moich żyjących synów. Gdy rodził się Fulk, jego matka była królową. Elana zaś była żoną jeszcze zwykłego żołnierza. Ainjar się nie liczy, ponieważ jest ostatni w kolejności.

–Wszyscy są niepełnoletni. A to oznacza regencję – zauważył Prataxis.

–Wiem. A to oznacza dodatkowe zmartwienia. Główny problem to kwestia zaufania. A co z Itaskiańczykami Inger? Czy są piątą kolumną? Inger mogłaby zostać regentką. A Michael? Co on by zrobił? Dalej mamy Abacę. I ziemian. I Danlicc'a, Mundwillera i cały ten tłum. I człowieka, kimkolwiek on był, który usiłował zamordować Liakopulosa i upuścił tę kartkę, którą znalazłem. To są ludzie, których stanowiska w tej sprawie nie znamy. Chcę ustalić wytyczne postępowania. Gdy umrę, będzie droga, którą będzie można pójść.

–Jeszcze jakiś czas pożyjemy – powiedział Eanredson.

–Oczywiście – zgodził się Bragi. – Derel, ty i ja rozmawialiśmy o tym. Miałeś czas się zastanowić.

–Problemy są wzajemnie powiązane. Jeśli rozwiążesz jeden, pozostałe staną się mniej dotkliwe.

–Wiem. Wybierzmy zatem któryś i do roboty.

–W takim razie sukcesja. Działania Hsunga to nic pilnego. To kwestia uboczna. Shinsan jest zajęty gdzie indziej. Może co najwyżej coś tam sobie pomajstrować. Musi mieć wolne ręce, by pomóc Kuo, jeżeli ta sprawa z Matayangą pójdzie źle. A Mgła będzie tu długo.

–Nigdy nie będzie bardziej sprzyjającego czasu, Derel. Shinsan ma poważne kłopoty. Gdy uderzą na Matayangę, Kuo wyjdzie z lasów. Może osłonić swoją dupę. A ja chcę mu przyłożyć, gdy można zrobić mu krzywdę.

Prataxis wzruszył ramionami.

–To ty jesteś królem. Ale uregulowana sprawa następstwa tronu, z wyznaczonym regentem włącznie, naprawdę przyniesie więcej pożytku.

–Gjerdrum?

–Czułbym się lepiej, gdybym wiedział, kto przejmie władzę. A Hammad al Nakir? To obszar działania Michaela.

–A co z Mgłą? – Ragnarson powziął już decyzję. Był rozczarowany swoimi ludźmi. Nie dostrzegają, jak ważne jest osłabienie Shinsanu. Nawet Derel, który tak niedawno doradzał mu, żeby podjął grę Hsunga.

–A co ona może zmienić? – zapytał Gjerdrum. – Przepraszam, kasztelanka jest pańską przyjaciółką. Ale nie ma powodu wierzyć, że będzie mogła lub chciała zmienić historyczne imperatywy Shinsanu.

–Historyczne imperatywy? Wykształcony chłopczyk. Varthlokkurze?

–Nie lubię Shinsanu. – Czarodziej przyglądał się uważnie koniuszkom swoich palców. – Lord Kuo jest zagadką. Jego zwolennicy również pozostają nieznani. Mgłę znamy.

Prataxis chciał zaprotestować.

–Moment, dobra? – warknął Varthlokkur. – Wydaje mi się, że mam większą wiedzę na ten temat.

Prataxis ustąpił. Ragnarson wyprostował się na krześle.

–Gdy nie udało mi się znaleźć człowieka, który dokonał zamachu na generała, zacząłem codziennie sporządzać wróżby. Zabierało mi to tyle czasu, że moja żona zaczęła twierdzić, że ją zaniedbuję. Zawsze staram się robić co w mojej mocy. Zbliża się jednak czas jej rozwiązania. Nie będę w stanie dłużej pomagać.

–Powiedz nam, dlaczego nie martwi cię sprawa sukcesji? – zapytał Prataxis.

–Czy ja powiedziałem coś takiego? Nie wydaje mi się.

–Nie oczekujemy od ciebie, że będziesz zaniedbywał Nepanthe – wtrącił Bragi. – Mówiłeś coś o wróżbach...

Na twarzy Varthlokkura pojawił się jeden z jego charakterystycznych przerażających grymasów. Każdy przypadkowy przechodzień straciłby przytomność. Ragnarson tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu, chociaż żołądek mu się wywracał.

–Wróżby. Te przeklęte wróżby są tak niewiarygodne jak zwykle. W tym tygodniu poświęciłem na nie ze sto godzin... No, powiedzmy dwadzieścia pięć, może

trzydzieści. Niewiele się dowiedziałem, ale mogę wam powiedzieć, że król będzie żył jeszcze za pięć lat od dzisiaj. To był tylko przeblysk, ale wyraźny.

Derel uniósł brwi.

–Jesteś pewny?

–Czy właśnie tego nie powiedziałem?

–Spokojnie – rzucił Ragnarson. – Cholera, robisz się drażliwy, Varthlokkurze.

Więc będę żył jeszcze pięć lat. Dobrze wiedzieć.

–To nie znaczy, że będą to szczęśliwe lata. Wiadomo tylko, że je przeżyjesz.

–A więc będą złe?

–Nie wiem. Wróżba po prostu ukazała cię z mieczem w ręku. Był letni dzień za pięć lat. Wokół ciebie leżeli martwi ludzie. Na twoim mieczu była krew. Uśmiechałeś się tym wilczym uśmiechem, który pojawia się na twojej twarzy podczas walki. Twój hełm był roztrzaskany. Wystawało spod niego mnóstwo siwych włosów.

–A ja wiem, kto mi ich przysporzy. Czy to rozprasza twoje wątpliwości, Derel?

Prataxis skubał brodę.

–Potrzebuję malarza, który namalowałby dla mnie tę scenę. Jeśli będziemy prowadzić wojnę...

–Bogowie, oszczędźcie mi... – mruknął Ragnarson.

–Może zawierać szczegóły, które pomogą nam się przygotować...

–Derel, odpowiedz mi „tak” albo „nie”. Czy zgodzisz się ze mną co do Mgły, wiedząc, że jeszcze trochę pożyję?

Prataxis chrząkał i jąkał się.

–Tak, panie – wymamrotał w końcu.

–Dobrze. Chyba nie bolało? Teraz zamierzam zapytać Gjerdruma. Poczekaj na swoją kolej. Gjerdrum?

–W moim przekonaniu wróżby są zdradliwe, panie. W czasie wojny wszyscy szukali tej Włóczni z Odessy Khomer, która stale pojawiała się we wróżbach. A okazało się, że ta przeklęta rzecz to proporczyk, którego użył jakiś dzieciuch z lwy Skołowdy, ponieważ nie miał nic innego.

Ragnarson walnął pięścią w stół. Kałamarz Varthlokkura przewrócił się. Atrament rozlał się na dębowy blat. Król i czarodziej zderzyli się, starając się go z powrotem postawić. Plama się powiększała.

–Niech to szlag trafi. – zagrzmiał Ragnarson. – Dlaczego nikt nie może mi udzielić jasnej odpowiedzi? Znam te wszystkie cholerne argumenty. Właśnie to zamartwianie się takimi pierdołami nie pozwala nam działać. Musimy powiedzieć: do diabła z tym, postanowić, co zrobić, a potem to wykonać. Gjerdrum, chcę usłyszeć „tak” albo „nie”. Zrozumiano? Czy pracujemy nad Shinsanem? Czy mogę liczyć na ciebie i na armię?

Gjerdrum westchnął.

–No dobrze. Ale...

–Żadnych ale. Nie teraz. To właśnie chciałem wiedzieć. Poszukam Dahla.

Zabawiajcie się tymi „jeżeli”, „a” i „ale”, gdy mnie tu nie będzie. Rozwiążemy problem, gdy wrócę. – Wstał. Z nachmurzoną miną powiedział: – Poślę po atrament i

papier. – Prataxis ocalił swoje notatki, ale czysty papier został zniszczony. – Chcę to szybko ostatecznie ustalić.

Bragi wyszedł na korytarz.

–Dahl? Gdzie się, do cholery, podziewasz? Co się stało z Haasem? – zapytał strażnika.

–Był tu przed chwilą, panie. Nie mógł odejść daleko. O, tam jest.

–Panie? Wołałeś mnie?

–Tak. – Powiedział Haasowi, co ma załatwić. Gdy to mówił, Josiah Gales wyszedł z za drzwi w korytarzu i szybko się oddalił.

Bragi zwrócił się do strażnika.

–Co tutaj robi Gales? Czy ma wartość?

–Nie wiem, panie. Nie. Ma ją sierżant Wortel. Gales ma w tym tygodniu służbę od szóstej do północy.

–Hmm... Zastanawiające. Dahl, ruszaj się. – Wysłał strażnika po atrament i papier, a potem sprawdził pokój, z którego wyszedł Gales. Nie znalazł nic niezwykłego.

Kristen bolały nogi od kucania za żywopłotem. Ile to będzie trwało? Sherilee była tam od ponad godziny. To już nie było zabawne.

W żywopłocie otaczającym posiadłość Mgły pojawiła się twarz przyjaciółki. Sherilee

popatrzyła w górę i w dół alei Lieneke i nagle ruszyła z miejsca. Chwilę później stanęła przy Kristen.

–Tam jest tervola! – sapnęła. – Kris, miał głos jak diabeł. Przypominał paskudny wiatr, który rozwiewa stare suche liście. Jakby był martwy albo coś w tym stylu.

–O czym rozmawiali?

–Nie wiem. To nie miało sensu. O tym, jak król ma im pomóc... Auć!

Kristen szarpnęła ją mocno w dół.

–Ktoś wychodzi.

Powóz podjechał pod dom i zaczekał na starszego, dobrze ubranego, postawnego mężczyznę. Ten pykał fajkę i leniwie, ale uważnie rozejrzał się wokół, zanim wsiadł do pojazdu.

–Kto to był? – zapytała Sherilee.

–Cham Mundwiller.

–Ten z Sedlmayr? Który pomógł królowi w czasie wojny domowej?

–Tak.

–Jak on mógł się tak zmienić?

Kristen roześmiała się cicho.

–Ludzie się zmieniają. Znałam dziewczynę, która była szaleńczo zakochana w facecie o imieniu Hanso. A potem zadurzyła się w pewnym żonatym mężczyźnie.

–Kristen! Wcale nie.

–Jak uważasz, kochana. Biegnijmy do domu. Gundar może spisać to, co pamiętasz. Jeden ze służących zanieś wiadomość do pałacu.

Po jakichś dziesięciu krokach Sherilee zaproponowała:

–Ja mogę zabrać list. I tak idę do miasta. Kristen objęła przyjaciółkę.

–Wiesz, wydawało mi się, że to powiesz.

Gales przemierzał pałacowe korytarze, mamrocząc do siebie.

–Gales. Będziesz kiedyś bogaty. Tak. Bogaty. Wyrwiesz się z tego durnego interesu. Tak, bogaty. Gales, głupcem to ty nie jesteś na pewno. – Wydawało się, że ma wzrok utkwiony w podłodze jakieś trzy kroki przed sobą, ale rzucał szybkie, ukradkowe spojrzenia na boki. Minął zakręt i ciężkim krokiem podszedł do żołnierza stojącego przed drzwiami do apartamentów królowej.

–Mam list dla Jej Wysokości, Toby – powiedział. – Dopiero co przyszedł z północy. – Wyjął spore skórzane etui zapięte na paski i sprzączki i opatrzone dużymi, woskowymi pieczęciami.

–Dobra. Zaczekaj chwilę, Sarge. – Toby zastukał do drzwi. Jakaś kobieta natychmiast otworzyła. Zamienili kilka słów. Żołnierz zamknął drzwi. Miał trochę zdziwioną minę.

–Co jest? – zapytał Gales.

–Nie wiem. Chce powiedzieć o tym królowej, zanim go odbierze.

Gales wykonał gest, jakby się poddawał.

–Kobiety. Toby, pojąłeś kiedykolwiek coś takiego jak kobieta? Mężczyzna musi być skończonym głupcem, że się z nimi zadaje. Tak. Skończonym głupcem. A wiesz co, Toby? Mnie się to podoba. No. Czy to nie draństwo? Mężczyzna chce być głupcem. Tak.

Toby wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Nie ma lepszego sposobu, Sarge, zawsze to mówię.

Gales odpowiedział uśmiechem.

–Polubiłbyś mnie, Toby. No. Być głupcem, skończonym głupcem. No. Mam teraz sześć kobiet. Nie nabieram cię. Sześć kobiet.

Drzwi się otworzyły. Toby odwrócił się zbyt szybko, żeby dostrzec błysk w oczach Galesa. Poszeptał z kobietą i jeszcze bardziej się zdumiał. Powiedział sierzantowi:

–Królowa chce, żebyś wręczył jej list osobiście.

Gales westchnął dramatycznie.

–No tak. I zrób dobry uczynek... – mruknął na tyle tylko głośno, żeby usłyszał go Toby. – A ja mam nocną wartę. Dobra.

Toby otworzył drzwi. Gales przeszedł przez nie i ruszył za kobietą do komnaty, w której oczekiwała go królowa. Siedziała przy małym biurku, ubrana w koszulę nocną w odcieniu głębokiej zieleni. Gales pomyślał, że dobrze jej w tym kolorze.

–Wasza Wysokość. – Złożył ukłon.

–Możesz odejść, Thelmo – powiedziała królowa do damy. Oczy kobiety rozszerzyły się w zdumieniu.

–Pani?

–Zostaw nas.

–Ale...

–Słyszałaś, co powiedziałam. Zmykaj. Sierzancie, masz dla mnie list?

Kobieta zamknęła za sobą drzwi.

–Czy to rozsądne? – zapytał Gales.

–On już nic zwraca uwagi na to, co robię. Ale zacznie, gdy tylko wrócę do rodzinnego domu. – Wsunęła przesyłkę za koszulę na piersiach. Nic w niej przecież nie było.

–Oczywiście jestem do usług Waszej Wysokości, ale myślę, że błędnie pani ocenia Jego Wysokość.

Wykonała pojednawczy gest.

–Przepraszam, Josiah. To przez to napięcie. – Obdarzyła go jednym ze swoich zniewalających uśmiechów. – Czego się dowiedziałeś?

–Nie wszystko byłem w stanie zrozumieć, ale wygląda na to, że król chce wystąpić

przeciwko Shinsanowi.

–Jak?

–Pomagając tej kobiecie, Mgle, odzyskać tron.

–Tylko tyle? Dlaczego więc tak ukrywał to spotkanie?

–Rozmawiano trochę o sprawie następstwa tronu. Potem czarodziej powiedział, że wróżby zapewniają, iż Jego Wysokość będzie żył jeszcze kilka lat. Rozmawiali też o Hammad al Nakirze oraz o tym, gdzie podziwia się Michael Trebilcock.

–Sama się nad tym zastanawiam, Josiah. To niebezpieczny człowiek. Godny wnikliwej obserwacji.

–Dobrze. Gdy tylko dowiemy się, gdzie jest.

–Ta sprawa ze wschodem. Skomplikuje to sytuację, prawda?

–Trochę. Prawdopodobnie znowu zaczną działać wspólnie. I to może być plan króla.

–W takim razie podejźmy do tego staranniej. Popelniliśmy kilka poważnych błędów. Mieliśmy szczęście. Nie możemy ich powtórzyć, bo wpadniemy w pułapkę.

–Jest już za późno, żeby przestać...

–Wiem. Musimy żyć, mając świadomość ryzyka.

Gales lekko się skłonił. Ociągając się, zaczął wycofywać się w kierunku drzwi. Charakterystyczny uśmiech pojawił się na ustach Inger.

–Coś jeszcze, Josiah?

Czy ośmiela go, żeby zrobił z siebie głupca?

–Uh... – Myślał szybko. Lepiej okazać się małym głupcem niż wielkim. – Gdy ostatnio rozmawialiśmy, oskarżyłaś Jego Wysokość o to, że ma kochankę. To nieprawda. Sprawdziłem to.

Inger roześmiała się.

–Och, dziękuję ci, Josiah. Dziękuję ci, skarbie. Nie o to mi chodziło. Jego kochanką jest ten śmieszny kraik, nie jakaś dziwka z tawerny. Lepiej idź, zanim Thelma uzna, że warto o nas poplotkować. Nie zapomnij o Trebilcocku.

–Nie zapomnę, pani.

Gdy Josiah Gales mówił takim tonem, nie było żadnej wątpliwości, że mówi to, co myśli.

Rok 1016 OUI Podróż Michaela Po obejrzeniu zwłok zamachowca i przesłuchaniu rannego generała Michael poszedł na spacer po parku otaczającym zamek Krief. Podczas dwóch długich okrążeń powtórzył sobie wszystko, co wiedział, co uważał, że wie, i co podejrzewał. Miał doskonałą pamięć. Rzadko musiał zwracać się do nielicznej grupy współpracowników, których zatrudnił do prowadzenia archiwum.

Miał pewne podejrzenia. Były to mroczne przypuszczenia, zmierzające w dziwnym kierunku. Nie miał jednak żadnych poważniejszych dowodów od intuicji. A z nią nie mógł iść do króla.

Miał świetny pomysł, gdzie można znaleźć dowód. Jeżeli taki w ogóle istnieje. Nie wrócił na zamek. Uważał, że będzie najlepiej, jeśli zniknie. Musiał zająć się tym osobiście. To była delikatna sprawa. Najlepiej byłoby, gdyby nikt nic nie wiedział, dopóki nie będzie miał jakiegoś konkretnego dowodu.

Udał się do miasta, do apartamentu, z którego nieczęsto korzystał. Jego właściciel mieszkał na terenie nieruchomości. Był weteranem i człowiekiem godnym zaufania. Jego powiązania z Michaeliem Trebilcockiem były tajemnicą, o której nie wiedział nikt poza nimi dwoma. Tam Michael zgromadził niezbędne zapasy i wyposażenie. Stamtąd rozpocznie swoją podróż.

Trebilcock powziął to postanowienie podczas przesłuchania Liakopulosa. Poszukiwanie zamachowców nie miało sensu. Jego ludzie nie utrzymywali żadnych kontaktów z ich panami. W przeciwnym razie zostałby wcześniej ostrzeżony.

Był pewny swojej organizacji.

Przebrał się za jeźdźcę pocztowego. Dwa dni później przekroczył granicę i wjechał do Tamerice. Po kolejnych dwóch dniach dotarł do domu znajomego z czasów wojny, kupca o nazwisku Sam Chordine. Regularnie wyświadcza im przysługi.

System Michaela opierał się na wymianie przysług oraz na jego zdolności do przekonywania ludzi, że to, czego chce, jest prawe i konieczne.

Chordine przygotował ucztę, chociaż był środek nocy. Nie zadawał żadnych pytań, dopóki Michael dobrze nie podjadł, a potem zapytał tylko:

–Ile to już czasu? Michael czknął.

–Przepraszam. Tuż po Palmisano?

–Nie. Musiało być później. Pamiętam cię z przełęczu.

–A to na pewno w Kavelinie.

–Tak. Pamiętam. Koronacja króla Bragiego. Trebilcock wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Nie przypominaj mi tego. Samo wspomnienie przyprawia mnie o ból głowy.

Ciągle jeszcze

dowiaduję się, co robiłem tamtej nocy.

–Nie pamiętam za dobrze tego, co było po koronacji. Pamiętam, że ty i ten twój gruby przyjaciel – chyba Karał – próbowaliście zaciągnąć mnie do jakiegoś lokalu zwanego U Grubasa.

–Aral. Aral Dantice. Nie poszedłeś. Król musiał kazać Prataxisowi nas wykupić. – Michael zachichotał na to wspomnienie. – Nie wiesz, co to pogarda, jeśli nie widziałeś

tego uczucia malującego się na twarzy rebsameńskiego uczonego.

–Co cię sprowadza w te strony?

–Chciałbym powiedzieć, że tylko odwiedziny przyjaciela, ale byłoby to kłamstwo.

Przytyłeś chyba parę kilo?

–O parę za dużo. Nie mam za wiele ruchu. Interes idzie mi cholernie dobrze. Mogę sobie pozwolić na jedzenie tego, co lubię. I to właśnie robię. Czego potrzebujesz?

–Masz coś, co idzie do Hammad al Nakiru? Kierując się do Al Rhemish?

–Co tydzień idzie karawana przez Słupy. Towary luksusowe. Chcesz tam coś posłać czy coś stamtąd wydostać?

–Kogoś. Mnie.

–Mhm! – Chordine zamknął świńskie oczka i wydał grube wargi. Michael czekał.

Po pewnym czasie Sam zapytał: – Ma jakiś sens, żebym pytał po co?

–Możesz pytać. Nie obiecuję, że odpowiem.

–A więc tak to wygląda. Dobra. Zobaczę, co się da zrobić. Czasami najmuje kogoś. Ludzie Megelina nie zwracają na to większej uwagi.

–Doceniam to, Sam.

–Ty też za to zapłacisz. Pewnego dnia stary Sam zacznie egzekwować długi.

–Wydaje mi się, że jeden już odebrałeś...

–Masz na myśli tę ciężką przeprawę z tamtą kobietą? To przecież nie to samo, Michael.

–Wiele wysiłku wymagało przekonanie jej, że powinna udać się na zachód, zamiast uciąć sobie pogawędkę z twoją żoną, Sam. Przez całą drogę piszcziała i protestowała. Mój człowiek niemal skończył na stryczku. Nie wspominając już o kosztach.

–Mam wrażenie, że tamten rachunek zapłaciłem, Michael. – Chordine wyszczerzył zęby. – Ale i tak dzięki. Sądzę, że będziemy kwita, jeśli ci pomogę.

–Dopóki twoja kolejna dziewczyna nie będzie przy nadziei.

Chordine przetrząsał resztki potraw na stole, wynajdując smakowite kąski, które poprzednio przeoczył.

–Mam nadzieję, że jesteś w nastroju do ciężkiej pracy, chłopcze. Będziesz musiał zrobić swoje. I będziesz musiał wrócić stamtąd z tą samą karawaną.

Michael przymknął jedno oko i uniósł brew nad drugim.

–Sam, twoje serce jest tak czarne jak brama piekieł. Chordine odpowiedział z udawanym zdumieniem.

–Moje serce? O co ci chodzi, do diabła?

–Czytam w tobie jak w otwartej księdze. Właśnie w tej chwili obliczasz sobie, ile tygodniówek konwojenta zaoszczędzisz. Gdy tylko zniknę ci z oczu, będziesz zacierał ręce z radości.

Chordine wybuchnął potężnym, głębokim śmiechem.

–I pobiegnę do swojego skarbcza, gdzie będę oddawał cześć workom złota. Tak to jest, Michael, przyjacielu. Tak to jest. Tyję nie tylko na ten jeden sposób. Pokażę ci twój pokój. Potrzebujesz czegoś? Mam taką malutką pomywaczkę, która przypadnie

ci do gustu. Niezbyt bystra, ale co to ma do rzeczy? Nadrabia to zapalem.

–Zobaczmy, Sam. Nie przysyłaj jej. Załatw tylko, żeby nasze drogi się spotkały. Zobaczymy, jak zareaguje ciało.

–Michaelu, jesteś taki sam jak ja. Taki sam. Wytlumacz mi, dlaczego w ogóle popełniłem takie głupstwo jak ożenek. Zdrowy rozsądek mówił mi, żeby trzymać się z dala od tej przeklętej alkowy, ale czy go posłuchałem? Cholera, nie. Musiałem mieć tę kobietę, a to był jedyny sposób. Zachowywała się, jakby siedziała na kopalni złota. Od tamtej pory to ja płacę złotem. Za piryt. Gdybym tak jak ty był młodym kawalerem, możesz się założyć o swoją słodką dupę...

–Jak tam twoje dzieci? – Pod koniec wojny Chordine miał siódemkę, w tym dwa razy bliźnięta. Same dziewczynki.

–Ach, Michael, przyprawiają mnie o rozpacz. Wykończą mnie. Gdy człowiek ma jedenaście córek, a starsze już rozkwitają, każdy łobuz w promieniu tysiąca mil staje w jego drzwiach. Do czego to doszło na tym świecie? Czy młodzi nie myślą o niczym innym? Było już tak źle, że nająłem strażników, żeby pilnowali mojego łańcucha pereł. I co się dzieje? Muszę pogonić tych przeklętych strażników.

–Powinieneś był nająć amazonki.

–Tak. – Chordine uśmiechnął się szeroko. – Pulchne malutkie lalunie, pięć stóp wzrostu. Rudowłose i napalone.

Michael się uśmiechnął.

–Myślę, że się przekimam, Sam. Rozwiążemy twoje problemy rodzinne jutro.

Trebilcock lubił Chordine'a – w niedużych dawkach. Oczekiwanie na karawanę doprowadziłoby go do szału, gdyby nie zabawił się z tą pomywaczką. Starsze córki Chordine'a wcale nie ułatwiały mu życia. Miały takie same apetyty jak ich ojciec, a nie było w nich nawet śladu nieśmiałości.

Odetchnął z ulgą, gdy przyłączył się do karawany.

Na jego prośbę podróżowali szybciej, niż było to przyjęte czy też dobre dla zwierząt, a wszystkie niosły bukłaki wina. W kraju, w którym wino było obłożone religijnym zakazem,

jego sprzedaż przynosiła dodatkowy zysk.

Napitek miał być dostarczony poddanym Megelina. Chordine minął celników, płacąc zwyczajowy „podatek od kontrabandy”, który lądował w sakiewkach inspektorów. Kolumna wkroczyła do Hammad al Nakiru dzień przed planowanym przybyciem, a do Al Rhemish dotarła trzy dni wcześniej. Michael uznał, że da mu to dodatkowe trzy dni na myszkowanie.

Trebilcock bywał na pustyni, ale nigdy w stolicy tego pustynnego kraju. Pierwszy rzut oka sprawił go w zdumienie.

Al Rhemish było położone na dnie wielkiej, przypominającej krater misy, otoczonej jałową, rozległą okolicą. Po przemierzeniu połaci pustkowi, gdy przekroczył wzgórza otaczające miasto i ujrzał tak wiele zieleni, przeżył wstrząs.

Samo Al Rhemish leżało na wyspie otoczonej wodami płytkiego jeziora. Jedna wyłożona kamieniami droga biegnąca groblą łączyła święte miasto ze stałym lądem. Wewnętrzne zbocza „misy” pokrywały sady cytrusów, pastwiska, gaje oliwne i

niezliczone małe ogródki warzywne. Kanał nawadniający zaczynał się w najwyższym punkcie murów i spiralą niespiesznie opadał w dół do jeziora, okrążając „misy” trzykrotnie.

Michael zatrzymał się i chłonął ten widok. Otarł pot ze spalonej słońcem twarzy. Był nienaturalnie bladym mężczyzną. Jasna karnacja kiepsko mu służyła w palącym pustynnym słońcu.

–Ruszał się – warknął główny karawaniarz. – Obejrzyj sobie, co będziesz chciał, gdy tam dotrzemy.

–Skąd bierze się ta woda?

–Z Kapenrungów biegnie w dół akwedukt. El Murid go zbudował. Za czasów mojego ojca tam także była pustynia. Megelin chciał zburzyć akwedukt. Chciał obrócić w ruinę wszystko, co zbudował El Murid. Kapłani powiedzieli mu, że obłożą go klątwą. Jego generałowie zapowiedzieli, że go opuszczą. – Karawaniarz wskazał rząd pomników na odległej krawędzi „misy”. Z miejsca, w którym Michael siedział na swoim koniu, ledwo można było je dostrzec. – Faktycznie zaczął burzyć Stele Nieśmiertelnych, ale Beloul i El Senoussi zmusili go, by przestał.

–Jak one wyglądały?

–To były obeliski. Z wyrytymi nazwiskami ludzi, którzy oddali życie za ruch El Murida. Otaczają groby jego żony i syna. Ludzie mówią, że jest jeszcze jeden rząd w Sebil el Selib, zwany Stelami Męczenników.

–Mhm. – Michael popędził swojego wierzchowca. Większość tych rzeczy wiedział już wcześniej, ale słuchać lub czytać o wirach historii to nie to samo, co zobaczyć ich skutki na własne oczy. Trzymał się obok głównego karawaniarza, gdy zjeżdżali w dół długim zboczem do drogi na grobli. – Jakieś sugestie? – zapytał.

–Niezbyt wiele, synu. Nie wiem, co zamierzasz. Tyle ci powiem. Nie wychylaj się. I uważaj,

co mówisz. Ludzie tutaj nie są szczególnie tolerancyjni. Megelin rządzi, siejąc postrach. Nie cieszy się już większym poparciem, więc ostro traktuje tych, którzy go krytykują. Postaraj się przestrzegać prawa. Nie uznają jego nieznajomości za wytłumaczenie. Myślę, że to trwa od czasów El Murida. Twardziel był z tego starucha.

Michael słyszał, jak jego król wspominał wojny El Murida. Podziwiał idealistycznego El Murida sprzed dwudziestu pięciu lat. Sam był zbyt młody, by mieć z tamtych czasów wyraźne wspomnienia.

–Szkoda, że ten człowiek zwariował – powiedział.

Karawaniarz uniósł brwi.

–El Murid? On zawsze był szurnięty. Chodzi ci o to, że uzależnił się od opium? To właśnie go zniszczyło. Nie był tak do końca zły. Nie dla tej pustyni. Fatalnie, że chciał zmienić resztę świata.

Dotarli do drogi na grobli. Michael zobaczył pływające w wodzie ryby. Od strony wyspy zachowały się jeszcze jakieś zatoczki z plamami wodnych lilii i maleńkimi, barwnymi ogrodami, które je otaczały. Wiele z tych ogrodów stało się zagonami chwastów. Okazałe domy, zbudowane w jedynym w swoim rodzaju eklektycznym

stylu architektury zachodniej, pustynnej i imperialnej, stały wzdłuż nadbrzeża. Michael przypuszczał, że należały do bardziej wpływowych zwolenników Ucznia, a dostały się poplecznikom Megelina, gdy El Murida przepędzono ze świętego miasta.

–Bywasz tutaj dosyć regularnie. Jak oceniasz zdolność przetrwania Megelina? Dokąd będzie zmierzała jego polityka za następnych kilka lat?

Karawaniarz uśmiechnął się lekko.

–Synu, w ciągu ostatnich kilku dni zadałeś mi to pytanie na sześć różnych sposobów. Dlaczego nie zapytasz wprost o to, co cię interesuje? Nie ma żadnej gwarancji, że będę mógł udzielić ci odpowiedzi albo że będę chciał to zrobić, ale to owijanie w bawełnę do niczego cię nie doprowadzi. Uważaj na nich. Ja jestem po twojej stronie.

Michael zastanawiał się nad tymi słowami, gdy karawana opuściła drogę na grobli i zaczęła wędrować wijącymi się jak węże ulicami.

–Dobrze. Przyjechałem, żeby dowiedzieć się paru rzeczy. Większość z nich poznam dzięki obserwacji. Jedną ze spraw, co do których chcę mieć pewność, jest to, czy tajemniczy czarodziej, być może o nazwisku lord Norath, związał się z Megelinem.

Karawaniarz odwrócił się powoli. Obserwował uważnie Michaela spod przymrużonych powiek.

–Lord North powiadasz.

–Krótco wspomniał o nim jeden z moich przyjaciół. Była to chaotyczna wzmianka, może ze trzy miesiące temu. Potem nic. Na pewno wiem jedynie, że ma zbyt wybujałą wyobraźnię.

–Rozumiem.

Nagle ciarki przeszły Michaelowi po plecach. Karawaniarz się zmienił. Stał się zimny i odległy. Czy popełnił fatalny błąd? Po jakimś czasie jego rozmówca rzekł:

–Synu, nigdy więcej nie wymawiaj tego imienia. Nigdy nie widziałem tego człowieka. Ani nikt inny. Jak mówisz, kilka miesięcy temu krążyły plotki. Przestały. Nagle! Ludzie, którzy wymawiali to imię, niespodziewanie zaczęli znikać. Może taki człowiek w ogóle nie istnieje. Ale jeśli istnieje, bezpieczniej udawać, że tak nie jest.

–Rozumiem. – Trebilcock rozluźnił się trochę. Jego ręka przestała sięgać ku rękojeści miecza. – A gdy krążyły te plotki, czy ktoś wspominał, gdzie ta istota może nie istnieć?

Karawaniarz uśmiechnął się.

–Nabierasz wprawy. Jednak najlepiej w ogóle o tym nie mówić. A teraz, gdy już raz wymieniłeś to imię, byłoby dobrze, gdybyś nie pokazywał się w nocy na ulicy. Wtedy właśnie znikali ci gadatliwi.

–Więc tu nie ma żadnego życia nocnego?

–Tego nie powiedziałem. Jest ono wystarczająco urozmaicone dla tych, którzy nie wypowiedzieli pewnego imienia, lub dla tych, dla których nieważne jest, kto zasiada na Pawim Tronie. Ci, którzy sprzeciwiają się Megelinowi, także w jakiś sposób znikają.

–Niezła sztuczka. Czy powiedziałbyś, że wisi tu w powietrzu odrobina czarów?

–Ja? Nie. Nie powiedziałbym nic tak głupiego. Gdyby coś tu wisiało w powietrzu, mogłoby spaść na mnie.

Michael uśmiechnął się. Wiedział już większość tego, co chciał. I pomyśleć, że mógł dowiedzieć się tego w Tamerice. Gdyby tylko przyszło mu do głowy zadać wtedy te pytania!

Jednak tego, czego chciał się dowiedzieć teraz, mógł dowiedzieć się tylko tutaj. W jaki sposób to wszystko wiązało się z Liakopulosem? Proces zdobywania informacji wydawał się bardziej niebezpieczny, niż się spodziewał.

–Czy tutejsza kwatera Sama ma pokój z drzwiami i zamkami? Zakładam, że ludzie śpią w koszarach.

–Właśnie tam. Będziesz musiał zapytać brata pana Chorodine’a, jeśli chcesz mieć zamki w drzwiach. On tutaj rządzi. – Karawaniarz skierował kolumnę w boczną ulicę, a wkrótce potem ku zabudowaniom ogromnych rozmiarów. Przypominały małą fortecę z jedną bramą prowadzącą za dwunastostopowej wysokości mury z suszonej na słońcu cegły. Stajnie mieściły się wzdłuż muru, a w środku tego kompleksu stały trzykondygnacyjne budynki, zwrócone tyłami do środka, jak grupa mężczyzn stawiająca czoło wrogom. Michael wszedł i wręczył bratu Sama Chordine’a list polecający.

Minęły trzy dni. Michael nie dowiedział się niemal niczego. Ludzie w Al Rhemish byli małomówni i posępni. Ze sobą rozmawiali jeszcze mniej niż z obcymi. Większość z nich

udawała, że ich król nie istnieje.

Michael dostrzegł niewiele oznak obecności Megelina, poza wszechobecnym strachem. Nieliczni królewscy żołnierze patrolowali miasto. Wydawali się jednak niepotrzebni. Armia Megelina przeczesywała też pustkowia w poszukiwaniu zwolenników El Murida. Ze strzępów informacji, które zdobył Michael, wynikało, że król wcale nie miał szczęścia w tych poszukiwaniach. Hammad al Nakir był ogromny. Było w nim zbyt wiele miejsc, w których mogli ukryć się bojownicy. Bicz Boży udowodnił to jedno pokolenie wstecz, w czasach, gdy El Murid sięgał po władzę.

Nadeszła noc. Michael leżał na swoim sienniku, wpatrując się w sufit i zastanawiając się, jak przeniknąć zasłonę otaczającą Noratha. Jedna świeca bladym blaskiem rozjaśniała jego pokój. Wydawało mu się, że skrzypnęły schody wieży. Podniósł się cicho i sprawdził, czy drzwi są zamknięte. Były bardzo masywne, zrobione z grubych, dębowych desek. Jedynie szarżujący baran mógł je wyłamać.

Z drzwiami było wszystko w porządku. Odwrócił się do okna, które przesłaniały ciężkie okiennice. Odblokował je, żeby móc je szybko otworzyć, gdyby musiał w pośpiechu opuścić pomieszczenie. One także były zabezpieczone. Wrócił na swój siennik.

Schody znowu skrzypnęły. Sięgnął po miecz i położył go na piersi.

Michael Trebilcock stale zdumiewał przyjaciół tym, że nie zna uczucia strachu. Ta emocja była mu obca. Mógł jedynie niejasno się domyślać, co czuli inni, ponieważ jedynym jego miernikiem w tej materii była trema. Gdy jednak proszono go, by wypowiedział się publicznie, odbierało mu mowę. Taka była jego głęboko skrywana

istota. Unikał zatem krępujących sytuacji, zachowując sekrety dla siebie i pozostając niedostępny.

On po prostu nienawidził wyjaśnień.

Zaskrzybiały drzwi. Leżał bez ruchu, czekał. Coś po omacku szukało zewnętrznej zasuw. Michael uśmiechnął się. To nic nie pomoże temu nocnemu gościowi. Drzwi otwierały się od wewnątrz.

Nagle zatrzeszczały pod potwornym naciskiem. Oczy Michaela rozszerzyły się nieco. – Co, do cholery? – Deski znowu niebezpiecznie zatrzeszczały. Kawałki suszonej cegły odpadły ze ściany przy framudze. Wyglądało na to, że drzwi za chwilę ustąpią. Michael wstał i otworzył okiennice, wpatrzył się bacznie w zalegającą na zewnątrz ciemność.

Coś zaniepokoiło zwierzęta stojące w stajniach wzdłuż południowego muru. Karawaniarze z lampami i pochodniami je uspokajali. W pozostałej części kompleksu panowała grobowa cisza.

Michael powiązał pewne ponure podejrzenie. Podeszedł do drzwi. Napór ustał. Wciągnął powietrze, wyczuł zapach zwierzęcia. Nikły uśmiech przebiegł po jego bladych ustach.

Dobrze to poskładał. Lord Norath istniał, a naprawdę nazywał się Magden Norath. Eskaloński renegat przeżył pod Palmisano.

Trebilcock wyczuł ten zapach pod Palmisano i w dziesięciu innych bitwach. Była to woń savan dalage, monstrum nocy, stworzonego w laboratoriach Ehelebe przez Magdena Noratha. Stwory te były niemal niezniszczalne, niewiarygodnie dzikie i potężne.

Odszedł od drzwi, intensywnie myśląc. Tę wiadomość trzeba dostarczyć królowi. Rzuciła światło na połowę problemów nękających Kavelin. Megelin pozostawał w mocy zaklęcia eskalończyka. Jedynie Norath mógł stworzyć ludzi, którzy zaatakowali Liakopulosa.

„Dlaczego?” – zapytał jakiś cichy głos. A tego Michael nie wiedział. Nie było między generałem a czarodziejem nic, co zmuszałoby tego drugiego do zabójstwa. Nie było nic między Megelinem i Liakopulosem.

Mógł zgadywać, ale nie odważył się robić tego na głos. Przyjaciele nie chcieliby znać jego podejrzeń, a podejrzani próbowaliby go zabić, gdyby uznali, że wie za dużo.

Tak czy owak, trzeba ostrzec króla o ciemnych mocach czających się w Al Rhemish.

Karawana nie wyruszy ze świętego miasta jeszcze przez następny tydzień. Czy uda mu się przeżyć tyle czasu? Skoro Iropi go savan dalage! Ktoś na tyle zirytowany jego obecnością, że chciał go unicestwić? Wątpił w to. Musiał jakoś inaczej to załatwić.

Znowu spojrzał na kompleks budynków. Karawaniarzom udało się uspokoić konie. Stali wokół, drapiąc się po głowach i klnąc.

Coś uderzyło w drzwi pokoju Michaela. Dębowe deski wpadły do środka. Trebilcock zauważył wtaczający się do środka ciemny kształt. Machnął dwa razy

mieczem, poczuł, że wchodzi głęboko.

Rzucił się do tyłu, przez parapet okna.

Gdy spadał, budynek trząsał się od ryku przypominającego ryk kocura wielkości tygrysa. Trebilcock przechylił się, zdołał wylądować na nogach, podpierając się jedną ręką. Skręcił kostkę, ale niezbyt poważnie. Pokuśtykał w kierunku zdumionych karawaniarzy.

–Pochodnie! – sapnął. – Podnieście wyżej pochodnie. One nienawidzą światła.

Usłyszał głuchy odgłos uderzającego o ziemię wielkiego ciężaru. Nie spojrzał za siebie. Nie odwrócił się też, słysząc, jak pazury drapią ziemię, szybko się zbliżając. Chwycił latarnię olejową, zakręcił nią i rzucił w ciemność wylaniającą się z ciemności.

Savan dalage odskoczył w bok. Latarnia nie trafiła go w pysk, rozbiła się o jego bark. Michael chwycił pochodnię.

Karawaniarze rozbiegli się – z wyjątkiem tych, którym strach spętał nogi.

Trebilcock rzucił się naprzód, dosięgnął robiącej uniki bestii i dotknął ją pochodnią.

Olej chwycił. Ogień rozprzestrzeniał się po smukłym, hebanowym boku. Bestia zawyla. W stajniach zapanowało szaleństwo. Konie zaczęły kopać w boksy.

Savan dalage zapomniał o swoim zadaniu. Jedną trzecią jego długiego, mocnego ciała obejmowały płomienie, a on pędził przez kompleks budynków. Jednym potężnym skokiem

osiągnął dach stajni. Po czym zniknął za murem.

Michael usiadł w błocie ze zwieszoną głową, dyszał ciężko. Pomacał ręką w poszukiwaniu miecza. Lekki uśmiech pojawił się na jego ustach.

–No, chłopcze, przeżyłeś pierwszy atak. Wokół niego zebrali się karawaniarze.

–Co to, do cholery, było? – zapytał jeden z nich. Michael popatrzył na rozszerzone oczy i twarze zastygłe w grymasie przerażenia.

–Gdzie byliście w czasie wojen? Jeden z karawaniarzy wyszeptał:

–Savan dalage. Byłem tutaj.

Michael wyciągnął lewą rękę. Ktoś pomógł mu stanąć na nogi.

–Uspokójmy konie. Już go nie ma. Dzisiaj nie powinien wrócić.

Być może nie będę musiał ponownie rozprawiać się z potworem, pomyślał. Następnym razem Norath może inaczej zabrać się do sprawy. Najbardziej logiczne byłoby aresztowanie.

Musiał szybko przesłać wiadomość. Był tylko jeden sposób. Będzie musiał skontaktować się z jednym ze swoich miejscowych agentów, człowiekiem, na którym nie można już było polegać. Najwyraźniej Norath go odkrył i przekabacił, wykorzystał do przesyłania uspokajających raportów do Vorgrebergu. Tego człowieka trzeba będzie znowu przeciągnąć na swoją stronę, choćby na chwilę.

Ciemność ciągle jeszcze panowała w Al Rhemish, gdy Michael obudził swego byłego agenta. Ledwie świtało, gdy go zabił i wyszedł na ulice miasta, mając nadzieję, że zdoła przepłynąć jezioro i zniknąć na pustyni, zanim Norath wpadnie na jego ślad.

Szanse przeżycia są mizerne, pomyślał, ześlizgując się do zimnej wody. Zależą od

tego, czy jego wiadomość dotrze do Kavelinu, a także od tego, czy pozostanie na wolności na tyle długo, by jego przyjaciele wymyślili jakiś sposób na uratowanie go.

Powietrze już się rozgrzało. Pieszko przez pustynię – to będzie ciężki dzień. Wypił tyle wody, ile zmieściło mu się w żołądku, i napełnił bukłak, zabrany agentowi, którego przeniósł w stan spoczynku. Potem zaczął iść w górę zboczem doliny, zrywając po drodze parę dojrzałych owoców. Przy każdym kroku chlupało mu w butach. Będzie miał od cholery i trochę pęcherzy.

Rok 1016 OUI Przyływ Ragnarson, Prataxis, Eanredson i Varthlokkur dyskutowali przez dwie godziny, czekając, aż Dahl Haas przywiezie kasztelanę Mgłę. Ragnarson wymknął się raz, żeby kazać przynieść więcej krzesel. Potem, dwadzieścia pięć minut przed przybyciem Mgły, do drzwi podszedł Slugbait. Ragnarson wyszedł na zewnątrz.

–O co chodzi, Sług?

–Na dole przy bramie jest jakaś kobieta, mówi, że musi się z tobą widzieć. Zazwyczaj je odsyłamy, ale z tą być może powinieneś się zobaczyć.

–Kim ona jest? Wiesz?

–Widywałem ją tutaj. Kazała ci powiedzieć, że ma na imię Sherilee.

Ragnarson zeszywniał.

–Czego chce?

–Nie wiem. Mówiła bez sensu. Wiesz, jakie są kobiety, gdy się boją.

–Boją?

–Jest przerażona. Mówiła o czymś, co się stało w alejach Lieneke.

–Chodźmy. – Bragi wszedł do pokoju, żeby zabrać miecz. Slugbait wypowiedział magiczne słowa. Ragnarson rzadko w widoczny sposób okazywał swe uczucia, ale jego dzieci znaczyły dla niego więcej niż Kavelin czy korona. Jeśli coś im się stało... Tylko one mu zostały.

Szli tak szybko, że Sług dyszał, gdy dotarli do bramy.

–Przyślij ją do wartowni – powiedział Bragi. – Wyjaśnię to. Dzięki, Sług. Tym razem dobrze pokombinowałeś. Nie zapomnę o tym.

–Dziękuję, panie. Ja tylko robię to, co do mnie należy.

–Słusznie. Trzymaj się tego, a zostaniesz sierżantem. Dawaj ją tutaj.

Dziewczyna była na skraju hysterii. Rzuciła się na niego. Przytulił ją lekko, poklepał po ramieniu. Wkrótce zdał sobie sprawę, że atak hysterii był zaplanowany.

Stopniowo nakłonił ją do mówienia. Ona i Kristen widziały, jak Aral Dantice i jeszcze jeden mężczyzna wchodzi do domu Mgły. Dziewczęta podpuszczały się nawzajem, czy któraś odważy się ich podsłuchiwać. Zanim się zorientowała, Sherilee przemknęła przez aleje Lieneke, przedostała się przez żywopłot Mgły i przykucnęła przy domu pod oknem, które było od środka przesłonięte półkami na książki.

–Dlaczego ty?

–Jestem drobniejsza. Nikt nie mógł mnie zobaczyć zza żywopłotu. To nieważne. W środku były cztery osoby. Odprawili jakieś czary. Po chwili wiedziałam, że szpiegują pana. Z tego, co

mówili. Potem wszyscy byli podekscytowani. Wtem jeden z nich zaczął mówić, a przedtem się nie odzywał. Nie widziałyśmy, żeby wchodził albo wychodził. Ale jakoś wyszedł, bo oni powiedzieli, że już go nie ma. Rozmawiali o nim i dzięki temu zorientowałam się, że to był tervola.

Znowu zaczęła płakać.

–Tervola, tak? – Bragi nie był bardzo zaskoczony.

–Tak! Tutaj, w Vorgrebergu. Wierzy mi pan, prawda? Westchnął w zamyśleniu,

wziął dziewczynę za rękę i podprowadził do krzesła.

–Usiądź. Muszę pomyśleć. – Usiadł naprzeciwko niej. Nie puścił jej ręki. Patrzyła na ich złożone dłonie z pewnym zdumieniem. Po kilku chwilach Ragnarson chrząknął i wstał, pociągając Sherilee do góry.

–Nadchodzi Mgła. Trzymaj się na uboczu, dopóki nie wejdzie do środka. W przeciwnym razie mogłabyś się z nią spotkać, a to podpowiedziałoby jej, skąd ja wiem to, co wiem. Myślę, że Sług ucieszy się, gdy będzie mógł się tobą zaopiekować. Z jej oczu znowu popłynęły łzy.

–Tak się boję. – Przysunęła się do niego i objęła go. Wyczuwał jej przerażenie, zwierzęce drżenie. Było dość autentyczne. Pytanie tylko, co było jego powodem.

Westchnął, myśląc, że widział dwunastolatki większe od tej dziewczyny. Znowu poklepał ją po plecach. Po chwili z zamkniętymi oczami i ponownie dramatycznie westchnąwszy, złapał ją za ramiona i odsunął od siebie.

–Ja też się boję, malutka. – Przestał skrywać swoje uczucia i uniósł jej podbródek, aż spojrzała mu prosto w oczy. – I to wcale nie tervola. Szukasz kłopotów i prawdopodobnie znajdziesz ich więcej, niż którekolwiek z nas będzie w stanie rozwiązać.

Drżała jej szczęka. Dwa razy lekko rozchyłała usta i zamykała je. Wzrokiem stale uciekała w bok, a potem zmuszała się do spojrzenia na Bragiego.

Ragnarson zmienił temat.

–Chcę, żebyście z Kristen przestały się bawić w szpiegów. To nie jest bezpieczna zabawa. – Po czym dodał: – Czy zdajesz sobie sprawę, w co się pakujemy?

Nie odpowiedziała. Pociągnęła nosem.

Bragi nadal unosił jej podbródek. Przyciągnął ją do siebie. Szczęka zadrżała jej znowu. Oczy się zwężyły i rozbłysły. Rozchyliła usta i lekko odetchnęła, gdy obracała twarz, żeby przyjąć jego pocałunek.

O, bogowie, pomyślał. Szalał w nim ogień. Tak właśnie sobie to wyobrażał. Przycisnął ją delikatnie. Przyłgnęła do niego na ułamek sekundy, a potem stała, przygnębiona z ciągle zamkniętymi oczami.

–Chciałbym, żebyś jeszcze się nad tym zastanowiła – szepnął. – Dobrze?

Przygryzła dolną wargę i skinęła głową jak dziecko otrzymujące burę.

–Wszystko przemawia przeciw... – Dostyc tego, pomyślał. – Sherilee wracaj do Kristen, gdy Mgła tu przyjdzie. I przestań bawić się w szpiega. – Obrócił się i już go nie było. Wbiegł po schodach na mury obronne, z których było widać bramę, starając się nie myśleć o dziewczynie. Spojrzał w dal i dostrzegł powóz skręcający w drogę biegnącą przez park. – Czy to Mgła? – Eskortę mogli stanowić Dahl i Aral. Popędził z powrotem w dół i pospieszył do komnaty, gdzie szybko zapoznał pozostałych z doniesieniem Sherilee.

Mgła przybyła dziesięć minut później, towarzyszył jej Dantice.

–Siadaj – powiedział Ragnarson. Przyglądał się tej parze. Wyczuwał między nimi jakieś nowe skrępowanie. Psiakrew. To musi być zaraźliwe. – Siedzę tu cały dzień, więc nie mam ochoty na gierki. Podjęliśmy decyzję. Wiesz jaką. Ustalmy teraz, co mogę zrobić, żeby ci pomóc. Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, kim był ten

tervola i dlatego przebywał w Kavelinie bez mojej zgody.

Dantice wydał z siebie dźwięk brzmiący jak połączenie beknięcia z piskiem myszy. Oczy mu się rozszerzyły. A Mgła była – to jeden z nielicznych przypadków, jakie Varthlokkur pamiętał – całkowicie zaskoczona.

–Ja też mam swoje źródła informacji. Tervola jest ważny. Nazwij to gestem dobrej woli. Prowadziłaś swoją rozgrywkę za moimi plecami. Nie chcę takich rzeczy w Kavelinie. Mam dość kłopotów ze swoimi wrogami, wolałbym nie musieć mieć na oku przyjaciół.

Mgła odzyskała pewność siebie. Mówiła długo. Ragnarson uznał, że była szczerą.

–W sumie brzmi to nieźle. Zakładając, że Kuo nie pracuje dla drugiej strony. A jak wygląda to czasowo?

–Ta kwestia ciągle nie jest ustalona. Wejdziemy, gdy lord Ch'ien uzna, że atak Matayangi wszedł w fazę szczytową i lord Kuo będzie kompletnie zajęty. Zajmiemy kluczowe punkty imperium. Nie musimy zawracać sobie głowy Armią Południową, póki będzie trwał atak Matayangi. Dopiero wtedy zdejmujemy lorda Kuo.

–Słusznie – powiedział Ragnarson. – Jeśli ci pozwoli. – Wpatrzył się w punkt nad głową Mgły i zobaczył okoloną blond włosami twarz... Psiakrew! Musi przestać zawracać sobie nią głowę. – Co się stanie, jeśli Matayanga nie zaatakuje? Dochodzą mnie słuchy, że ludzie Kuo mówią, że próbuje ich powstrzymać jakaś błękitna smuga.

–Plan nie jest doskonały. Jeśli ich przekona, przegramy. Nie pozwalając lordowi dowiedzieć się, jak wielką wygraną trafił.

–Nie starałabyś się wymusić tej wojny?

–Nie! Nie bardziej niż lord Kuo. Ale dlaczego nie wykorzystać tego, co nieuchronne? Naszym najlepszym argumentem jest to, że ostatnio było bardzo dużo walk. Shinsan nie wytrzyma dużo więcej.

–Czasami myślę... Mniejsza z tym. Jak możemy pomóc?

–Właśnie to robisz. Dajesz nam bezpieczną bazę. Jedyłą dodatkową pomocą mogłoby być jeszcze parę oddziałów szturmowych już do ataku na samego lorda Kuo. – Ustal szczegóły z Gjerdrumem.

W dole korytarza otworzyły się drzwi. Wszedł Josiah Gales. Pospiesznie udał się do swojej kwatery, gdzie wydobył kolejną kasetę na dokumenty. Dwie minuty później był już przy sierżancie Wortelu, którego miał zmienić.

–Jack, musisz mnie kryć. Muszę to zanieść na górę. Wortel popatrzył gniewnie na klepsydrę.

–Moja żona chce mieć towarzystwo, Gales.

–Przepraszam, Jack. To prawda. Nie próbuję cię zrobić w konia. No. To nie potrwa długo. Odwdzięczę ci się. No. Gales zawsze spłaca swoje długi. To nie żadna bujda. Znasz mnie.

Wortel westchnął.

–Dobra. Tylko nie marnuj czasu.

–Znowu tutaj, Sarge? – Toby stał przy drzwiach królowej. Gales skłął się za to, że zabrakło mu dalekowzroczności, by zaczekać do zmiany warty.

–Tak. Jasna cholera. Znowu, Toby. A powinienem iść na wartę. No. Czy to nie

draństwo?

Toby zastukał. Gales przestępował z nogi na nogę, mrużąc coś pod nosem. Królowa nie ucieszy się z tych ponownych odwiedzin. A jeszcze mniej będzie zadowolona, gdy usłyszy, co ma do powiedzenia.

Ragnarson zaklął, że zaczyna dostawać odcisków na siedzeniu. Na dodatek nie potrafił wybić sobie z głowy tej dziewczyny. Było na to tylko jedno lekarstwo.

–Wychodzę, Derel. Pokaż Mgle traktat, który wysmażyliśmy poprzedniego dnia. Wyszedł na korytarz, zastanawiając się, co Inger pomyśli o jego nagłym zainteresowaniu jej osobą. He to już czasu? Minęły blisko dwa lata, gdy ostatni raz rzucił wszystko, by złożyć jej wizytę za dnia.

Strażnik przed pokojem narad stał wyprostowany w pozycji na baczność. Był nowy.

–Która godzina, żołnierzu?

–Zbliża się siódma, panie.

–Dziękuję. – Bragi odszedł. Obraz Sherilee przeplatał mu się z wizjami Inger. Nie postąpiłem z tą dziewczyną jak trzeba, pomyślał. Powinienem być wykazać więcej opanowania. Teraz będzie pojawiać się wszędzie... Chyba że tylko mi się wydaje, że mam nieodparty urok.

Poczuł tęsknotę za czasami, gdy nie miało znaczenia to, że figluje z chętną dziwką, za czasami, gdy potrafił się zakochać trzy razy w ciągu tygodnia i nie musiał się zastanawiać, na czyje życie to wywrze wpływ. To były czasy! On, Szyderca i Haroun byli młodzi. Polityka stanowiła zabawę zgorzkniałych starych przyków, którzy stracili ochotę na wszelkie przyjemności życia...

Otrząsnął się z tych myśli jak spłoszony ogier. Musiał zabić swojego najlepszego przyjaciela. Jego drugi najlepszy przyjaciel wszedł do Imperium Grozy i od tego czasu słuch o nim zaginął. Różnili się z Harounem, ale, do cholery, brakowało mu go teraz. Gdyby Haroun był w pobliżu, nie byłoby żadnych problemów w Hammad al Nakirze. Gdyby królem nie był syn, tylko ojciec, lord Hsung nie myślałby o tym, żeby zająć kawał tego pustynnego państwa. Haroun miał temperament drapieżnego jastrzębia i zbyt mało rozumu, żeby nie oddać ciosu.

Zatrzymał się nagle i szybko skrył w cieniu kolumny. Znajdował się o sto kroków od drzwi Inger.

Ktoś od niej wychodził. I jakoś nie zdziwiło Ragnarsona, gdy zobaczył, kto to jest, chociaż ten człowiek od godziny powinien być na służbie. Gales, zaczynam się, do cholery, zastanawiać nad tobą, pomyślał Bragi.

Odczekał piętnaście minut, wcale już nie pragnąc spotkania z żoną. Udał się jednak do niej tyleż z kurtuazyjną wizytą, co z powodu pożądania.

Świat zaczął się trząść i drzeć jak gigant w agonii ponownie powoli budzący się do życia. Dwa dni po spotkaniu Ragnarsona z Mglą jeden z przemytników Dantice'a przyniósł wiadomość o zażartej potyczce między Throyes a Hammad al Nakirem.

Bogate prowincje nadbrzeżne Hammad al Nakiru były jedynym obszarem królestwa nadal kontrolowanym przez El Murida. Zewnętrzni obserwatorzy byli

przekonani, że rojaliści Megelina odzyskają część nadmorską, gdy już opanują środek królestwa. Uczeń był bezzębnym tygrysem. Nie miał poparcia, aby przeciwstawić się nawale rojalistów.

Tak myślał świat.

Gdy Throyeńczycy doprowadzili do incydentu, na spornej równinie rozbrzmiewały dawne okrzyki wojenne Niezwycięzonych. Ubrani w białe szaty Wybrani Ucznia zdawali się przybywać z dawno minionych czasów. Spadli na przyszłych najeźdźców. Dowódcy Throyeńczyków wpadli w panikę. Rzucili do walki oddziały stacjonujące w pobliżu, wbrew *causus belli*, który miał usprawiedliwić główną inwazję. To, co można było uznać za wybaczalny pod względem dyplomatycznym występki, stało się poważną i niewybaczalną ze względów patriotycznych inwazją na Ojczyznę. Gdy zaszło słońce i opadł pył, na polu bitwy leżało ponad tysiąc Throyeńczyków. Ich towarzysze uciekli w szalonym pędzie.

Usłyszawszy to, Ragnarson roześmiał się.

–W Throyes pojawi się trochę czerwonych twarzy – piał z zachwytem. – Założę się, że Hsung jest cały w nerwach.

Mgła była mniej rozradowana.

–Wywiną się z tego. Będą twierdzić, że to El Murid zaczął. Przeprowadzą swoją inwazję.

Myślę, że właśnie usłyszeliśmy ostatnie „hurra” Niezwycięzonych.

Ragnarson spowaźniał.

–Być może. To smutne. Uczniowi wielu już pewnie nie zostało.

–Nie zapominajcie o aspekcie narodowościowym – powiedział Prataxis. – Ludzie na terenach przybrzeżnych nie są zauroczeni El Muridem czy Megelinem, ale pójdą za każdym, kto walczy z throyeńskim zagrożeniem. Znają cenę, jaką trzeba zapłacić za poddanie się.

–Nie zmartwiłoby mnie, gdyby sługusy Hsunga tam ugrzęzły – zauważył Bragi.

Następnego dnia nowe wieści przyniósł Credence Abaca. Niski, żyłasty Marena Dimura przyszedł do urzędu, w którym Ragnarson rozmawiał ze Zgromadzeniem o finansach.

Rozdrażniony uporem członków komisji Ragnarson warknął:

–Co jest, Credence?

Abaca był bezpośredni.

–Trzech ludzi próbowało mnie zabić. W parku. Pomyślałem, że twój oswojony czarodziej-doktor może chcieć ciała. Są tej samej rasy co ci, którzy usiłowali zabić generała Liakopulosa.

Ragnarson zaklął cicho. Dwadzieścia minut później stał w tłumie, który zgromadził się wokół ciała. Po raz pierwszy w życiu zabrał ze sobą ochronę osobistą.

–Masz rację, Credence. Są tacy sami. – Posłał wiadomość Varthlokkurowi, informując go też, że ciała są w drodze. Nie spodziewał się, że czegoś się dowie, ale trzeba było spróbować.

–Załatwiłeś wszystkich trzech?

–Nie byli znowu tacy szybcy – odparł Abaca.

–Trójka – mruknął Bragi. – To w stylu Pracchii, jasne. Dziewiątka podzielona na trzy trójki. Co znaczy, że może być jeszcze jedna próba. Powiedz Gjerdrumowi, żeby nie podróżował bez straży, dopóki nie zmienię decyzji.

–Wedle rozkazu, panie. – Abaca pognął w kierunku pałacu. Wkrótce Ragnarson poszedł w jego ślady i dołączył do Varthlokkura. Jak się spodziewał, czarodziej od trupów nie dowiedział się niczego.

–Ciągle myślę o Magdenie Norathu – powiedział Varthlokkur.

–Może Norath miał uczniów.

–Możliwe, ale mało prawdopodobne. Charakter tego człowieka przemawia przeciwko temu. Był zbyt skryty.

–Czy ta napaść coś sugeruje?

–Tylko tyle, że twoja lista jest prawdziwa.

–Kto ją sporządził? Nie Norath. Nigdy nie zetknął się z żadnym z moich oficerów.

–Więc został wynajęty. Twarz Ragnarsona stężała.

–Przez kogo?

Czarodziej miał coś odpowiedzieć, ale Zmienił zdanie. W końcu stwierdził:

–Wszyscy mamy wrogów. Im większe odnosimy sukcesy, tym jest ich więcej. To jak rzut kamieniem w powietrze. Leci i leci w górę, cały czas zwalniając. W końcu się zatrzymuje.

–A potem spada.

–Właśnie. Smutne, ale prawdziwe.

–Czy to przepowiednia?

–Nie. Tylko kiepska metafora. Proponuję, żebyś strzegł każdego z tej listy. Zwłaszcza Gjerdruma. Wydaje mi się, że jest następny.

–Już to załatwiłem. A ty?

–Potrafię sam się o siebie zatroszczyć.

–Liakopulos też pewnie tak uważał. Mniejsza z tym. Nie chcesz ochrony, nie dostaniesz jej. Muszę z tego powodu odwołać mecz captures. I zadbać, żebym nie stał się obiektem następnego zlecenia. Znalazłeś Michaela?

Ragnarson był zmartwiony. Zdarzało się wcześniej, że Trebilcocka nie było przez dłuższy czas, ale nigdy w tak decydującym momencie. A jego nazwisko znajdowało się na liście.

–Aral znalazł wystygły trop. Jego przyjaciel widział Michaela w Delhagen kilka dni po ataku na Liakopulosa.

–Dziwne.

–W tych czasach wszystko jest dziwne.

–Ile jeszcze czasu zostało do rozwiązania Nepanthe?

–Dwa, trzy tygodnie.

–Zdenerwowany?

–Oczywiście. – Czarodziej uśmiechnął się słabo.

–Nie ma się czym martwić. Nie miała kłopotów z Ethrianem. Ramiona czarodzieja zeszywniały.

–Nie wspominaj tego imienia. Ragnarsonowi nie spodobał się jego ton.

–Znowu dziwaczysz. O co, do diabła, chodzi z tobą i Ethrianem?

Varthlokkur wyglądał, jakby liczył do dziesięciu, próbując się uspokoić.

–Nepanthe ma ostatnio bzika na jego punkcie. Nie wiem dlaczego, ale jest przekonana, że on żyje. Myśli, że powinniśmy spróbować go odnaleźć.

–A ty tak nie myślisz? Varthlokkurze, czy on żyje?

–Nie wiem.

Być może dla wszystkich innych ludzi nie miałyby to większego znaczenia, ale gdyby Ethrian żył, mogłoby to wyjaśniać dziwaczne ostatnio zachowanie czarodzieja. Czy istniał tu jakiś związek z Wybawicielem, o którym Varthlokkur nie chciał mówić?

–Kilka tygodni temu powiedziałaś mi...

–Wiem, co powiedziałem. – Czarodziej zesznurował usta. Wyraźnie było widać, że się

kontroluje. – To nie jest odpowiednia pora, żeby sobie tym zaprzętać głowę. Wkrótce urodzi się dziecko.

–Myślę, że przed czymś uciekasz. Ty najlepiej ze wszystkich ludzi powinieneś wiedzieć, ile dobrego to przynosi. Czy zamierzasz chociaż się rozejrzeć? Czy po prostu będziesz to przeciągał w nadziei, że ona zapomni?

–Ragnarson...!

–Nie dodajesz dwóch do dwóch. Sam sobie przysparzasz kłopotów. Zapomnij o tym. Sprawdzę później, czy masz atak rozsądku i czy postanowiłeś, że możesz czegoś poszukać.

–Nie ma czego szukać.

Ragnarson odszedł przekonany, że jednak jest i że to coś nie może być dobre. Próba przyciśnięcia Mgły może się opłacić. Ona musi się przynajmniej domyślać, dlaczego Varthlokkur jest taki nieswój.

Tego wieczoru Ragnarson otrzymał notkę napisaną drobnym pismem swego syna Gundara. Prosił go, żeby pojutrze przyszedł na przyjęcie urodzinowe jego brata Ainjara.

Przez głowę przemknęła mu myśl o Sherilee. Z pewnością znalazłaby powód, żeby tam przyjść. Odpisał, że spróbuje.

Następnego dnia na kolejną naradę dotyczącą kwestii finansowych wpadł jeden z poruczników Trebilcocka.

–Panie – wysapał – wiadomość od kapitana Trebilcocka.

Ragnarson zerwał się z krzesła. Członkowie komisji przyglądali się mu szeroko otwartymi oczami. W związku ze zniknięciem Trebilcocka krążyły szalone pogłoski. Jedna z nich mówiła, że król sam wykończył swojego głównego szpiega.

–Co? Co mówi?

–Gołąb, panie. – Mężczyzna nadal mocno trzymał zabiedzonego ptaka. W drugiej ręce miał wiadomość od Michaela.

–Gołąb? Nie wiedziałem, że je wykorzystujemy. – Bragi chwycił papier.

–Nie mamy ich wiele, ale wystarcza dla naszych najdalszych posterunków. Mogą przez godzinę pokonać większą odległość niż jeździec przez cały dzień.

–Wątpię. – Ragnarson niewiele wiedział o gołębiach pocztowych. – Ale tylko czary

są szybsze. Kartka dwa razy wypadła mu z ręki, zanim udało mu się ją przeczytać. – Niech to diabli! Czarodziej miał rację. Straże! Znajdźcie Varthlokkura. Powiedzcie mu, żeby sprowadził Niezrodzonego i że to sytuacja wyjątkowa. – Czekał z niecierpliwością.

Gdy Varthlokkur się zjawił, pokazał mu wiadomość od Michaela.

–Co teraz?

–Teraz poczekamy. Jeżeli znasz jakieś godne zaufania bóstwa, wezwij je. Ragnarson zachichotał. Był człowiekiem niezwykle mało religijnym.

–Gdybym znał jakieś godne zaufania bóstwa – powiedział – to one rządziłyby Kavelinem. Kazałbym im rzucać gromy na każdego, kto by przeszkadzał. Jednemu z nich kazałbym przemieszkować bez zameldowania w sypialni Hsunga.

Zdenerwowany ordynans zapukał do drzwi.

–Panie?

–Wejść.

–Wiadomość od pana Dantice’a, panie. Powiedział, że to ważne.

–Niech no zobaczę. Wchodź! Ten człowiek nie gryzie.

Ordynans wślizgnął się do pokoju, bacznie przyglądając się Varthlokkurowi. Najmniejszy gest czarodzieja spowodowałby jego ucieczkę. Varthlokkur przybrał zboląły wyraz twarzy. Tak właśnie było od stuleci.

Bragi przeczytał notkę i podał ją Varthlokkurowi. Czarodziej zachichotał ponuro.

–Na lordzie Hsungu Niezwyciężeni musieli zrobić niezwykle wrażenie.

Dantice dowiedział się tego od swoich przyjaciół przemytników. Klęska podziałała na nerwy Hsungowi i jego marionetkom. Oficerów throyeńskich pozbawiono dowództwa. Żołnierzy stracono za tchórzostwo. Hsung opóźnił ekspansję na południe. Niezwyciężeni pojawili się nieoczekiwanie. Ich gromadzenie się pozostało nie zauważone przez ludzi wywiadu Hsunga, ludzi, którzy mieli zdolności tervola, uzupełniające ich bardziej zwyczajne możliwości. Plotka mówiła, że w Armii Zachodniej dojdzie do przetasowań. Hsung podejrzewał, że ktoś zdradził.

–Myślisz, że to oznacza kłopoty? – zapytał Ragnarson. – Wśród jego ludzi jest człowiek Mgły.

–Zabezpieczyli się.

–A co z Norathem?

–To znaczy?

–Nie wiemy dlaczego, ale wiemy kto. Wiemy też, gdzie ten bydlak jest.

–Po kolei, zajmujemy się zbyt wieloma rzeczami naraz. Niepotrzebna nam wojna z Megelinem.

–A kto mówi o Megelinie? Mówię o Norathu.

–Załóżmy, że zapanował nad Megelinem. Załóżmy, że pierwsza próba się nie powiedzie. On jest pierwszorzędnym czarodziejem. Nie przeżyłby zniszczenia Pracchii, gdyby nim nie był.

–Megelin nie wypowiedziałby nam wojny. Mamy być przyjaciółmi.

–Podobno. Mówi się, że oszalał. I teraz wiemy dlaczego.

–Nie może. El Murid wskoczyłby mu na plecy.

–Zapomnij o Noracie. Mamy do załatwienia tę sprawę z Mgłą. A mnie niedługo urodzi się dziecko. Nie chcesz chyba wadzić się z Norathem, gdy mnie tutaj nie będzie. Gdyby doszło do tego, że musiałbym wybierać między pomocą tobie a pozostaniem przy żonie, ty byś przegrał.

–Powinienem był wiedzieć, że nie ma co się z tobą sprzeczać. Mam nadzieję, że ten twój stwór sobie z tym poradzi. Jeżeli nie będę uczestniczył w posiedzeniach, Zgromadzenie podsunie mi taki podział funduszy, że będę płakał przez wiele lat.

–Niech się tym zajmie Prataxis.

–Bzdura. On nie jest tak dobry w zastraszaniu jak ja. Cholera, cała ta sprawa to jego wina. To on wymyślił ten głupi rząd.

–Działa całkiem nieźle.

–Działa świetnie, dopóki nie trzeba zrobić czegoś przed końcem miesiąca. Chcę komuś dać jakiś jeden wszawy medal, a każdy bydlak w Zgromadzeniu musi wyrazić swoje zdanie.

–Nie zauważyłem, żebyś kiedyś nie postawił na swoim.

–Tak. Ale eksperyment Derela z demokracją to piekielne utrapienie.

–To kwestia wyłącznie punktu widzenia. Może byśmy coś przekąsili? Może kropelka lub dwie piwa? To może być długie oczekiwanie.

Tej nocy w Throyes dowódca Armii Zachodniej otrzymał od przyjaciela ze stolicy Kavelinu ważną informację. Lord Hsung był wtedy bez maski. Jego podwładni uważali go za człowieka pozbawionego poczucia humoru, ale gdy czytał wiadomość, uśmiechał się, a nawet śmiał do rozpuku. Jego dobry humor trwał do chwili, gdy dowiedział się, że nie może skontaktować się z lordem Kuo Wenchinem.

Rok 1016 OUI Powroty do domu i narodziny Michael obserwował, jak ostatnia grupa tropiących myśliwych znika w oddali. Ależ oni go szukali! Zmusił ich do tego. Przetrzęsali okolice, do których zbieg, logicznie rzecz biorąc, nie mógł dotrzeć. Odległość, jaką pokonał, jego samego wprawiała w zdumienie.

Ukradziona klacz była dobrym wierzchowcem. Jechał na niej, dopóki nie padła. Przypuszczał, że zrobił pięćdziesiąt mil. Przedarł się przez paskudną pustynię bezpośrednio na północ od Al Rhemish. Teraz znajdował się u jałowych podnóży południowych Kapenrungów. Miał nikłą szansę, pokonania ich w pojedynkę. Nie wiedział też, czy jego gołąb dotarł do Kavelinu, czy nie.

Spojrzał na zachód. Do zmierzchu brakowało dwóch godzin. Osiem mil dla piechura. A savan dalage nie mógł ruszyć za nim przed zapadnięciem zmroku.

Ile czasu będą potrzebowali, żeby go dogonić? Żałował, że nie wie o nich więcej. Czy odważy się iść nocą?

Nie. To zbyt ryzykowne. Zamiast tego lepiej będzie zabezpieczyć miejsce, w którym się znajdował, zanim zrobi się zbyt ciemno, żeby poszukać drewna na ognisko.

Rachityczne rośliny pokrywały wzgórza. Drewna było pod dostatkiem. Problemem będzie znalezienie miejsca, w którym savan dalage mógłby dobrać się do niego tylko z jednej strony, a rozpalone ognisko mogłoby mu to uniemożliwić.

Poświęcił godzinę na znalezienie ledwie nadającej się do tego celu jamy w zboczu kamiennej wadi, czyli suchej doliny. Najwyraźniej już wcześniej wykorzystywano ją jako schronienie. Na ścianach z miękkiego kamienia wryto jakieś napisy. Wyglądały na pismo runiczne. Przypuszczał, że pozostawili je Prototrolledyngianie Jana Żelaznorękiego w czasach Upadku.

Nazbierał tyle chrustu i drewna, że z trudem udało mu się precyzyjnie wyznaczyć przez siebie linię ognia. Rozniecił małe ognisko, żeby móc podpalić większe, które będzie go chronić, gdy przyjdą myśliwi.

–Cała sztuka, mój drogi Michaelu, polega na tym, żeby nie zasnąć.

Uprzyjemniał sobie czas zabawami, w które nie bawił się od czasu pobytu w Rebsamenie. Wymyślał sprośne limeryki. Usiłował przypomnieć sobie wszystkie kobiety, w których się kochał. Ich lista była krótsza, niż przypuszczali jego przyjaciele. Gdy skończył ją sporządzać, wzeszedł księżyc. Wyobrażał sobie różne kształty na jego plamistym obliczu. Potem usiłował rozpoznawać gwiazdozbiory...

Ocknął się nagle, całkowicie rozbudzony. Nie myśląc, rzucił chrust w żar ogniska. Dmuchał gorączkowo. Odgłosy pazurów drapiących kamień stały się jeszcze bliższe.

Księżyc stał wysoko na niebie. Gdyby spojrzał w górę wadi, mógłby dostrzec cienie pośród cieni.

Spał trzy godziny.

Suchy chrust zajął się ogniem. Michael szybko rozpałał ognisko. W kilka chwil płomień uniemożliwił dostęp do jego kryjówki.

–Cholera! – Gorąco było okropne. Tylina ściana zagłębienia odbijała je wprost na niego. Leżał na brzuchu na stosie swojego opału i miał nadzieję, że się nie usmaży.

Pierwszy rozbłysk wywołał chór gniewnych warknięć. Trebilcock sądził, że myśliwych było czterech. Potwory drapały pazurami. Przez płomienie przebłyskiwały wściekłe rubinowe oczy.

–Mam nadzieję, że jesteście cierpliwi, chłopcy.

Byli. Do nastania świtu. Potem stali się niespokojni. Trebilcock zastanawiał się, jak bardzo stwory były inteligentne. Czy zdadzą sobie sprawę, że on może toczyć tę grę niemal w nieskończoność?

Teraz wydawały dźwięki, których wcześniej nigdy nie słyszał, odgłosy wściekłości dobywające się z głębi gardła. Wyobraził sobie cztery ogromne tygrysy, które powoli tracą panowanie nad sobą, chociaż wiedział, że ich podobieństwo do tych wielkich kotów było przypadkowe.

Para oczu przybliżyła się do ognia. Chociaż bestia znajdowała się tuż za ogniskiem, Michael nie był w stanie dojrzeć jej wielkości czy kształtu. Norath stworzył je jako istoty nocne, doskonale wtapiały się w ciemność.

Przez płomienie przedostało się coś, co wyglądało na łapę. Przecięła powietrze o cal od nosa Michaela. Kusiło go, żeby obrzucając bestię kamieniami, zadrwić sobie z niej, podobnie jak mały dokuczają lampartowi. Po zastanowieniu się zmienił zdanie. Czasami lampart wyrównywał rachunki.

Zbliżyła się następna bestia. Tym razem Michael wystawił miecz, na który opadła jej łapa. Stwór zaskowyczał, ale Trebilcock wiedział, że nie zranił go poważnie. Potwory bardzo mało uwagi zwracały na obrażenia. W czasie Wielkich Wojen Wschodnich dowiedziano się, że można je pokonać tylko w jeden, jedyny sposób – trzeba było zakopać je na tyle głęboko, żeby nie zdołały uciec.

Stwory powarkiwały i chodziły w kółko.

–Michael, drogi przyjacielu, mam wrażenie, że się przeliczyłeś. Nie powinieneś był się zatrzymywać. Nie dogoniłyby cię przed świtem. Właśnie przygotowują się do skoku.

Chociaż gorąco było zabójcze, dołożył jeszcze do ognia.

Nie bał się śmierci, ale bezsens rozstania się z tym światem właśnie tutaj zirytował go. Zawsze liczył na to, że z jego śmierci będzie większy pożytek.

W warczeniu i prychnaniu pojawiła się nowa nuta. Stwory były gotowe.

Przygotował się,

skierował miecz, by dźgnąć nim pierwszego potwora.

Ton skowytu uległ zmianie. Michael przez rozbuchane płomienie nic nie widział, ale przysięgłby, że wycie jednej z bestii niknęło w oddali.

Pozostałym to się nie podobało.

Głos drugiej bestii również zaczął się oddalać. Potem kolejnej. Ale jedna została i potrafił z niskich, cichych odgłosów wściekłości wyczytać jej myśli. Ruszała do ataku.

Ukrył się w stosie chrustu i czekał.

Stwór ryknął. Łapami przeorał skałę. Oczy Michaela rozszerzyły się, gdy ścianę ognia przesłoniła plama ciemności. Rzucił się naprzód, wkładając całą siłę w tę żalostną wykałaczkę, jaką w tej sytuacji był jego miecz.

Potwór zatrzymał się w połowie skoku. Cios Trebilcocka chybił celu. Z otwartymi ustami gapił się na savan dalage, który rzucił się w tył przez ogień, wyjąc i skręcając się z bólu.

–Co jest, do diabła? – mruknął Michael. – O co tu, do cholery, chodzi? Pazury drapały skałę. Michael przykucnął. Zbliżał się następny stwór. Usłyszał jego wściekłe protesty.

Powtórzyło się to trzykrotnie i nagle w głuszy nie dał się już słyszeć nawet najśłabszy dźwięk. Michael Trebilcock, zmarszczywszy czoło, usiadł po turecku na wprost ogniska z mieczem ułożonym na nogach.

Ogień zgasł nagle. A Michael powiedział:

–To ty. Oczywiście. Powinienem był się domyślić.

Ragnarson i Varthlokkur drzemali na zmianę. Bragi przebudził się, gdy smuga światła słonecznego zsunęła się po wschodniej ścianie i musnęła jego twarz. Przesunął się o kilka stóp w prawo i uniósł odrobinę jedną powiekę.

Czarodziej także nie spał i był równie półprzytomny.

–Myślisz, że powinniśmy dać za wygraną? – zapytał Bragi. – Teraz musi już być za późno.

–Niekoniecznie. Radeachar przyniesie go z powrotem.

–Być może w kawałkach.

–Jeśli do tego dojdzie.

–Ta wiadomość przyniesiona przez gołębia przywróciła mi wiarę. Nie chciałbym stracić

Michaela właśnie teraz, gdy okazał się tak przydatny. To byłoby nie fair, nie sądzisz?

Poirytowany czarodziej odparł:

–Czy musimy gadać? Jestem trochę za stary na takie poranne czuwanie. Daj mi spokój.

–Dobra. – Ragnarson odchylił się do tyłu, zamknął oczy i ponownie popadł w odrętwienie. Trudno jednak, psiakrew, spać na schodach.

Zanim się spostrzegł, ktoś zaczął nim potrząsać. Chwycił za miecz.

–Spokojnie – powiedział Michael. – Jesteśmy przyjaciółmi.

Ragnarson szybko rozejrzał się wokół siebie. Z położenia słońca wywnioskował, że jest koło dziesiątej. Varthlokkur też usiłował się obudzić.

–Michael, mógłbyś mi nastawić szyję? – zapytał czarodziej. – Chyba wypadł mi dysk, gdy opierałem się o tę przeklętą ścianę.

Trebilcock przyłożył dłoń z boku głowy czarodzieja, a drugą ręką chwycił go pod brodą.

–Nie podniecajcie się tak. – Pokręcił parę razy głową Varthlokkura, szarpnął. Głośny trzask odbił się echem od murów dziedzińca.

–Hej! Nie skręć mi karku!

–Oczywiście, proszę szanownego popapranego pana czarodzieja. Może powinienem

polecieć z powrotem na pustynię i wrócić tutaj na piechotę, żeby dać wam czas na zgotowanie mi uroczystego przyjęcia.

–Cieszę się, że cię znowu widzę, Michael – wymamrotał Bragi. – Cieszę się, że żyjesz. Gdzieś ty się, do cholery, podziewał? Czekaliśmy całą noc.

–Niezrodzony znalazł mnie dopiero tuż przed wschodem słońca. Po czym zachciało mu się zabawić z savan dalage. Latanie to mocna rzecz! Muszę jeszcze kiedyś spróbować. Widać pół świata. Patrzysz sobie w dół, a przed oczami rozpościera ci się mapa doskonała.

Varthlokkur masował sobie szyję.

–Gdy następnym razem będziesz miał ochotę na takie tajemnicze wyprawy, powiedz komuś. Oszczędź nam trochę czasu i nerwów.

–Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać, Michael – mruknął Bragi. – Muszę mieć jakąś możliwość przekazywania ci wiadomości. Przestań być taki cholernie tajemniczy. Tym razem miałeś szczęście. Ten twój gołąb przechylił szalę na twoją korzyść. Ale co by było, gdyby mu się nie udało? Razem z tobą szlag by trafił całą twoją siatkę. Nikt inny nie ma o niej pojęcia.

Michael westchnął.

–Może byś mnie tak zabrał z powrotem? – zwrócił się do Niezrodzonego. – Odegrajmy ten powrót do domu jeszcze raz, jutro.

–Co miałeś na myśli, wspominając o savan dalagel – zapytał Varthlokkur.

–Trzymał je z dala ode mnie do wschodu słońca. Potem posadził mnie na jakiejś kolumnie z piaskowca. Po czym wyciągnął jednego stwora z kryjówki, cofnął się dziesięć mil i przyleciał do mnie tak szybko, że nie zauważyłbym go, gdyby nie leciał wprost na mnie. Musiałem się położyć, żeby nie strącił mnie podmuch wiatru, gdy przelatywał nade mną.

–Tuż przede mną rzucił savan dalage o ziemię. Ten uderzył o skałę z taką siłą, że myślałem, że ta kolumna się przewróci. Ale...

–Ale? – zachęcił Varthlokkur.

–Te stwory są mocne. Nie na tyle, żeby znieść coś takiego, ale wiecie co? Nie zginął. Był

cały połamany, ale ciągle próbował dostać się w cień.

–Norath obdarza swoje potwory pewną żywotnością. Ten stwór wykuruje się i za kilka miesięcy znowu będzie gotów do działania. Ale gratuluję, Radeacharze. Bardzo skuteczny środek doraźny. Lepszy niż wszystko, co przyszło nam do głowy w czasie wojny.

Pojękując, Bragi stanął na nogi.

–Co byście powiedzieli na śniadanie? Może pełne żołądki pozwolą nam powitać cię z należyтым entuzjazmem, Michaelu. A ty będziesz mógł opowiedzieć wszystko od początku. Mówiąc początek, mam na myśli chwilę, w której zrozumiałeś, że trzeba przeprowadzić poszukiwania w Al Rhemish.

Michael zrobił kwaśną minę. Wyraz jego twarzy mówił, że chyba byłby szczęśliwszy, gdyby znalazł się z powrotem na pustyni.

Ragnarson złapał sześć solidnych godzin pozbawionego marzeń snu. Czuł się dobrze. Prawie wcale nie sklął Dahla za to, że go obudził.

–Jesteś pewny, że Nepanthe zaczęła rodzić? To jeszcze o wiele za wcześnie, prawda?

Haas wzruszył ramionami.

–Nie wiem, panie. Słyszałem, co prawda, jak mówili, że wydawało im się, że to jeszcze ze dwa tygodnie.

–To całkiem niedługo. Elana zawsze zaczynała trochę za wcześnie. To się zdarza w przypadku dużych noworodków. Wszystkie moje dzieci były kolosami, a propos. Dzisiaj są urodziny Ainjara. Wieczorem urządzą dla niego przyjęcie. Zobacz, czy nie znalazłoby się coś, co by mu się spodobało. Jeszcze nie wiem, czy pójdę. Jeżeli nie, prześlemy prezent.

–Oczywiście, panie. Wiem, co by się świetnie nadawało.

–Tylko żeby nie były to ubrania. Dzieciaki nie cierpią dostawać ciuchów. Kiedyś, gdy jeszcze żyliśmy w Itaskii, Elana podarowała Ragnarowi garnitur z sukna. Pięknego niebieskiego sukna. Drogiego jak diabli. Szyty na zamówienie w mieście. Wiesz, co powiedział?

Dahl wyglądał, jakby ogarnęła go nostalgia.

–To były szczęśliwe czasy, prawda? Och, proszę mi wybaczyć, panie. Co powiedział?

–No nie, mam, przecież ja już mam parę spodni! – Ragnarson zarechotał. – On już ma parę spodni! No i miał rację, jeśli o niego chodziło. Nie zmieniałby ich, dopóki same by z niego nie spadły, gdyby matka go nie zmuszała.

–Tęsknisz za nimi, panie, prawda?

Ragnarson spoważniał.

–Tak, Dahl. Strasznie za nimi tęsknię. Za nimi wszystkimi. Za twoją mamą i tatą równie mocno jak za pozostałymi.

–Mało kto z nas został.

–Ale to nowe życie. To właśnie sobie powtarzam. Mieliśmy dużo szczęścia, że dane nam

były dwa żywoty. Jak ty sobie radzisz, Dahl?

–Staram się za wiele nie wspominać, panie.

–Spotkałeś kiedyś moją synową, Dahl?

–Znam ją, panie. Na tyle, żeby zamienić dwa słowa.

–Chcesz się ze mną zabrać, jeśli wybiorę się tam dziś wieczorem? Przyjrzeć się jej bliżej? – Uderzyło go to, że chociaż Kavelin cierpiał na niedobór kawalerów, jego otaczali mężczyźni stanu wolnego. Dahl, Gjerdrum, Aral Dantice, Michael. Nawet Derel. Z tej grupy tylko Gjerdrum miał stałą dziewczynę, ale był to nieszczęśliwy związek.

–Raczej nie, panie. To byłoby niewłaściwe.

–Niewłaściwe? Jest kobietą, pełną życia... Dahl, czasami dajesz mi niezły wycisk.

–Przykro mi, że cię denerwuję, panie.

–Cholera. Denerwujesz mnie. Do diabła. Mniejsza z tym. Idź, powiedz królowej, że

zaraz u niej będę. Że chcę poprosić o przysługę.

Dahl uklonił się nieznacznie, sztywno, i wyszedł.

–No, dotarłem do niego na chwilę – mruknął Bragi. – Ktoś tam w środku jednak jest.

Dziesięć minut później stał u drzwi Inger.

–Jak tam, Toby? Zechcesz im powiedzieć, że tu jestem?

–Tak, panie. – Strażnik zastukał, porozmawiał z jakąś kobietą. – Chwileczkę, panie.

–Jak ci się żyje, Toby?

–Nieźle, panie. Ee... Czy to będzie walkower, jeśli nie stawimy się na następny mecz? – Był zmiennikiem w drużynie Strażników.

–Muszę jeszcze porozmawiać z sędziami. Może zgodzą się przełożyć mecz. Nie chcemy ryzykować, że ktoś zostanie zabity, tylko dlatego, żebyśmy nie opuścili meczu, prawda?

Toby miał wątpliwości. Captures to poważna sprawa. Strażnicy przegrali do tej pory tylko jeden mecz. Rywalizowali.

–Ale jeżeli oddamy go walkowerem, będziemy jeden do tyłu. Nigdy nie dogonimy tych chojraków z Charygin Hall.

–Takie jest życie, Toby. Czasami trzeba dokonywać trudnych wyborów.

Drzwi się otworzyły. Ragnarson minął strażnika. Po chwili szedł przez pokój, żeby ująć Inger za wyciągnięte ku niemu ręce. Na twarzy miała jeden ze swoich najbardziej olśniewających uśmiechów.

–Muszę coś robić dobrze. To już drugi raz w tym tygodniu. W biały dzień.

Ucałował ją w policzki, zaskoczył mocnym całusem w usta.

–Świetnie wyglądasz w tej zieleni. Co prawda nie przygnała mnie tutaj namiętność, ale może zmienię zdanie.

–Thelma, odejdz, zanim się dowiesz, jak bardzo ludzcy są członkowie rodziny królewskiej.

–Inger pytająco uniosła brew. – Spocznij, proszę. Co cię do mnie sprowadza?

–Nepanthe odeszły wody. Pomyślałem, że byłoby ładnie z twojej strony, gdybyś zaproponowała swoją pomoc.

Inger zmarszczyła brwi. Nie cierpiała porodów.

–Co mogłabym zrobić?

–Wesprzeć ją duchowo. To by dla niej wiele znaczyło.

–Rozumiem. Kolejna rata twojego długu.

Mrugnął okiem.

–Może. A może chciałbym, żebyście zostały przyjaciółkami.

–Może i mnie to dobrze zrobi.

–Jesteś w porządku, wiesz o tym?

W jej oczach znowu pojawiły się błyski.

–Chodzą słuchy, że jestem też dobra w łóżku.

–Kto ci naopowiadał takich rzeczy?

–Mężczyzna, z którym poszłam do łóżka w szpitalu w Itaskii.

–Pamiętam go. Żołnierz. Ranny. Możliwe, że gorączka przyćmiła jasność jego sądu.

–Mogę dowieść tego w każdej chwili. Bragi zamknął drzwi na zasuwkę.

–No i przez to gadanie wpadłaś w tarapaty, kobieto.

–Och, nie. – Wstała. – To ty wpadłeś w tarapaty, staruszku.

–Staruszku? – Rzucił się na nią. Piszczala, gdy zarzucał ją sobie na ramię.

Po kolacji Ragnarson dołączył do Varthlokkura przebywającego w swoim salonie.

– Masz klasyczny nerwowy chód. – Czy ja nie powinienem być z nią? – A ona tego chce? – Nie wiem. Wachtel nie chce. – Rozumiem jego punkt widzenia. Jak ona sobie radzi? – Mówią, że dobrze.

W tym momencie Wachtel i Inger wyszli z sypialni. – No i? – dopytywał się Varthlokkur.

–Przed nią jeszcze długa droga. Przypuszczam, że dziecko urodzi się około północy. Inger objęła Bragiego.

–Nie jest tak źle, jak się spodziewałam. Ona jest dzielniejsza ode mnie. – Ty dobrze sobie radziłaś.

–Zachowywałam się jak rozkapryszone dziecko. Ilekroć przypomnę sobie, co wtedy wygadywałam, jest mi wstyd.

Bragi wzruszył ramionami.

–Z kobietami tak już jest. Tak naprawdę nie mówią tego wszystkiego poważnie. Gdyby tak było, ludzkość by wymarła. Żadna kobieta nie miałaby więcej niż jedno dziecko.

–To ją odmieniło. Wyszła ze swojej skorupy. Jest interesująca.

–Wszyscy moi przyjaciele są interesujący. Może niezbyt mili czy wyrafinowani, ale interesujący. Muszę iść. Dziś są urodziny Ainjara. Obiecałem, że przyjdę na przyjęcie.

–Złóż mu ode mnie najlepsze życzenia.

–Jasne. Popatrz na to.

Varthlokkur był okropnie zajęty.

–Zapomniałem postawić horoskopy dla dziecka. – Rzucił na stół wykresy i książki, pióra i kałamarze. – Północ. Cholera jasna.

Ragnarson wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–No to macie go z głowy. Pa, kochanie. Uścisnęła jego rękę.

–Bądź grzeczny.

Ragnarson poszedł do stajni, zastanawiając się, co się dzieje z nim i Inger. W ich związku na nowo pojawiła się bliskość.

W domu w alejach Lieneke nie mógł zliczyć dzieci. Nie potrafiły ani przez chwilę ustać w miejscu. Gdy przyjechał, wydawało się, że grają w captures – parter domu służył im za boisko. Gundar odgrywał rolę wyniosłego sędziego. Ainjar i jego siostra, przebiegając w szalonym pędzie obok Bragiego, krzyknęli:

–Cześć, tato!

Stojąc na schodach, Kristen patrzyła na niego, wzrokiem prosząc o wsparcie.

–Mamy tu barbarzyńców – powiedziała.

–A są nimi nasze dzieci, co? Mówisz jak Prataxis. Nie masz nikogo do pomocy?

–Tylko Mgłę. Pokazuje kucharce, jak zrobić pewien rodzaj ponczu. Julie miała przyjść, ale jej synek się rozchorował.

–To wszyscy?

Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

–Spodziewałeś się jeszcze kogoś?

–Nie. Dlaczego?

–Słyszałam, że osobiście odebrałaś wiadomość, którą niedawno wysłałam.

–Och. – Bragi bardziej do siebie niż do Kristen mruknął: – Kobiety chętniej rozpowiadają o byle całusie niż mężczyźni.

–Całusie? Ojej! Nic o tym nie słyszałam. Opowiedz mi o tym.

–Kristen, żebyś mi nigdy więcej nie wycięła takiego numeru. Następnym razem może to być ktoś paskudny. I możesz wpaść.

–Ii tam! Jestem dorosła.

–Żyjemy w świecie pełnym pułapek. Nie pchaj się w nie.

–Będę ostrożna.

–Obiecujesz?

–Obiecuję. Co masz dla Ainjara?

Paczka leżała za nim na schodach.

–Nie wiem. Kazałem Dahlowi to załatwić. Cały dzień byłem zagoniony. Nepanthe zaczęła rodzić. Wszystko się rozsypało.

–W takim razie dla was obu będzie to niespodzianka. Nie powinnam się z tobą droczyć, ale... Sherilee nie przyszła, bo nie jest gotowa.

–Co?

–Myśli o tym, co jej powiedziałaś.

Serce zabiło mu szybciej. Poczul ssanie w żołądku. Zaskoczyło go to, jak bardzo czuł się rozczarowany. Popatrzył wokół niewidzącym wzrokiem i zapytał:

–Kristen, powiedz szczerze, co pomyślałabyś, gdyby coś się jednak między nami wydarzyło? Chodzi mi o to, że jestem żonaty. Ona jest twoją przyjaciółką. O połowę młodszą ode mnie.

–Nie miałabym gorszego zdania ani o tobie, ani o niej. Myślę, że cieszyłabym się razem z nią. Jedyne, co... Widzisz, nie jesteś wolny. A ona jest. Obydwoje moglibyście zostać skrzywdzeni. A tego bym nie chciała.

–Właśnie dlatego powiedziałem jej, żeby się zastanowiła. Myślę sobie, że mięknę. Piętnaście lat temu powiedziałbym: Do diabła z konsekwencjami.

–A ja myślę, że właśnie ta troskliwość ją pociąga. Ona ma już za sobą związek w rodzaju „do diabła z konsekwencjami”. Istnieje też rodzaj związku „do diabła z tobą”, gdy konsekwencje zaczynają zbytnio ci dokuczać.

–Kristen, czasami mnie przerażasz. Odnoszę wrażenie, że mimo pięknej młodej buzi masz umysł starej, mądrej kobiety.

–Mów do mnie jeszcze. Muszę chwytać każdą okazję, żeby usłyszeć komplement.

Do pokoju weszła Mgła. Ragnarsona ogarnęło zdumienie. Miała na sobie fartuch. Gdy uspokajała rozbrykane stadko, wyglądała jak stateczna matrona. Była też

bardziej promienna niż kiedykolwiek od śmierci Valthera.

–Wydaje mi się, że Aral ma lekarstwo na to, co jej dolega – zauważył Bragi.

–Po tym, jak przychodzi i wychodzi, można by sądzić, że to dzieciaki

przeżywające pierwszą miłość.

–Na tę magię nigdy nie jest się za starym. Zwłaszcza jeśli między jedną a drugą miłością upływa dużo czasu.

Kristen posmutniała.

–Rozwiązujesz jakiś problem? – zapytała.

–Wiem, kto próbował zabić Liakopulosa i Abacę. Magden Norath. Czarownik. Nie

wiem dlaczego. Varthlokkur uważa, że został wynajęty. Z nikim stąd nie wszedł w konflikt.

–Jak się wynajmuje czarodzieja?

–Każdy ma jakąś cenę. Ktoś zaproponował mu coś, czego pragnął.

Podszedł do nich odźwierny Kristen.

–Panie, przyszedł oficer, który chce z panem rozmawiać. Kapitan Haas.

–Wpuść go.

–Nie chciał przeszkadzać, panie.

–Nie będzie przeszkadzał. Jest jak członek rodziny. – Matka Haasa była gosposią

w domu Kristen do swojej śmierci w ubiegłym roku. – Przyrowadź go tutaj.

Dahl zatrzymał się u podnóża schodów.

–Raport z Throyes, panie. Od ludzi kapitana Trebilcocka. Przesłany za pomocą

gołębia, jak sądzę. Prawdopodobnie ostatnia wiadomość od tamtejszego agenta Trebilcocka. Mówi, że lord Hsung otrzymał informację od kogoś z zamku Krief. Mówi, że nie udało mu się zapoznać z jej treścią, ale lord Hsung był zadowolony. Kontakt Trebilcocka uznał, iż sama wiadomość, że jest tutaj agent wschodu, będzie bezcenna.

–I tak jest w rzeczy samej – odparł Ragnarson, naśladowując sposób mówienia

Haasa. – Byłbym zdumiony, gdyby moi wrogowie nie mieli tutaj swoich ludzi. Ale jestem zaskoczony, że Hsung złapał kogoś na haczyk. Nie chcę spuszczać z uwięzi Niezrodzonego... Kiepsko to wpływa na morale. Ale czas już odsiać tych niebezpiecznych ludzi. Może Michael mógłby się nimi zająć. Jakież wieści o żonie czarodzieja?

–Jeszcze nie urodziła, panie. Nadal przypuszcza się, że skończy o północy.

–Poczęstuj się ponczem i zostań na przyjęciu, Dahl.

–Panie, w pałacu czeka na mnie praca. – Haas unikał jego wzroku. Cały czas nieśmiało zerkał na Kristen.

–Na mnie też. Do diabła z nią. Weź sobie wolny wieczór.

Robota nie zając, nie ucieknie. Mogę wydać ci taki rozkaz, jeśli dzięki temu

poczujesz się lepiej.

Haas zdobył się na niewyraźny uśmiech.

–To nie będzie konieczne, panie.

Ragnarson przyjrzał się swojemu adiutantowi. Nieśmiały? Dahl? Nigdy by mi to

nie przyszło do głowy, pomyślał.

Rok 1016 OUI Interludium Jak co miesiąc, z południa przybył kurier. Wszyscy doradcy księcia znajdowali się w zamku. Zebrał ich, żeby przedstawić raport o wydarzeniach.

–...w Kavelinie nasz człowiek nadal pozostaje poza podejrzeniem. Wiedzą jednak, że coś się dzieje. Norath wywiązał się z umowy. Nasi ludzie dwukrotnie użyli towaru, powodując znaczne zamieszanie. Nawiązaliśmy tam cenne przyjaźnie, zwłaszcza w Zgromadzeniu. Idzie nam całkiem nieźle.

–Cholera, posuwamy się o wiele za wolno.

Księżę spojrział na tego, który wypowiedział te słowa. Stary Carmin. Chciał zobaczyć rezultaty, zanim umrze.

–Będzie szło szybciej.

Ktoś inny zaproponował:

–Sądząc po tym raporcie, powinniśmy dać pułkownikowi nauczyciela. Jego charakter pisma i ortografia są okropne.

–Jest żołnierzem – odparł księżę. – Odwala świetną robotę, z wyjątkiem zamachów na kolesiów Ragnarsona. A to bardziej wina Noratha niż jego.

–Coś poszło źle? – dopytywał się Carmin.

–Zamachy na Liakopulosa i Abacę nie powiodły się, w obydwu przypadkach z tego powodu, że cel był lepszy w walce od napastników. Liakopulos, chociaż został ranny w pierwszym starciu, zabił jednego z atakujących, a pozostałych dwóch tak posiekał, że trzeba było ich unicestwić. Abaca wykończył trzech bez jednego zadraśnięcia.

–Może Norath dał nam jakichś kiepskich zamachowców? Może powinniśmy złożyć skargę?

–Złożyłem. Zmyłem mu głowę. Powiedziano mi, że to nie była wina Noratha, że zamachowców ulokowano bez wyobraźni, i powinniśmy też wziąć pod uwagę fakt, iż celem ataków byli mistrzowie walki wręcz.

–To oznacza, że zmarnowaliśmy dwie trzecie naszych środków, a nie usunęliśmy nawet jednego człowieka z naszej listy. Jak, do diabła, mamy odizolować Ragnarsona, jeśli nie potrafimy pozbyć się jego towarzyszy?

–Jest to kwestia, którą sam poruszyłem. Powiedziano mi, że nadejdzie stosowne wsparcie – jeśli my sami okażemy się zdolni uczynić jakiś postęp. W niektórych kręgach nasza akcja jest uważana za przedsięwzięcie o wysokim stopniu ryzyka. Potencjalny zysk nie pokrywa jeszcze prawdopodobnego kosztu przedwczesnego ujawnienia się. Jeśli chcemy pomóc naszym ludziom, będziemy musieli dokonać gwałtownego zwrotu.

Księżę wstał i otworzył boczne drzwi. Do pokoju wszedł niski, łysiejący, krępy mężczyzna. Miał na sobie czarną szatę przewiazaną sznurem, z którego zwisały liczne czaszki. Jego cera miała niezdrowy, żółty odcień. W uśmiechu pokazał zepsute zęby.

–Poprosiłem Babeltausque’a – powiedział księżę – żeby się do nas przysiadł. Jego poczynione na odległość obserwacje mogą być interesujące. Usiądź,

Babeltausque. Masz coś do dodania?

Czarodziej bawił się czymś, co wyglądało jak czaszka dziecka.

–Hm... Ta kobieta. Wydaje się nieco niechętna. – Każdemu, kto usłyszał jego zgrzytliwy głos, włos się jeżył na głowie. – Pułkownik też ma swoje obiekcje, ale nie dopuścił, by wpłynęły na jego postępowanie. Wbrew twojej opinii, Dane, Ragnarson, Trebilcock i Varthlokkur coś podejrzewają. Nie bardzo jednak wiedzą, o co chodzi, więc prowadzą własne śledztwa. Jeżeli podzielą się ze sobą tym, co wiedzą, może to wystarczyć, żeby się domyślili.

Księżę, rozczarowany, chrząknął. Przyjrzał się bacznie swoim doradcom.

–Panowie? Wszyscy milczeli.

–Babeltausque, masz coś jeszcze?

–Ktoś w Vorgrebergu pozostaje w kontakcie z dowódcą Zachodniej Armii Shinsanu.

–Kto?

–Nie wiem. Osłona wokół zamku Krief jest dość szczelna. Udało mi się jednak dotrzeć do pewnej istotnej informacji. Ragnarson poprze podjętą przez Mglę próbę obalenia Kuo Wenchina.

–Warto to wiedzieć. Jak myślisz...? Pułkownik nie wspominał o tym ani o agencie wschodu. Oczywiście mógł nie wiedzieć.

–Dane – powiedział czarodziej – potrzeba czasu, zanim wieści tutaj dotrą. Jego raporty mogą powiedzieć ci tylko to, co wiedział w chwili wyjazdu kuriera.

Księżę wydał wargi. Babeltausque zaczynał się robić bezczelny.

–Czy powinniśmy ostrzec lorda Kuo? Czy pułkownik powinien naciskać mocniej, gdy Ragnarson jest rozproszony?

–Nie – powiedział Babeltausque. – Zamachy na Liakopulosa i Abacę sprawią, że będą szukać źródła kłopotów. Wstrzymać zamachy. Tam mamy do czynienia z Varthlokkurem i Niezrodzonym. Jedno potknięcie może zniszczyć wszystko. Powiedz pułkownikowi, żeby się nie wychylał, chyba że może odnieść poważne zwycięstwo.

Zgrzytliwość Babeltausque'a tak już drażniła księcia, że zaczął się zastanawiać, czy nie usunąć czarodzieja, gdy tylko opadnie bitewny pył.

–I nie kontaktujcie się z lordem Kuo. Niech karty spadają swobodnie. Na dłuższą metę to nie ma znaczenia. Nie chcecie przecież doprowadzić do powstania więzi, która później będzie was prześladować.

–To byłoby wszystko, Babeltausque – powiedział księżę. – Wracaj do pracy. – Osobiście

Dane też był tego zdania. Rodzina miała już dosyć kłopotliwych sojuszy.

Czarodziej wyszedł. Kroczył trochę sztywno, co mogło sugerować, że poczuł się urażony taką odprawą.

Koniecznymu się go pozbyć, pomyślał księżę. Jest ambitny. A to sprawia, że staje się ciężarem.

Ktoś myślał podobnie.

–Dane, coś zaczyna mu chodzić po głowie. Uważaj na niego.

–Oczywiście. Jest jeszcze jedna sprawa. Nasi ludzie w mieście mówią, że król

zastanawia się nad nami. Siedzimy zbyt cicho. Mortin, bywasz tam częściej niż ktokolwiek z nas. Daj mu coś, co go uszczęśliwi. Na dzisiaj to wszystko, panowie.

Został na miejscu, gdy oni wychodzili. Sprawy toczyły się po ich myśli. To go jednak martwiło. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby jego rodzina miała szczęście. Odnosił wrażenie, że los przygotowuje coś strasznego.

Rok 1016 OUI W drodze Ragnarson przechodził przez park otaczający zamek Krief, gdy niebo rozbłysło różowymi fajerwerkami. Przybrały kształt ogromnych drukowanych liter. Ułożyły się w napis: TO DZIEWCZYŃKA.

Śmiał się, aż zaczęło go rwać w boku.

–Czarodzieju, wiemy, że jesteś dumnym ojcem, ale chyba trochę cię poniosło. – Rozumiał to jednak. Narodziny tego dziecka stanowiły spełnienie miłości zrodzonej pod nieszczęśliwą gwiazdą, uczucia, które czekało na tę chwilę całe stulecia.

Ragnarson dowlóknął swoje umęczone ciało do apartamentów czarodzieja. Uśmiechnięty od ucha do ucha Varthlokkur przyjmował gratulacje od chmury życzliwych. Ścisnął dłonie ludziom, którzy nigdy dotąd nie ośmielili się do niego podejść.

–Zróbcie przejście dla króla! – krzyknął ktoś. Bragi wyciągnął swoją silną, nawykłą do miecza rękę.

–Długo to trwało, prawda? Jak się czuje Nepanthe?

–Doskonale. Szczęśliwa jak nigdy.

–To dobrze. To dobrze. – Bragi podszedł do Inger. Opierała się o ścianę, osłabiona z wyczerpania. – Dlaczego się nie położysz, kochanie?

–Zrobię to. Za kilka minut. Tak sobie trochę rozmyślam. O tym, że jej postawa w czasie porodu była całkowicie odmienna od mojej.

–Ejże! Nie zamartwiaj się tym. Połóż się spać. Rano spojrzysz na to z innej perspektywy.

–Wyglądasz tak, jakby i tobie przydało się trochę snu.

–Tak, mniej więcej tydzień, i zaczynam za pięć minut.

–Mylisz się.

–Jak to?

Inger wskazała coś ręką. Dahl Haas przeciskał się ku nim, nieskazitelny jak zawsze. Na jego twarzy malowało się napięcie.

–O co chodzi, Dahl?

–Musisz to zobaczyć, żeby zrozumieć, panie. Mógłbyś pójść za mną?

Właśnie wtedy poblady Varthlokkur chwycił Bragiego za rękę.

–Chodź.

–Co jest, do cholery?

–Po prostu chodź. Zobaczysz. – Czarodziej popędził w kierunku wschodnich murów.

Potworne błyski podświetliły góry M’Hand. Ich szczyty wrzynały się w niebo jak zardzewiałe zęby piły.

–Bogowie – powiedział Bragi. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. – Rozległ się huk pioruna. To nie mogła jednak być błyskawica. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Gwiazdy spoglądały na ziemię z zimną obojętnością. – Co to jest?

Varthlokkur nie odpowiedział.

–Czy potrafisz to odczytać, Dahl? – Ognie sygnalizacyjne, za pomocą których przesyłano nocą wiadomości z przełęczą Savernake, świeciły jasno. – Czy Hsung

zaatakował Maisak?

–Nie, panie.

–Zaczęło się – wyszeptał Varthlokkur. – Matayanganie zaatakowali Shinsan.

Bogowie nie odważyliby się pojawić dziś na polach bitew.

–Jestem ciekaw – powiedział Bragi – czy na podobny widok, z takiej jak ta odległości, mieszkańcom Baxendali i Palmisano równie mocno jeżyły się włosy?

–Być może. Co ci Matayanganie wyprawiają? W Taumaturgii nie mają nic do powiedzenia.

Haas mruknął:

–Czy on mówi po wessońsku?

Coraz więcej osób gromadziło się, by obejrzeć to widowisko. Bragi przyglądał się im uważnie. Rzadko widywał tak przybitych ludzi.

Za bramą zamkową rozbrzmiały rogi. Kopyta stukały na bruku.

–To Mgła – powiedział Varthlokkur. – Odebrała ostrzeżenie przed nami.

–Dahl, znajdź pułkownika Abacę, Gjerdruma i generała Liakopulosa. Ogłosimy alarm, tak na wszelki wypadek. Niech spotkają się ze mną w pokoju narad. Ściągnij też kapitana Trebilcocka i poślij kogoś po pana Dantice’a. I znajdź barona Hardle’a. Nie chcemy, żeby ziemianie poczuli się urażeni.

–Oczywiście, panie. – Haas oddalił się biegiem.

Kilka chwil później pojawiła się Mgła.

–Zaczęło się. Pierwsze raporty napłynęły po przyjęciu urodzinowym Ainjara.

Matayanganie wcielili wszystkich powyżej piętnastego roku życia. Ci, którzy nie mają broni, mają ją zabrać poległym.

–Przebiją się? – zapytał Varthlokkur.

–Nie wiem.

–Kiedy wykonasz swoje posunięcie? – zapytał Bragi.

–Jest zbyt wcześnie, żeby podjąć decyzję. Najpierw chcę zobaczyć, co się będzie działo.

–Już posłałem Dahl a, żeby przygotował wszystko w pokoju narad.

–Lepiej spotkajmy się u mnie. Jestem już w kontakcie z moimi ludźmi stamtąd.

Poza tym u mnie wszystko jest gotowe.

I ktoś tutaj na zamku, pomyślał Bragi, pisze miłosne listy do lorda Hsunga.

–Spodziewaj się nas za dwie godziny. – Jeszcze raz spojrzął na ogień ogarniający niebo na wschodzie, pokręcił głową. – Varthlokkurze, czy my nie postawiliśmy na złego konia?

–Kusimy los.

–Miałem ci coś powiedzieć. Mamy na zamku zdrajcę. Nie jakąś płotkę z tych, co to szpiegują dla ziemian. Prawdziwego rekina. Pracuje dla Hsunga.

Czarodziej gwizdnął przez zęby.

–Tak. Jak dotąd tylko nasza czwórka wie, że popieramy Mglę. To prawdopodobnie bezpieczne. Ale jakie informacje przeciekły?

–Czas, żeby Radeachar przemaglował ludzi – powiedział Varthlokkur. – Może powinniśmy częściej ich przetrzebiać.

–Dlaczego występują przeciwko mnie, skoro wiedzą, że nie ma szansy, by im to uszło na sucho?

–Bo myślą, że są inni, że im się uda. Z tych samych powodów, dla których każdy z nas ryzykuje, mając niewielkie szanse. Dla wielkiej wygranej. Nie pytaj o to. Zapytaj raczej o ukryte motywy.

–Hę?

–Chcesz znać prawdę? Większość ludzi nie wierzy w to, co robi. Nawet ci, którzy wyciągają z tego największe korzyści.

Weszli do pokoju wojennego. Liakopulos, Abaca i Gjerdrum już czekali. Także Derel Prataxis, którego – o ile Bragi sobie przypominał – nie zapraszał. Sekretarz spojrział na niego oskarżycielskim wzrokiem. Zignorował to. Trebilcock pojawił się chwilę później. Potem zajął Dahl Haas, który powiedział:

–Idę teraz po Dantice'a.

–Zamiast niego ściągnij barona. Przenosimy się do Mgły. Jedź z nami. – Miejska rezydencja barona znajdowała się niedaleko domu Mgły.

–Zanim wyruszymy – powiedział Ragnarson do swoich oficerów – postawcie wszystkie regularne oddziały w stan pogotowia. Przesuńcie Briedenbacherów do Baxendali. Hsung niczego nie powinien próbować, ale lepiej nie ryzykujmy. Zebrać pozostałe regimenty. Derel, niech Zgromadzenie zarezerwuje dla mnie godzinę. Być może będę chciał wygłosić przemówienie.

–Zamierzasz powiedzieć im to ot tak, z marszu?

–Nie. Zamierzam rozgrzać ich do białości. Gdy już podejmiemy wiążące decyzje. Generale, może pan jechać konno?

Liakopulos skinął głową.

–Już niemal całkowicie doszedłem do siebie, panie.

–Dobrze. Credence, co się tak wierzisz?

–Dlaczego nie wiem, o co chodzi?

–Wyjaśnię ci, gdy dotrzemy do domu Mgły.

Abaca mruknął pod nosem, że nie dowierza tej shinsańskiej czarownicy.

–Ruszajmy. – Ragnarson wyszedł energicznym krokiem z pokoju narad i natknął się na grupę ochroniarzy, którzy jak urzeczeni wsłuchiwali się w słowa sierżanta Galesa.

–Gales.

–Tak, panie?

–Znajdź sierżanta Wortela. Powiedz mu, że kazałem mu zamienić się z tobą na służbę. – Przyjrzał się pozostałym. Jest jeszcze jeden Itaskianin. – Weź ze sobą Hunsickera.

Gales wyglądał smętnie jak kopnięty przed chwilą psiak.

–Tak, panie. Chodź Hunsicker.

–O co tu chodzi? – szepnął Prataxis, odsyłając posłańca.

–Zacząłem się zastanawiać nad tym sierżantem. Staje się zbyt dziwny.

–Przecież temu człowiekowi ledwo starcza rozumu, żeby się schronić przed deszczem.

–Być może. Mam omamy od chwili, gdy mój najlepszy przyjaciel usiłował mnie zabić. Może dlatego jeszcze żyję. „Książę nie śmie ufać żadnemu z ludzi. Ufa najmniej ze wszystkich, chociaż najbardziej zaufania potrzebuje”.

–Radetic? W tamtych czasach to było usprawiedliwione. W sumie jednak Rady dla księcia mówią o skrajnościach. Nie wiedziałem, że go czytałeś.

–Staram się zaskoczyć każdego, Derel. Czy ktoś powiadomił stajennych? – Posłańcy tłumnie przychodzili i wychodzili.

Zmaterializował się Dahl.

–Konie powinny czekać, gdy dotrzemy do stajni, panie.

–Twoja sprawność wprawia mnie w osłupienie, Dahl. Ruszajmy.

Tworzyli całkiem spory pochód. Miasto wcześniej wstało, przebudzone pokazem na wschodzie. Ludzie naprzykrzali się im, wypytując, co się dzieje.

Za żywopłotami wokół domu Mgły stały strażę. Nie nosili żadnych mundurów, ale dla wprawnego oka było oczywiste, że są żołnierzami Imperium Grozy.

–Nie chcę słyszeć ani jednego słowa – powiedział Bragi. – Jasne? – Ludzie Mgły odprowadzili ich wierzchowce do stajni za domem.

Ragnarson wszedł do środka.

–Mgło, będzie lepiej, jeśli zastąpimy twoich przyjaciół naszymi strażnikami. Zwracamy dość uwagi i bez tych paradujących na zewnątrz egzotycznych postaci.

Mgła się zgodziła.

–Dopilnuję tego.

–Dahl, poinstruuuj strażników. Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi bez mojego pozwolenia. Jeśli będziesz potrzebował więcej ludzi, pošlij sierżanta Wortela do koszar królewskich.

–Wszystko jest przygotowane na trzecim piętrze – powiedziała Mgła. – Chodź.

Gdy wspinali się po schodach, Ragnarson zauważył:

–Sprawiasz wrażenie zaniepokojonej.

–Bo jestem. Za chwilę zobaczysz.

Był zdumiony. Od wielu lat nie był na trzecim piętrze domu Mgły. Uległo wielkiej metamorfozie. Zniknęły ściany działowe. Okna zasłonięto ciężkimi kotarami. Wzdłuż ścian biegł rząd umieszczonych na niewielkim podwyższeniu krzeseł. Część z nich była zajęta. Ragnarson spojrzął w węzowe oczy tervola bez maski. Jedna ze ścian była pusta i zacieniona.

Nie wiadomo skąd zjawił się jakiś mężczyzna. Naradzał się z człowiekiem odpowiedzialnym za rozłożoną na stole wspaniałą mapę.

–Oddałbym rękę, żeby mieć taką mapę w swoim pokoju wojennym – mruknął Bragi. Przedstawiała Shinsan i kraje od niego zależne. Czerwona plama obrazowała ofensywę matayangańską. Miała zbyt regularny kształt, żeby mogła być wiarygodna. Mile i liczby jej dotyczące burzyły wszelki spodziewany ład.

–Przejdźmy tam i usiądźmy – powiedziała Mgła. Kolejny posłaniec pojawił się ni stąd, ni zowąd. Człowiek przy mapie przesypywał czerwony piasek. – Moi ludzie spisują się lepiej, niż oczekiwałam. Otrzymuję pierwszorzędne informacje.

Ragnarson w dalszym ciągu wpatrywał się w ten nienaturalny ład uwidoczony

na mapie. Spojrzał na swoich dowódców. Byli równie zdziwieni. Właśnie występując przeciwko dyscyplinie tego rodzaju, odnieśli sukces w Wielkich Wojnach Wschodnich.

–Jak idzie Armii Południowej?

–Widzisz mapę. Utrzymuje ciągłość swoich linii. W tak niekorzystnej sytuacji to wszystko, czego można wymagać od jakiejkolwiek armii. – Zjawił się kolejny posłaniec. Mgła pochyliła się, żeby usłyszeć jego słowa. Człowiek przy stole zaczął przesuwając znaczki oddziałów na najbardziej na wschód wysunięty skraj mapy.

–O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał król.

–Zaatakowano Armię Wschodnią.

–Matayanganie zaskoczyli ich wraz z jakimś niespodziewanym sprzymierzeńcem?

–To już trochę trwa.

–Czy tam toczy się regularna druga wojna?

–Tak. Nie są to poważne działania, ale... Tam dzieje się coś okropnego.

Ragnarson rzucił okiem na odwzorowany na mapie front matayangański i wstał.

–Rozumiem. Chodź ze mną.

Mgła spojrzała na niego twardo, ale po chwili jej spojrzenie złagodniało. Poszła za nim. Varthlokkur, z malującym się na twarzy napięciem, odprowadził ich wzrokiem. Na zewnątrz, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć, Mgła zapytała:

–O co chodzi?

–Czy zgodzisz się, że znam ciebie i Varthlokkura całkiem dobrze? Biorąc pod uwagę te wszystkie lata, kiedy musiałem cię mieć na oku? Czy zgodzisz się, że do pewnego stopnia jestem w stanie ocenić ogólny sposób myślenia tervola?

–Tak myślę. Na tym polegała twoja kariera.

–W takim razie jak ci się wydaje, jak długo możesz zbywać mnie, odpowiadając wymijająco i zmieniając temat, ilekroć sprawa zaczyna dotyczyć sytuacji Shinsanu daleko na wschodzie?

–Co ty...

–Do rzeczy. Nie ryzykowałabyś tego, co zamierzasz, gdybyś cholernie dobrze nie orientowała się w wewnętrznej sytuacji w każdym miejscu Imperium Grozy. Podobnie twój sojusznicy. Na tyle dobrze znam ciebie i tervola. Albo to, co się tam dzieje, ma niewielkie znaczenie i można to spokojnie zignorować, gdy ty będziesz dokonywała swojego przewrotu, albo ma wielkie znaczenie i wykorzystasz to, żeby zająć czymś swoich politycznych przeciwników. Na tyle jednak znam tervola, że wiem, iż raczej będą bronić imperium, niż wycofają się z granic, żeby bawić się w politykę. Bardziej przemawia do mnie ten drugi pogląd. Jakies komentarze? Mgła wzruszyła ramionami.

–Mgła, według twoich norm jestem ignorantem, ale nie głupcem. Potrafię ocenić szanse i cele. Jest coś potężnego i paskudnego daleko na wschodzie. Ktoś zwany Wybawicielem. Ty i Varthlokkur nie chcecie powiedzieć o tym ani słowa, chociaż ty musisz wiedzieć, co się dzieje. Varthlokkur nie chce nawet słyszeć imienia syna Nepanthe, nie wspominając już o tym, żeby podjął jakąś próbę wyniuchania, co się z nim stało. Nepanthe jest owładnięta niemal obsesyjnym pragnieniem odnalezienia go, a w jej żyłach płynie krew czarodziejek. Dla mnie to oznacza, że Ethrian żyje i siedzi

po uszy w tym, co się tam dzieje. Cokolwiek to jest, Nepanthe to wyczuwa, Varthlokkur wie, co to jest, i z jakiegoś powodu chce ją przed tym uchronić i w jakiś sposób tak przyparł cię do muru, że też nikomu o tym nie powiesz. Znając Varthlokkura, domyślam się, że uznał, iż cokolwiek to jest, złamie Nepanthe serce, a być może ona nawet od niego odejdzie. A on ma fioła na jej punkcie i teraz, gdy już ją zdobył, będzie się jej kurczowo trzymał. Jakieś uwagi?

–Nie.

–Zatem spodziewasz się, że wpakuję się w coś w ciemno. Nie możesz mnie do tego zmusić. To niedobra taktyka, Mgło, niedobra taktyka. Chłopakiem, który ma piłkę, jestem właśnie ja. Mogę ją zabrać i iść sobie do domu. I zostawić cię kręcącą się na wietrze. Ty już się niemal zdecydowałaś. Ale ja nie. Jeżeli odejdę, nic mnie to nie będzie kosztować.

Mgła nadal nie chciała nic mówić.

–Nie mam zamiaru biegać po ulicach Vorgrebergu i rozpowiadać wszystkim wokół tę tajemnicę. Pewnie uznasz, że blefuję z tym wycofaniem się. Staruszek zawsze mi powtarzał, że

najlepszym blefem jest nie blefować. Tyczę ci, żeby twój plan się powiódł. Jeśli się nie uda, wracaj. Zawsze będę potrzebował kogoś twardego do utrzymania Maisaku. – Chciał ją wyminąć, kierując się w stronę drzwi prowadzących do jej pokoju operacyjnego.

Popatrzyła na niego, oceniła sytuację i doszła do wniosku, że nie żartował.

–Zaczekaj.

Bragi zatrzymał się. Po kilku chwilach zapytał:

–Tak?

–Varthlokkur będzie wściekły. Może wystąpić przeciwko mnie. W zasadzie masz rację co do sytuacji na wschodzie. Jest bardzo napięta, bardzo groźna, a teraz, gdy wybuchła wojna z Matayangą, w dwójnasób. Nie znam jej tak dobrze, jak powinnam. Chyba nikt z wyjątkiem dowodzącego generała tak naprawdę nie wie, co się tam dzieje, a on jest zbyt zajęty, żeby wdawać się w pogawędki. Wiem, że wielkie armie, stosujące najbardziej przerażające nekromantyczne czary, atakują imperium złośliwie, nieprzerwanie i niemal odnoszą zwycięstwo. Przewodzi im ktoś, kto nazywa siebie Wybawicielem. Co to ma znaczyć, nikt tak naprawdę nie wie. Ale ustalono, że Wybawiciel był synem Nepanthe i twojego przyjaciela Szydery.

–Był?

–Przeszedł pewne radykalne przemiany w czasie, jaki upłynął od porwania go przez agentów Pracchii i jego ponownego pojawienia się ze swoimi armiami na naszych najdalej na wschód wysuniętych obszarach. On już nie jest tamtym chłopcem. Może nawet tego chłopca nie pamiętać. Jest narzędziem zniszczenia. Stworem, który sprawiłby, że na moich najbardziej godnych pogardy ludzi patrzyłbyś z życzliwością. Jest istotą należącą w całości do mroku. A ja jestem przekonana, że Varthlokkur ma rację. Gdyby Nepanthe ujrzała Ethriana takiego, jaki jest teraz, to w najlepszym razie zniszczyłoby to jej małżeństwo. Obwiniłaby czarodzieja o to, że nie ocalił jej dziecka przed siłami ciemności.

Bragi, oparty o ościeżnicę drzwi, zastanawiał się. Minęło pół minuty.

–Myślę, że nie doceniasz Nepanthe. Obydwoje jej nie doceniacie. Ale mogę się mylić. Wracajmy do pracy.

–Czy to cię zadowala?

–Na razie. Myślę, że później będę chciał poznać więcej szczegółów.

–Wiesz teraz tyle co ja.

–Wątpię. – Ragnarson wszedł do środka. Czuł na sobie zimny wzrok Varthlokkura. Nie zwracał uwagi na czarodzieja. Mgła przyłączyła się do Bragiego, gdy analizował front raatayangański.

–Postanowiłaś już, kiedy wkroczysz do akcji? – zapytał. Zlustrował swoich ludzi. Zнали już prawdę o sytuacji. Abaca wyglądał, jakby miał eksplodować z oburzenia. – Michael, możesz szybko dostarczyć wiadomość do Throyes?

–Jeśli będę musiał.

–Mógłbyś zasugerować swoim tamtejszym przyjaciółom, żeby dali lordowi Hsungowi wycisk.

Michael się roześmiał.

–Myślisz, że muszę im to mówić? Oni właśnie na coś takiego czekali. W tej chwili cały środkowy wschód stoi w ogniu.

–A Hsung pewnie się tego spodziewał.

–Nie jest głupcem.

Bragi wrócił na swoje miejsce.

–Michael mówi, że Hsunga może czekać ciężka przeprawa.

Mgła uśmiechnęła się zimno. Był to bezwzględny uśmiech cesarzowej. Nie była tą samą kobietą, która poprzedniego wieczoru przygotowywała poncz.

–Doszło do kilku buntów. Opanowano je, z wyjątkiem tych w Throyes. Wygasną, gdy tylko ukrzyżuje się prowodyrów.

Na twarzy Ragnarsona pojawiła się odraza.

–Ukrzyżuje?

–Lord Hsung nie może sobie pozwolić na łagodność. – Po chwili zamyślenia Mgła dodała: – Jest naszym zmartwieniem. Nie interesuje się polityką, ale...

–Słyszałem, że jest szwagrem Kuo.

–To nie ma znaczenia. On zawsze trwał przy legalnej władzy, dopóki Rada Tervola nie zatwierdziła zmiany. Jest lojalny wobec ustaleń. Będzie zawziętym oponentem. Możemy użyć twoich ludzi także przeciwko niemu.

–To wszystko, czego ci trzeba?

–Siły, których potrzebujemy, mamy gdzie indziej.

–Dlaczego wplątałaś w to Dantice'a i Mundwillera?

–Myśleliśmy, że będziemy musieli wynająć najemników. Ktoś musiałby ich zebrać. Kupcy stale ich wykorzystują. Któż by coś podejrzewał, gdyby teraz, gdy przełącz została otwarta, syndykaty Delhagen zorganizowały wielką ekspedycję?

Ragnarson analizował mapę. Nic nowego się nie wydarzyło. Człowiek przy stole od czasu do czasu dosypywał czerwony piasek.

–Lepiej zajmę się przygotowaniem moich ludzi – powiedział. – Będą u mnie. –

Opuścił swoje miejsce. Do Michaela powiedział: – Miej baczenie na wszystko. Nie chcę, żeby Hsung dostał jeszcze jakiś list.

Trebilcock kiwnął głową.

–Powiniennem pomóc Haasowi. Tutaj nie mam nic do roboty.

–Słusznie. – Ragnarson przywołał Abacę, Liakopulosa i Gjerdruma. – Obserwujcie mapę na

zmianę. Może uda się wam zauważyć coś, czego oni nie dostrzegają.

–Czy mogę o coś zapytać, panie? – szepnął Abaca.

–Wal śmiało.

–Czy ufasz, panie, tej kobiecie? Ragnarson prychnął.

–A jak myślisz?

Abaca uśmiechnął się z zadowoleniem. Zdumiony baron wtoczył się do środka.

–Co, do diaska?

Ragnarson otoczył go ramieniem.

–To nasz udział w wykastrowaniu Shinsanu. Zamierzamy obalić lorda Kuo.

Kasztelanka wraca do domu.

Hardle przełknął ślinę.

–Czy to nie ryzykowne, panie?

–Bardzo. Weź jednak pod uwagę stawkę. Jeśli to się uda, połowa problemów Kavelinu będzie rozwiązana. A tak na marginesie, przepraszam, że utrzymywałem cię w nieświadomości. Musieliśmy trzymać to w tajemnicy. Hsung ma szpiega w pałacu. Niech Gjerdrum cię poinformuje. Będę potrzebował twojej pomocy.

–Ale... Panie... Kto będzie trzymał w ryzach Zgromadzenie?

–Poradzą sobie. Prawdopodobnie dojdzie tylko do małej sprzeczki. Mam nadzieję, że do końca tygodnia będzie po wszystkim. Derel, idziesz czy zostajesz?

–Zostaję, panie. Ci ludzie mnie intrygują. Rzadko można zobaczyć takie wyrefinowanie poza Hellin Daimiel.

–Bez wątpienia – mruknął Ragnarson, schodząc po schodach. – Bez wątpienia. W tych dniach pokażę ci prawdziwy Hellin Daimiel poza twoim terenem uniwersyteckim.

Zaczęli się już gromadzić gapie. Dahl trzymał ich po drugiej stronie ulicy.

Ragnarson wybrał dwóch strażników i poszedł do swego starego domu. Kristen zastał na ganku.

–Co się tam dzieje? – zapytała.

–Nie mogę ci powiedzieć. Będziemy się tym zajmować przez kilka dni. Myślisz, że mogłabyś przenocować tłum żołnierzy?

–To zależy.

–Mnie, Michaela, Dahla Haasa, Liakopulosa, Derela, Barona Hardle'a, Gjerdruma. Może paru strażników. Nie musisz przygotowywać nic wyszukanego. Wystarczy, że nas nakarmisz i dasz miejsce do spania.

–Będę musiała załatwić jedzenie. I kogoś do pomocy.

–Poszukaj w koszarach królewskich. Uważaj, kogo wybierzesz. Nie powinni zadawać pytań ani odpowiadać na pytania, powinni za to nie pamiętać niczego, co przypadkiem usłyszeli.

–Dobrze wiem, kogo wezmę – uśmiechnęła się szeroko.

–Tak pomyślałem. Tylu kawalerów... Jak Ainjarowi podoba się łuk?

–Zabrałam mu go. Strzelał przez okno. Znienawidził mnie do końca świata.

Bragi uśmiechnął się. Ainjar zawsze nienawidził kogoś do końca świata lub przez dziesięć minut, zależy, co wypadło wcześniej.

–Widziałaś dzisiaj rano niebo?

–Tak. Co to było?

–Matayanga i Shinsan.

–Och. Nie sądziłam, że oni... Nie sądziłam, że ktokolwiek ma aż tyle odwagi. Może z wyjątkiem ciebie. Czy to, co się dzieje u Mgły, ma z tym coś wspólnego?

–Coś.

–Aluzja zrozumiana. Na kiedy potrzebne ci te posłania?

–Ja i Varthlokkur będziemy ich potrzebować już wkrótce. Mało ostatnio spaliśmy.

–A tak na marginesie, co to jest?

–Co masz na myśli?

–Dziecko.

–Och. Nie widziałaś fajerwerków? Dziewczynka. Oszalał ze szczęścia. Dzidzius i mamusia mają się świetnie.

–Wybrali już imię?

–Jeszcze nie. Chcą odczekać kilka dni. Kristen się zamyśliła.

–Wiesz co, to jest zabawne.

–Co jest zabawne?

–Życie. Tyle się dzieje. Tam ludzie się zabijają, a mnie bardziej ciekawi, jakie imię ktoś ma zamiar dać dziecku. Czy z moralnego punktu widzenia nie jest to obrzydliwe?

–Takie jest życie, dziewczyno. Nie znamy tych ludzi. Do diabła, z tego, co wiemy, oni tak naprawdę nie istnieją. To wszystko może być jednym wielkim kłamstwem. Gdybyśmy zdecydowali, że pójdziemy oglądać wojnę, bogowie mogliby wpaść w panikę, w pośpiechu starając się ustawić rekwizyty, zanim tam dotrzemy.

–Jak dla mnie, robisz się trochę dziwny, teściu.

–To możliwe. Spędzam za dużo czasu w towarzystwie dziwaków. Głównie swoim własnym. – Zachichotał bez przekonania. Sam się nad sobą zastanawiał.

Napisał kilka słów do kwatermistrza regimentu królewskiego, po czym wrócił do domu Mgły. Sytuacja na mapie nie uległa zmianie.

Rok 1016 OUI Stan gotowości Nie kończące się oczekiwanie zaczęło przybierać pozór czuwania przy zmarłych. Atak matayangański trwał i trwał bez końca, a Mgła ciągle się upierała, że jeszcze nie nadszedł właściwy czas. Po Vorgrebergu krążyły tysiące szalonych domysłów. Przeciekały na prowincję, gdzie były jeszcze bardziej wyolbrzymiane.

–Ile czasu upłynie, zanim agent Hsunga zacznie kojarzyć fakty? – Ragnarson zapytał Mgłę.

–Wiem, wiem. Wkrótce będziemy musieli założyć, że wie. Niech szlag trafi tego człowieka! Mam na myśli lorda Kuo. Dlaczego nie rusza?

Czerwony piasek wdierał się głęboko w terytorium Shinsanu. Informatorzy Mgły donieśli, że Armia Południowa właściwie przestała istnieć. W jej linii pojawił się ogromny wyłom.

Ragnarson odczuł pokusę, żeby się wycofać. Dlaczego miał ryzykować życie ludzi w próbie przewrotu, gdy Matayanga miała właśnie za niego roznieść wrogów Kavelinu?

Baron Hardle coś powiedział. Bragi sklął go, po czym przeprosił. Każdy chciał wyjść chociaż na chwilę. Sam miał na to ochotę. Ale zasady są zasadami. Nie można dopuścić do przecieków.

Inger przesłała mu z dziesięć wiadomości. Zignorował je. Ostatnia była utrzymana w ostrym tonie.

–Pięćdziesiąt godzin. Jeśli lord Kuo nie ruszy, zrobię to ja.

–W ciemno? – zapytał król.

–W ciemno. Nie będę mogła ufać swoim ludziom wiele dłużej. Jeśli jeden ucieknie, wszyscy za nim popędzą. Zanim poskładam to na nowo, minie dziesięć lat.

Dantice skrywał urazę.

–Już późno – zauważył Ragnarson. – Pójdę się trochę przespać.

Właśnie wychodził, gdy Haas zawołał:

–Panie, czy mógłbyś przypomnieć kapitanowi Trebilcockowi, że miał mnie zmienić pół godziny temu?

–Dobrze. Gjerdrumowi też. Ma zmienić generała Liakopulosa. – Poszedł ulicą, mrużąc coś pod nosem. Kristen sprowadziła swoje przyjaciółki. Teraz Gjerdrum, Dahl i Michael spóźniali się na służbę.

Splunął na ulicę.

–Cholernie brakuje mi Inger. – Dlaczego tak tego nie odczuwał, gdy nie widzieli się, będąc w pałacu?

Przekora ludzka, uznał. Miesiąc temu martwił się, bo nie przejawiał zainteresowania

kobietami. Teraz szalał na myśl o Inger i Sherilee.

Kopnął jakiś kamyk. Potoczył się po bruku i odbił się rykoszetem w górę. Złapał go w locie.

–Masz refleks, weteranie.

Naprawdę załatwił sprawę z Sherilee. Wyperswadował to jej. Kristen nie miała od

niej wiadomości przez cały tydzień.

Wypatrzył daleki pień drzewa, podniósł kamień i rzucił. Uderzył w ziemię za blisko i trochę za bardzo w prawo.

–Psiakrew! Umiem przecież celniej rzucać. – Nazbierał pełną garść kamyków, rzucając nimi, szybko odkrył, że jego ręka nie ma już dwudziestu lat. Co skłoniło go do przypomnienia sobie różnych straconych okazji.

Ich lista była długa. Zawierała nie tylko kobiety, z którymi nie pofiglował. Ostatnimi czasy odkrywał, że coraz bardziej irytuje go każda zmarnowana chwila.

Derel oświadczył, że to zwykły etap w życiu człowieka. Powiedział, że większość mężczyzn w wieku Ragnarsona przez to przechodzi. Varthlokkur twierdził, że to się nigdy nie kończy. Utrzymywał, że nie jest w stanie zliczyć, ile razy postanawiał, że nie przegapi żadnej okazji, tylko po to, żeby niemal natychmiast jakąś zaprzepaścić. Kłopot w tym, że człowiek rzadko rozpoznaje okazję, dopóki ta nie przeminie.

Coś strzyknęło Ragnarsonowi w łokciu. Został tępy ból. Następny kamień poleciał panu bogu w okno.

–Zresztą, niech to wszystko diabli porwą! – Wybrał następny kamień i cisnął go, wkładając w rzut całą siłę. Miał wrażenie, że ręka mu odpadnie.

W końcu trafił w to przekłete drzewo. Rzut nie był tak precyzyjny, osiem stóp wyżej niż celował, ale trafił.

–Muszę po prostu przyznać, że zbliża się starość. Cholera, to wstyd, że człowiek już więcej nie dostanie. – Kopnął kolejny kamień. Potoczył się dziesięć stóp. – Jeszcze lepiej byłoby przeżyć to samo życie, ze cztery czy pięć razy, na różny sposób.

Czy własna śmiertelność zbyt go nie zajmowała? Zostało mu jeszcze parę dobrych lat. Powinien się martwić, jak wycisnąć z nich wszystko, co najlepsze, a nie rozpamiętywać, jak roztrwonil te, które minęły.

–Biadolenie ich nie przywróci, Ragnarson.

Michael siedział na frontowych schodach obok Julie. Wpatrywali się w siebie z intensywnością, której nie sposób trafnie nie rozpoznać.

–Trebilcock! – warknął Ragnarson. – Dość tego! Spóźniłeś się na służbę.

Michael zerwał się na równe nogi. Wyglądał jak dziecko przyłapano na gorącym uczynku, gdy coś spsocioło.

–Przepraszam, panie. To się nie powtórzy.

Kristen otworzyła drzwi.

–Widziałam, jak nadchodzisz – powiedziała. Bragi wszedł. – Nie byłeś trochę za ostry?

–Pewnie tak. Zaczynam się martwić.

–Brak postępów?

–Tak. Gdzie jest Gjerdrum? On też się spóźnił.

–W spiżarni z Tilde.

–Domyślałem się, że to może się tak skończyć. Z całą pewnością twoje przyjaciółki są niezawodne. Wszystkie zarzuciły haczyki, co?

–Tak jakby. – Na jej ustach pojawił się wymuszony uśmiech. – Zawsze mogę

uganiać się za Derelem. – Łza potoczyła się po jej policzku. Wtuliła twarz w pierś Bragiego.

–Ejże! O co chodzi?

–Pewnie o to, że zawsze jestem o krok od sukcesu.

–Jedna z nich ukradła ci faceta, którego sobie upatrzyłaś?

–Nie. Tak naprawdę to nie. Żaden z nich nie wpadł mi w oko. Taka sobie refleksja.

Nagle wszystkie moje przyjaciółki mają kogoś, a ja jedna ciągle siedzę sama na widowni.

–No tak. Bądź cierpliwa. Na ciebie też przyjdzie kolej.

–Stale sobie to powtarzam. Zjesz coś?

–Chyba tak. Chociaż tak naprawdę potrzebuję snu.

–Idź na górę. Przyślę ci tam kolację.

–Coś nie tak z kuchnią?

–Pełno w niej strażników. Nie wydaje mi się, żebyś był w nastroju ich znosić.

–Masz rację. No cóż, sprawdźmy, czy mam dość energii, żeby wdrapać się na trzecie piętro.

–Podesłać ci noszowych?

–Cięty jęczyzek.

Korzystał z pokoju, który należał do Haakena przed jego śmiercią. Kristen chciała umieścić go w tym, który niegdyś dzielił z Elaną. Nie potrafił do niego nawet zajrzeć z korytarza, chociaż wystrój pokoju od czasu, gdy zginęła w nim jego żona, się zmienił.

Pokój Haakena był jedynym, którego nie nawiedzały duchy przeszłości. Nieczęsto w nim bywał. Haaken też korzystał z niego sporadycznie. Dowodził regimentem vorgrebiańskim i jego domem były koszary w mieście.

Był to maleńki pokoik, mniej więcej siedem na dziesięć stóp, z łóżkiem ustawionym pod oknem. Znajdowało się tam jeszcze krzesło i mały stolik, który Haaken wykorzystywał jako biurko, i kilka pamiątek. Jedną z nich był medalion, który dała im matka przed ucieczką z Trolledyngii. Bragi otworzył go. W środku znajdował się kosmyk włosów matki. Gdzie była teraz Helga? Prawdopodobnie od dawna nie żyje. Miał niejasne poczucie winy. Powinien pojechać do domu, sprawdzić to.

Zamknął medalion, położył go na łóżku, zaczął wspominać. Wiele lat czekało na przypomnienie.

Zapadł w półsen, przypominając sobie złe czasy po wojnach El Murida. On, Szyderca i Haroun sprzedaliby swoje dusze za jedną setną tego, co miał dzisiaj. Prawie musieli zrobić to za dużo mniej. Gdyby bóg powiedział mu, że zostanie królem, umarłby ze śmiechu, choć wcale nie byłoby mu wesoło.

Zabawne. Nie był teraz szczęśliwszy niż wtedy.

Dobiegło go ciche, niepewne pukanie do drzwi.

–Wnieś to do środka – wymamrotał. Skrzypnęły zawiasy, gdy drzwi się otworzyły i zamknęły. – Postaw na stole. – Usłyszał kroki.

On, Szyderca i Haroun. Nieustraszona trójka. Ważyli się na każde szaleństwo. Nierozdzielni towarzysze, których wzajemne zaufanie nie było większe niż odległość, na jaką karzeł może rzucić dorosłego słonia. Przeżyli piękne chwile i nie musieli

troszczyć się o niczyje życie poza własnym...

Wydaje mi się, że właśnie za tym tak naprawdę tęsknię, pomyślał. Za brakiem presji. Za wolnością od odpowiedzialności.

Nie słyszał, żeby kroki się oddalały...

Obrócił się, szybki jak kot. Sztylet wskoczył mu w dłoń. Przykucnął, gotów do skoku...

Sherilee zakryła dłonią usta i zaczęła się wycofywać w stronę drzwi.

–Ha! – prychnął. – To ciężkie przeżycie dla faceta, kobieto. – Odwrócił nóż, rzucił.

Wbił się w ościeżnicę. – Co ty tutaj robisz?

–Przyniosłam panu kolację. Kris powiedziała, że jest pan głodny.

Była blada jak kreda i drżała.

–Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. Usiądź. Co przyniosłaś?

–Kurczaka – odpowiedziała cichutko.

–Powinienem się domyślić. Kurczak. W całym tym zacofanym królestwie pewnie nie ma ani jednego wieprza czy krowy. Owce musiały wyzdychać zimą. W tym miesiącu zjadłem już ze cztery skrzynie kurczaków.

–Mogę przynieść coś innego. – Przez chwilę patrzyła mu w oczy.

–Nie, nie możesz. Jedna wycieczka po tych schodach wystarczy. Nie widzieliśmy cię od tygodnia.

Wpatrywała się w swoje ręce. Wyłamywała sobie palce.

–Nie mogłam przyjść od razu. Miałam parę spraw do załatwienia.

–Ale teraz tu jesteś.

Znowu spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się nerwowo, po czym przygryzła dolną wargę. Skinęła głową. Wpatrywał się w nią, a napięcie sprawiało, że żołądek mu się wywracał.

Był tylko jeden bezpieczny temat.

–Jesteś głodna? Podzielę się z tobą, jeśli jedzenia jest dosyć. – Rozmowa o pogodzie wydała mu się idiotycznym pomysłem.

–Och, dobrze. – Uniosła serwetę przykrywającą tacę. Była zastawiona jedzeniem i picciem. – Kris przygotowała tacę. Nie widziałam jej wcześniej.

–Ma bardzo wielkie wyobrażenie o moim apetycie.

–Może nie oczekiwała, że wrócę na dół – zasugerowała cokolwiek zuchwale Sherilee.

–Może i nie oczekiwała. – Wybrał udko kurczaka i obejrzał je dokładnie.

Dziewczyna udawała ogromne zainteresowanie jedzeniem.

–A wrócę? – zapytała cichutko.

Niemal w tym samym momencie zapytał schrypniętym głosem:

–Zostajesz?

–Kurczak wystygnie.

–Tak. Wystygnie. – Odłożył udko z powrotem na tacę. – Czy to ważne?

–Nie. Czasami lubię zimne mięso.

Powoli wyciągnął rękę. Równie ostrożnie Sherilee wstała z krzesła. Znowu przygryzła dolną wargę. Nie unikała już jego wzroku. Zarumieniła się, gdy ich ręce się

spotkały.

Wiedział, że to będzie eksplozja. Że będzie to tak szalone, jak było z Fianą. Ten ogień może go strawić. Nic go to nie obchodziło.

Pukanie do drzwi nie ustawało. Głos nalegał:

–Ojczy! Obudź się!

Odchrząknął, uniósł głowę. Przez kotary przedzierało się światło. Spali tak długo? Szarpnięciem odrzucił przykrycie.

Wschód znowu stał w ogniu. Niebo nad górami M'Hand płonęło przerażającymi kolorami – cytrynowym i limonowym – upstrzonymi odcieniem krwi.

Delikatnie wyswobodził się z objęć Sherilee i podszedł do drzwi.

–Kto tam?

–Kristen.

Uchylił drzwi odrobinę.

–Widziałeś niebo? – zapytała.

–Przed chwilą. Znowu się zaczęło. – Nie był na to gotów. Oznaczało to, że musi ponownie dołączyć do Mgły. Musiał zrezygnować z tej idylli.

–Na to czekałeś?

–Prawdopodobnie.

–Tak myślałam. Dlatego weszłam na górę.

–Jakieś wieści od Mgły?

–Jeszcze nie.

–Ubiorę się. – Zaczął sięgać po ubranie. – Dlaczego nie śpisz o tej porze?

–Nie mogłam zasnąć. Pewnie gryzło mnie sumienie. No tak. To jej droczenie się i swatanie przestało być zabawą.

–Niech grzesznik odpokutuje swoje występki. Tak powiedział El Murid.

Rzeczywiście zostawił po sobie parę perełek.

Zrozumiała. Nałożył lekką kolczugę, którą nosił prawie cały czas, myśląc, że Kris czyta w nim z taką samą łatwością jak Elana. Czy w jej żyłach nie płynie odrobina krwi czarownicy? Ragnar miał szczęście, że na nią trafił.

Przypasał miecz. Był gotów.

Popatrzył na delikatne rysy twarzy widoczne w przerażającym cytrynowym świetle. Nachylił się, lekko pocałował Sherilee i mruknął:

–To było cudowniejsze, niż się spodziewałem, maleńka. – Wyrzwał przez okno.

Krwawa błyskawica rozbłysła na tle żółci i zieleni. – Ale co ja ci dałem? – Musnął jej włosy i odwrócił się.

Wyszedł na korytarz.

–Ktoś jeszcze jest na nogach?

–Tu jest jak na cmentarzysku. – Zeszli po cichu na dół. Kristen miała rację. Ani żywego ducha. Wyszła za Bragim na ganek. – Nie martw się o Sherry. Dobrze?

Zrobiła to, czego pragnęła.

–Co masz na myśli?

–Znam cię. Następnego ranka masz poczucie winy. Z powodu wykorzystania niewinnej dziewczyny. Tak jak teraz. Nie miej wyrzutów sumienia. Skup się na tym,

co robisz. I wróć, gdy będziesz mógł. Ona będzie czekać. – A gdy Ragnarson wyszedł na ulicę, mruknęła: – Ona dostaje to, czego chce, ojczu. Jak ja jej zazdrozczę.

Weszła do środka, zastanawiając się, jak mogła tak pomyśleć.

Ulica budziła się do życia. Ludzie zbierali się i oglądali spektakl na niebie.

Ragnarson zerkał ze zgrozą przez ramię. Niemal zabił Derela, zderzając się z nim.

–Panie, nic się nie stało. Kasztelanka mnie przysłała. A więc zauważyłeś to?

–Mógłbym tego nie zauważyć, Derel? Jest jeszcze bardziej imponujące niż w zeszłym tygodniu. Cały czas się zastanawiam, dlaczego ziemia nie drży. Czy to jest właśnie to? Czy Kuo wyszedł z kryjówki?

–Ona tak mówi. – Prataxis rozglądał się wokół ukradkiem.

–Spodziewasz się w krzakach szpiegów?

–Pułkownik Abaca postawił w stan gotowości oddziały szturmowe, panie.

Gromadzą się

w parku.

–Świetnie. Czy Mgła odzyskała łączność ze swoimi ludźmi w grupie lorda Kuo?

–Będziesz musiał ją o to zapytać, panie. Wiem, że na krótko połączyła się z Armią Wschodnią.

–Co się tam dzieje?

–Nie wiem, panie. Mogę tylko powiedzieć, że to ją martwi, a Varthlokkur wygląda na poważnie zaniepokojonego.

Doszli do bramy domu Mgły.

–Powiedz Kristen, żeby postawiła wszystkich na nogi i nakarmiła ich – powiedział Ragnarson.

–Właśnie miałem to zasugerować, panie. Ragnarson podszedł do Mgły.

–O to ci chodziło?

–Lord Kuo przeprowadził kontratak. – Wydawała się uszczęśliwiona. Była tak zachwycona, jakby sama zastawiła tę małą pułapkę.

Była też rozluźniona, a takiego stanu Bragi nie widział u niej od wielu dni. Spojrzał na Arala Dantice'a. Aral też wyglądał na rozleniwionego i zaspokojonego. Ha!

Od razu poczuł się lepiej w towarzystwie Mgły. Nie ufał nikomu, kto całkowicie nad sobą panował. Zwykle byli to ludzie, którzy w jednym momencie zmieniają front, bez wyrzutów sumienia, dla chwilowej korzyści. Dlatego właśnie często czuł się nieswojo w obecności Michaela. I Inger, która pozostawała lodowatą damą, dopóki świadomie nie pozwoliła sobie się zatracić.

–Kiedy wchodzimy?

–Będę potrzebowała więcej informacji. Ale myślę, że jeszcze dzisiaj.

Ragnarson obszedł ostrożnie tervola nanoszącego na mapę przeciwnatarcie lorda Kuo i przyjrzał się jej drugiemu końcowi. Zauważył, że Varthlokkur przysiadł przy tej właśnie części mapy. Podejrzewał, że czarodziej może być już gotów do szczerzej rozmowy.

–O co tu chodzi?

Czarodziej zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

–Ciągłe nie mamy pewności.

–A skąd twoje wielkie zainteresowanie?

–Armie Północna i Wschodnia oświadczyły, że poprą Mglę. Ale są zbyt zajęte Wybawicielem, żeby udzielić jej jakiegokolwiek rzeczywistej pomocy.

–Wybawicielem?

–Zdziesiątkował Armię Wschodnią. Armia Północna stara się wypełnić powstałą lukę.

Bragi zaryzykował i spojrzał czarodziejowi prosto w oczy.

–Czy ten Wybawiciel jakoś szczególnie cię interesuje? Varthlokkur skinął głową.

Mowa

jego ciała, zwykle tak starannie kontrolowana, znamionowała silną walkę wewnętrzną.

–Więc?

–To jest Ethrian. On gdzieś tam jest.

–A zatem on żyje? – Najwyraźniej mieli udawać, że nie rozmawiał z Mglą i że czarodziej nie zdawał sobie sprawy z tego, że jednak taka rozmowa się odbyła. Jemu to nie przeszkadzało.

–Intuicja mówi mi, że tak. Nie jestem pewny, że to on. Nie ten Ethrian, którego znaleźliśmy.

–To byłoby coś wspaniałego dla Nepanthe. Dopiero co urodzona córeczka, a teraz odzyskanie utraconego syna.

–Jeżeli to, co wyczuwam, to Ethrian, nie będzie chciała go przyjąć z powrotem.

–Naprawdę? – Bragi rzadko widywał czarodzieja tak przygnębionego. – Dlaczego?

–Chciałbym uzyskać od ciebie pewną obietnicę. Jeżeli moje obawy się potwierdzą, chcę, żebyś zapomniał, że słyszałeś, jak wymawiam imię Ethriana. Nepanthe zaznała w życiu już zbyt wiele bólu.

–Ale...

–Ona nie potrzebuje więcej cierpienia. Nie zniosłaby tego, że jej syn wyrósł na potwora. Uczynię wszystko co w mojej mocy, żeby ją chronić.

–Ale...

–Uczynię wszystko co w mojej mocy, żeby ją chronić. Powtórz jej to, co usłyszałeś ode mnie, a już nigdy nie będziesz mógł liczyć na moją pomoc.

–Człowieku, spokojnie. Nie mam najmniejszego zamiaru o niczym jej wspominać. Myślę, że się mylisz, ale nie będę się w to wtrącał.

–Przepraszam. Jestem przerażony i zmartwiony. Ale ja naprawdę mówię poważnie. Nie chcę, żeby ją niepokojono.

Przybywali kolejni goście z domu Kristen. Niektórzy nieśli ze sobą śniadanie. Zaspany Michael Trebilcock odciągnął Ragnarsona na bok.

–Panie?

–Co jest, Michael?

–Dostałem wiadomość od moich ludzi. Lord Hsung wypleniał throyeńskich rebeliantów. Tego właśnie słowa użył mój agent. „Wypleniał”. Internował też ludzi z naszych karawan. Twierdzi, że przemycali broń dla rebeliantów.

–A przemykali?

–Mało prawdopodobne. To był dopiero początek miesiąca miodowego, zbyt wcześnie, żeby łamać zasady. Hsung coś szykuje.

–Drań. Możemy coś z tym zrobić?

–Niewiele. Nie sądzę też, że powinniśmy. Moim zdaniem to raczej ostrzeżenie, żebyśmy się nie rozbrykali w czasie tego kryzysu matayangańskiego.

Prawdopodobnie za kilka tygodni ich

wypuści.

–Czy wpadną w tarapaty, jeśli poprzemy Mglę?

–Przecież i tak jest już za późno, żeby się wycofać, prawda?

–Chyba tak...

Przy drzwiach doszło do jakiegoś zamieszania. Wpadł Gjerdrum. Krzyknął wzburzony:

–Panie, trzech mężczyzn przed chwilą próbowało mnie zabić! Tuż przed twoim domem!

–Jesteś ranny?

–Nie. Dwóch załatwiliśmy. Trzeci uciekł.

–Dobrze. Uspokój się. Mów szybko. – Skinął na Varthlokkura. – Myślisz, że Niezrodzony mógłby wytropić tego, który uciekł?

–Może spróbować.

Gjerdrum nie miał wiele do opowiadania. Wyszedł ze strażnikiem z domu. Niosący zabójcy wypadli z parku. Dwóch zamachowców padło. Ochroniarz został ranny. Trzeci zamachowiec uciekł.

–W którą stronę?

–W kierunku miasta.

Czarodziej skupił się. Ragnarson zasiadł na krześle. Czekał, przyglądał się mapie.

Podzielenie się Południowej Armii Shinsanu pozwoliło długiej czerwonej plamie w kształcie ręki wdrzeć się głęboko w głąb kraju. „Kończynę” tę tworzyły niezliczone rzesze Matayangan. Teraz lord Kuo dokonywał jej amputacji tuż przy barku.

Ogromna armia zostanie odcięta na terytorium wroga.

Ragnarson przywołał Abacę.

–Credence, myślisz, że da radę?

–Jak mówi kasztelanka, panie, jest zbyt wcześnie na ocenę – szepnął Abaca. – Powinniśmy kibicować Matayanganom, prawda? Może zrobimy coś, żeby im pomóc?

–W pewnym sensie to robimy. Wiążemy Armię Zachodnią. Zresztą Matayanga i tak nie może zwyciężyć. W ostatecznym rozrachunku. Shinsan jest cholernie wielki. Chcę tylko zagwarantować sobie, że to, co zostanie, będzie bardziej przyjazne.

Abaca rzucił okiem na Mglę. Wyraz jego twarzy zdradzał przekonanie, iż nowy władca na tronie imperium niczego nie zmieni.

–Radeachar go śledzi – powiedział Varthlokkur. – Zmierza w kierunku miasta. Jest ranny.

–Gjerdrum, zraniłeś tego trzeciego?

–Nie wiem. Wszystko działa się bardzo szybko.

Ragnarson zwrócił się do Varthlokkura:

–Norathowi niezbyt dobrze idzie, co? Trzy porażki. Ktoś będzie niezłe wkurzony.

–Miejmy nadzieję, że ten ktoś zrobi coś na tyle głupiego, że się zdradzi.

Bragi przyglądał się mapie, dopóki nie znudziły go jedynie drobne zmiany.

Poszedł przyjrzeć się zbierającym się w parku oddziałom.

–Dahl, przepędź tych gapiów. Zbierz sierżantów drużyn na odprawę, gdy będą już gotowi.

Odprawa zajęła dwie godziny. Jesteśmy o dwie godziny bliżej... czego?

Rozwiązania największego problemu Kavelinu? – Zastanawiał się Bragi.

Stale przypominały mu się rozmarzone oczy w twarzy okolonej potarganymi blond włosami. Cała noc nie zdołała wymazać tego obrazu. A w przypadku innych podobnych zbliżeń wystarczało kilka minut. Teraz pożałował jej jeszcze bardziej niż przedtem. Pragnął Sherilee, strasznie jej pragnął, chciał jej teraz. Ruszył ulicą.

–Panie! – krzyknął Prataxis. – Panie, kasztelanka chce cię zobaczyć.

Ragnarson westchnął.

–Kavelinie, ależ z ciebie zazdrosna dziwka. – Ciężkim krokiem wrócił do pokoju operacyjnego.

Mgła wskazała mu kleszcze chwytające matayangańską rękę.

–Zamierzamy ruszyć, gdy te ramiona znajdą się w odległości dziesięciu mil od siebie. Za około cztery godziny. Będę potrzebowała twoich trzech grup szturmowych. Większość obecnych tutaj będzie ci towarzyszyć i wspierać.

Mówiła tonem nie znoszącym sprzeciwu. Bragięgo to rozdrażniło.

–Jeszcze nie jesteś numerem jeden. Dopóki nie opadnie bitewny pył, jesteś kasztelanką Maisaku. – Spojrzał na Varthlokkura, który przyglądał się im beznamytnie. Niech mnie diabli, pomyślał. Szkoda, że jestem od niego uzależniony. Gdybym go stracił, opadłaby mnie sfera wilków. Odwrócił się. – Credence, chcesz poprowadzić grupę uderzeniową?

–Będę zachwycony, panie.

–To dwie. Kto bierze trzecią?

–Dwie, panie? – Prataxis notował jak szalony, od czasu do czasu przeklinając, gdy jego przepracowane pióro przyskało atramentem.

–Jedną grupę prowadzę ja.

–Panie!

–Znam argumenty, Derel. Nie zdzieraj sobie gardła. Idę. Credence? Kto jest najlepszy?

Abaca wydał usta.

Gjerdrum zgłosił się na ochotnika.

–Ty nie – orzekł Ragnarson. – Zabieram Derela i Varthlokkura. To znaczy, że ty zostajesz tutaj, aby dopilnować, żeby wszyscy postępowali uczciwie. Pan również zostaje, generale – zwrócił się do Liakopulosa. – Ktoś musi dowodzić armią, gdy Gjerdrum rządzi krajem.

–Niech to szlag, panie, robisz mi to zawsze, gdy... – zaprotestował Gjerdrum.

–To cena za to, że jesteś lojalny. Bądź cicho. Credence?

–Może kapitan Haas? – Abaca uśmiechnął się blade.

Stosunki między Haasem i Abacą nie były najlepsze. Ragnarson podejrzewał, że pułkownik chce doprowadzić do tego, żeby Dahl okazał się niekompetentny.

Michael precyzyjnie się między Gjerdrumem i Liakopulosem.

–Byłbym zaszczycony, panie. Czy mógłbym zabrać mojego dawnego pomagiera, Arala?

Ragnarson dostrzegł machającą gdzieś z tyłu pulchną rękę. Uśmiechnął się szeroko. No, w końcu. Baron Hardle był z politycznego punktu widzenia doskonałym kandydatem na trzeciego dowódcę. Flanki króla strzeżone przez oficerów ze skrajnych warstw społecznych. Lubił gesty na pokaz.

–Ludzie, zróbcie miejsce dla barona. Zgadzam się. Bierzesz trzecią grupę.

Hardle wyglądał na kompletnie zaskoczonego. Nie sądził, że zostanie potraktowany poważnie.

Abaca narzekał. Ragnarson się uśmiechnął. Abaca zawsze narzekał.

–On jest dowódcą, Credence. Jak zapewne pamiętasz.

–Tak sądzę. Czy mi się to podoba, czy nie, uratował mi tyłek w bitwie o Brody.

Wytrzymam z nim, jeśli on wytrzyma ze mną.

Zdeprimowany Hardle podał Abace dłoń.

Bragi wymienił spojrzenia z triumfującym Prataxisem. Niech to diabli! W oczach Derela pojawiły się łzy. Rozumiał tę milczącą symbolikę. Koncepcja się umacniała. Nordmeni i Marena Dimura wymieniający uścisk dłoni! Nie mieli pojęcia, ile ten gest mówił o tym, jaką drogę przebyli.

Ragnarson przyglądał się badawczo baronowi. Nie wydawał się już mały, gruby i nieudolny. Biła od niego nowa duma, nowe poczucie własnej wartości. Jego warstwa społeczna wiele straciła i jednego, i drugiego po tym, jak służyła źle sprawie w wojnie domowej w Kavelinie.

–Zobaczmy, czego potrzebują nasi przyjaciele – zaproponował Ragnarson. Obraz nienasyconej blond piękności pojawił się w jego głowie. Odpędził go. Pozostało pytanie, czy jeszcze kiedyś skosztuje tych smakołyków, czy też złoży swoje kości w ziemi wroga.

Diabła tam wróżby Varthlokkura. Był przerażony. Czarodziej czasami się mylił.

Rok 1016 OUI Tam i z powrotem Jakiś żołnierz zwał się Bragiemu na plecy. Zrzucił go i ruszył chwiejnym krokiem do przodu, zderzył się z jakimś tervola, błyskawicznie go powalił. Jego żołnierze rozwinęli tyralierę. Wróg zaczął reagować, wyciągając broń i przygotowując zaklęcia. Varthlokkur rzucił własne zaklęcie. Chaos rozprzestrzenił się jak zaraza. Zaklęcia śmigły po wschodniej kwaterze głównej, zdając się nie znać swoich panów.

Po kwadransie miejsce było zabezpieczone. Baron Hardle też zajął swój cel. Ale Credence Abaca był w tarapatkach. Wpadł do kwatery, z której chwilowo korzystał lord Kuo. Obrona była twardsza.

–Ruszajmy tam, zanim zamkną portale teleportacyjne! – ryknął Ragnarson. Pognał swoich ludzi. Dołączyli do nich żołnierze barona Hardle'a.

Przez pół godziny do Bragiego nie docierało nic poza nieustannym szczękiem mieczy, brzękiem tarcz zderzających się ze zbroją tervola, jeżącymi włos na głowie momentami, gdy rzucono zaklęcie, i obawą, że mogłoby ono smagnąć właśnie jego. Walczył z wyśmienitym szermierzem i coraz bardziej słabł, gdy lord Ch'ien, najważniejszy tervola Mgły, zakończył działania wojenne, ogłaszając kapitulację przeciwnika.

Było po wszystkim. Przewrót się powiódł. Lord Kuo Wenchin został obalony. Kavelin osadził na tronie Shinsanu swojego przyjaciela.

Bragi robił obchód. Te koszty! Stracił jedną trzecią swoich ludzi. Reszta też nie wyszła bez zadraśnięcia. Sam odniósł kilka niegroźnych ran.

Pojawił się uśmiechnięty baron Hardle, z zakrwawionym mieczem i piękną kolekcją siniaków.

–Na boga, panie, dokonaliśmy tego, dokonaliśmy.

–Z całą pewnością, baronie. Przygotuj się na kontratak. Gdzie jest pułkownik Abaca?

Hardle pobladł.

–Kontratak? Ee... Oczywiście. Credence jest w tamtym rogu, panie.

Nagle tervola wylali się z nie zabezpieczonego portalu. Walka rozgorzała na nowo. Zaklęcie za zaklęcie. Miecz uderzył o miecz. Któryś ze sprzymierzonych tervola krzyknął:

–Oni są z Armii Zachodniej.

Armia Zachodnia? – pomyślał Bragi. Mgła miała przecież unieszkodliwić bandę Hsunga. Kontratak dobiegał końca.

–Nie odnieśliśmy aż tak wielkiego sukcesu, na jaki miałeś nadzieję.

Bragi odwrócił się. Za nim stał Varthlokkur, wpatrując się w portale.

–Jak to?

–Lord Hsung odbił pozostałe dwie kwatery główne.

–Psiakrew! Większe straty w ludziach.

–Wszystko idzie zbyt gładko. Cuchnie zasadzką. Lord Hsung wiedział, że nadchodzimy.

–Mówiłem ci, że w pałacu jest zdrajca.

–Szczęśliwie Hsung nie przekazał na czas wiadomości lordowi Kuo. Wynośmy się stąd teraz. Nie będziemy już użyteczni.

Bragi był zaskoczony.

–Co?

–Otworzyłem portal do Kavelinu.

–Tu cię mam. Derel, przerzucajcie rannych przez tę króliczą norę. Varthlokkur, zająłeś się Credence'em? W jakim jest stanie?

–Kiepskim. Zrobiłem, co mogłem. Nie mogę zagwarantować, że z tego wyjdzie.

Bragi rozejrzał się wokół siebie. Pojmanych już tervola zwalniano warunkowo od obowiązku wojennego. Chciałby, żeby u niego w kraju było to takie proste. Jego buntownicy szli na szubienicę bez cienia skruchy. Czym on się martwi?

–Panie?

–Och, baronie, o co chodzi? – Właśnie zalewała go fala wspomnień o Sherilee.

–Przewrót udał się wszędzie z wyjątkiem tych miejsc, gdzie interweniował lord Hsung. Wydaje się, że lord Kuo zaginał. Prawdopodobnie nie żyje. Rada Tervola zajmie stanowisko, gdy ustabilizuje się sytuacja na froncie. Mgła negocjuje z lordem Hsungiem.

–Czy lord Ch'ien wie o tym?

–Jeszcze nie.

–Nie mów mu. Chce nas zakuć w kajdany. Wynośmy się stąd. – Pochwycił spojrzenie Prataxisa, rozwarł i zacisnął pięść. Był to sygnał do pośpiechu. Prataxis skinął głową. Tervola nie zwracali na nich uwagi. Mieli własne problemy. Zamieszanie związane z przewrotem umożliwiło Matayandze zajęcie bardziej korzystnych pozycji w kilku miejscach frontu. – Myślisz, że zasłużyliśmy na jakiś epos, baronie?

–Panie?

–Małe królestwo nie lubi zarządzać w wielkim imperium, więc powierza rządy komuś innemu.

Baron uśmiechnął się szyderczo.

–Wasz oswojony Daimielańczyk, panie, mógłby go napisać, żeby ludzie na wybrzeżu w to uwierzyli. My wiemy, że oni nas wykorzystali. – Hardle znowu przeobraził się w polityka. Bragi bardziej go lubił w roli niewydarzonego kapitana.

–My też ich wykorzystaliśmy.

–Wątpię, panie. Jest pan zbyt ufny. Kasztelanka Maisaku była pańską przyjaciółką. Teraz masz do czynienia z cesarzową Shinsanu.

–Jej los jeszcze nie wymknął mi się z rąk. – Podeszedł do portalu. – Wracam, Derel. Przerzuć szybko ludzi. Varthlokkurze, chodź ze mną. – Wszedł w portal.

Mgła klóciła się z kilkoma obcymi tervola. Znalazł Dahla Haasa.

–Dahl, zbierz trochę walecznych ludzi i przyprowadź ich tutaj, na górę. – Obrzucił spojrzeniem pokój. Miał niewielkie wsparcie... Stół z wielką mapą zniknął. Ranni zaścielali podłogę.

Dołączył do niego Varthlokkur.

–Wzywam Radeachara.

Mgła ich dostrzegła. Wydawała się zaskoczona.

–Baron miał rację – mruknął Bragi. Posłał strażników do portali i powiedział do Varthlokkura: – Mam wrażenie, że nas tu nie oczekiwano.

Mgła powiedziała coś do swoich towarzyszy i podeszła do czarodzieja i króla.

–Widzę, że jesteście z powrotem.

–Nie wszyscy. Wielu dobrych ludzi tam zginęło. Hsung zastawił pułapkę. Niemal mu się udało.

–Kawalarz, który to zrobił, chciałby się z tobą spotkać – powiedziała.

–Hsung?

–Lord Hsung.

–Mgło, dla mnie „lord” nic nie znaczy. Nie traktuj siebie zbyt poważnie. Nie na moim terenie.

–Oczywiście. Przepraszam. To był emocjonujący dzień.

Lord Hsung przedstawił się.

–Zachowujesz swoje stanowisko? – zapytał Ragnarson. – Nadal masz zamiar szefować okupacji?

–Jej Wysokość postanowiła powierzyć mi nasze prowincje zachodnie.

–Rozumiem, że mogę oczekiwać tego samego starego pierdoły, co? – Lord Hsung zeszywniał. Ragnarson nie ustępował. – Teraz przyszła pora, żebym ja przyparł cię do muru. Nie będę płakał po Hammad al Nakirze. Nie będę nawet żalił się na to, że umieszczacie w moim pałacu szpiegów. To wszystko część gry, no nie? Ale rozdrażniła mnie ta sprawa z ludźmi z moich karawan. Cholernie rozdrażniła.

Ragnarson usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Ciarki przeszły mu po plecach. Miał już wsparcie. Przybył Niezrodzony. Wybił jedno z zablokowanych okien.

–Czy ty wiesz, ile kosztuje dobre szkło?! – wrzasnęła Mgła. – Jesteśmy po tej samej stronie, pamiętasz?

–To nie my pierwsi o tym zapomnieliśmy – ripostował Varthlokkur. – Nie potrafię tego dowieść, ale jestem przekonany, że król i ja mieliśmy nie wrócić z naszego małego wypadu.

–Gdy ludzie ze mną zadzierają – powiedział Bragi – robię się wredny. Przez jakiś czas będziesz gościem Korony.

Mgła wyglądała na przybitą.

–Jak długo? Toczymy dwie koszmarne wojny.

–Dwie?

–Ta sprawa na wschodzie.

–Zapytaj mnie, jak bardzo mnie to obchodzi. Im większe weźmiesz baty, tym lżejszy ciężar pozostanie na moich barkach.

–Ten stwór śni niesamowite koszmary, Bragi. Nienawidzi świata.

Varthlokkur wykonał ostrzegawczy gest. Dlaczego? I dlaczego nagle tak zbladł?

Mgła wzięła Bragięgo na stronę.

–Nie miałam wyboru, Bragi. Nie rozumiesz, kim jesteś dla tervola, którzy przeżyli Wielkie Wojny Wschodnie. Oni chcą twojej głowy. Sprawiałam, że ta pułapka była słaba, wierząc, że nie opuści cię twoje słynne szczęście. I nie opuściło. Wszyscy dostaliśmy to, czego chcieliśmy, prawda? Pozostańmy więc przyjaciółmi.

–Dobra. – Ale nie zapomnę ci tego, pomyślał. Przyjdzie moja kolej. – Ale nie rób mnie w konia. Proszę tylko, żebyś postępowała uczciwie. Jeśli nie będziesz, oberwiesz. Czego on chce?

Podekscytowany Varthlokkur żywo gestykulował. Zawołał:

–Radeachar go dorwał!

–Kogo?

–Znalazł człowieka, o którego nam chodzi. Podążył za zamachowcem do miasta i obserwował, jak się kontaktuje. W parku. Prowadzi go jeden z ludzi królowej. Radeachar nie potrafi powiedzieć który. Miał tarczę z herbem.

Ragnarson zaklął.

–Lepiej weźmy go pod obserwację. Itaskianin, hę? Domyślałem się, że niektórzy z nich byli szpiegami, ale... Chodźmy.

–Nareszcie w domu – wymamrotał czarodziej. – Zdajesz sobie sprawę, że nie widziałem swojej córki od chwili jej narodzin?

–Ja nie widziałem Inger.

–A co to za ponura mina?

–Myślę o naszych pozostałych problemach. Dahl! Daj nam dwa konie. Powiedz Gjerdrumowi, że obejmuje dowództwo. Może wypuścić ludzi Mgły.

Dahl strzelił obcasami i skłonił się sztywno, naśladując itaskiańskie zwyczaje wojskowe.

Ragnarson spoglądał za nim zde gustowany.

–Przesadza z tą etykietą i honorami.

–Chce dobrze – zauważył Varthlokkur. – Jeszcze trochę i ziemianie mogą zacząć cię poważnie traktować.

–Ziemianie mogą sobie wsadzić swój szacunek tam, gdzie słońce nie dochodzi. Pospiesz się, Dahl.

–Chyba jesteś dzisiaj w bardzo zmiennym nastroju?

–Tak, w rodzaju: warto nie warto.

Haas przyprowadził konie. Ragnarson ruszył w stronę miasta. Varthlokkur cwałował obok niego.

–Przeżywałem to setki razy. I zawsze ciągniesz wszystko dalej. Musisz. Zbyt wielu ludzi utrzymuje twój wóz w koleinach.

–A tyle samo próbuje zepchnąć go z drogi.

–Nie. Wepchnąć w następną koleinę. – Po jakimś czasie Varthlokkur dodał: – Lepiej miej oczy otwarte. Zostawiliśmy naszą straż osobistą.

–Myślisz, że Norath posłał więcej niż jedną dziewiątkę?

–Nie. Ktoś inny może spróbować. Ktoś, kto zapłacił Norathowi. To dobra pora, by uderzyć. Kraj jest dezorientowany. Gotów na złe wieści. – Czarodziej spojrział w górę. Niezrodzony unosił się nad jego głową na tyle wysoko, żeby zwracać trochę uwagi. – Oczywiście mamy Radeachara, ale strzała wystrzelona z łuku mknie szybko. Zwłaszcza jeśli zamachowiec ma chroniony umysł.

Hałaśliwi pijacy wyli tuż za bramą miejską. Na ulicach kłębiły się tłumy wyrzaskujące pieśń zwycięstwa Panter Charygin Hall.

–Niech to wszyscy diabli! – zaklął Ragnarson, gdy usłyszał nowinę. – Pokonali Niedźwiedzie Cynitha różnicą trzech punktów. Niedźwiedzie były podobno lepsze od Strażników.

Ich drużyna to był pewniak, gdy w drugim meczu szliśmy z Panterami łeb w łeb.

–Mógłbym rzucić na nich zakłęcie – zachichotał Varthlokkur, widząc reakcję Ragnarsona. – Myślałem, że twórcze oszukiwanie to jeden z elementów tej gry.

–Jest oszukiwanie i oszukiwanie.

–Szkoda. Radeachar byłby piekielnie dobrym napastnikiem. Nadałby tej grze nowy wymiar.

–Ustaw go za mną.

Czarodziej znowu wydał z siebie stłumiony chichot.

Bragi słuchał rozmów na ulicach. Większość ludzi była zbyt zajęta, żeby ich zauważyć. Król rzadko ubierał się bardziej elegancko od swoich żołnierzy.

–Gdy tam dotrzemy, będzie zmierzchać – zauważył Bragi.

–Puszczę Radeachara przodem, niech się rozejrzy.

–Słusznie.

Gdy dojechali do parku, zapadł zmierzch. Bragi odezwał się:

–Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo czasami tęsknisz. Wystarczy jeden tydzień poza miastem i już staje się ono obce.

–Cicho! Ach, tak myślałem. Pojedynek na miecze. Tam, gdzie, jak powiedział Radeachar, ukrywa się zamachowiec. – Varthlokkur spojrział w górę. Niezrodzony unosił się nad drzewami.

–Chodźmy. – Ragnarson zsiadł z konia i zaczął biec do parku z mieczem w ręku. – Mhm... – mruknął. – Sztywnieję. – Nie odniósł poważnych ran, ale bolały koszmarne.

Czarodziej trzymał się o krok za nim, biegnąc z niebywałą jak na tak starego człowieka lekkością.

Szczęk mieczy stawał się coraz głośniejszy. Jakiś człowiek krzyknął, śmiertelnie ranny. Ostrza spotkały się ponownie.

–Możesz ich powstrzymać? – wysapał Ragnarson.

Wśród drzew owocowych rozległ się drugi agonálny jęk.

Nad dwoma martwymi mężczyznami Ragnarson zastał Josiaha Galesa. Jednym z poległych był zamachowiec. Drugim itaskiański kamieniarz o nazwisku Thom Callison.

–Rzuć miecz i cofnij się, Gales.

Sierżant odwrócił się, przyjął postawę obronną, postąpił krok naprzód. Wyglądał na spanikowanego.

Ale szybko się opanował. Zebrał się w sobie, złożył broń na zdeptanej ziemi i cofnął się. Usiadł, obejmując rękami kolana.

Ragnarson oparł czubek swojego miecza o ziemię.

–Gadaj. – Wolałby, żeby było jaśniej. Z ukrytej w cieniu twarzy Galesa nic nie można było wyczytać.

Gales się nie ościagał.

–Callison przez cały dzień zachowywał się dziwnie. Miał pracować przy fontannie

z delfinami. Dzisiaj rano poprosił o przepustkę, bo chciał przynieść jakieś narzędzie, które kazał zrobić. Dałem mu znaczek. Poszedł i wrócił. Nie widziałem żadnych narzędzi. Na następnej warcie wcisnął Beckettowi tę samą historyjkę. Dowiedziałem się o tym dopiero chwilę temu, przypadkiem. Poszedłem zobaczyć, jak sobie radzi z tą fontanną. Nawet jej nie tknął. Porozmawiałem z kilkoma ludźmi z ojczyzny. Powiedzieli mi, że zachowywał się dziwnie. Poszedłem go poszukać. I niech mnie diabli, znalazłem go, wychodził przez bramę. Niósł miecz. Od dziesięciu lat nie widziałem Thoma z mieczem. Popytałem na bramie. Powiedzieli, że wyruszył do miasta po narzędzia. A po co mu miecz, zapytałem. Odparli, że powiedział, że boi się napadu. Będzie ciemno, zanim wróci. Poglówkowałem trochę. Ile to ja już znam Thoma?

Razem wojowaliśmy. Może to narzędzie było prawie gotowe i kowal stale mu powtarzał, żeby zajął później. Potem uświadomiłem sobie, że to niepodobne do Thoma, żeby osobiście po coś chodzić. Kazałby kowalowi je dostarczyć. Więc powiedziałem sobie, a może byśmy to tak sprawdzili? A on wychodził, żeby się spotkać z tym gościem. Rozpoznałem go od razu. Taki sam jak ci, którzy napadli na generała i pułkownika. Trochę rozmawiali. Nie słyszałem ich. Nagle zaczęło to wyglądać tak, jakby Thom przygotowywał się do zabicia tego gościa. Nie mogłem w to uwierzyć. Thom kierujący bandą zamachowców? On jest kamieniarzem. Potem przypomniałem sobie, że zachowywał się dziwnie także i tego dnia, kiedy napadnięto generała. Nie mogłem pozwolić na to, żeby Thom zabił tego stwora. Wyszedłem z ukrycia i kazałem im rzucić miecze. Thom spojrzał na mnie i cholernie posmutniał. Powiedział: „Gales... po jaką cholerę mnie śledziłeś?” Potem powiedział coś w obcym języku. Ten drugi rzucił się na mnie. Thom też doskoczył. Było ciężko. Robiło się ciemno. Miałem przewagę, bo nie musiałem się martwić, kogo tnę. Wykończyłem jednego z nich. Potem musiało zrobić się trochę jaśniej. – Gales spojrzał w górę. Ragnarson nie poszedł w jego ślady. – Potem Thom rzucił się na mnie, jakby zwariował. Zamienił się w szaleńca. Nie chciałem zrobić mu krzywdy. Może w coś się wplątał, rozumiecie? Może ktoś coś na niego miał. Może królowa mogłaby to rozgryźć, gdybym go do niej doprowadził. Ale Thom nie chciał takiego rozwiązania. Kiedyś był dobry. Teraz trochę wyszedł z wprawy. Może zapomniał, że ćwiczyliśmy razem. Spróbował jednej z dawnych sztuczek. Zanim się zorientowałem, co robię, już nie żył. Potem wy wyskoczyliście zza drzewa i przestraszyliście mnie jak diabli, i mało brakowało, a też bym zginął, bo pomyślałem, że jest ich więcej. Ragnarson skinął głową.

–Dobra, Gales. Kupuję to. Idź po kogoś, żeby zrobił tu porządek. Nie zapomnij swojego miecza.

Gales szybko zniknął. Varthlokkur dołączył do Ragnarsona, który zapytał go:

–Co o tym myślisz?

–Być może to prawda. Pasuje do tego, co tu widzieliśmy.

–Ale Gales może też być wygadany łgarzem. Może Callison śledził jego?

–Dlaczego?

–Gales ostatnio dziwnie się zachowuje. A teraz ten jego sposób mówienia: jasny,

prosty, w zasadzie żadnych zbędnych słów. To nie Gales, którego znamy. Jakby musiał myśleć zbyt szybko, żeby zastanawiać się nad zachowaniem.

–Był chroniony.

–Aha! Chyba powinienem uciąć sobie z nim małą pogawędkę w lochu.

–Callison też był chroniony. Podejrzewam, że dotyczy to wszystkich Itaskiańczyków. Ale taka ochrona potrzebna jest tylko dwóm lub trzem... Gdyby jednak zamaskowano jedynie zdrajców, to przecież byłiby naznaczeni.

–Będę miał go na oku. Nazwij to przecuciem. Przybrał nieodpowiedni ton. Cała ta banda Inger czasami brzmi fałszywie. – Spojrzenie, jakim obrzucił Varthlokkura, skłoniło czarodzieja do wypowiedzenia własnego zdania.

–Mądrze zrobisz, przyglądając mu się uważnie.

–Co masz na myśli? Nie podoba mi się sposób, w jaki to powiedziałaś.

–Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem. Ani mniej, ani więcej.

Rozmawialiśmy o tym wcześniej. To nie są twoi ludzie. Są lojalni przede wszystkim wobec kogoś innego. Być może jeden, dziesięciu czy stu przybyło tutaj, żeby zrobić coś, co nie leży w twoim interesie.

–Wiesz coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć?

–Nie. Po prostu wyciągam logiczne wnioski. Ani Gales, ani Callison nie są ludźmi, którzy mogliby wynająć Magdena Noratha.

–To głębsza sprawa...

–Cały czas o tym wiedzieliśmy. Kłopotliwe pytanie brzmi: kto na tym korzysta?

–Gdzie tu sens? Wybrać Liakopulosa, Abacę i Gjerdruma? Co się stanie?

Awansuję kogoś. Dowódcy pułków są równie godni zaufania.

–Czas pokaże. – Varthlokkur spojrział w stronę zamku. – Czy możesz przez chwilę się beze mnie obyć? Moja żona też mnie potrzebuje.

–A moja mnie, jak sądzę. – Myślami Bragi podążył w aleje Lieneke. – Zatem do zobaczenia później.

Czarodziej zaczekał, aż król zniknie pośród śliw. Zamknął oczy. Niezrodzony obniżył lot. Thom Callison, kamieniarz, stanął na nogi.

Czarodziej zadawał pytania. Callison udzielał odpowiedzi. Czarodziej opuścił park z wyrazem twarzy człowieka, który miał wizję ciemności. Nie mógł już dłużej wmawiać sobie, że jego podejrzenia były rezultatem wybujałej, ponurej wyobraźni.

Rok 1016 OUI Nieprzyjemne niespodzianki Ragnarson ostrożnie wstał z łóżka, uważając, żeby nie obudzić Inger. Podeszedł do okna, przyglądał się spowitemu mgłą Vorgrebergowi.

Przyszedł do Inger z najlepszymi intencjami, potem jednak odepchnął ją, tłumacząc się ranami i znużeniem. Wzięła to za dobrą monetę. Miał jednak pewność, że gdyby był z Sherilee, wyglądałoby to inaczej.

W ich związku źle się działo. Coraz gorzej. Zbliżenie z Sherilee było tego ostatnim przejawem.

Dlaczego tak się to potoczyło? Gdy się poznali, w czasie wojny, wydawało się, że będzie świetnie.

Nie, powiedział do siebie. Miałeś pewne obiekcje, gdy prosiłeś ją o rękę. Miałeś wątpliwości i podejrzenia. Po prostu nie miałeś pewności. Była dobra dla ciebie na wygnaniu. Łatwo było cię zranić.

Próbowała, prawda?

Może też miała mieszane uczucia?

Nie mógł się wyzbyć wrażenia, że coś traci. Że w życiu chodzi o coś więcej. Czy Sherilee może mu to dać? Prawdopodobnie nie. Jej największym podarunkiem dla niego byłoby ostatnie złudzenie młodości.

To nie przetrwa. Był dwa razy od niej starszy. Miał już z górki. Ale, bogowie! Ileż było w nim życia tej nocy. Inger tak na niego nie działała. Nigdy. Ani Elana, pomimo wszystkich spędzonych wspólnie lat, chociaż kochał ją mocno i nadal kocha. Fiana... ona miała ten dar.

Ile było w tym uczucia? Ile fizycznej żądz?

–Psiakrew! – mruknął rozeźlony.

Może to analizować do końca świata, a i tak całkowicie tego nie rozgryzie. Niektóre odczucia były całkiem jasne. Sfera fizyczna... czy była to jedynie kwestia większej zgodności upodobań, jedna kobieta lepiej zaspokajała potrzeby niż druga?

–Bogowie – mruknął. – Analizuję jak Prataxis. Może właśnie dlatego Derel nigdy się nie ożenił. Może, cholera, o wiele za dużo analizuję.

Łóżko zaskrzypiało. Nie odwrócił się. Inger zaczęła rozcierać sobie ramiona.

–Co się stało?

Patrzył na zamglone miasto. Poranne ptaki śmigają wśród mgły. Przyglądał się, jak para kosów przegania kruka, który chciał tylko w spokoju zajmować się swoimi kruczymi sprawami. Oto ja, pomyślał. Tyle tylko że wokół mnie jest całe stado, a połowa jest niewidoczna.

–Rozmyślam – odpowiedział.

–Mogę w czymś pomóc?

–Nie wiem. Muszę najpierw określić problem, zanim zdecyduję, jak go rozwiązać. Czuję się trochę osaczony, trochę winny, że być może nie dość dbam o pewne sprawy, samotny, jakbym zmarnował pół życia, a może po prostu niespokojny. Wczoraj dokonałem wielkiego przewrotu. Jeśli się powiedzie, może to być jedna z najważniejszych dat w historii Kavelinu. A mnie to nie cieszy. Nie mam poczucia, że

dokonałem czegoś wielkiego.

–Porozmawiaj z Derelem.

–Rozmawiałem. On może dać mi jedynie jakieś uczone wyjaśnienie. To nie pomaga.

–Może jakaś część ciebie nie wierzy, że cokolwiek osiągnąłeś?

–Co?

–Może twoje serce wie coś, czego nie wie twoja głowa. Masz dziwną intuicję. Ileż razy widziałam, jak podejmowałeś słuszne decyzje, nie mając żadnych jasnych przesłanek.

Ta zdolność przyczyniała się do jego nerwowości i niezdecydowania.

Rozpaczliwie pragnął uciszyć mroczne szepty intuicji. Miał pomysły i podejrzenia, o których nawet Derel nie słyszał. W życiu każdego człowieka są sprawy, którym próbuje się zdecydowanie zaprzeczyć, nie dając im wiary.

–Może to ta domieszka krwi czarownic w żyłach mojej matki.

–Może mówi, że stale coś jest nie w porządku?

–W Kavelinie? – Przestań naciskać, kobieto. Nie każ mi zmierzyć się z tymi myślami. Możesz żałować. – Niepotrzebna mi krew czarownicy, żeby o tym wiedzieć. Wybieram wodę z przeklętej przeciekającej łodzi. Rekiny wygryzają dziury w dnie, a szczury się ze sobą sprzecząją. Moi przyjaciele mogą być groźniejsi niż wrogowie. Odnoszę zbyt wielkie sukcesy. Kavelinowi nic w najbliższej przyszłości nie zagraża. Ludzie zajmują się swoimi sprawami. Odczuwam pokusę, żeby wyjechać. Gdybym miał za towarzysza kogoś takiego jak Szyderca czy Haroun, już by mnie nie było.

–Nie wygłupiaj się. Nie możesz. Zbyt wielu ludzi na tobie polega.

–To jedno z moich zmartwień. Kolejnym jest to, że ja nie mogę polegać na nikim. Weźmy pałac... Karmię ludzi, przyodziewam, płacę im, daję poważną pracę i co za to dostają? Jeden z nich zostaje agentem lorda Hsunga. Inni próbują zabić Liakopulosa, Abacę i Gjerdruma. Twoi ludzie. To mnie zaskakuje. Nie mogę zrozumieć, dlaczego to zrobili.

–Co rozumiesz przez „moi ludzie”?

Opowiedział jej o Galesie oraz o kamieniarzu i zamachowcu, którzy zginęli w parku.

–Porozmawiam z nim – powiedziała. – Jest ze mną od czasów, gdy byłem małą dziewczynką. To ktoś w rodzaju mojego osobistego ochroniarza. Kiedyś uratował mnie od gwałtu.

–Co?

–Miałam piętnaście lat. Romantyczna natura. Banda rzezimieszków ukrywała się w lasach w pobliżu naszego dworu. Ojciec powiedział mi, żebym nie jeździła na konne wycieczki, dopóki nie zostaną wyłapani. Byłam młoda i głupia, więc naturalnie nie posłuchałam go. Pojechałam ich szukać. Myślałam, że to romantyczni ludzie lasu. Okazało się, że są... to było straszne. Josiah niemal zmarł od odniesionych ran, ale wyciągnął mnie stamtąd, zanim zrobili mi krzywdę. Mam wobec niego dług... Czuje się zakłopotany w mojej obecności, ponieważ zanim mnie wyratował, rozebrali mnie do naga. To kochany, miły człowiek, Bragi. Nie uczyniłby nic, co mogłoby mnie

zranić.

–Tego wcale nie powiedziałem. Mówimy o tym, co on może zrobić mnie. A może nie on, ale ktoś z Itaskii.

–Dowiem się. Nie podoba mi się to, ale jeśli tak mówisz, to musi być prawda. Ty nie mówisz, dopóki nie wiesz. – Nadal rozcierała sobie ramiona. Bragi zaczęła się rozluźniać. Po chwili dodała: – To naprawdę mnie martwi. Jeśli im nie możemy ufać, to komu?

Przymknął na chwilę oczy, powściągając język.

–Mogę ich policzyć na palcach jednej ręki. I nie wiem, czy będą godni zaufania jutro.

Roześmiała się.

–Mówię poważnie.

–Miałam widzenie. Ty i ja, tutaj, powstrzymujemy napierający świat. I dokonujemy tego, bo jesteś tak cholernie uparty. Nie walczyliśmy na miecze. Używaliśmy idei. Nasze były lepsze niż ich i, och, ależ oni wrzeszczeli! Jak Pantery, gdy z nimi wygraliście.

–Nie wiedziałem, że zwróciłaś na to uwagę. Myślałem, że nie znosisz captures.

–Nie znoszę. Ale to nie powstrzymało mnie przed postawieniem pieniędzy. Tego dnia wygrałam dwieście nobli.

–Pięknie, cholera. Co ty o tym wiesz?

Na zewnątrz mgły zaczynały się rozpraszać. Mgła. Lepiej jeszcze raz sprawdzić tę kobietę. Kazać Varthlokkurowi powęszyć.

–Psiakrew!

–Co znowu!

–Nic. Po prostu widzę wrogów za każdym łóżkiem. – A i w niektórych też.

Podszedł wolnym krokiem do pokoju dziecinnego. Gdy wszedł do środka, stanęła naprzeciwko niego zdumiona niańka. Nieczęsto tam zaglądał.

Fulk leżał na brzuszku, kolana miał podciągnięte. Śliczny. Dzieci to prawdziwe skarby. Wprawiają człowieka w filozoficzną zadumę.

–Wszyscy tak zaczynaliśmy – powiedział do Inger. – Myślałaś kiedyś o tym?

–Co masz na myśli?

–Że takie niemowlę to każdy z nas, dawno temu. Ty. Ja. Magden Norath.

Varthlokkur. Wielcy lordowie Imperium Grozy. Wszyscy bezradni jak Fulk. Tylko chęć przytulania, gaworzenie, sikanie i wrzaski. I co się dzieje? Jak dochodzi do tego, że zaczynamy podrzywać sobie nawzajem gardła, gdy staniemy na nogi?

–Masz chandrę, prawda? Idź z tym do Derela. Mnie to przerasta.

–Mhm. – Ragnarson pochylił się i pocałował syna. Fulk otworzył jedno oko, po czym znowu je zamknął. – Lepiej wezmę się do pracy. Ciągłe jeszcze musimy po sobie posprzątać. – Myśl o Sherilee przemknęła mu przez głowę. Sprawy służbowe zaprowadzą go w aleje Lieneke, prawda?

Jego śniadanie składało się z jajeczniczy i smażonego kurczaka. Znowu kurczak. Leniwie rozmyślał, czy jego wrogowie nie atakują go przypadkiem przez podniebienie.

Pierwsza sprawa do załatwienia? – zastanawiał się, opierając się o stół.

Przybłąkał się Slugbait, który nie zauważył swojego monarchy. Klócił się z innym członkiem drużyny Strażników.

–Musimy coś wymyślić. Nie możemy odpuścić tego meczu. Po wczorajszym mogliśmy wygrać fortunę.

–Mogliśmy, Sług. W tym problem. Nie uda nam się znowu pokonać Panter.

–A ja mówię, że ich pokonamy, jeśli będziemy mieli króla i nie będziemy musieli grać z nimi przez kilka tygodni.

–A jak zamierzasz doprowadzić do przełożenia meczu? Nie. Nie ma mowy, żebym zamierzał stracić na was jakieś pieniądze.

–Szlag. Niech tak będzie. Zostanie więcej dla nas.

Ragnarson zrezygnował z chwili odpoczynku. Wiedział już, od czego zacznie dzień. Spotka się z sędziami. Jak można przełożyć na później mecz z Panterami? W stajniach spotkał Varthlokkura.

–Też jedziesz w stronę miasta? – Czarodziej chrząknął potwierdzająco. – Jak się czuje Nepanthe?

–Świetnie.

–A dziecko? Wybraliście imię?

–Doskonale. Nie.

–Coś cię martwi?

Czarodziej spojrzał na niego, jakby dopiero teraz go zobaczył.

–Och, ciągle myślę o zamachowcach Noratha. Radeachar dziś w nocy sprawdził zamek. Wszyscy Itaskianie są chronieni.

Ragnarson wpatrywał się w wartownika na szczycie murów.

–Wszyscy?

–Co do jednego.

To było jak cios w splot słoneczny. Bragi chrząknął, udał, że się potknął, żeby ukryć ból.

–Ktoś jeszcze poza ludźmi otrzymanymi przez Inger w posagu?

–Parę osób. Głównie ich żony i dzieci.

–Dzieci? Nawet dzieci?

–Nawet dzieci. Dzieci słyszą. To nie takie straszne, jak by się wydawało. To w głównej mierze zasłona dymna.

–Zasłona dymna. – Ragnarson spojrzał za siebie na cytadelę. – Zasłona dymna. – Podobna rozpościerała się między nim a czarodziejem. Unikali tego, co zepchnęli gdzieś głęboko w podświadomość. – A co w mieście?

–Kazałem Radeacharowi je przeszukać. Znalazł miejsce, w którym zabójcy Noratha się ukrywali.

–Potrzebujesz pomocy?

Varthlokkur pokręcił głową.

–Ciągle jeszcze może się ich tu paru kręcić. Nigdy nie znaleźliśmy wszystkich, którzy zaatakowali Liakopulosa – zauważył Bragi.

–Dam sobie radę. A ty co zamierzasz?

Bragi wyjaśnił, że musi przełożyć na później mecz z Panterami. Varthlokur spojrział na niego dziwnie. W jego milczeniu zawierało się pytanie, dlaczego zajmuje się takimi błahostkami. Bragi się nie usprawiedliwiał.

Opuścili zamek, nic nie mówiąc. W końcu Bragi powiedział:

–Te magiczne ochrony. Tych ludzi wcześniej sprawdzano. Dlaczego dopiero teraz je zauważamy?

–Być może wcześniej nie byli chronieni. Albo nie zauważyliśmy, ponieważ tego nie szukaliśmy.

–Albo dlatego, że spisek się rozwija?

–Możliwe.

–Nie możesz się przez nie po prostu przebić?

–Był na to czas... Teraz ochrona jest zbyt mocna. Bragi rzucił czarodziejowi zaskoczone spojrzenie.

–Jak to możliwe?

–Nie jestem pewny, czy potrafię to wyjaśnić. Nie jestem pewny, czy sam to rozumiem. Negatywna entropia.

–Że jak?

–Wiesz, co to jest entropia? Tendencja systemu do rozpadania się, to jak dopalające się ognisko.

–Zawsze można dorzucić drewno do ognia.

–Tylko do czasu, gdy nie skończy ci się drewno. Mędracy są przekonani, że świat jest stosem drewna opałowego, którego pewnego dnia zabraknie.

–Co to ma wspólnego z chronionymi umysłami?

–Klasyczny pogląd na czary głosi, że Moc ma naturę entropiczną. Że jest jej pewna określona ilość. Za każdym razem, gdy rzucone jest zaklęcie, trochę jej ubywa. Gdy jej zabraknie, to po prostu jej nie będzie. Jestem zdania, że ostatnie wydarzenia dowiodły, że ta teoria jest fałszywa.

–Nadal nie rozumiem...

–Zastanów się nad wszystkim, co przydarzyło ci się w życiu. Od wojen El Murida. Zawsze czary, ale nic tak naprawdę zdumiewającego. Idź dalej. Tu i ówdzie coś poważniejszego, raz czy dwa. Potem wojna Shinsanu z Escalonem. Największe uwolnienie energii taumaturgicznej od czasów Upadku. Potem Wielkie Wojny Wschodnie. Jeszcze większe uwolnienie Mocy. Częściowo to większa wiedza, ale w większym stopniu chodzi o to, że coraz łatwiej rzucać zaklęcia. Mniej utalentowani ludzie używają Mocy z lepszym skutkiem. Wygryzamy dziury w tkance rzeczywistości. Nasze zaklęcia są jak robaki toczące drewno. Każde powoduje, że trochę surowej Mocy wycieka i swobodnie krąży. Jak powietrze. Za każdym kolejnym razem użycie magii jest odrobinę łatwiejsze, odrobinę silniejsze i wycieka jeszcze więcej Mocy. Myślę, że to ta swobodnie krążąca energia napędza moją Zimową Burzę i Radeachara.

–A więc on też będzie się stawał silniejszy, czy tak?

–On staje się silniejszy. To właśnie dało mi do myślenia.

–Czy to ma znaczenie? – Ragnarson ujrzał mrok. Czarny mrok. Więcej mroku,

którego nie chciał widzieć.

–Może mieć. Nie wiem. Mam nadzieję, że nie oznacza to, iż coś zaczyna się psuć... Nie wiem, co to znaczy. – Czarodziej wydawał się mówić do kogoś innego, wydawał się z kimś dyskutować. – Jest zbyt wiele czynników rozpraszających. Ostatnio nie mam dość czasu na myślenie, na studia. Tego, czego potrzebuję, to rok odosobnienia w Fangdredzie.

–Im człowiek robi się starszy, tym bardziej świat daje mu w kość – zauważył Bragi, nie znajdując lepszej odpowiedzi.

Przejechali już kilka kwartałów miasta.

–Tutaj cię zostawię – powiedział czarodziej. – Jadę dwa kwartały dalej w tę stronę.

–Uważaj na siebie. – Ragnarson znowu zaczął szukać jakiejś wymówki, która wywarłaby wrażenie na sędziach.

Czarodziej z zamkniętymi oczami stał na ulicy. Przechodnie spoglądali na niego krzywo, rozpoznawali go i pospiesznie odchodzili. Większość wykonywała gesty chroniące przed złym.

Najczęściej znak ten powtarzano, odgradzając się nim od pałacu. Ludzie wyraźnie bali się ciemnych sił, które król wciągnął na listę swoich sprzymierzeńców.

Czarodziej słuchał swojego stwora, Radeachara. Przeszukał budynek własnymi mocami. Był człowiekiem ostrożnym.

Nic. Żadnej pułapki. Ale nadal był podenerwowany. W odległości niespełna pół mili znajdował się zamek, a w nim pełno było ludzi, których nie mógł odczytać.

Przygotował mocne zaklęcie. Każdego, kto się na niego zasadził, czeka paskudna niespodzianka.

Niepotrzebnie marnował czas. W środku nie było nic poza wszechobecnymi karaluchami. Ludzie, którzy zajmowali to mieszkanie, nigdy już nikomu nie zagrozą.

Przez długi czas nie mógł spojrzeć na ciała. W ciągu swego kilkusetletniego życia widział różne potworności, ale...

Mieszkanie było nieumeblowane, jeśli nie liczyć rozłożonych przy ścianach koców zastępujących sienniki. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Kilka kiełbas wisiało na belce. W jednym z kątów leżały ponadgryzane, spleśniałe sery. Rozrzucone okruchy znaczyły miejsce, w którym leżał chleb.

Rzucił okiem na ciała. Szczury już się nimi zajęły. Maleńkie czerwone oczy obserwowały go spomiędzy skołtunionych włosów. Wzdrygnął się.

Krążył niestrudzenie, kichając, gdy podnosił się kurz. Nie było czuć smrodu rozkładu. Stwory Noratha wydawały się zabezpieczone.

Zaczął poszukiwania, używając zmysłów czarodzieja. Nic. Co ci stworzeni zamachowcy tutaj robili? Siedzieli w milczeniu, jedząc, gdy domagało się tego ciało? Żadnych gier, żeby zabić czas?

–Norath, przerażasz mnie bardziej niż moi dawni wrogowie w Shinsanie – mruknął Varthlokkur.

Prowadząc swe poszukiwania, jak gdyby miał do czynienia z żywymi ludźmi, prawdopodobnie ukrywającymi jakieś przekłete dowody, niemal przeoczył ten papier. Szukał obluzowanych desek i tajnych skrytek, gdy przypadkiem dostrzegł

pognieciony, zwinięty skrawek za serami, być może rzucony, zanim ułożono tam żywność.

Rozwlekłym, rozlazłym charakterem pisma zanotowano: „Milady. Pojawienie się okaziciela zapewni cię o wypełnieniu przeze mnie połowy naszej umowy. Norath”. Atrament wyblakł do koloru sepii.

Varthlokkur, nieszczęśliwy, ostrożnie skierował się do drzwi. Ten skrawek papieru mógł zaprowadzić kogoś na szubienicę. Czy powinien pokazać go królowi? W końcu zamachowcy nawalili.

Od treści tej wiadomości ważniejszy był język, w jakim została napisana. Itaskiański.

Ragnarson zauważył, że przejeżdża przez zachodnią bramę Vorgrebergu. Wierzchowiec

zdawał się nieść go w aleje Lieneke z własnej woli.

–Panie? – zawołał ktoś po raz drugi, wyrывая go ze stanu rozmarzenia i zaskakując słyszalną w głosie troską. – Panie, dobrze się czujesz? – Gjerdrum i Aral Dantice wpatrywali się w niego.

–Tylko śniłem na jawie. – Błysnął uśmiechem. – Powiedzcie Slugbaitowi, że przełożyłem mecz z Panterami na później. Postawcie na Strażników. Wygramy.

Dantice odpowiedział powątpiewającym grymasem.

–No, może nie stawiajcie aktu własności starej rodzinnej firmy. Jadę w aleje Lieneke. Wracacie stamtąd?

Gjerdrum skinął głową. Wyglądał ponuro.

–Coś nie tak, Gjerdrum? Kłopoty?

–Nie. To sprawa osobista. Muszę powiedzieć Gwenie, że z nami koniec. Nie mam pojęcia, jak to zrobić. Julie i ja... może będzie wesele.

–Gratulacje. Chyba. Widziałeś się z Mgłą, Aral? Wyruszyła już?

–Odjechała. – Dantice gmerał pod koszulą. – Zostawiła list dla ciebie, panie. – Nie tryskał optymizmem.

Ragnarson wziął kopertę, otworzył ją, gdy opuścił młodszych mężczyzn.

Mgła tylko powtórzyła swoje przeprosiny, mówiąc, że przez cały okres swojego wygnania była przyjacielem dobrym i wiernym. W geście dobrej woli, zostawi u niego swoje dzieci. Uśmiechnął się szeroko. Przebiegła wiedźma. Prawdopodobieństwo, że staną się zakładnikami losu, było tutaj mniejsze. To nie był żaden gest. Chroniła je przed polityką Imperium Grozy.

Będzie musiał je przekazać swojej synowej. Jak Kris to przyjmie? Dwie gęby więcej, dwa drobne ciała, które trzeba przytulić i odziać, kolejne dwa serca, które trzeba uchronić przed złamaniem...

–Ani chybi zrobi mi piekielną awanturę.

Aleje Lieneke były spokojne. Jego dom wydawał się pogrążony w ciszy, ponury, daleki. Znajdujący się dalej w alejach dom Mgły wydawał się już opuszczony.

Kristen wyszła przed dom, gdy zsiadał z konia. Oparła ręce na biodrach i patrzyła gniewnie.

–Powiedz mi tylko, na jakiej podstawie uważasz, że zajmę się też bachorami

Mgły? Co to jest? Sierociniec?

–Co? – Uniósł ręce w geście udawanego zdumienia.

–Nie próbuj mnie wrabiać...

Na twarzy Bragiego pojawił się idiotyczny uśmiech. Sherilee wychylała się przez okno na piętrze. Kristen, pokonana przez chemię, wzruszyła ramionami.

Stary odźwierny wziął od Ragnarsona konia. Bragi cmoknął Kristen przelotnie w czoło i popędził na górę. Sherilee zapiszczała, gdy zatonęła w jego objęciach.

Varthlokkur kołysał swoją córeczkę na prawym przedramieniu. Na jego lewej ręce zaciskała palce żona. Wyjrzał przez okno.

–Zanosi się na deszcz.

–O co chodzi? – zapytała Nepanthe.

–Kłopoty.

–Stale jakieś kłopoty. Nasze?

–Króla. Wygląda na to, że Inger opłaciła tych zamachowców.

–Inger? Jest taka miła. Nie wierzę w to.

–To się zdarzało w historii. Myślę, że Bragi też wie. Próbuje sam siebie okłamywać, że jeśli będzie wystarczająco długo to ignorował, Inger się opamięta.

–Porozmawiaj z nim.

–To za bardzo przypomina mówienie facetowi, że żona go oszukuje. On nie chce tego słyszeć. Znalazłby się między młotem a kowadłem. W takiej sytuacji najprawdopodobniej oberwie się tobie, a nie kobiecie. – Nie chciał, żeby król zaczął wrzucać kamyczki do jego ogródka. Mógłby powiedzieć coś, czego Nepanthe nie powinna usłyszeć.

Jak dużo Bragi wiedział o wschodzie? A Mgła? Wkrótce zapozna się z sytuacją szczegółowo.

–Powiedz Prataxisowi. Bragi z jego ust zniesie wszystko.

–Może to wystarczy. – Ale w rzeczywistości myślał o Michaelu Trebilcocku, nie Derelu Prataxisie. Michael miał możliwość zrobienia czegoś...

Słońce przebijało się przez chmury na zachodzie. Derel i baron Hardle zatrzymali konie przed podmiejskim domem króla. Ci dwaj bardzo się różnili, ale dzisiaj wyglądali identycznie, jak dwa groszki z tego samego strąka. Trudno byłoby sobie wyobrazić dwie bardziej skwaszone, ponure miny. Nie rozmawiali, gdy sztywnym krokiem zbliżali się do domu.

Na ich pukanie do drzwi podeszła Kristen. W tle było słychać wrzawę, którą robiło stadko dzieci.

–Tak? – Uśmiech zniknął z jej ust, gdy zobaczyła ich posępne twarze. – Co się stało?

–Czy jest tutaj Jego Wysokość? – zapytał Prataxis.

–Proszę wejść. Przyrowadzę go. Możecie udusić kilkoro dzieci, gdyby wam przeszkadzały.

Prataxis patrzył za nią, gdy wbiegała na górę.

–Dodatkowe komplikacje – mruknął. – Nie mógł wybrać gorszej pory.

–Mhm. – Hardle też widział dosyć, żeby zgadnąć, o co chodziło. – Nie mogę

powiedzieć, żebym go potępił. Smaczny kąsek.

Prataxis prychnął. Był człowiekiem niezmiennie zdumionym władzą, jaką kobiety miały nad

przedstawicielami jego płci. Nie był w stanie pojąć, jak rozsądny mężczyzna może całkowicie stracić głowę dla jakiejś spódniczki, chociaż widział niezliczone tego przypadki.

Im więcej myślał, tym bardziej był wzburzony. Gdy pojawił się Ragnarson, był już całkiem rozgorączkowany.

–Gdzieś ty się, do cholery, podziewał? – naskoczył na króla. – Zrobiliśmy wszystko, żeby cię znaleźć, z wyjątkiem skrzyknięcia vorgrebergian.

–Co się stało? – Musiało to być coś okropnego, skoro Prataxis przysiadł na tylnych łapach i wyje.

Prataxis pohamował się, porażony własną zuchwałością.

–Teraz jest już za późno.

–Można tylko sięść i płakać – dodał kwaśno baron.

–O czym wy mówicie?

–Potrzebowaliśmy cię w Zgromadzeniu.

–Żebyś wypowiedział się we własnej sprawie. Nie mogliśmy cię znaleźć, a nie mogliśmy bronić cię w twoim imieniu, ponieważ nigdy nam nie wspomniałeś...

–Do rzeczy. Co to stado baranów zrobiło?

–Uchwalili ustawę o sukcesji – powiedział Prataxis. – Wydaje się, że zaczęli nad nią pracować, gdy my zamknęliśmy się tam, na górze. Przegłosowali ją dzisiaj. Ziemianie kupili wystarczająco dużo głosów...

–Ustawa o sukcesji? Ziemianie? – Krew w nim zawrzała. Prataxis podał mu zrolowany egzemplarz. Nie od razu zabrał się do czytania. Nie byłoby tutaj Derela w takim nastroju, gdyby była możliwa do przyjęcia. – A gdzie, do diabła, wy byliście? Dlaczego ich nie powstrzymaliście?

–Do dzisiaj byliśmy tutaj – przypomniał mu baron. – Razem z Gjerdrumem, pułkownikiem Abacą i wszystkimi innymi, którzy mogliby odmienić jej losy. Mundwiller nie był w stanie dać im rady w pojedynkę.

Ragnarson rozwinął zwój, przeczytał, zwinął go z powrotem. Usiadł na schodach, przyłożył zaciśnięte pięści do twarzy i gryzł kciuk.

Kristen sięgnęła po tekst ustawy. Rzuciła na niego okiem i zeszywniała. Wypadł jej z rąk. Rzuciła gniewne spojrzenie mężczyznom i pobiegła korytarzem.

–Fulk – mruknął Ragnarson. – A Inger regentką. Nie tego chciałem. Zdecydowanie nie tego.

Derel powstrzymał się od stwierdzenia: „A nie mówiłem”.

–Dlatego narobiłem takiego zamętu, usiłując cię odszukać. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy zajrzeć tutaj, dopóki Gjerdrum nie wspomniał, że spotkał cię w bramie.

–No dobrze. Przerznięliśmy to. Prześlizgnęli się z tym. Jak możemy to odkręcić?

–Zgodnie z prawem nie możemy – powiedział Hardle. – Odwalili kawał dobrej roboty.

–Ustawy można anulować, prawda?

–Moglibyśmy ją zmienić, gdybyśmy zebrali odpowiednią liczbę głosów. Baron chciał powiedzieć, że nie jesteśmy w stanie ich zebrać.

–Dlaczego nie, do jasnej cholery? Zagoń tam wszystkich naszych ludzi i przepchnij to.

–Opuszczono nas. W tej kwestii, nie w ogóle. Ustalenie czegokolwiek spowodowało wielką ulgę. Część naszych ludzi nie chce ponownie ruszać tej sprawy. Chcą uregulowanej sukcesji.

–Ale...

–Przyszłość to terytorium wroga – powiedział Prataxis. – Większość ludzi nie podziela twojego nastawienia typu „niech się dzieje, co chce”. Chcą wiedzieć, co się zdarzy.

–Psiakrew! Podaj mi tę ustawę, Derel. Może jest w niej jakaś dziura.

Prataxis podał dokument.

–Żadnej luki prawnej, panie. Projekt opracowali naprawdę solidnie przygotowani ludzie.

Widział to. Fulk był jego następcą, a gdyby tron się zwolnił, zanim Fulk osiągnie pełnoletność, regentką zostałaby Inger. Czego niewątpliwie nie mogli doczekać się ziemianie. Następne w kolejności były inne dzieci, które Inger mogła urodzić, a dalej sama Inger wbrew wszelkim zwyczajom. Dopiero potem sukcesja wymyka się spod jej kontroli. Przechodzi na wnuka Bragiego, a z młodszego Bragiego na synów Ragnarsona. Zawiliły dokument i – jak powiedział Prataxis – pozbawiony luk prawnych dających pole manewru.

–Niech będą przeklęte moje oczy. To nauczka dla mnie, co? Myślę, że będziemy musieli się z tym pogodzić. – Znowu wpatrywał się w podłogę. Po jakimś czasie dodał: – Dziękuję, że przyszliście. Dołączę do was. Sesja strategiczna. Najpierw muszę porozmawiać z Kristen.

Derel i baron ukłonili się lekko i odeszli. Twarze mieli poszarzałe.

Zwycięstwo jednego dnia zmieniło się w porażkę dnia następnego. Groził powrót dawnych zwyczajów.

Ragnarson zastanawiał się, co ten dokument oznaczał, poza tym, co mówił. Stanowił dyskretne, dżentelmeńskie oświadczenie, że ziemianie wrócili do gry. Był „listem kaperskim” dla każdego, kto chciałby skrócić go o głowę. Od teraz musi być cholernie ostrożny i cholernie szybki.

Przemknęła mu przed oczami twarz Michaela. Uśmiechnął się. To nie był miły uśmiech. Był okrutny.

–Kristen, porozmawiajmy.

Michael wszedł zamaszystym krokiem na ulicę Arsen i zatrzymał się. – Co, do diabła?

Nie był na ulicy Arsen od niesławnej nocy koronacji. W tamtych czasach było to serce świata podziemnego, centrum miejskiej przestępczości. Ulica była bardzo zaniedbana, ciemna i niebezpieczna.

Teraz budynki odnowiono. Latarnie oświetlały chodnik. Uzbrojeni stróże stali na

każdym rogu. Trebilcocka minęła jakaś wytworna dama, najwyraźniej nie obawiająca się nocnej pory.

–Co, do diabła?

Lokal Grubasa zmienił się równie diametralnie w środku, jak na zewnątrz. Ta hałaśliwa, rozpadająca się speluna przeobraziła się w elegancki lokal. Odźwierny nosił liberię i zachowywał się nienagannie.

–Czy jest pan członkiem towarzystwa, proszę pana?

–Gościem. Arala Dantice'a. Gdzie jest Gus? – Dawny wykidajło miał siedem stóp wzrostu, niemal tyle samo w barach, a charakter równie paskudny jak wygląd jego miejsca pracy.

Obecny odźwierny poczuł się urażony.

–Tego dżentelmena nie było tutaj od jakiegoś czasu.

–Nie było. Zaszły pewne zmiany.

–Istotnie. Proszę za mną. Pan Dantice ma własną lożę.

Pewne zmiany, myślał Michael. Dzielnica zdobyła powszechne poważanie, a on o tym nie wiedział. Nie podobało mu się to. Lubił wiedzieć, co się dzieje, zawsze i wszędzie.

Może zbyt to się skupił na sprawach zewnętrznych, zbyt wiele uwagi poświęcał prowincjom i sąsiadom Kavelinu. W końcu Vorgreberg był sercem królestwa.

Aral czekał na niego.

–Wyglądasz na zaskoczonego, Michael.

–Zmieniło się tutaj.

–Nie tak bardzo, jak ci się wydaje. Po prostu staramy się ściągnąć ludzi, którzy mają więcej pieniędzy.

–My?

–Ja i Grubas. Jesteśmy tu szefami. Chociaż to on firmuje ten lokal.

–Ty?

–Gdy mój ojciec zmarł, postawiłem na pewną różnorodność.

–Wiedziałem, że zajmowałeś się przemytem, ale... Do diabła, wszyscy kupcy są przemytnikami.

Aral roześmiał się lekko.

–Nie bądź taki wstrząśnięty, Michael.

–To jest wstrząs. To zaskoczenie w starym stylu. Zawsze powinienem wiedzieć, co w trawie piszczy. A o tym nie wiedziałem.

–A dlaczego miałbyś wiedzieć? Oczekuje się od ciebie, że będziesz obserwował wrogów króla. Tutaj nie ma żadnych.

Pojawił się kelner. zaproponował Aralowi butelkę wina. Dantice powąchał, skinął głową.

Kelner poszedł po kieliszki. Prawdziwe kieliszki, nie te toporne kubki z kamionki, których używano, żeby zmniejszyć koszty stłuczek. Aral czekał na reakcję Michaela. Trebilcock wychowywał się w wytwornym otoczeniu.

Michael nie zwracał na niego uwagi. Porównywał twarze klientów z fiszkami, które miał w głowie. Jacyś znani chuligani? Paru. Kupcy, drobniejsza szlachta...

–Zostaw tę swoją robotę. Odpręż się – odezwał się Aral.

–Za chwilę.

–W czym rzecz?

–Potrzebuję twojej pomocy.

–Zrobię co w mojej mocy. Wiesz o tym. O co chodzi? Sprawa zawodowa czy osobista?

–Zawodowa. Muszę wiedzieć, co się dzieje w Throyes i Al Rhemish. Straciłem tam swoich ludzi.

Dantice skinął głową. Pociągnął mały łyk wina.

–Rozumiem.

–Chcę mieć Hsunga na oku. Będzie kombinował jeszcze bardziej niż zwykle. A Norath...

–Norath?

Michael nie powiedział wcześniej Aralowi o swojej wyprawie do Al Rhemish. Zrobił to teraz.

–Jakoś udało mu się ujść z życiem spod Palmisano. Znowu działa. W Al Rhemish. Steruje Megelinem.

–Jeszcze jeden? – Dantice wyglądał na zmartwionego. – Mikę, ilu z nich udało się uciec? Czy oni wszyscy gdzieś tam śmieją się z nas?

–Co masz na myśli?

–Nie wiem nic na pewno. Mam parę wiadomości z północnej części Kotliny. Dziwne rzeczy. W stylu Starego Ciekawskiego.

–Niemożliwe. Król go zabił. Problemem jest Norath. Potrzebne mi informacje z Al Rhemish. Proszę.

–Zrobię co w mojej mocy. To nie będzie łatwe. Droga przez pustynię jest niebezpieczna. Teraz wiem dlaczego. A na razie zabawmy się.

Chociaż bardzo się starali, wieczór był nieudany. Nie byli tymi samymi ludźmi co przed laty. Michael miał zbyt wiele na głowie. Dantice stale wspominał utraconą miłość.

Josiah Gales cały czas się trząsł, chociaż w apartamentach było dość ciepło. Czuł zimny oddech Śmierci.

–Myślisz, że coś podejrzewa? – zapytała Inger.

–Nie, pani. Myślę, że wie. Sądzę, że wie już od jakiegoś czasu. Czarodziej też. A Trebilcock

żywi podejrzewania.

Inger też zadrżała.

–Cholera – powiedziała cicho. – Lepiej uważajmy.

–Uważajmy jak cholera. To może kosztować nas głowy. Mam wrażenie, że król podaje mi teraz linę, żebym się na niej powiesił.

–Wycofaj się. Trzymaj się z daleka. Bądź żołnierzem idealnym.

–Proponuję, żebyśmy wszyscy przyjęli taką postawę. Pani, nawet ty nie jesteś nietykalna.

–Josiah?

–Pani mąż nie jest skory do gniewu, ale twardy z niego człowiek. Zabił swojego najlepszego przyjaciela. Nie jesteś nietykalna. Nie, jeśli uzna, że to jest w interesie Kavelinu.

Nieznacznie, niemal nieświadomie, Inger wykonała gest chroniący przed złym.

–Josiahu, myślę, że masz rację. Uczestniczymy w brudnej grze. Dlaczego pozwoliłam, żeby mnie w nią wciągnęli?

Gales wzruszył ramionami.

–Wracaj do swojej kwatery. Przekaż wiadomość. Żadnych działań bez mojej osobistej zgody. Kontaktuj się ze mną tylko w sytuacji wyjątkowej.

Gales złożył ukłon i wymknął się z pokoju. Tylko Radeachar zauważył jego odejście. Niezrodzony nie mógł zajrzeć do jego umysłu. Gales był chroniony.

Rok 1016 OUI Prośba ze wschodu Ragnarson zsiadł z konia przed domem Mgły w alejach Lieneke, pozdrowił siedzącego na schodach strażnika, a potem uniósł jego spoczywającą na piersiach głowę. Wartownik stanął na baczność.

–Dzień dobry, panie.

–Trzymasz wandali i złodziei z daleka? Żołnierz zaczerwienił się.

–To się nie powtórzy, panie.

–Wiem.

–Czarodziej przybył pół godziny temu, panie.

–Jest na górze?

–Tak sądzę. Chcesz, panie, żebyśmy zabrał konia?

–Tylko poluzuj mu popręg. Zaprowadź go do parku. – Ragnarson wszedł do domu. – Varthllokkurze?

–Jestem w piwnicy. Zaraz będę na górze. – Po kilku chwilach wyszedł z kuchni. – Znalazłem jeszcze dwa portale, poza tym na trzecim piętrze, o którym wiedzieliśmy.

–Ten na górze zostaw otwarty. Będzie chciała odwiedzać swoje dzieci.

–Zostawiłem. Pozostałe zamknąłem. Radeachar jest na zewnątrz i szuka następnych.

–A w Maisaku?

–Zająłem się tym ostatniej nocy. Znalazłem cztery.

–Myślisz, że coś knuła?

Czarodziej wzruszył ramionami.

–Sądzę, że służyły do komunikacji, gdy organizowała spisek. Nie mówię, że nie skorzystałaby z nich później, gdyby ciągle jeszcze tam były.

–Jak się ma córeczka?

–Doskonale. Nepanthe też już się krząta. Postanowiliśmy dać jej na imię Smyrena.

–Dziwne imię.

–To imię mojej matki. Pomysł Nepanthe.

–A co z Ethrianem? Dowiedziałeś się czego... – Ragnarson przerwał w pół słowa, zaskoczony ponurym, groźnym wyrazem, jaki nagle przybrała twarz czarodzieja.

–Powiedziałem: nie budźmy demonów. W końcu odciągnąłem Nepanthe od tego tematu.

Ragnarson uznał, że należy zapomnieć o sprawie.

–Mam problem, który mógłbyś pomóc mi rozwiązać. Dzieci Mgły. Kristen ma dość roboty z moimi.

–Nepanthe wspomniała o nich dzisiaj rano. To są dzieci jej brata. Weźmiemy je, gdy tylko będzie w stanie się nimi zająć. – W jego głosie nie było słyhać entuzjazmu.

–Dobrze. Co teraz planujesz?

–Mamy sprawę Noratha. I tę zdradę tutaj. Jakżeż tęsknię za spokojem Fangdredu.

–Więc jedź. Zostaw to Michaelowi. Gdy już oczyścimy pałac, Norath wypadnie z gry. Jego udział zapewne poległ na dostarczeniu swoich zamachowców.

–Mogę udzielić Michaelowi kilku wskazówek. A co z Hammad al Nakirem?

–Michael i ja poradzimy sobie z tym. Moim największym zmartwieniem nadal jest

Shinsan.

–Mhm, skończyłem. Wypada mi tylko poczekać na Radeachara.

–Jadłeś śniadanie? Chodźmy do Kristen.

–Dziękuję, nie. Wrócę do Nepanthe.

–Więc do zobaczenia później.

Varthlokkur szorstko skinął głową – był to jego gest odprawienia. Zirytowany Ragnarson wyszedł ciężkim krokiem na zewnątrz. Strażnik poderwał się ze schodów, pobiegł pędem po konia króla. Bragi narzekał, gderał i klął, dopóki nie znalazł się w siodle.

Kristen machała mu z ganku ręką. Skręcił w jej stronę.

–Jak się dzisiaj miewasz?

–Tak sobie. Nie miałeś zamiaru zajrzeć?

–Nie byłem zdecydowany.

–Ktoś mógłby chcieć się z tobą zobaczyć. – Uśmiechnęła się zuchwale.

–Jeszcze tu jest?

–No pewnie.

–Czy to nie jest odrobinę...?

–Mam się skarżyć? Pomaga mi przy dzieciach, pomaga prowadzić dom i mam ramię, na którym mogę się wyplakać. Ostatnio jest mi bardzo potrzebne.

–Kazałem baronowi i Derelowi zająć się sprawą sukcesji, ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Kiepsko to wygląda. Myślisz, że mogłabyś podać starcowi śniadanie?

–Do łóżka?

–Nie jestem w nastroju.

–Wprowadzę cię w dobry nastrój. Rozejrzyj się. Czy w taki ranek można zrzedzić?

Bragi przyznał, że dzień jest piękny. Zmiana pogody. Wczoraj niemal przez cały dzień lało.

–Wystarczy ci kielbasa i jajecznica?

–Ze świeżym chlebem, masłem i miodem? Może być.

–Zabiorę się do smażenia.

–Do smażenia? To za co ja płacę służbie?

–Lubię to robić. Chcę. To może długo nie potrwać. Nie mogę wyjść z wprawy.

–Co masz na myśli?! Hmm... Ciesz się tym, póki możesz.

–Chodź. Możesz rozbić jajka.

Sherilee znalazła ich w kuchni.

–Kazałam im bawić się za domem, Kris. Banda dzikusów. – Spojrzała na Bragiego z pytającym błyskiem w oku.

–Dzień dobry – powiedział.

–Dzisiaj rano udaje zrzedliwego niedźwiedzia – wyjaśniła Kristen.

–Znam na to lekarstwo.

–Co to się dzisiaj dzieje z młodymi? – zapytał surowo Bragi. – Gdy byłem w waszym wieku, kobiety nie były tak śmiałe.

–Pewnie były – powiedziała Kristen. – To pewnie ty byłeś nieśmiały.

–No nie...

–Chcesz zobaczyć się z dziećmi? – zapytała Sherilee. – Zawołam je.

–Później. Mamy parę spraw do omówienia.

–Daj mi te jajka. – Nie wytrzymała Kristen. – Fagle po śniadaniu.

Ragnarson wrócił do pałacu zaspokojony i zadowolony. Co za ranek! Co za mężczyzna z niego. Kto by pomyślał, że ma jeszcze tyle wigoru?

Gales pełnił służbę.

–Wasza Wysokość. Pański człowiek, Trebilcock, szuka cię, panie. No. Trebilcock.

–Gdzie on jest?

–W swoim gabinecie. No. Gabinetcie.

Ragnarson spojrzał groźnie na Itaskianina. Ten zareagował nerwowo, co usatysfakcjonowało Bragiego. Gales był posłańcem między pałacem a Zgromadzeniem, gdy ziemianie przepychali swoją ustawę o sukcesji. Josiaha Galesa od znalezienia się na łasce prowadzących przesłuchania ludzi Trebilcocka dzieliła jedna na poły prawdopodobna wymówka. Wiedział, że byłby skończony, gdyby za bardzo oddalił się od ochronnego parasola królowej.

Chwilę później Ragnarson spotkał Dahla Haasa, który przekazał mu tę samą wiadomość o Trebilcocku.

–Dahl, co myślisz o sierżancie Galesie?

–Prymityw, panie. Ale pierwszorzędny żołnierz na polu bitwy.

–Nie nad tym się zastanawiałem. Bardziej interesuje mnie, jak głęboko twoim zdaniem skrywa on swą zdradę?

–Panie?

–Mniejsza z tym. Każ kuchni przysłać obiad na górę. I kwartę soku jabłkowego. Umieram z pragnienia.

–Tak jest, panie. Czy będę tam potrzebny?

–Dzisiaj nie. – Bragi ruszył energicznie korytarzem. Po kilku krokach zatrzymał się i spojrzał za siebie. Coś było nie tak z Dahlem... Czyżby dlatego, że nie pozwalano mu na udział w wewnętrznych naradach? Wydawał się tym przygnębiony. Dlaczego? Nie zajmował aż tak wysokiego stanowiska. Może nadszedł czas, żeby zaproponować Dahlowi coś więcej. Był teraz mężczyzną, a nie tylko dzieckiem dawnego sprzymierzeńca. A stanowisko adiutanta króla powinno prowadzić do awansu.

–Wspomnij o tym Michaelowi – mruknął do siebie pod nosem. – Moglibyśmy posłać go, żeby sprawdził ludzi Inger.

Michael konferował ze współpracownikami, gdy wszedł Bragi. Natychmiast ich odesłał.

–Wyglądasz koszmarnie – powiedział Ragnarson. – Coś ty robił?

–Chlałem dwa dni. Aral przedwczoraj wieczorem namówił mnie, żebyśmy odwiedzili parę naszych dawnych ulubionych miejsc. Nie jestem już taki młody jak niegdyś.

–Nikt z nas nie jest.

–Wiedziałaś, że Aral to wielka szycha w świecie przestępczym?

–Przemyt. Różnica między kupcem a przemytnikiem to kwestia punktu widzenia.

–Nie tylko przemyt. Różne rzeczy. Ludzie z ulicy Arsen nazywają go „sir”. Ludzie, którzy nie zwróciliby się tak do nas.

–Interesujące.

–Z pewnością warto o tym pamiętać.

–Nie pozwól, żeby przyjaźń skłoniła cię do przymyknięcia oka na różne sprawy.

–To nie problem. Aral jest tym bardziej zainteresowany od nas. Jego życie rzeczywiście jest podzielone na odrębne sfery.

–Słyszałem, że chciałeś się ze mną zobaczyć.

–Tak. Dostałem ciekawy raport z Sebil el Selib.

–No? Mów.

–El Murid abdykował. Yasmid przejęła władzę. Ta sprawa w Throyes dobiła go. Yasmid zaczęła swe rządy bardzo ostro. Wielka czystka. Militarna reorganizacja. Nasilenie ataków na rojalistów. Zreformowała Niezwyciężonych, rozwiązała Harishow i zapoczątkowała własny kult zwany Al Dawa. To znaczy Wezwanie. Jak wezwanie do broni, tak powiedział Derel. Mówi, że zainicjowała odrodzenie fundamentalizmu.

–To w stylu Derela. Myślałem, że wybili im to już z głowy.

–Nowe pokolenie. Możesz bez końca sprzedawać ten sam stary cudowny lek, bylebyś od czasu do czasu zmienił nalepkę. Mój kontakt mówi, że Al Dawa ostatecznie zastąpi Niezwyciężonych.

–Co to oznacza dla nas?

–Masz powiązania z Yasmid. Silniejsze niż z Megelinem, teraz Norath jest w Al Rhemish. Derel i ja sądzymy, że należy pielęgnować nasze stosunki.

Ragnarson myślał chwilę.

–Dobrze. Wyślij jej wszystko, co wiemy o Noracie, Megelinie i Throyes. Jest jakaś szansa, że znowu będziemy mieli kogoś w Throyes?

–Aral się tym zajmie. Niektórzy moi ludzie przeżyli zamieszki, ale chcę, żeby byli umiejętniej prowadzeni. Mogą zyskać na znaczeniu.

–Uśpieni agenci?

–Tak. Nie chcę ich zmarnować. Teraz i tak najważniejszy dla nas jest Hammad al Nakir. Prawda? Shinsan nie powinien stwarzać żadnych problemów, dopóki nie wyrównają rachunków z Matayangą.

–Michael, tak jest dużo lepiej. Gdy się tak zachowujesz, czuję się spokojniejszy. Postaraj się przesłać te informacje przez Habibullaha. Jest przyjacielem Kavelinu, mniej więcej.

–Na pewno, panie?

–Co?

–Nieważne.

–O co chodzi?

–O nic. Nie ma o czym mówić.

Ragnarsonowi chodził po głowie mecz z Panterami, odkąd nakłonił sędziów do przełożenia go na późniejszy termin.

–Co się mówi o meczu Strażników z Panterami? Trebilcocka zdumiała ta zmiana tematu.

–Ludzie są wściekli z powodu opóźnienia.

–A zakłady?

–Jakie zakłady? Nikt nie postawi na Strażników. Dopóki nie zdobędziesz dla nich trzech punktów.

–Może byśmy tak wygrali?

Michael wyglądał na jeszcze bardziej skonsternowanego.

–Możesz sobie wybrać notowania. Wszędzie dostaniesz dziesięć do jednego.

–Jak to?

–Mówi się, że Charygin Hall poczynił pewne kroki. Słyszałem, że opłacili część naszych zawodników.

Bragi wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Aral siedzi też w hazardzie?

–Tak to wygląda.

–Zrobimy tak. Każę Derelowi wydać sto tysięcy ze skarbca. Przemyć je do Arala. Każ mu przekazać je jego ludziom i zebrać wszystkie możliwe zakłady przeciwko nam. Niech je trzyma.

Słowo honoru, że nic nie zapłacę, jeśli przegram. Chcę, żeby dorwał wszystkich hazardzistów spośród ziemian i wycisnął z nich każdą koronę.

–Jesteś pewny? Nasze finanse są w tak opłakanym stanie... całe Zgromadzenie zwróci się przeciwko tobie. To najbardziej ryzykowny zakład...

–Jeżeli będzie potrzebował więcej, żeby pokryć wszystkie zakłady, daj mi znać. Jeśli będę musiał, zaciągnę nawet pożyczki.

–Dlaczego? Dlaczego stawiać wszystko na jakiś mecz?

–Michael, my wygramy. Zysk pozwoli spłacić parę długów. Jesteśmy winni niemal dwieście tysięcy nobli. Jeżeli średnio dostaniemy pięć do jednego przy stu tysiącach koron, przy tym powiedzmy pięć procent prowizji dla Arala, spłacimy jedną czwartą. Jeżeli podbijemy stawkę i nakłonimy baronów do postawienia dużych sum, możemy pozbawić ich znacznej części bogactwa. A bogactwo to władza.

–Innymi słowy, zamierzasz podejść ich od tyłu za to, co uchwalili, gdy ich nie pilnowaliśmy.

–No. Zaczynasz rozumieć. Zamierzamy spłacić kolejny dług.

–Skąd ta pewność, że wygracie? Fachowcy mówią, że tylko szczęściu zawdzięczacie te dwa punkty. Pantery podchodzą do tego spotkania tak, jakby to był mecz stulecia.

–Wygram, bo muszę.

–Założmy, że to się wyda i stawki spadną?

–Za to właśnie Aral dostaje swoją prowizję. Jeśli wygramy. Im więcej wygramy, tym więcej zarobi. Prawda?

Michael uśmiechnął się.

–To mi się podoba. W zasadzie. Popracuję nad tym. Chociaż raczej nie można tego uznać za pracę dla wywiadu.

Ragnarson nabazgrał parę słów.

–Przełącz to Derelowi. Twoje pierwsze sto tysięcy. I upoważnienie do wypłaty

większej sumy. Powiedz Aralowi, żeby jego ludzie nie gadali między sobą. Chcę tym bydlakom ostro dołożyć.

Był zły. Miał nadzieję, że ta głęboko ukryta, nie wyzwolona wściekłość nie zmusza go do podejmowania kompletnie idiotycznego ryzyka. Nie było żadnej gwarancji, że jego plan nie zostanie wcześniej wykryty.

–Jeszcze jedna sprawa, Michael. Dowiedz się, kogo opłacili.

–Oczywiście. Jedziemy na tym samym koniu.

Prataxis czytał kartkę od Bragiego po raz czwarty.

–Zwariował.

–Chciałbym o tym porozmawiać – powiedział Michael.

Derel spojrział na niego ostro.

–Naprawdę dziwaczeje. Często podejmuje zbyt wielkie ryzyko. – Prataxis rozparł się na krześle, splótł swoje pajęczne palce pod brodą. – Opowiedz mi o tym.

–Na przykład ta sprawa z Mglą. Mieliśmy szczęście.

–On jest szczęściarzem.

–Był szczęściarzem do tej pory. Fortuna kołem się toczy. Teraz ta dziewczyna. Wcale się z nią nie kryje. Przebywa w jego podmiejskim domu.

–Starożytny i szanowany zwyczaj.

–Wiem. Jestem trochę pruderyjny. Ale tacy są też Kavelinianie. Nie będzie ich obchodziło, że ma kochankę. Kto nie ma, jeśli tylko może sobie na nią pozwolić? Wstrząśnię nimi to, że trzymają tam, gdzie mogą ją widzieć jego dzieci. Tutaj to poważna sprawa. Jesteśmy z dalekiego zachodu. My nie patrzymy na to w ten sposób. Ale...

–Wystarczy. Zgadzam się z tobą. Zrobiłem kilka aluzji, ale już nie słucha.

–A teraz to. Stawia cały skarbiec na jakiś mecz. To czyste szaleństwo. Nie ma żadnej szansy na wygraną. Wygląda to tak, jakby chciał siebie zniszczyć.

–Jest ostrożny. W niektórych kwestiach ma mniej skrupułów niż tervola. Captures to gra dla oszustów. Jestem zdania, że przechytrzy Pantery.

–Och, wygra na boisku. Ja mówię o tym, co będzie poza nim. Nie zdołamy utrzymać tego w sekrecie. Założmy, że oskubie ziemian? Będą z tego powodu uszczęśliwieni? Co ludzie powiedzą na to, że ryzykuje państwowe pieniądze?

–Więc nie rób tego.

–Żartujesz?

–Tak, rzeczywiście żartuję. Mam wielką nadzieję wydostać się cało z Kavelinu, gdy wykonam swoje zadanie.

–Co więc mam robić? – zapytał Trebilcock.

–Nie mogę ci pomóc. – Prataxis wydał usta w zamyśleniu. – Masz rację. On robi się dziwny. Musimy go powstrzymać. Musimy go przekonać, że po pierwsze, nie jest wybrańcem bogów, i po drugie, że nie może wyzywać losu. Powiedziałbym, że dotknęła go ta odwieczna królewska megalomania. Ponieważ nie został do tego wychowany, przybiera ona u niego osobliwe formy.

–Możemy jakoś na niego wpłynąć? Niczego się nie nauczył z tej wpadki z sukcesją.

–Hmm... – Prataxis wstał. – Chodźmy po te pieniądze.

–To wszystko? Tak po prostu?

–A co możemy zrobić? – Gdy zbliżali się do drzwi, Prataxis powiedział w zadumie:

– Jego największym błędem może okazać się sposób, w jaki traktuje żonę. – Spojrzał Trebilcockowi prosto w oczy.

–Też to dostrzegłeś?

–To dosyć oczywiste. Równie oczywiste jest to, że on wie. I nie robi nic. Nic.

–Myślisz, że ktoś powinien to zrobić za niego?

–To byłaby kwestia sumienia tego człowieka. Może. Jeśli ten ktoś byłby odpowiednio ostrożny. Ale nie w tej chwili. Niech to się jeszcze jakiś czas toczy.

Michael skinął głową. Cenił zmysł polityczny Prataxisa. Wyczucie właściwej chwili jest najważniejsze.

Od powrotu z Al Rhemish próbował wymyślić jakiś sposób, żeby wyciąć tego raka i samemu przy tym nie ucierpieć. Może Varthlokkur udzieli pomocy...

Bragi jadł obiad, gdy przeszkodził mu Dahl, za to gorąco przeprasząc. Przyniósł jakąś wiadomość. Bragi przeczytał ją, zmarszczył brwi.

–O co chodzi? – zapytała Inger.

–Mgła wróciła. Chce się ze mną widzieć. Dobrze. Przyrowadź ją, Dahl.

Mgła weszła kilka minut później. Wyglądała na starszą o dziesięć lat.

–Ciężko idzie? – zapytał Bragi.

Skinęła głową.

–Moglibyście poczęstować obiadem starą, zmęczoną kobietę?

Inger machnęła ręką. Służąca wyszła. Bragi spoglądał na Mgłę niepewnie. Chciał porozmawiać od serca z Inger. Pojawienie się Mgły przeszkodziło mu w tym. Zawsze coś stawało na przeszkodzie.

A może tylko szukał wymówek?

Mgła, nie proszona, opadła na krzesło.

–Jestem wykończona.

–Sama się o to prosiłaś. – Ragnarson zmarszczył brwi. To nie było w jej stylu. Co ona kombinowała? – Wybacz mi, że będę obcesowy. Co ty tutaj robisz?

–Szukam pomocy. Znowu.

–Myślałem, że dostałaś to, o co prosiłaś.

–Chodzi o ten bałagan na wschodzie, Bragi. Nie wiedziałam, że jest tak źle, dopóki nie przyjrzałam się temu z bliska. Teraz wiem, dlaczego tervola są tacy wystraszeni. To może oznaczać koniec świata.

–No nie! – powiedziała Inger. – Mgło, w to po prostu nie da się uwierzyć.

–Nie widziałaś tego. Ja widziałam.

–Zacznij od początku – zaproponował Ragnarson. – Wiem tylko tyle, ile mi do tej pory powiedziałaś. Varthlokkur tylko mi grozi, żeby nie pisała słowa Nepanthe.

Mgła opowiedziała o swoim poprzedniku, lordzie Kuo, który miał pewne przecucia związane z wielką pustynią na wschód od Shinsanu. Wysłał tam ludzi, żeby zbadali sprawę.

Przebudzili jakąś starożytną i przerażającą potęgę, która działa przez istotę

nazywającą się Wybawicielem.

–Armie martwych ludzi? – mruknął przerażony Bragi. – Wskrzesza zmarłych przeciwko żywym?

W tym właśnie tkwiło sedno sprawy. Siła, która stała za Wybawicielem, umożliwiała mu wskrzeszanie świeżo poległych i wprowadzanie ich do walki. Ci, którzy z nim walczyli, musieli nie tylko walczyć: musieli też usuwać własnych poległych z zasięgu Wybawiciela i palić jego poległych, bo inaczej byłiby ożywiani raz za razem. Bragiemu wydawało się, że takiej wojny żywi wygrać nie mogą. To było jak przypowieść o nieuchronności śmierci.

–Urzeczywistnia się trolledyngiańska opowieść draug... – powiedział. – To straszne. Ale dlaczego zwracasz się do mnie?

–Ponieważ gdy Wybawiciel skończy z imperium, przyjdzie po ciebie.

–Nie rozumiem – powiedziała Inger. – Coś mi umknęło. Wy dwoje wiecie, o czym rozmawiacie...

–Mgła twierdzi, że tym dowódcą zmarłych jest Ethrian. Zaginiony syn Szyderycy i Nepanthe – wyjaśnił Bragi.

–A ty, Bragi – dopowiedziała Mgła – zabiłeś jego ojca. Rzeczywistą siłą, która popycha Wybawiciela, jest jego obsesja na punkcie zemsty. Najpierw imperium, potem ty. A później reszta świata.

–Wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego Varthlokkur nie chce, żeby Nepanthe się o tym dowiedziała. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą.

–To jest prawda. Coś na wschodzie uchroniło go przed Pracchią, odmieniło i dało mu ogromną moc. Myślę też, że utraciło nad nim kontrolę. Bragi, ja go widziałam. Nie ma słów, którymi można by go opisać. Przypomina oszalały żywioł. I jeśli nie zostanie powstrzymany, będzie to koniec świata.

Inger powiedziała coś chrapliwie.

–Wierzę w to – jęknął Bragi. – Nie chcę w to uwierzyć, ale muszę. Inger spójrz na Mgłę. Jest śmiertelnie wystraszona. Księżniczka Imperium Grozy jest przerażona.

Mgła potwierdziła.

–Masz rację. Jestem tak przerażona, że nie mogę zebrać myśli.

–A Varthlokkur o wszystkim wie.

–Prawdopodobnie. Niewiele umyka jego uwagi.

–Rzeczywiście. Wie być może więcej niż ty. Ale chce wsadzić głowę w piasek, ponieważ mogłoby to przygnębić Nepanthe. Nie mogę się na to zgodzić. Chodźmy do niego.

Znaleźli Varthlokkura w zamkowej bibliotece, czytającego jakąś starożytną księgę, którą

zbyt pośpiesznie zamknął, gdy tylko zauważył zbliżającego się Bragiego. Zaniepokoił się na widok Mgły.

–Co jest? Czego chcesz? – zapytał chrapliwym głosem.

–Myślę, że wiesz. Mgło, powiedz mu.

Mgła powtórzyła swoją opowieść. Na twarzy czarodzieja malowało się coraz większe przerażenie, a potem rysy stopniowo mu stężały. Przerwał jej, zanim

skończyła.

–Odpowiedź brzmi: nie. Znajdź jakiś inny sposób. W końcu udało mi się zapewnić Nepanthe, że jej syn jest martwy. I tak jest, w pewnym sensie. Zostawcie go w grobie.

–Może posłalibyśmy Niezrodzonego? – zapytał Bragi.

–Nie. Nie słyszeliście? Ja wam nie pomogę. Nepanthe też nie. Sama sobie radź, kobieto. Bragi, ostrzegałem cię. Jeśli powiesz o tym Nepanthe...

–Nie mam zamiaru. Sam to zrobisz.

–Nie rozumiesz racjonalnie – powiedziała Mgła. – A co będzie, jeśli nie zdołam go powstrzymać? A Rada mówi, że biorąc pod uwagę dostępne środki, tak prawdopodobnie się stanie. Co wtedy? Gdzie się skryjesz, gdy padnie bastion, jakim jest Shinsan? Wybawiciel znajdzie cię i w samych Smoczycich Zębiskach.

Varthlokkur splunął, wprawiając tym w osłupienie Ragnarsona.

–Będę chronił moją żonę...

–Właśnie o to cię prosi... – powiedział Bragi.

–Będę ją chronił na mój sposób. Ragnarson, przypomnij sobie, co zrobiło ci Zgromadzenie. Przy takim prawie, jeśli nie będzie mnie u twojego boku, jesteś trupem.

–Co za przekłety, uparty dupek. Co się z tobą, do cholery, dzieje? Chcesz się ze mną wadzić? Wiesz dobrze, że nie pozostaję bierny, gdy ktoś przypiera mnie do muru.

–Tak byłoby lepiej.

–Dawałem sobie radę, zanim cię spotkałem. Mogę żyć bez ciebie i teraz. – Ragnarson zaczynał się gorączkować. Czarodziej zaś od początku tej rozmowy był rozgorączkowany.

–Trzymaj się z daleka od mojej żony. Mgło, Wybawiciel to, do cholery, twój problem. Ethrian nie żyje. I mam zamiar dopilnować, żeby tak to wyglądało.

Mgła uderzyła pięścią w biblioteczkę z taką siłą, że z tuzin książek spadł na podłogę.

–Jesteś nie tylko uparty, zachowujesz się jak głupiec. Nie rozumiesz? On nie poprzestanie na Shinsanie.

Bragi wziął ją pod rękę.

–Chodźmy. Marnotrawimy czas. Varthlokkur całkiem zdurniał. – Ragnarson skierował się w stronę drzwi. Przez ramię rzucił: – Zapamiętam to sobie.

Na zewnątrz Mgła zapytała:

–I co teraz? Na niego raczej nie można liczyć.

–Jesteśmy zdani na siebie, jak sądzę. Może uda mi się jakoś dotrzeć do tego chłopca, który jest wewnątrz Wybawiciela. Chodź. Muszę porozmawiać z Gjerdrumem i Derelem, żeby pilnowali moich tyłów, gdy mnie tu nie będzie.

Przerażenie Mgły trochę ustąpiło. Popatrzyła na Bragięgo badawczo.

–I to, bez wątpienia, nie tylko na jeden sposób.

–Hę?

–Dlaczego mam wrażenie, że moje dzieci nagle stały się zakładnikami, ot tak, na

wypadek, gdyby był jakiś spisek mający poróżnić cię z człowiekiem, który gwarantuje ci bezpieczeństwo?

–Ponieważ jesteś kobietą praktyczną, która wie, o co chodzi w polityce. Jesteś moją przyjaciółką, ale co to ma wspólnego z losami królestw i imperiów?

–Świat mógłby być przyjemniejszym miejscem.

–Derel i ja próbowaliśmy do tego doprowadzić. Nikt tego nie chce. Przynajmniej do czasu, aż nie znajdzie się u władzy.

–Josiah, mówiłam ci, żebyś się przyczaił. Przez to, że tu przyszedłeś, mogą nas wszystkich powiesić.

–Pani, to zbyt ważne, żeby można było to zignorować. – Opowiedział jej o kłótni w bibliotece. – Więc udaje się do Shinsanu, żeby osobiście przeciwstawić się temu Wybawicielowi. Teraz są z Prataxisem. Musiałem ci o tym powiedzieć.

–Prawdopodobnie tak. Dziękuję. Teraz wracaj na swój posterunek, zanim zaczną za tobą tęsknić.

Gales uklonił się lekko i odszedł. Nie potrafił ukryć, że czuje się urażony.

Inger była przerażona. To wyglądało na zesłaną przez bogów okazję... Nastąpiło to zbyt szybko po zwycięstwie w Zgromadzeniu. Ta rana jeszcze się nie zagoiła.

Krążyła po pokoju, starając się ocenić stopień ryzyka i potencjalny zysk.

–Niech to diabli! Dobra! Żeby wygrać, trzeba zagrać. – Sięgnęła po pelerynę, owinęła się nią ciasno, włosy i twarz ukryła w kapturze. Wymknęła się, nie zauważona przez służące, i pobiegła co sił w nogach do apartamentów Nepanthe.

Varthlokkur wszedł ostrożnie do swojego mieszkania. Zapalił świecę, usiadł, próbował kontynuować lekturę. Litery co chwilę rozplywały mu się przed oczami. Od kłótni z Bragim i Mgłą minęła godzina. Ciągle jeszcze drżał, czuł się trochę zakłopotany, trochę zawstydzony. I strasznie rozdarty wewnątrz. Coś w nim upierało się, że oni mieli rację. Że był głupio samolubny.

Ktoś lekko wskoczył mu na kolana.

–Nepanthe! Dlaczego wyszłaś z łóżka? – Przestraszył się nie na żarty. Była ubrana jak do

drogi. Trzymała w ramionach opatulone dziecko.

–Och, nie – wymamrotał. – Dlaczego?

–Okłamałeś mnie, Varth. Ethrian żyje. Jest w Shinsanie, w mieście, które nazywa się Lioantung. I stała mu się jakaś krzywda. Mgła była dzisiaj u Bragiego w jego sprawie. Idę z nią, gdy będzie wracała.

Wyraz jej twarzy świadczył o uporze, z jakim będzie trwała przy swoim. Czarodziej wiedział, że nie uda mu się odwieść jej od tego zamiaru.

–Czy oni powiedzieli ci, czym stał się twój syn?

–Kto miał mi powiedzieć? Co?

–Ragnarson i ta shinsańska dziwka.

–Nie widziałam żadnego z nich. Co oni mają z tym wspólnego? – Gniew Varthlokkura nasilał gniew Nepanthe. – Możesz iść lub zostać, jak sobie chcesz. Ale nie próbuj mnie zatrzymać.

–Dobrze! Pójdziemy! – Varthlokkur krzyczał. W jego głosie słychać było histerię. –

Bragi, sam poderżnąłeś sobie gardło. Ja siądę sobie z boku i będę się śmiał, gdy wilki będą rozrywały cię na strzępy.

Ramiona Mgły się pochylały. Odnosiło się wrażenie, że jej uroda przeminęła.

–Wydawało się, że najwięcej szans będziemy mieli, gdy doprowadzimy do spotkania z matką. On ciągle jest dzieckiem. Wstrząs wywołany tym, że ona widzi go takim jak teraz... Pomyślałam, że może to wyrwałoby go z tego stanu.

Ragnarson chrząknął. Ostrzył swój miecz.

–Może. A może, skoro pała do mnie taką nienawiścią, będę mógł załatwić to po swojemu. Co się stanie, jeśli go zabiję? Czy on także powstanie z martwych?

–Nie wiem. – Mgła majstrowała przy portalu, który przygotowywała do użycia. – Za pięć minut.

Ragnarson znowu chrząknął. Pozornie zachowywał spokój, był żołnierzem, który ma ruszyć do boju po raz tysięczny. Ale w środku aż w nim wrzało. Ogarniało go zwątpienie. Nie był pewny, czy zdoła zrobić to, co konieczne, jeśli szok nie wytrąci Wybawiciela z tego obłądu. Ciągle doskwierało mu poczucie winy z powodu zabicia jego ojca. Czy będzie w stanie uśmiercić też syna? Zwłaszcza że teraz zagrożenie było mniej bezpośrednie i oczywiste?

Mgła musiała jeszcze trochę go poprzekonywać.

–Spójrz.

Ujrzał zbliżających się Varthlokkura i Nepanthe. Kobieta wyglądała na zdeterminowaną. Varthlokkur poruszał się nerwowo, jak marionetka, zatopiony we własnych myślach, z twarzą stężałą w gniewnym wyrazie.

–Idziemy z wami – powiedziała Nepanthe. Czarodziej w ogóle się nie odezwał. Dla niego nie istnieli.

–W samą porę – odparła Mgła. – Wrota otworzą się za minutę.

Bragi próbował zażartować. Mgła spojrzała na niego dziwnie. Nepanthe i Varthlokkur wpatrywali się w portal. Bragi spróbował jeszcze raz. Nie udało mu się wywołać niczyjego uśmiechu. Nawet własnego.

–W takim razie idźcie wszyscy do diabła.

Nepanthe drgnęła. Varthlokkur pozostał niewzruszony.

–Już czas – powiedziała Mgła. – Pójdę pierwsza. Nepanthe, ty za mną. Potem Bragi, Varthlokkur i tamto.– Niezrodzony, z czujną, diaboliczną twarzą noworodka, wpłynął wcześniej do pokoju. Mgła zrobiła krok naprzód i zniknęła.

Ragnarson dreptał nerwowo. Czy to była jakaś pułapka, która miała wyeliminować jego samego i Varthlokkura, największych wrogów Shinsanu?

Nepanthe mocniej przycisnęła Smyrenę i wstąpiła w portal. Walcząc z wywracającym mu się żołądkiem, Bragi schował do kieszeni oselkę, uniósł w górę miecz i podszedł do linii. Rzucę się gwałtownie naprzód, pomyślał. Tego nie będą się spodziewać.

Skoczył.

Mgła i jeden tervola czekali po drugiej stronie. Ragnarson przeleciał przez pokój, potknął się o gruz, runął głową naprzód. Miecz wysunął mu się z dłoni. Niezdarnie podniósł się z podłogi, świadom spojrzeń wszystkich obecnych, był zażenowany.

–Lepiej dmuchać na zimne.

Mgła uśmiechnęła się i pokręciła głową. Twarz tervola zakrywała maska, ale jego postawa zdradzała rozbawienie.

Przez wrota przeszedł Varthlokkur. Rozejrzył się wokół bacznie, ale nie wyrzekł ani słowa. Dołączył do Nepanthe. Niezrodzony wyskoczył kilka sekund po nim.

Mało brakowało, a tervola wyskoczyłby z butów. Bragi zachichotał.

–Spokojnie – powiedziała Mgła. – Wszystko w porządku. – Tervola skrzyżował palce, wypowiadając zaklęcie. – Zabierz nas do lorda Ssumy.

Bragi szedł przez miasto, był niemal w stanie szoku. Lioantung, tak nazwała je Mgła. Martwy Lioantung, pomyślał. Nigdy nie widział takich zniszczeń. W niektórych miejscach cegły i kamienie były spalone lub stopione jak wosk. Gruzy były rozrzucone, jakby przeszło tu trzęsienie ziemi. Kości i fragmenty rozkładających się ciał były wymieszane z gruzem. Odór był porażający. Ich przewodnik dwukrotnie rzucił jakieś drobne zaklęcie, żeby unicestwić szczególnie dokuczliwe chmary much.

–Był już najwyższy czas, żeby ktoś użył Mocy do czegoś praktycznego – zażartował Bragi. Mgła spojrzała na niego krzywo. Ragnarson mruknął: – Bogowie, ależ to miejsce jest

przygnębiające. Co tu się, do diabła, stało?

–To tylko Ethrian, nic więcej. Varthlokkurze, wierzysz mi teraz?

Czarodziej zignorował Mgłę.

–A to co? – zapytał Bragi, wskazując słup dymu na południu.

–Legiony palą poległych, żeby Ethrian nie mógł ich wykorzystać przeciwko nam.

Chodźcie. Musimy się pospieszyć.

Spotkanie z dowództwem Armii Wschodniej przebiegło dokładnie tak, jak Bragi się spodziewał. Tervola niemal eksplodowali, gdy dowiedzieli się, kim jest. Jedynie obecność dowódcy armii, lorda Ssumy Shihka'iego, trzymała ich w ryzach.

Shihka'i zrobił na Bragim pozytywne wrażenie. Ten człowiek nie należał do typowych tervola. Niski i barczysty, podczas gdy oni byli wysocy i szczupli, miał przewrotne poczucie humoru. Jego maska przedstawiała rozwścieczonego niedźwiedzia. Mgła mówiła, że pochodzi z chłopskiej rodziny.

–Powiedz mu, że wygląda mi na uczciwego żołnierza – rzucił Bragi do Mgły.

Przetłumaczyła. Shihka'i odpowiedział, a Mgła przełożyła jego słowa:

–Mówi, że przekonasz się, że jest bardziej nieustraszony od lorda Ko Fenga.

Kobieta i dowódca armii wdali się w długą dyskusję, która chwilami stawała się dosyć burzliwa. Bragi domyślał się, że Shihka'i powątpiewał w jej plan, polegający na postawieniu Ethriana twarzą w twarz z matką. Mgła najwyraźniej go przekonała. Shihka'i poprowadził ich z powrotem przez zrujnowane ulice.

Bragi uważnie przyglądał się Nepanthe. Szła przez ruiny z utkwionym w nie wzrokiem, była blada. W pobliżu północnej bramy Lioantungu zaczęły wstrząsać nią drgawki. Zatrzymała się, żeby zwymiotować do rynsztoka. Gdy Varthlokkur starał się ją pocieszyć, odpędziła go machnięciem ręki.

–Wytrzymam to. Zawsze wszystko wytrzymałam. Naprawdę jestem całkiem dorosłą osobą.

Skarcony czarodziej ponownie przyjął postawę pełną rezerwy. Jediną oznaką jego wewnętrznego wrzenia było wzburzenie Niezrodzonego, który miotał się i śmigał jak ćma cierpiąca na niestrawność.

Lioantung wygląda tak, że robale by się porzygały, pomyślał Bragi.

–Mgło, to powinno zostać tak, jak jest. Zrób z tego pomnik. Przyrowadzaj tu każdego przyszłego dowódcę i niech sobie tutaj z tydzień pożyje.

Mgła odpowiedziała z niewyraźnym uśmiechem:

–To by się na nic nie zdało.

–Pewnie masz rację. Natura ludzka.

Shihka’i wziął białą flagę od jakiegoś żołnierza i skierował się ku bramie. Narzucił ostre

tempo marszu. Bragi szedł szybko, żeby nie zostać w tyle i żeby nie wyglądało, iż jest mniej zdecydowany. Tym odrażającym istotom w czerni trzeba pokazać, że jest nieustraszony. Zaśmiał się sam z siebie – natura ludzka.

Przed nimi na szczycie pagórka podniosła się wychudzona postać w łachmanach, przeczesala ręką włosy. Kobieta w bieli, której kontury zdawały się rozmywać, pomagała mu wstać. Pantera, niedźwiedź i leśny bawół szybko do niego dołączyły, przyjmując postawy strażników. Mgła i Shihka’i zamienili kilka słów.

–Oto i on – powiedziała Mgła do Nepanthe.

Ten ludzki wrak ma być moim chrześniakiem? – pomyślał Bragi. To ma być ten potwór, który obrócił w perzynę wschodnie prowincje Shinsanu?

Chłopiec wyglądał upiornie, niewiele się różnił od trupów, które rzekomo walczyły dla niego.

Shihka’i zatrzymał się. Bragi stanął obok niego. Mgła i czarodziej też przystanęli. Nepanthe nawet nie zwolniła.

–Ethrian? – powiedziała. – Spójrz. Widzisz? To jest twoja siostra. Ma na imię Smyrena.

Bragi z powodu napięcia niemal wybuchnął śmiechem. To nedorzeczność! Z drugiej strony, jaki inny wstrząs mógłby pewniej przywołać Ethriana do rzeczywistości?

W oczach chłopca pojawiła się udręka. Zaczął szlochać.

–Mamusi. Myślałem, że cię zabili. Myślałem, że cię zabili.

Nepanthe trzymała Smyrenę na jednej ręce. Drugą objęła syna.

–Już dobrze. Już po wszystkim, Ethrian. Wszystko w porządku. Możesz wracać do domu.

Powietrze było nieruchome, ale... coś jest nie tak, pomyślał Bragi. Ta kobieta w bieli... jej ubranie powiewało, jakby targał nim zrywający się wiatr.

Nagle zwierzęta wstały i odbiegły wielkimi susami. Ragnarson odetchnął. Nie cieszyła go perspektywa zmierzenia się z nimi.

Matka i syn zaczęli iść w stronę miasta.

Nagle Ethrian odepchnął matkę na bok. Wokół niego utworzyła się ciemna aureola. Powietrze jakby zatrzeszczało. Shihka’i ryknął. Varthlokkur chwycił Nepanthe, zanim upadła. Ragnarson dobył miecza, przykucnął i zawył jak przyparte

do muru zwierzę.

Nepanthe wrzasnęła na Ethriana. Tervola rzucił się na chłopca, zacisnął mu palce na szyi. Kątem oka Bragi dostrzegł poruszenie na murach Lioantungu. Obrócił się i ujrzał długie drzewce lecące łukiem po niebie. W samą porę! – pomyślał. Jego miecz przeciął powietrze nad Shihka'im.

Tervola poderwał się, gdy Bragi wyciągał złamaną włócznię z ziemi. Powiedział coś, co musiało być podziękowaniem, po czym znowu odwrócił się do chłopca.

Wszystko się pomieszało, Bragi nie potrafił odróżnić rzeczywistości od złudzenia. Kobieta w bieli najwyraźniej nie miała cielesnej postaci. Coś równie bezcielesnego o władnęło chłopcem.

Mgła i Shihka'i strasznie na siebie pokrzykiwali. Ethrian usiłował coś krzyknąć, a Shihka'i go powstrzymywał. Kobieta w bieli pomagała teraz wrogom swojego partnera. W pewnej chwili Varthlokkur zaczął przemawiać w języku Shinsanu. Wtem z Ethriana wydobyła się wielka czarna chmura, uniosła się w górę, tworząc słup oleistego dymu. U jego podstawy ukształtowała się lśniąca kopuła.

–Przepędzono diabła, który w nim siedział – powiedziała Mgła.

Skonsternowany Bragi popatrzył w górę słupa czarnego dymu.

–Nie rozumiem, co się dzieje.

–Zwyciężyliśmy. Pokonaliśmy Wybawiciela.

–Nadal nie rozumiem. Powiedziałaś to już wcześniej.

–Nie...

Zatrzęsała się ziemia. Może i nie rozumiał wszystkiego, ale potrafił wyczuć, że starły się dwie potęgi. Będzie musiał uwierzyć Mgle na słowo, jak bardzo ważne było to starcie.

–Już po wszystkim – powiedziała. – Zostawmy na chwilę Nepanthe samą. Był cień nadziei, ale się nie udało. Cholera. – Zaczęła iść w stronę miasta. Tervola już tam zmierzał, prawdopodobnie po to, żeby dowiedzieć się czegoś o drzewcu, które niemal go zabiło. Bragi szedł obok Mgły. Próbowwała mu wszystko wyjaśnić.

Varthlokkur trwał niepewnie między swoją żoną i Mgłą, ostatecznie zatrzymując się dwieście kroków od miejsca, w którym upadł Ethrian. Bragi zerknął za siebie, zobaczył też, że kobieta w bieli znika, zobaczył, że Nepanthe stoi wyprostowana tuż przy lśniącej kopule.

–Mam nadzieję, że to wyjdzie im na dobre – powiedział.

–Kto wie? On jest zbyt nieustępliwy, żeby wyszło mu to na dobre. A ona musi się nauczyć...

Nepanthe krzyknęła przeraźliwie. Bragi obrócił się na pięcie. Kopuła zniknęła. Nepanthe przypadła do ziemi, obejmując ciało syna i wołając Varthlokkura. Czarodziej popędził do niej.

–Dobrzy bogowie – mruknęła Mgła. – On żyje. Przeżył. Nie wierzę w to. Przeżył egzorcyzm.

–Jaki egzorcyzm?

–Zjawa tej kobiety go odprawiła, gdy...

–Ależ ona nie wydała żadnego dźwięku.

Mgła zachichotała słabo.

–Nie słyszałeś jej? W takim razie nie masz tak wiele krwi czarownic w swoich żyłach, jak utrzymujesz. Chodź. Oni muszą być przez chwilę sami.

–Czy zdajesz sobie sprawę, że gdy chcesz, bywasz całkiem miła?

–To komplement? Nie zasypuj mnie nimi, gdy mogliby to usłyszeć tervola. Teraz jestem księżniczką Shinsanu.

–Skoro już o tym mowa... Moi ludzie z karawan mieli zostać uwolnieni.

Pamiętasz? Hsung

nawalił. Michael mówi, że znowu postępuje jak dawniej. Myślałem, że mieliśmy żyć w zgodzie.

–Lord Hsung stanowi pewien problem. Porozmawiam z nim. Albo się go pozbędę.

– Wskazała ręką mur nad bramą. Stał tam lord Ssuma. – Martwy człowiek opanowany przez Ethriana wystrzelił tę włócznię. Muszę wracać do wojny z Matayangą. Trzymaj się blisko lorda Ssumy. Któryś z jego ludzi z przyjemnością wbiłby ci nóż w serce. Zobaczmy się za kilka godzin.

Ale Ragnarson nie zobaczył jej ponownie. Mgła poszła, żeby przejąć obowiązki księżniczki Imperium Grozy, a on wrócił, żeby pozostać królem Kavelinu. Pozostać królem kraju, w którym wieści o jego zerwaniu z Varthlokkurem szybko się rozniosły. Żeby pozostać królem czegoś w rodzaju kotła czarownicy aż nazbyt chętnego do wrzenia.

Nigdy w pełni nie zrozumiał, co zaszło pod murami Lioantungu. Ale doskonale rozumiał, ile go to kosztowało.

Zagrożenie, którego nigdy w pełni nie doceniał, zostało zażegnane za cenę wsparcia Varthlokkura, którym cieszył się do tej pory. Czasami się zastanawiał, czy kiedykolwiek będzie pewny, że była to cena okazyjna.

Rok 1016 OUI Wielki mecz mistrzostw Dantice rozparł się w pluszowym fotelu. Jego stopy spoczywały na stole. Po prawej stronie zastraszony Siluro podliczał kolumny liczb. Naprzeciwko niego siedział mężczyzna, który ważył ponad trzysta funtów.

– Król nie może pokryć już żadnych kolejnych zakładów – powiedział Aral.

Grubas zagrzmiął:

– Z łatwością mogę wyciągnąć następne pięćdziesiąt tysięcy. Odkąd pozwoliliście, żeby się wydało, że mocno obstawia, Nordmeni usiłują skombinować pieniądze. Wszyscy chcą mieć kawałek. Gdyby nie ta pogoda, staliby na zewnątrz w kolejce. – Rozległ się grzmot. Budynek się zatrzęsł.

– Pięćdziesiąt tysięcy?

– Co najmniej. Może sto.

– Tolliver, ile mamy teraz?

Urzędnik wyszarpnął kartkę spod szczerzego gniazda.

– Pieniądze króla: sto dziewięćdziesiąt sześć tysięcy dwieście czterdzieści trzy.

Wszyscy pozostali: czterdzieści trzy tysiące czterysta siedemdziesiąt dwa.

– Dostajemy od tego prowizję?

– Tylko od pieniędzy króla.

– Ile należy do Michaela Trebilcocka?

– Czterdzieści tysięcy.

– To znaczy, że wszyscy inni zaryzykowali trzy tysiące z kawałkiem. Czy nadal udaje się wam utrzymywać notowania?

– Ludzie stają się nerwowi. Ale ciągle mamy dwa do jednego.

Dantice postukał paznokciem w zęby.

– A jak przebiega gra?

– Król przegra, chyba że zdarzy się cud. Charygin Hall dotarł, o ile mi wiadomo, do ośmiu Strażników.

– Czy możemy ich przebić?

– Łapówki? Wykluczone. Przy takich pieniądzach w grze Charygin Hall nie podejmie żadnego ryzyka. Tak odizolowali swoich chłopaków, że nawet matki nie mogą się z nimi zobaczyć.

– Więc jeśli przegrają, nikt nikogo o nic nie będzie oskarżał.

– Ciężko będzie cokolwiek zarzucić.

– Jak byś do nich dotarł?

– Nie wydaje mi się, żebym potrafił to zrobić.

– Hmm... – Dantice zdjął nogi ze stołu, oparł łokcie o stół. – Ale ktoś tam wchodzi i stamtąd wychodzi. Muszą coś jeść.

– Najwyżsi urzędnicy Hall. Nikt, kogo moglibyśmy tknąć.

– Nikt z nich nie ma wobec nas jakichś długów wdzięczności?

– Nie. Sprawdzalem.

– Kto gotuje?

– Masz jakiś pomysł?

–Taką zabawną koncepcyjkę. Od paru dni chodzi mi po głowie. Przypuśćmy, że w wigilię meczu zjedzą coś, co następnego ranka tak ich pogoni, że będą się ustawiały kolejki do kibla? Mógłbyś skupić się na captures, gdyby ci się lało z dupy?

Grubas zagdakał jak kura, która zniosła kwadratowe jajko.

–Och! Piękne. Ale to byłoby oczywiste, no nie? Czterdziestu facetów naraz nie dostaje nagle sraczki.

–No dobra. Nie wszyscy. Dziesięciu czy piętnastu. Jeden garnek nieświeżego żarcia. To przecież się zdarza, prawda?

–Będą podejrzenia.

–Oczywiście. Wrzeszczą o nieczystej grze w ostatnich dwóch meczach. Strażnicy podobnie. Trzeba to tak załatwić, żeby później nikt niczego nie mógł udowodnić.

–Chcesz, żeby to zrobić?

–I przyjąć resztę zakładów.

–A co z forszą?

–Weź tę, którą już postawiono, i postaw jeszcze raz.

–Cholera, podniosą wrzask.

–A co to mnie obchodzi. Nic na to nie poradzą.

Na usta Grubasa wypełził krzywy, zły uśmiech. Nienawidził ziemian tak, jak tylko może nienawidzić była ofiara Nordmenów.

–Dobra. Na pohybel Panterom i całej gównianej reszcie.

–Doskonale. Tolliver, co idzie do Throyes?

Dziesięciu żołnierzy stało na baczność w gabinecie Trebilcocka. Michael miał na sobie rzadko noszony mundur. Aż bił w oczy. A w nim siedział zimny, blady, wściekły diabeł. Żołnierze nie wiedzieli, po co ich wezwano. Trebilcock krążył po pokoju, opóźniając chwilę wyjawienia przyczyny wezwania, co pogłębiało udrękę wyczekiwania.

Żołnierze byli przerażeni. Słyszeli opowieści o okrutnym postępowaniu kapitana Trebilcocka

z tymi, którzy wywołali jego niezadowolenie. Pomruk burzy za oknem tylko zwiększał ich grozę.

Michael cofnął się o krok.

–Panowie.

Jeden z nich powiedział:

–Panie kapitanie.

–Nie dosłyszałem, kapralu. Dobrze znali tę odzywkę.

–Panie kapitanie! – zagrzmiało dziesięć gardeł.

–Dobrze. – Przez pół minuty Trebilcock przerzucał papiery i drobiazgi na swoim biurku. Potem spojrzał każdemu prosto w oczy. – Gwardia Pałacowa. Elitarny oddział. Starannie dobrani ludzie. Absolutnie wierni Jego Wysokości. Ludzie gotowi oddać za niego życie. – Przysiadł na skraju biurka. W palcach trzymał skrawek papieru. – Ciepła посадка. Łatwa służba. Śliczne mundury. Najwyższe uposażenie. Żadnych ćwiczeń w polu. Przedmiot zazdrości całej armii. Czy tak, kapralu Nikkles?

–Tak jest, panie kapitanie.

–A jako skrajne przeciwieństwo można podać przykład oddziału lekkiej kawalerii Briedenbacher. Służba na granicy w Loncaric i w Galmichach. Regiment dla niegrzecznych chłopców. Czy tak?

–Tak jest, panie kapitanie.

–A dalej mamy Cargo, gdzie niedobrzy chłopcy posyłają swoich niedobrych chłopców. Jeden oddział lekkiej konnicy w środku krainy bandytów.

–Panie kapitanie?

–Nikkles, na tym kawałku papieru jest napisane, że zostaniesz drugim stajennym w Cargo.

–Panie kapitanie?

–Dlaczego? Co zrobiłeś? Nic. Na razie. Jeśli zrobisz, Cargo czeka was wszystkich.

–Ale panie kapitanie...

–Sześć dni temu kapralowi Kalsy Nikklesowi wypłacono sumę czterdziestu koron w srebrze. Po dwadzieścia pięć koron wypłacono Willemowi Fletcherowi i jego bratu Clete'owi. Następnego dnia po dwadzieścia koron Armanowi Sartelli, Marksowi Bowyerowi... Mam mówić dalej?

–Kapitanie, ja... – powiedział Nikkles i przerwał w pół zdania.

–Niewiele masz do powiedzenia, co? Oto jaki macie wybór: Cargo lub pałac. Jeżeli chcecie tutaj zostać, macie zapewnić zwycięstwo Strażników nad Panterami.

–Panie kapitanie, to niemożliwe. Wzięliśmy pieniądze tylko dlatego, że wszyscy mówili, że oni i tak nam dołożą.

–Jeżeli nam dołożą, znikacie z pałacu.

–To nie jest w porządku – poskarżył się ktoś.

–Nie interesuje mnie, czy to jest w porządku. Mnie interesuje wygrana. Macie trzecie wyjście: dezercja. Wtedy znajdziecie się na mojej czarnej liście. W końcu was dorwę. – Trebilcock zlustrował wzrokiem dziesięć poszarzałych twarzy. – Nikkles, czy wyrażam się jasno?

–Tak jest, panie kapitanie.

–Thelma, znajdź mi sierżanta Galesa.

–Słucham, pani?

–Głucha jesteś, kobieto? Ruszaj! – Inger energicznym krokiem podeszła do okna i zapatrzyła się na smagającą miasto burzę. Grzmoty stały się słabsze, ale deszcz nie ustał. Zadrżała.

–Pani?

Odwróciła się. Ile czasu trwała tak, kontemplując gwałtowną burzę?

–Josiah, co się dzieje?

–Jak to? Nic.

–Coś wisi w powietrzu. Gdzie jest król?

–Słyszałem, że poszedł na cmentarz. Błysnęła błyskawica. Zagrzmiął grom.

–Uderzył gdzieś blisko. Poszedł w taki dzień?

–Czasami dziwnie się zachowuje.

–Nie podoba mi się to. Ilekroć ma zamiar zrobić coś poważniejszego, idzie

porozmawiać ze swoją zmarłą królową.

–Może mówi mu to, co on chce usłyszeć?

–Nie żartuj. Jestem przerażona. Może teraz się do nas dobrać. Wyślij kogoś, żeby miał go na oku.

–W taką pogodę?

–W taką pogodę, Josiah.

–Jak sobie życzysz, pani. – Gales starał się nie angażować. Nie chciał już więcej cierpieć.

–Poinformuj mnie, czego się dowiedziałeś.

–Oczywiście. – Odszedł, nie czekając, aż Inger stanie się jeszcze bardziej nierozsądna.

Ragnarson miał na sobie ciężką, przeciwdeszczową pelerynę. Pochylał się nisko nad szyją konia. Ale i tak był przemoknięty do suchej nitki. Drżał na zimnym wietrze.

–Muszę być skończonym głupcem, żeby się dokądś wybierać w taką pogodę. – Jego słowa zginęły w szumie wiatru.

Rozległ się huk pioruna. Kawałki starego dębu latały w powietrzu. Strzaskany, dymiący konar grzmotnął w błoto dwanaście stóp za nim.

–Mógł trafić we mnie. Jak bardzo chcę wygrać?

Wpatrzył się w ulewę. Czy to właśnie to? Tak. Graniczny bazar.

–Naprzód – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Jego klacz utrzymywała swoje smętne tempo. Grunt w lesie był zdradliwy.

Kwadrans później zsunął się z konia, przywiązał go, wyjął saperkę zza siodła.

Szukał konkretnego kamienia.

–Co za dzień. Ale muszę to zrobić dzisiaj.-Ulewa zmyje ślady.

Znalazł płaski kamień, miał dwadzieścia cali średnicy, sześć wysokości. Próbując go przesunąć, poślizgnął się na mokrych liściach. Przewrócił się na pochyłym zboczu, wpadł w pędzącą wodę. Prąd chciał go znieść. Charcząc, zwrócił swoją złość przeciwko kamieniowi.

Gdy go przesunął, zaczął kopać. Wrzucał ziemię do wody. Unosił ją nurt. Dziura była już wystarczająco duża. Wzmocnił ją kilkoma małymi kamieniami, przesunął płaski kamień z powrotem na miejsce i ocenił swoje dzieło.

–Powinno wystarczyć.

To była pierwsza dziura. Pozostały jeszcze cztery. A już teraz miał poranione ręce. Będzie miał pęcherz na pęcherzu.

Zanim skończył, on i jego klacz byli unurzani w błocie. Było mu zimno, czuł się fatalnie i bolał go każdy mięsień. Poklepał klacz po szyi.

–Wracajmy do domu, panienko.

Zwierzę kierując się na południe, narzuciło żywsze tempo.

–Nigdy nie widziałem cię tak przygnębionego, Derel – powiedział Ragnarson. – Spakowałaś wszystkie swoje rzeczy? – Słucham, panie?

–Jesteś gotów do ucieczki, jeśli dzisiaj przegramy? – Bardziej obawiam się tego, co zrobią, jeśli wygrasz, panie. – Będą krzyczeć, wrzeszczeć i kląć tak, jak nigdy jeszcze nie słyszałeś. – To też. – Rozchmurz się. Wyjdziemy z tego czyści jak ła.

–Lepiej zacznij dzielić pieniądze – powiedział Dantice do Grubasa. – Nie wiemy, kto wygra.

–Założmy, że pójdzie po naszej myśli. Przygotuj działkę króla. Będziemy musieli szybko ją przenieść.

–To piekielnie wielka pokusa.

–Pewnie. Tyle że jest zbyt wielka. Nigdy nie udałoby ci się zniknąć z taką sumą.

–A jeśli król przegra?

–Każemy Tolliverowi zacząć wypłacać wygrane. I będziemy zwiewać co sił w nogach, zanim ktokolwiek się dowie, że postawiliśmy pieniądze, których nie mieliśmy.

Michael dla rozluźnienia wykonał kilka podskoków. Do swojego odbicia w lustrze powiedział:

–Będziesz dzisiaj bogaty lub splukany, chłopcze. Ależ z ciebie dureń.

Dahl Haas zsiadł z konia przed domem króla w alejach Lieneke. Trzy powozy zatrzymały się za nim. Popędził do drzwi. – Gotowa do drogi, pani? – Tak. O co w tym wszystkim chodzi?

–To tylko środek zapobiegawczy. Hej, podejdźcie tutaj. Załadujcie te skrzynie. – Środek zapobiegawczy przeciwko czemu, Dahl?

–Przeciwko przegranej w meczu captures. Jeżeli Strażnicy nie dadzą rady, to po nas. – Nie rozumiem. To brzmi zbyt melodramatycznie. – Wyjaśnię po drodze.

Sherilee zagoniła dzieci na ganek. Dahl nie był w stanie ukryć swej dezaprobaty. – Drodze dokąd? – Najpierw do Sedlmayr. Za granicę, jeśli wynik będzie niepomyślny.

Inger wezwała służącą.

–Thelma, co się dzieje? Czy wszyscy poszaleli?

–To ten mecz captures, pani.

–Captures? Ludzie zachowują się, jakby to był koniec świata.

–Dla niektórych to może być koniec świata, pani. Mówi się, że król postawił wszystko na jedną kartę.

–To znaczy, że cała ta tajemniczość jest spowodowana tą przeklętą grą?

–Tak, pani.

Inger, śmiejąc się, opadła na fotel.

–Mecz captures! To wszystko z powodu przeklętego meczu captures. – Ulga doprowadziła ją niemal na skraj hysterii.

Thelma uznała, że jej pani jest tak samo szalona jak jej mąż.

–Sług! – zawołał Bragi. – Sług. Chodź tutaj. Michael, ty też.

Cała drużyna kłębiła się wokół zewnętrznej bramy zamkowej. Trebilcock spojrzał surowo na

swoich kolegów z drużyny. Zareagowali w sposób, który go usatysfakcjonował.

–Tak, panie? – zapytał Slugbait.

–Plan gry.

Omówili go szczegółowo. Na boisku Ragnarson próbował wygłosić zagrzewającą do boju mowę, wspominając o tym, że to najważniejszy mecz wszech czasów, i stwierdzając, że stawka jest dużo większa niż tylko mistrzostwo.

–Czy mamy przełożyć grę na następny dzień?! – wrzasnął jeden z sędziów.

–Dmijcie w te swoje przeklęte rogi – warknął Ragnarson. Ze strachu flaki zawiązały mu się w supeł. Zaczyna się. Poważna sprawa. Wygrana albo śmierć.

Bragi wyciągnął się na wilgotnych liściach. Zmierzchało już, tak że ledwie widział twarz Michaela.

–Nawet włosy mnie bolą – sapnął.

–Och – jęknął Michael. – Jestem na to o dobry tysiąc lat za stary. – Obrócił się na brzuch, wyciągnął rękę i chwycił dłoń króla. – Dokonaliśmy tego. Naprawdę tego dokonaliśmy. Nie wierzę w to. Naprawdę w to nie wierzę.

–Daj spokój. Chodźmy. Chcę zobaczyć taką górę pieniędzy w jednym miejscu. Ach!

–Co?

–Skurcz. – Roześmiał się. – Wiesz co? Nic nie boli, gdy się wygrywa.

–To prawda. Chodźmy, zanim zmieni się wiatr. – Zachichotał Michael. – A tak na marginesie, ciekawe, co się stało z tymi facetami?

–Kogo to obchodzi? Mieliśmy szczęście. Och! Pomóż mi. Nie będę mógł chodzić przez tydzień.

Wieści dotarły do Vorgrebergu przed drużynami. Posłańcy po każdym zdobytym punkcie przybywali galopem. Po drugim trafieniu Strażników jeździec udał się do Gjerdruma i generała Liakopulosa. Rozmieścili Królewskich i Vorgrebczyków w całym mieście, po to by zapobiec zarówno zamieszkom, jak i ucieczce przegranych hazardzistów. Trzecie trafienie Strażników wywołało wśród publiczności ogromny ryk wściekłości i udręki. Wszyscy, którzy obstawiali różnicę punktów, przegrali.

Pomimo manipulacji na korzyść Strażników mecz pozostawał nie rozstrzygnięty aż do ostatniej chwili. Ktoś z przekupionych dotrzymywał słowa. Strażnicy zdobyli swoje ostatnie trafienie zaledwie na kilka sekund przed Panterami.

–Pomóż mi zbliżyć się do tego konia – warknął Ragnarson. – Jestem zbyt zeszywniały, żeby ruszyć nogą.

–A kto mnie pomoże? – zapytał Michael.

Większość ich kolegów z drużyny siedziała już w siodłach, wydając okrzyki radości,

chełpiąc się i galopując w kółko. Naśmiewali się z przyjaciół, którzy wolniej opuszczali plac gry. Aż palili się, żeby wykrzyczeć radość zwycięstwa na ulicach miasta.

–Do diaska! – zagrzmiął Slugbait. – Ludzie w mieście oszaleją.

–Chyba że nas zlinczują – zrzędził Snakeman.

Ragnarson raz po raz wybuchał nie kontrolowanym śmiechem. Stanowił on wyraz gwałtownej ulgi. Nigdy nie wygrał, mając tak małe szanse.

Wozy stały w rzędzie na wewnętrznym dziedzińcu przy wejściu do skarbcza.

–Opróżnijcie te worki prosto na podłogę – polecił Ragnarson mężczyznom przeprowadzającym rozładunek. Był ranek po wstrząsającym zwycięstwie.

Vorgreberg nadal znajdował się w stanie szoku.

–Panie? – zagadnął Derel.

–Zrób to po prostu. Wtedy zobaczysz.

–Mhm... – Prataxis liczył dalej. Przybył Michael Trebilcock.

–Zamieszki i walki trwały całą noc – poinformował. – Kilka przypadków podpalenia. Gjerdrum musiał pod eskortą wyprowadzić chłopaków Charygin Hall. Mówiło się o linczu. Liakopulos o północy zamknął wszystkie knajpy. Teraz zaczyna się uspokajać. Och! Nigdy nie widziałem tak wstrząśniętych Nordmenów. Nie mogą uwierzyć, że dali się tak zrobić na szaro. Dzisiejszego ranka wyglądają jak zombi.

Uśmiech Ragnarsona przygasł.

–Teraz czeka nas trudniejsza część, co?

–Baron Khelra o to zadba.

–Zadba? Co się stało?

–Zapomniałem ci powiedzieć. – Prataxis splunął. – Coś jest nie tak z moją głową.

–Khelra jest największym przegranym – powiedział Michael. – Zrobiłeś go na dwieście tysięcy. Aral na kolejne sto pięćdziesiąt. Sto pięćdziesiąt na zasadzie „zapłacę ci, jak mnie złapiesz”. Nie zjawi się. Dzisiaj rano ktoś dostał się do domu barona i połamał mu wszystkie kości.

–Aral tak załatwił Lorda Królestwa?

–Może Aral. Może ktoś inny, kto spostrzegł okazję, by mu bezkarnie dołożyć.

–Twój przyjaciel z lasu – zasugerował Prataxis.

–Kto?

–Pułkownik Abaca. Widzisz, co się dzieje? Normy moralne zaczynają się obniżyć.

–Czy to nie Khelra zaczął tę aferę na fecie z okazji Dnia Zwycięstwa?

–Właśnie on. Ma dużo naszych papierów. To jeden z najbogatszych ludzi w Kavelinie. Panie, jeżeli chcesz utrzymać rozejm z ziemianami, lepiej szybko wyjaśnij sprawę tego napadu.

Doprowadź napastników przed oblicze sprawiedliwości. Niezależnie od tego, kim są.

–Zajmę się tym jak jasna cholera. Dostaną wycisk.

–Panie, prawo jest dla wszystkich. Baron też jest przez nie chroniony. Ani Abaca, ani Dantice nie pozostają poza nim. A ty nie jesteś ponad nim. Twoim posłannictwem jest je egzekwować.

Ragnarson uśmiechnął się paskudnie.

–Michael, przyprowadź ludzi Khelry. I Arala. Chcę im wypłacić to, co jesteśmy winni, a potem popatrzeć, jak Aral to zabiera.

–To nierozsądne – powiedział zdesperowany Prataxis. – Nie syp soli na otwartą ranę.

–A dlaczego nie, do diabła? Oni mi to robią przez cały czas. Daj Michaelowi spis tego, co i komu jesteśmy winni. Mamy tutaj dość, żeby zapłacić każdemu. Nigdy nie marzyłem, że tyle zgarniemy.

–Dlatego, że nie doceniasz siły nienawiści, jaką żywią do ciebie ziemianie, panie.

–Z wzajemnością. Ha! Teraz nie będzie ich stać na to, żeby kopać pode mną dołki.

–Niektórzy postawili nawet swoje posiadłości – powiedział Michael. – Aral jest zawalony nieruchomościami.

–Mam nadzieję, że zrobi z nich dzierżawców.

–Jesteśmy dzisiaj mściwi, prawda? – powiedział Prataxis, sugerując tym stwierdzeniem o wiele więcej, niż wychwyił jego pracodawca.

–Bezlitośni. – W tym momencie wartownik przekazał szeptem wiadomość Bragiemu. – Wpuść go. Jest tutaj Mundwiller, panowie.

–Zaczyna się – powiedział Derel. – Nigdy nie zyskasz na tym, co zrobiłeś. To nie było ryzyko, które można by zaakceptować.

–Przecież wygraliśmy, nie?

–Tylko to cię uratowało. W końcu przekonasz się, że utrata zaufania jest ważniejsza od chwilowego zysku finansowego...

–Dosyć. Dosyć, do jasnej cholery, Derel!

–Derel ma rację – powiedział Mundwiller. – To właśnie przyszedłem ci, panie, powiedzieć. Twoi przyjaciele w Zgromadzeniu za moment zwieją jak stadko spłoszonych kuropatw. Pytają, czy straciłeś poczucie rzeczywistości.

–Przejdzie im. Sukces rodzi sukces.

–Ostatni worek, panie – powiedział jeden z tragarzy do Prataxisa.

–Dawaj go – rzucił Bragi. – Mhm. Stos jest mniejszy, niż się spodziewałem. Cholera. Patrzcie. To coś, co zawsze chciałem zrobić. – I skoczył głową naprzód, nurkując w górze monet.

Inger spotkała się z sierżantem Galesem dosyć daleko od swoich apartamentów. Cień

utrudniał rozpoznanie postaci.

–W jakim są nastroju, Josiah?

–Są wściekli, pani. Uważają, że zostali obrabowani.

–A zostali?

–Tak naprawdę to nie. Weszli w to dobrowolnie.

–Tylko nie mogą znieść, że to nie oni dokonali rabunku.

–Można tak powiedzieć.

–Nie ma znaczenia, czy ta złość jest uzasadniona. Jest użyteczna. Myślę, że nadszedł czas, żebyś wezwał naszych przyjaciół z ojczyzny.

Gales skinął głową.

–Też tak myślę. Jest mało prawdopodobne, żeby król miał kiedykolwiek słabszą pozycję.

Ragnarson nadal siedział na stosie pieniędzy, gdy wierzycielom wypłacano to, co im się od Korony należało. Kpił sobie z tego. Raz głośno się roześmiał, gdy Aral Dantice i jego zbiry natychmiast po wypłacie przejęli pieniądze.

Tam znalazł go Dahl Haas. Adiutant był zmęczony. Nie spał całą noc.

–Bezpiecznie wyjechali, panie. Jechałem z nimi aż do Tewsbury. Czy mam teraz posłać kogoś, żeby sprowadził ich z powrotem?

Ragnarson spoglądał na Nordmena o ponurym wyrazie twarzy, który przyjmował spłatę pożyczki. Nie był tak ślepy, jak udawał.

–Poczekajmy kilka tygodni. Zobaczmy, co wypełnie, gdy przetoczą się kamienie.

–Gjerdrumpowiedział mi, gdzie cię znaleźć, panie. Prosił, żeby przekazać ci, że

jest tutaj ten Habibullah, który był ambasadorem El Murida. Chce rozmawiać wyłącznie z tobą, panie.

Złośliwy humor natychmiast całkowicie opuścił Ragnarsona.

–Będę tam za pół godziny. – Wstał ze zmniejszającego się stosu monet. – Znajdź kogoś, kto to skończy, Derel. Złóż w moim imieniu stosowne przeprosiny. Powiedz im, że nie miałem ochoty na jedzenie czy coś w tym stylu. Potem idź po Michaela i czekajcie w pokoju narad na polecenia.

Co też chodzi po głowie Yasmid? – zastanawiał się. Czy będę miał chwilę wytchnienia? Czy będę miał czas, żeby zrobić porządki we własnym domu, zanim zaczniemy sprzątać u niej?

Całe to królowanie wcale nie było takie przyjemne, jak głosiła fama.

Rok 1016 OUI Przykręcanie śruby Habibullah oczekiwał Ragnarsona w komnacie, w której ostatnio odbywało się wiele narad. Bragi wszedł do niej i szybko zauważył:

–Możesz sobie myśleć, że ubierasz się zgodnie z miejscowym zwyczajem, ale nikogo nie nabierzesz.

Habibullah wzruszył ramionami.

–Tempo było bardziej istotne od zachowania tajemnicy. Otrzymałem materiały od Trebilcocka. Wyrażając wdzięczność, przemawiam zarówno w imieniu własnym, jak i lady

Yasmid.

–Cieszę się, że mogłem pomóc.

–Sprytny manewr, mówię o tym meczu captures. Chociaż myślę, że bardziej zostanie

doceniony poza granicami Kavelinu.

Bragi zaczynał widzieć tę sprawę w innym świetle. Wygrywając tamtą grę, coś stracił, i nie rozumiał co ani dlaczego. Gdyby taki sam numer wykręcił jakiś nordmeński baron, nikt by się nad tym nie zastanawiał. Gdyby wygrały Pantery, na ulicach nie byłoby słychać lamentów.

Czy uważano go za zbyt dobrego na uciekanie się do tego typu zagrania? Czy było tak dlatego, że wsadził ręce do zbyt wielu skarbców? Czy też po prostu był przewrażliwiony?

Wzruszył ramionami.

–Myślę, że gratulacje należą się tobie, Habibullahu. Te baty, które sprawiliście Throyeńczykom, to było coś pięknego. Zrywałem boki ze śmiechu.

–Wspaniałe zwycięstwo, ale ma znaczenie bardziej symboliczne niż praktyczne. Osłabiło naszych wrogów. Drugi raz nas nie zlekceważą.

–Prawdopodobnie masz rację – zauważył trzeźwo Bragi.

–Megelin naciska nas od strony pustyni. Wykorzystuje w wielkim stopniu magię. Nie damy rady savan dalage. A Wierni w Throyes mówią, że lord Hsung przygotowuje większą kampanię na obszarze przybrzeżnym. Wykorzysta legiony z Throyes i Gog-Ahlan, żeby wesprzeć te swoje throyeńskie marionetki. To oznacza trzydzieści do trzydziestu pięciu tysięcy najeźdźców, wśród nich dwanaście tysięcy żołnierzy Imperium Grozy. Zbyt wielu, żebyśmy mogli sobie z nimi poradzić. Bragi siedział w milczeniu dłuższą chwilę.

–Czy masz coś przeciwko temu, żebym wezwał tutaj Prataxisa i Trebilcocka?

–Naprawdę musisz?

–Tak sądzę. Oni znają więcej aspektów tego zagadnienia. – Wstał, wyszedł na korytarz i rozejrzał się. Zobaczył tylko strażnika. – Przyrowadź Prataxisa i kapitana Trebilcocka. Czekają

w pokoju wojennym.

–Tak jest, panie. Ale kto będzie stał na straży?

–Dam sobie radę. Idź.

–Tak jest, panie.

Zamiast wrócić do Habibullaha, Bragi myszkował po korytarzu. Ciekawość zaprowadziła go do drzwi pokoju, z którego kiedyś wychodził Gales. Wszedł do środka, rozejrzał się. Pomieszczenie wyglądało zwyczajnie jak zawsze.

Co, do diabła, robił tamtego dnia Gales? Bragi znowu zaczął się rozglądać. Mijały minuty. Tutaj. Co to jest? Wyczuł palcami rysę w boazerii tuż poniżej biodra na ścianie naprzeciwko sali narad. Dekoracyjna głowa niedźwiedzia była obluzowana. Przesuwano ją na tyle często, że w panelu powstało wyżłobienie. Przekręcił ją.

Coś trzasnęło. Sąsiedni panel uchylił się na cal. Szturchnął go palcem nogi. Przesunął się na bok. Przykucnął, precyzyjnie się przez powstały otwór i znalazł się w jednym z niezliczonych ukrytych przejść, których sieć oplatała cały pałac.

–A mnie się wydawało, że znam je wszystkie – mruknął.

Chwilę później przez dziurkę patrzył na Habibullaha, który cierpliwie czekał z założonymi rękami i półprzymkniętymi oczami. Wyglądał na starszego i bardziej zmęczonego, gdy nie wiedział, że jest obserwowany. Do pokoju weszli Trebilcock i Prataxis.

–Gdzie jest król? – zapytał Michael.

Bragi nie czekał, żeby wysłuchać odpowiedzi Habibullaha. Wrócił tą samą drogą, którą tu dotarł, mrużąc:

–Gales, teraz należysz do Michaela. – Nie mógł tego odkładać już ani chwili dłużej. Niezależnie od tego, co wykryje sam Michael.

Właściwie chciało mu się płakać. Tak bardzo starał się przekonać sam siebie, że się myli, ale jego intuicja znowu miała rację. Rzucił okiem w stronę apartamentów swojej żony.

–Myślę, że krew przemówi.

Gdy wrócił do pokoju narad, jego twarz miała spokojny, łagodny i przyjazny wyraz.

–No dobra. Wyprzedzili mnie. Michaelu, Habibullah powiedział mi o paru sprawach. Chciałbym, żebyście ty i Derel go wysłuchali, a potem dopowiedzieli wszystko, co wiecie.

Habibullah zaczął od początku. Gdy wspomniał o zamiarach Hsunga, Michael dodał:

–Moje źródła mówią, że nie docenia Mgły, ponieważ jest kobietą. Obszar, na którym operuje Armia Zachodnia, traktuje, jak gdyby był jego osobistym imperium. Zdaje się sądzić, że Mgła nie może go tknąć, dopóki nie zostanie rozwiązany kryzys matayangański.

–Najjaśniejszy Panie, on jest jednym z naszych najgorszych wrogów wśród tervola – powiedział Prataxis. – Niektórzy z nich obsesyjnie chcą cię zniszczyć.

–Mgła też stale mi to powtarza.

–Uszanował życzenia lorda Kuo, ale podejrzewam, że nigdy nie miał zamiaru respektować ustaleń, które poczyniliśmy podczas negocjacji. Mógł iść mi na rękę, żeby zadowolić swoich przełożonych. Sposób, w jaki ostatnio potraktował ludzi z naszych karawan, więcej mówi o jego zamysłach niż wszystkie dotychczasowe

deklaracje.

–Mgła obiecała, że przywoła go do porządku – powiedział Bragi.

–A jeśli nie? – zapytał Habibullah.

–Nie możemy zrobić absolutnie nic – odparł Derel. – Nasi ludzie są na jego łasce.

Twoi także. – Zwrócił się do Bragiego: – Michael mówi, że inwazja na pas przybrzeżny to kwestia zaledwie paru tygodni. Najwyraźniej decyzja już zapadła. Michael potwierdził to skinieniem głowy.

–Takie wieści dotarły do mnie z Throyes.

–To zgadza się z tym, co słyszeliśmy – powiedział Habibullah. – A my raczej nie będziemy w stanie się bronić.

–Jakimi siłami dysponujecie? – zapytał Bragi.

–Mamy może z dziesięć tysięcy starych, zmęczonych, wycieńczonych ludzi dowodzonych przez Niezwycięzonych, którzy najlepszy okres mają już za sobą. Możemy się zetrzeć z nimi tylko w najdogodniejszych dla nas warunkach. Spodziewamy się dużego wsparcia ze strony tamtejszych bojowników i pomocy od Wyznawców, którzy mieszkają na terytorium throyeńskim, ale to za mało. Postanowiliśmy, że naszą taktyką będzie wojna partyzancka. Nasze główne siły muszą pozostać nienaruszone na wypadek, gdyby Megelin uderzył na Sebil el Selib. Lady Yasmid nakazała zwiększenie aktywności bojowników na zachód od gór, żeby utrudnić Megelinowi dotarcie do przełęczy. Ale on ma Beloula, el Senoussiego i Rahmana. Niewiele możemy zrobić, żeby ich powstrzymać.

Bragi znał tych trzech rojalistycznych generałów. Byli bystrzy i twardzi, mało prawdopodobne, żeby powstrzymali ich partyzanci. Tym bardziej że wspiera ich Magden Norath.

Varthlokkurze, dlaczego ty musisz być takim upartym głupcem? Jesteś mi teraz potrzebny, pomyślał Bragi.

–Derel, w przyszłym miesiącu mają się rozpocząć manewry. Czy możemy je przyspieszyć? Wykorzystać je dla zmylenia Hsunga? – Zaplanowana operacja polegała na przerzuceniu regularnych oddziałów do Baxendali, na przełęczy Savernake, żeby sprawdzić, jak szybko są w stanie zareagować na nagłe zagrożenie z południa, – Trudno będzie je przyspieszyć. Credence nie jest jeszcze na tyle zdrowszy, żeby wziąć w nich udział. Gjerdrum będzie musiał nadzorować całość. A zresztą nie sądzę, żeby zrobiło to na lordzie Hsungu szczególne wrażenie.

–Po sformowaniu regimentów możemy przerzucić je do Maisaku, gdy tylko zaistnieje niebezpieczeństwo, że Hsung zaatakuje Hammad al Nakir. Zadbaj, żeby wyglądało to tak, jakbyśmy mieli skoczyć mu na plecy, jeśli tam wejdzie. Gdybym był na jego miejscu, nie nazwałbym tego blefem.

–Dlaczego nie? – zapytał Michael.

–Jeżeli wywoła nasz niepokój, zbyt przeciwstawi się Mgle. Ona nie chce rozpocząć żadnych nowych wojen, gdy sytuacja matayangańska jest tak niepewna. Nie dochrapałby się dowództwa armii, gdyby postępował tak głupio.

–Jedyny sposób skutecznego zablefowania – zauważył kwaśno Prataxis – to nie

blefować. Nie możemy tak postąpić. Nasza sytuacja wewnętrzna jest niestabilna. I lord Hsung o tym wie.

–Michael?

–Derel ma rację. Mecz captures spolaryzował całe społeczeństwo. W obecnej chwili nie jesteśmy zbyt silni. Doszłoby do buntów, gdyby mieszkańcy odnieśli wrażenie, że większa część armii przechodzi przez przełęcz.

Ragnarson westchnął.

–Michaelu, musisz bardziej się starać.

–Jest ich więcej niż moich ludzi. Bez Niezrodzonego, który by za nimi węszył...

–Rób co w twojej mocy. Habibullahu, przepraszam, że musiałeś wysłuchiwać naszych żalów. Masz własne problemy.

–Wszyscy mamy problemy, panie. Pan i lady Yasmid walczyacie o przetrwanie pewnych ideałów. Ta walka pochłania większość waszych zasobów, ale nie możecie sobie pozwolić na sprzeniewierzenie się swoim przekonaniom. Dlatego właśnie lady Yasmid proponuje połączenie naszych środków.

Bragi chrząknął. Yasmid podchodziła do tego z nie większym entuzjazmem niż on. Jego udział w tych wydarzeniach wynikał z konieczności.

Ktoś zapukał do drzwi. Wartownik zajrzał do pokoju.

–Najjaśniejszy Panie, kapitan Haas chciałby zamienić z panem słowo.

–Przepraszam. – Bragi wyszedł na korytarz. – O co chodzi, Dahl?

–Problem w Zgromadzeniu, panie. Mundwiller mówi, że ziemianie starają się złożyć wniosek o wotum nieufności. Twierdzi, że byłoby dobrze, gdybyś się tam pokazał i wystąpił w swojej obronie.

–A co ty o tym myślisz, Dahl?

–Uważam, że ma rację, panie. Są w paskudnym nastroju. Bragi westchnął teatralnie.

–Dobrze. Zajrzę tylko tutaj na chwilę. – Wszedł do środka. – Muszę iść do Zgromadzenia. Derel i Michael – kontynuujcie rozmowy z Habibullahem. Habibullahu, mam do nich całkowite zaufanie. Załatw swoje sprawy. Michael, mam dla ciebie robotę: Gales. Podśłuchuje. – Bragi postukał w ścianę. – Tajne przejście.

Trebilcock wyglądał na nieszczęśliwego.

–Zajmę się tym. – Wymienił spojrzenia z Prataxisem. Bragi wyszedł na korytarz.

–Chodź, Dahl, damy im wycisk.

Trebilcock przez dłuższą chwilę przyglądał się Habibullahowi.

–Powiedz mi, co możemy dla ciebie zrobić. Mówię serio. Bo ja widzę niewiele możliwości poza mało znaczącymi gestami.

–Możecie dostarczyć nam broń. Macie znaczne zapasy, które zdobyliście podczas Wielkich Wojen Wschodnich. Moglibyście dzielić się informacjami zebranymi przez wywiad. Macie też inne środki, którymi my nie dysponujemy. Zwłaszcza czarodzieja.

Michael nie dał po sobie poznać, że jest zaskoczony. Habibullah nie słyszał o wielkim zerwaniu? Interesujące. Ale? drugiej strony, ulica mówi ostatnio tylko o meczu.

–Tak, mogę przekazywać informacje. Jeśli chodzi o broń, ma ją armia.

–Król pozwolił nam ją przekazać – powiedział Derel. – Czy możesz ją dostarczyć, Michael?

Trebilcock skinął głową. Przemysłowcy Arala mogą się tym zająć. Oczywiście nie za darmo.

–Zatem nie ma problemu – kontynuował Prataxis. – Powiedzmy, że damy wam broń dla pięciu tysięcy ludzi. Co ty możesz zrobić dla nas, Habibullahu?

–Lady Yasmid zaproponowała wypożyczenie Harishów.

Trebilcock napotkał wzrok Derela. Obydwaj mieli tak obojętny wyraz twarzy, że zdawali sobie sprawę, iż jest wystudiowany.

–Harishów? – zapytał Michael.

–Ten kult osłabł. Zostało ich mniej niż setka. Ci, którzy przetrwali, przysparzają od czasu do czasu kłopotów. Lady chciałyby ich z pożytkiem wykorzystać. Najlepiej z dala od kraju. Mogą być dla was bardzo użyteczni.

Trebilcock przywołał z pamięci długą listę, którą sporządzili jego ludzie. Z każdym dniem stawała się dłuższa. Widział w tym rękę wroga przebywającego w pałacu, wroga, którego istnienia król nie chciał uznać.

–Dobrze. Ale będziemy musieli podzielić się tym z Credence'em Abacą. Jego ludzie muszą stworzyć podstawy do operacji tej wielkości.

–Mówisz o masowym morderstwie – sprzeciwił się Derel.

–Zabicie kilkuset w zamachach jest chyba lepsze niż śmierć tysięcy w wojnie domowej? A właśnie ku niej zmierzamy, Derel. Chyba że... – Michael zwrócił się do Habibullaha. – Nie chcesz, żeby Harishe wrócili do kraju?

–Nie miałem tego na myśli – skrzywił się Habibullah. – Chcemy tylko mieć ich z głowy w czasie reorganizacji.

–Dokąd mamy wam dostarczyć broń?

–Michael – powiedział Derel. – To mi się naprawdę nie podoba.

–Derel, sytuacja jest kryzysowa. Koniec z delikatnością. Habibullahu, zaraz się spotkam

z Abacą. Poinformuję cię, dokąd masz wysłać swoich ludzi. Gdzie się zatrzymałeś?

Habibullah wymienił nazwę miejsca.

–To dobrze. Jest tam mnóstwo obcokrajowców. Nie przychodź już tutaj. Jeśli będziesz chciał się ze mną skontaktować, udaj się do człowieka o imieniu Harry w Trzech Świecach w alei Tintnera. – Michael wstał. – Lepiej poszukam Galesa, Derel.

–Zaczekaj na mnie. – Prataxis pożegnał się uprzejmie z Habibullahem i popędził za Trebilcockiem. – Michael...

–Poczekaj, aż wyjdziemy na zewnątrz. Ściany mają uszy.

Zatrzymali się przy fontannie, którą budował kamieniarz Callison. Ktoś ją uruchomił, chociaż jeszcze nie była wykończona. W szemrzącej wodzie ginęły ich szept.

–Wydaje się, że król jest gotów stawić czoło prawdzie – powiedział Prataxis.

–Tak. Ale czy podejmie jakieś kroki?

–Włożył w to zbyt wiele dumy i serca. Nie podoba mi się ta propozycja, ale myślę,

że czas już na zdecydowane działania zapobiegawcze.

Michael zachichotał.

–„Zdecydowane działania zapobiegawcze”? To właśnie doprowadza mnie do szału u rebsameńczyków. Wy, uczeni, niczego nie potraficie powiedzieć wprost.

Derel wpatrywał się w tańczącą wodę. Był blady. Po raz pierwszy uczestniczył w spisku na czyjeś życie.

–Wszystko jest już przygotowane – powiedział Michael. – Ale nie wydam rozkazu bez twojego przyzwolenia.

Prataxis ssał kciuk. Wzburzenie zniekształciło rysy jego twarzy. Przybył do Kavelinu, żeby zostać sekretarzem Ragnarsona. Miał zamiar spisać historię, która rozślawiłaby jego imię w sferach akademickich. W jakiś sposób przestał być obiektywny i stał się jednym z głównych doradców króla. A teraz miał postanowić, czy ktoś powinien umrzeć, czy nie...

Odkąd Michael przyszedł do niego po ostatniej naradzie z Varthlokkurem, nieustannie rozważał to w swoim sumieniu. To był jego pomysł, nie Michaela. Było mu wstyd za siebie. Powiedział Michaelowi, żeby zobaczył, co się da zrobić. A Michael znalazł sposób. Niech go szlag.

–Przykro mi, Derel. Wiem, jak się czujesz. Mnie też się to nie podoba. Ale ta decyzja musi zostać podjęta, a nie należy ona do tych, które mogę wziąć na siebie.

–Wiem, wiem.

Trebilcock zauważył przechodzącego sierżanta Wortela.

–Wortel, chodź tutaj. Sierżant podbiegł.

–Tak, panie kapitanie?

–Widziałeś sierżanta Galesa? Muszę z nim pogadać.

–To zabawne, że pan pyta, panie kapitanie.

–Zabawne? Dlaczego?

–Opuścił swoje dwie ostatnie warty. Nikt nie może go znaleźć.

–Cholera! Kiedy widziano go po raz ostatni?

–Wczoraj wieczorem. Wyjechał na około godzinę przed tym, jak miał objąć wartę. Nie wrócił.

–Dobra. Prawdopodobnie to bezcelowe, ale chcę porozmawiać z ludźmi, którzy stali na bramie.

–Tak jest, panie kapitanie. – Wortel oddalił się pospiesznie.

–Derel?

Prataxis westchnął.

–Działaj, Michael. Nie mamy wyboru. – Zaczęli iść. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że Bragi będzie wiedział, co się stało, nieważne, jak dobrze to zamaskujesz?

–Prawdopodobnie tak będzie. I pewnie też domyśli się, kto to zrobił. Miejmy nadzieję, że będzie w wielkodusznym nastroju, gdy o tym usłyszy.

Przesłuchali żołnierzy, którzy pełnili służbę wartowniczą, gdy Gales wyjeżdżał.

–Wygląda na to, że zaplanował długą wycieczkę.

–Rzeczywiście – zgodził się Derel. – Myślisz, że uciekał, kiedy jeszcze nie nabroił?

–Nie sądzę, żebyście mieli aż tyle szczęścia. On wykonywał tutaj pewne zadanie.

Nadal je wykonuje.

–Panie – powiedział Dahl – to było twoje najwspanialsze przemówienie, jakie słyszałem. Przejmujące. Pełne uczucia.

–To prawda – potwierdził Cham Mundwiller. – Ale nie wydaje mi się, żeby przyczyniło się do zmiany stanowiska chociażby jednego człowieka.

–Dlaczego tak się uparli, żeby mnie dopaść? Nie zrobiłem niczego, czego te nordmeńskie bękarty same by nie zrobiły, gdyby tylko miały okazję.

–Myślę, że znowu zbliża się ten czas. To przebiega cyklicznie. Przez chwilę wszyscy w stu procentach popierają Koronę, po czym wszyscy się od niej odwracają. Tak toczy się historia Kavelinu. Bragi westchnął.

–Przynajmniej Marena Dimura i większość Wessończyków są po mojej stronie.

Dahl zaskoczył go, mówiąc:

–Bacznie obserwuj Wessończyków, panie. Tak zyskują na znaczeniu, że niektórzy z nich miewają arystokratyczne aspiracje.

–Czy to prawda, Cham?

Mundwiller zaczerwienił się.

–Mniej więcej. Nie ująłbym tego w ten sposób. Ale niektórzy z moich znajomych zaczynają bardziej utożsamiać się z ziemianami niż z własnym narodem.

–Czy możemy ich zastąpić ludźmi bardziej odpowiedzialnymi?

–Gdyby nie byli zabezpieczeni, nie zaczęliby opływać w dostatki.

–Rozumiem. Ohyda! Co jest? – Zbliżali się Prataxis i Trebilcock. Derel wyglądał fatalnie.

–Człowiek, z którym kazałeś mi się zobaczyć – powiedział Michael – zdezerterował. Wczoraj wieczorem wyjechał wyposażony jak na długą podróż.

–Musiał wyczuć, że los go dopada. Cham, czy moglibyśmy spotkać się później?

–Oczywiście, panie. – Mundwiller przeprosił i oddalił się.

–Dahl, dałbyś radę wybrać się na długą wycieczkę? – zapytał Bragi.

Haas nie wyglądał na tak zaskoczonego, jak zdaniem Bragiego powinien być.

–Tak, panie.

–Ostatnimi czasy dawałem ci całkiem mocno w kość. I tak naprawdę nie wykorzystywałem wszystkich twoich zdolności.

Haas wzruszył ramionami.

–Jestem żołnierzem. Nie na miejscu byłoby prosić o coś innego.

Ragnarson uśmiechnął się. Chłopak naprawdę czuł się urażony.

–Zamierzam powierzyć ci specjalne zadanie. Gdy je wykonasz, znajdziemy dla ciebie lepsze stanowisko niż funkcja adiutanta. Stanowisko dowódcze w armii może być?

–Tak jest, panie.

–Dobrze. Złap Galesa.

–Panie? – W głosie Haasa dało się słyszeć rozczarowanie.

Michael to podchwycił.

–Niech mnie diabli! On myślał, że zamierzasz go wysłać do Sedlmayr. – Walnął Dahla w plecy. – Ty rozpustniku.

Haas się zaczerwienił. Mamrotał coś niezrozumiale.

–Przestań – powiedział Bragi. – Chciałbyś tam pojechać, Dahl? Za Galesem mogę posłać kogoś innego. – Zdumiewające. Dahl zadurzony w Kristen. Kiedy to się zaczęło?

–Nie bardzo wiem, czego sobie życzysz, panie.

–Jedź śladem Galesa. Zobacz, dokąd się kieruje. Zobacz, kogo informuje. Mam przecucie, że zmierza do Itaskii. Gdy tam będziesz, sprawdź resztę tej hałastry. Derel da ci listy polecające do moich tamtejszych przyjaciół. Ludzi na wysokich stanowiskach, którzy mogą być ci pomocni.

–Tak jest, panie. Dobrze. To okazja, której nie mogę przegapić. Mam tam krewnych, których nie widziałem od czternastego roku życia. Czy mam odwiedzić twoje dawne gospodarstwo?

Ragnarson nadal był właścicielem ziemi w Itaskii, gdzie mieszkał przed przybyciem do

Kavelinu.

–Jeśli będziesz miał czas. To nie jest ważne.

–Znajdę czas, panie. Stamtąd pochodzę.

–Dobrze. Jak chcesz.

–Kiedy mam wyjechać?

–Jak najszybciej. Gales nie będzie marnował czasu. Trzymaj się go blisko, bo inaczej możesz coś ważnego przegapić.

–Ruszam. Czy mogę odejść, panie?

–Idź. – Bragi patrzył, jak Haas pospiesznie odchodzi. – Przyzwoity człowiek z tego Dahla. Chciałbym mieć z parę tysięcy takich jak on.

–Rzeczywiście sprawia wrażenie, jakby chciał się wykazać – powiedział Derel.

–Do czego doszliście z Habibullahem?

Inger stała przy oknie i przyglądała się miastu. Słońce zachodziło. Iglice wyższych budynków rzucały długie cienie. Każdy cień zdawał się być sięgającą po nią ręką.

–Słyszałaś coś, Thelma?

–Ani słowa, pani. Ale coś się dzieje. Ludzie nie odpowiadają na moje pytania. Strażnicy dziwnie się zachowują w stosunku do naszych ludzi. To straszne.

Straszne? To przerażające, naprawdę przerażające. Josiah, Josiah, czy uciekłeś, nie zostawiając śladów?

W jakiś sposób to zawalili. W tej chwili balansowała na skraju przepaści, nie spadła w nią jeszcze tylko ze względu na uczucie, jakie żywił do niej Bragi... Wiedział już o wszystkim, prawda? Musiał wiedzieć.

–Dlaczego pozwoliłam, by Dane mnie w to wplątał? Mogliśmy być z Bragiem szczęśliwi, gdyby nie on. Tak naprawdę nie obchodzi mnie rodzinna zemsta.

–Tak, pani.

Myślała na głos. To niebezpieczny zwyczaj. Bragi miał rację, mówiąc, że ściany mają uszy. Ten przekłety Michael Trebilcock... Parę godzin temu Thelma widziała, jak przemykał się korytarzem.

Cienie się wydłużyły. Nadchodzi zmierzch szalonego marzenia, pomyślała.

Nieustanny strach to piekło. Czy ziemianie rzeczywiście będą nas chronić? Złamali już tyle przyrzeczeń. W ogóle nie można im ufać.

Nordmeńscy spiskowcy pomogli jej ze sprawą sukcesji. Większość z nich zostanie usunięta, gdy Dane tu się zjawi. Są jedną nogą w grobie za Abacą, Trebilcockiem i im podobnymi. W przeciwnym razie wystąpiliby przeciwko nim.

Rozumiała frustrację Bragiego. Nordmeni byli kłębowskiem węży.

–Pani, twoja kolacja stygnie – powiedziała Thelma. Krzątała się wokół stołu, starając się nie

dopuścić do wystygnięcia potraw.

Inger odprawiła ją ruchem ręki.

–Nie. Nie mogę. Nie jestem głodna.

–Pani, musisz zjeść. Nie jadłaś solidnego posiłku od wczoraj.

–Zabierz to, Thelma. Może jutro będę głodna.

Thelma wyglądała na oburzoną.

–Jak sobie życzysz, pani. – Zadzwoń. Pojawiły się jej pomocnice. Thelma zaczęła pospiesznie sprzątać ze stołu. Inger uśmiechnęła się. Pewnie chciała to zjeść, zanim wystygnie.

Inger zdmuchnęła świecę i usiadła w gęstniejących ciemnościach, przyglądając się zapalającym się światłom miasta.

Dziewczyna o imieniu Carol wpadła do pokoju.

–Pani – wysapała.

Inger spojrzała na zarys jej postaci w drzwiach. Dziewczyna się trzęsła.

–Co się stało?

–Chodzi o Thelmę. I Marthę, i Zeal. Dzieje się coś niedobrego. Proszę lepiej przyjść zobaczyć.

Inger wstała, ogarniało ją jakieś fatalistyczne otumanienie. Co teraz?

Wszystkie trzy kobiety znajdowały się w małej komórcie Thelmy. Inger precyzyjnie przycisnęła się przez tłoczące się w wejściu kobiety. W środku ktoś jęknął przeraźliwie. Inger zrozumiała wszystko, rzuciwszy tylko okiem.

Thelma przyniosła posiłek do siebie, żeby podzielić się nim z przyjaciółkami. Na wpół opróżnione talerze leżały na podłodze. Jeden był przewrócony, drugi potłuczony. Wszystkie trzy kobiety leżały zwinięte w kłębek, trzymając się za brzuchy.

Ktoś powiedział:

–Pani, Thelma wymiotuje krwią.

Inger zasłoniła twarz rękami. Poczowała zimne tchnienie Śmierci, zaczęła drżeć. Odgłosy wydawane przez otrute kobiety nie działały kojąco na jej nerwy.

–Czy posłałyście po doktora Wachtela? – wychrypiała.

–Tak, pani.

Nie miało to większego sensu. Umrą. Posiłek musiał być zaprawiony w połowie trucizną. Co to było? Arszenik? Nieważne, truciciel nie bawił się w subtelności. On – lub ona – chciał coś jasno i wyraźnie pokazać. Znowu zaczęła drżeć. Nie chodziło o to, że ktoś chciał coś pokazać. Ktoś chciał jej śmierci. To była jej kolacja.

Wszedł doktor, przegonił wszystkich z wyjątkiem Inger. Zbadał trzy kobiety.

–Nic już nie mogę dla nich zrobić. A pani? Czy pani coś zjadła?

Potrząsnęła przecząco głową. Bała się otworzyć usta. Mogłaby mówić i mówić.

Mogłaby wylać z siebie wszystkie swe obawy i żale.

–Jest pani tylko roztrzęsiona?

Skinęła głową.

–Dam pani coś na uspokojenie. – Wachtel wymieszał coś w wysokim kubku. –

Proszę wypić.

Wypiła. Mikstura miała ohydny smak. Przerażona, upuściła kubek. Nie stłukł się.

Wpatrywała się w niego, jakby był jadowitym wężem.

Wachtel odprowadził ją do jej komnaty i ułożył na łóżku.

–Czuje się pani trochę lepiej?

Czuła się rozleniwiona, ociężała i trochę senna.

–Tak.

–Chce mi pani o tym opowiedzieć? Pokręciła przecząco głową.

–To była trucizna, prawda? – spytała – Tak. Olbrzymia dawka. Przeznaczona dla pani, tak? Wzdrygnęła się.

–Jak pan się domyślił?

–Na podstawie pani reakcji po przyjęciu środka uspokajającego.

–Tak. Trucizna była przeznaczona dla mnie. Co mogę zrobić?

–Pilnować tego, co pani je i pije. Pogodzić się z kimś, kogo pani uraziła. Poprosić męża, żeby kazał Michaelowi zająć się tą sprawą.

–Michaelowi? – Roześmiała się prawie beztrudnie. – Nie. Nie Michaelowi. Sama się o siebie zatroszczę.

–Ma pani tutaj jakichś wrogów wśród kobiet?

–Wśród kobiet?

–Trucizna to zwykle broń kobiety. Przynajmniej w tych czasach. W czasach Imperium czarodzieje używali trucizny, ale szycili się większą subtelnością. W tym nie było nic subtelnego. To przypominało użycie topora wojennego do zabicia muchy. Jak się pani teraz czuje?

–Odprężona. Śpiąca.

–To dobrze. Potrzebuje pani snu. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, co mam zrobić z pani służącymi?

–One naprawdę umrą?

–One nie żyją – powiedział Wachtel. Zwykle był mniej szczery, ale dzisiejsza noc go zaniepokoiła. Nie lubił morderstw.

–Pochowaj je. Pokryję koszty. I nie mów nikomu o tym, co się stało. – Pokój zaczął wirować jej przed oczami. Poczowała lekkie ukłucie strachu. Opadła ją ciemność.

Rok 1016 OUI Urodzony pechowiec Prataxis odnalazł Michaela w pałacowej bibliotece. Trebilcock szeptał coś z jednym ze Strażników.

–Michael, nie udało się.

–Możesz odejść, Snake – powiedział Trebilcock do Strażnika. Odczekał kilka sekund. – Wiem. Rodzaj fiaska zwany zrządzeniem losu.

–Michael, nie będę ukrywał, że jestem zdenerwowany. Co zrobi król?

–Może się nie dowie. Jeszcze o tym nie słyszał. Mocno uszczelnili tamten apartament. Itaskianie trzymają wartę wewnątrz i na zewnątrz. Z tego, co wiem, Wachtel jest jedyną osobą, która wie, co się święci. Pozbył się ciała, ale w jego naturze nie leży angażowanie się. Prawdopodobnie jest jedynym apolitycznym człowiekiem w królestwie.

–To go nie powstrzyma przed doniesieniem królowi.

–Może nie. Nie interesuje mnie to.

–Wachtel jest stary. Nikt by się nie dziwił, gdyby...

Michael był zaskoczony.

–Nie, Derel. Nie Wachtel. Nie ma wystarczającego powodu. Ty naprawdę się wystraszyłeś, co?

–Ragnarson ma dziwny stosunek do kobiet, Michael. Nigdy nie postępuje wystarczająco rozsądnie. A tym razem w grę wchodzi tyle kobiet, że nie będę udawał, iż jestem w stanie przewidzieć jego zachowanie.

Michael odchylił się do tyłu, zmarszczył brwi. Zawsze posądzał Derela o mizoginizm.

–Mów dalej.

–W minionych kilku miesiącach motorem każdego jego działania była kobieta. Nepanthe. Mgła. Inger. Kristen. Ta Sherilee. Każda ciągnęła go w innym kierunku i każda stanowiła zagrożenie. Nepanthe kosztowała nas utratę pomocy Varthlokkura. Mgła niemal go zabiła, potem odeszła, zabierając swe poparcie. Inger zmieniła się jak wściekły pies. Kristen, ze swoim pragnieniem uczynienia swego syna prawowitym następcą tronu, może być wplątana w spiski, które przyniosły nam szkodę. Nie sądzę, żeby była tak naiwna, jaką udawała. I ta Sherilee. Całkowicie odrywa go od spraw wagi państwowej, podczas gdy teraz trzeba poświęcić każdą chwilę, by utrzymać królestwo na stałym kursie. Michael skinął głową.

–A w dodatku pojawiła się Yasmid, która ciągnie go w jeszcze innym kierunku. Pozbywszy się części napięcia, Derel opadł na krzesło.

–Co zrobimy?

–Jeśli się dowie? Utrzymuj, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Mnie może nie uwierzyć, ale tobie tak. To nie w twoim stylu. Ty się nie angażujesz w takie historie. – Trebilcock zachichotał.

–Jestem zbyt zaangażowany. Powinienem się wycofać. Jestem tutaj zbyt długo. Nawet przestałem już udawać obiektywizm.

–To znaczy?

–Cholera jasna, lubię go. Chcę, żeby się udało to, co stara się zrobić. Ten plan to

po części moje dziecko. Chcę zobaczyć, jak dorasta.

–I?

Derel posłał mu gniewne spojrzenie.

–I całe moje życie toczy się tutaj. Hellin Daimiel nie jest już moim domem. Byłem tutaj zbyt długo.

–Ja też.

–Hę?

–Wyjechałem razem z Gjerdrumem po ukończeniu Rebsamen. Na krótko, żeby się zajeżdzieć, zanim przejmę rodzinną firmę. A teraz jestem w takim samym stopniu częścią Kavelinu jak król.

Prataxis prychnął.

–Który jest kolejnym oczarowanym tym krajem cudzoziemcem. Dziwne, prawda? Ludźmi, którzy kochają ten kraj najbardziej, są ci, którzy przyjechali z innych miejsc i tu utknęli na dobre.

–Kavelin jest jak pajęczna sieć – zgodził się Michael. – Pytanie, czy mam uderzyć raz jeszcze?

–Wolałbym zaprzeczyć... Myślisz, że została unieszkodliwiona?

–O tym właśnie rozmawiałem ze Snake'em. On nie wie, co się dzieje, ale ma w tamtej okolicy posterunek. Mówi, że ludzie Inger są śmiertelnie przerażeni. Co znaczy, że ona także jest śmiertelnie przerażona. Twierdzi, że jej apartamenty są ściśle strzeżone. Póki tak będzie, nie możemy dostać się do środka, ale też ona nie może wyjść na zewnątrz, gdzie mogłaby znowu narobić kłopotów.

–Dobrze. Czy możemy jakoś przyczynić się do utrwalenia tego odosobnienia?

–Mam zamiar wydać odpowiednie polecenia, Derel. Więc jeśli będzie chciała spotkać się ze swoimi wspólnikami, będzie musiała stamtąd wyjść.

–Tak. Dobrze. Kontroluj na bieżąco, kto chce się z nią spotykać. Czy ja aby nie próbuję cię uczyć twojego fachu? Dobra. Spraw, żeby nadal była przerażona. Żeby pozostawała w zamknięciu. Nie pozwól jej rozmawiać z nikim, chyba że jest to ktoś, kogo nie możemy trzymać od niej z daleka. – Miał na myśli króla.

–Jej przyjaciele wśród ziemian szybko zaczną się denerwować. Ten numer króla podczas meczu captures miał jeden pozytywny skutek. Pokazał ziemianom, że Bragi nadal jest twardy

i przebiegły i że nie będzie tolerował żadnych wyskoków – zauważył Michael.

–Pokazał im też, że są tu ludzie, którzy nie boją się połamać im kości, jeśli nie będą zachowywali się zgodnie z normami, które są dobre dla całej reszty.

–Dantice? Może się stać kulą u nogi. No dobra. Wydam rozkazy, żeby trzymać ludzi z dala od apartamentów królowej. Pozwolimy, żeby przedostała się informacja, że Inger jest ciężko chora. Nikt w to nie uwierzy, ale rozkazy będą bardziej respektowane, jeśli zostaną wydane przeze mnie. Gdybyś ty je wydał, ludzie zbyt dużo by gadali.

–Wiesz co? Jesteś diabłem wcielonym. Ludzie myślą, że jesteś niemal istotą nadprzyrodzoną. Przerażasz ich. Przerażeni ludzie robią niebezpieczne rzeczy.

–Daj spokój...

–Wierz mi, Michael.

Kristen dotarła do Sedlmayr mniej więcej w tym samym czasie, gdy Derel i Michael się rozstali. Dom, do którego doprowadziła ją eskorta, był tak prosty, że niemal plebejski. Miejsca wystarczyło tylko dlatego, że ona i Sherilee zajęły wspólnie jeden pokój, a wszystkie dzieci stłoczono w drugim. Domem zarządzało starsze małżeństwo o nazwisku Shastain. Byli przyjaciółmi Michaela Trebilcocka.

Dosłownie kilka godzin wcześniej do Shastainów dotarł kurier z Vorgrebergu, minąwszy po drodze dziewczęta i ich eskortę. Elma Shastain powiedziała Kristen:

–Kazano nam trzymać was w środku przez cały czas. Żadnych kontaktów z miejscowymi. Nie powiedziano nam, kim jesteście, a pan Trebilcock nie chce, żeby dowiedzieli się o tym sąsiedzi.

Rozdrażniło to Kristen. Siedzieć dzień po dniu w zamknięciu z czwórką dzieci?

–Jak długo?

–Dopóki nie otrzymamy innych poleceń. Co najmniej trzy tygodnie.

–Trzy tygodnie? – jęknęła Kristen. – Wolałabym raczej trzy miesiące na scuttaryjskich galerach.

–Jestem pewna, że to dla naszego bezpieczeństwa – powiedziała Sherilee. – Pomogę przy dzieciach.

–Nie znasz Michaela. Pani Shastain, czy była dla mnie jakaś wiadomość?

–Jest opieczętowany woreczek. Maykin przyniesie go pani, gdy tylko odeśle waszych woźniców.

–Chodźmy rozlokować dzieci, Sherry.

Na górze Sherilee zapytała:

–Jak sądzisz, czy dostanę list?

–Nie wiem. On nie przepada za pisaniem listów. Nie martw się, jeśli nie dostaniesz. Dużo

więcej powiedział, wysyłając cię tutaj ze mną.

Dzieci jęczały i marudziły. To samo robiły przez całą podróż.

–Gundar, nie zachowuj się jak małe dziecko – nie wytrzymała Sherilee. – I pomóż siostrze.

Maykin Shastain był niskim grubasem z czupryną siwych włosów na głowie i anielskim uśmiechem na rumianej twarzy.

–Moja żona wyjaśniła wam zasady? – zapytał.

–Tak. – Kristen złamała paznokiec, usiłując otworzyć woreczek. – Dlaczego musimy przebywać w zamknięciu?

–Wiesz to lepiej ode mnie, pani. Nie mam najmniejszego pojęcia, kim jesteście ani też kto mógłby was szukać. Nie chcę wiedzieć. To nie moja sprawa. Ja mam się wami opiekować.

–Mam nadzieję, że Michael wie, co robi.

–On zazwyczaj wie, co robi, pani. Zazwyczaj wie.

–Jest tu list do ciebie, Sherry. – I trzy do niej: od teścia, Michaela Trebilcocka i Dahla Haasa. Uniosła brwi, gdy zobaczyła ostatni. Uśmiechnęła się i ten list otworzyła najpierw.

–Mamy tu siedzieć miesiąc – powiedziała Sherilee. – Chce, żebyśmy zostały tu przez miesiąc. Tak na wszelki wypadek. Nie będę mogła zobaczyć się z nim przez cały miesiąc. Co ci się stało?

–Wysyłają Dahla do Itaskii.

–Och, domyślam się, że w takim razie ja nie powinnam się skarżyć, prawda?

–Prawda.

–Przekonałaś się w końcu do niego, co?

–Może. A może chodzi tylko o to, że nie obchodzi go, że byłam żoną syna króla.

–Zastanawiam się, co porabia Julie.

–Julie? A dlaczego o niej pomyślałaś?

–Bo rozmawiamy o mężczyznach. Zamierza wyjść za Gjerdruma.

–Przecież jest zaręczony z tą tam, Gwendolyn.

–To się zmieni. – Sherilee uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Jeszcze mu nie powiedziała. Ale decyzję już podjęła.

–Rozumiem. Jedna z tych sytuacji.

–Właśnie. Chciałabym wiedzieć, co się dzieje w mieście.

–Wygrali mecz.

–Więc dlaczego musimy tu siedzieć?

–Bo uważają, że ktoś poprzez nas mógłby zechcieć dobrać się im do skóry. Wielu ludzi straciło mnóstwo pieniędzy, jak sądzę.

–No cóż, mam nadzieję, że wszystko szybko przycichnie. Już za nim tęsknię.

Kristen potrząsnęła głową i poszła sprawdzić co u dzieci. Sherilee robiła się dziwna. Stawała

się zbyt zaborcza. To może być przyczyną kłopotów...

No tak, ale tego przecież chciała, gdy popychała ich ku sobie, prawda? Był to zabieg który miał oderwać króla od Inger i ułatwić drogę na szczyt Ragnarowi... Chyba nigdy nie będę zadowolona, pomyślała.

Michael ostrożnie podprowadził swojego wierzchowca bliżej Derela Prataxisa. Pochylił się, wpatrując się w plecy króla.

–Powiedział coś? Zdradził się z czymś?

–Nie. Nie sądzę, żeby czuł się na siłach ją odwiedzić. Nawet nie wie, że jest izolowana.

–Brak czasu?

–Nie. Nie był aż tak zajęty. Ostatniego wieczoru znalazł czas, żeby trochę poczytać. Myślę, że on po prostu nie chce jej widzieć.

–Nie mam nic przeciwko temu.

–Hej wy, tam z tyłu, może byście posłuchali?! – ryknął Ragnarson. – Derel, Michael, mam wam wysłać specjalne zaproszenie?

Ragnarson zlustrował swoich zwolenników. Ci, którzy jechali, wyglądali na gotowych do drogi. Ci, którzy zostawali, wyglądali na zniecierpliwionych. Dobrze. Wszystko jak należy.

–Sierzancie, bierzcie się do dud i bębnow. Miejmy za sobą te pierdoły, żebyśmy mogli ruszyć w drogę.

Zawarczały bębny. Zagrały dudy. Brama zamkowa się otworzyła. Na zewnątrz rozbrzmiały trąbki. Bragi zerknął w górę, w okno sypialni Inger. Dostrzegł ledwie widoczną w bladym świetle brzasku twarz. Skryła się gwałtownie. Popatrzył za bramę i starał się wyrzucić żonę ze swoich myśli.

Przez niemal godzinę przeprowadzał przegląd Vorgrebczyków i Królewskich. Ci z bliskich Ragnarsonowi ludzi, którzy mieli zostać w mieście, byli rozdrażnieni. Jedni chcieli wrócić do swoich zajęć, inni, jak Credence Abaca, byli poirytowani tym, że ich zostawiono. W końcu przedefilował ostatni żołnierz.

Ragnarson odwrócił się.

–Credence, Michael, Cham, liczę, że będziecie pilnować tutaj porządku. Derel, jeśli nie będą tego robić, daj im po uszach. – Zachichotał. Trudno było sobie wyobrazić Derela, który osobiście daje komuś w skórę.

Prataxis nachmurzył się i niechętnie wyraził zgodę. Potem nachmurzył się jeszcze bardziej. Był strasznie niezadowolony. Po raz pierwszy odmówiono mu możliwości towarzyszenia Ragnarsonowi, gdy działo się coś ważnego. Ale rozumiał to. Pozory, że jest historykiem, przestały już kogokolwiek zwodzić. Bardziej przyda się tutaj, nadzorując pałac i występując jako

rozjemca między Chamem, Credence'em i Michaeliem.

–Bądźcie grzeczni, chłopcy. – Ragnarson spał wierzchowca i ruszył stępa. Jego dowódcy i ochrona osobista otoczyli go. W końcu, pomyślał. Po trzech latach znowu w polu. Z dala od nie kończących się sprzeczek i plotek. Z dala od wszystkich nierozwiązywalnych problemów. Powrót do tego, co znał najlepiej. Do żołnierki. Wspaniałe uczucie.

Jeden batalion Vorgrebczyków i jeden Królewskich wrócił po paradzie do koszar. Ragnarson nie spodziewał się problemów w czasie swojej nieobecności, ale Vorgreberg był nieprzewidywalny. Nie mógł odmówić Credence'owi środków, dzięki którym mógł kontrolować miasto.

Nie obejrzał się za siebie. Nie chciał widzieć pałacu, dopóki nie wróci. Kusilo go, żeby przedłużyć manewry tylko po to, by usprawiedliwić swą dłuższą nieobecność.

Przyszła mu na myśl Sherilee. Jedyne sensowny powód, by szybko wrócić. Może do tego czasu będzie mógł sprowadzić ją do domu.

–Tęsknię za tobą, maleńka – szepnął.

Inger gwałtownie cofnęła się od okna. Widział ją. I nie wykonał żadnego gestu. Nie przyszedł przez cały tydzień, a teraz nawet nie zadał sobie trudu, żeby się pożegnać. Nie miała już wątpliwości, że odsunął się od niej.

Przez chwilę miała nadzieję, że przyjdzie się z nią zobaczyć i będą mogli wszystko omówić. Nie był to problem nierozwiązywalny. Po wyjeździe Josiaha czuła się mniej zobligowana do trzymania się planu. Ale Bragi nie przyszedł. Nawet nie zapytał o tę próbę otrucia.

Była pewna, że nie miał z tym nic wspólnego. To nie było w jego stylu. Gdyby chciał usunąć ją ze swojej drogi, postąpiłby bardziej otwarcie. Nie, ktoś inny był za to odpowiedzialny. On prawdopodobnie nie wiedział.

Do głowy przychodziło jej tylko dwóch kandydatów. Michael Trebilcock i synowa

Bragiego. Inger miała skłonność do podejrzwania tej dziewczyny. Ta zachłanna mała wiedźma była zdecydowana zdobyć dla swego syna następstwo tronu.

Ponownie wyjrzała przez okno. Zobaczyła, jak proporce przechylają się i kołyszą, gdy – kolejne oddziały prezentowały się poza murami.

Mówili, że wyjeżdża. Jedzie do Baxendali z wojskiem. Nie będzie go miesiąc.

Przez miesiąc nie będzie nikogo między nią a tą osobą, która chciała jej śmierci. Ze strachu poczuła ucisk w żołądku. Jeszcze raz powiedziała do siebie: „Byłam głupia, że pozwoliłam się w to wciągnąć Dane’owi”. Żyła jak w oblężeniu, każąc przyjaciółkom próbować jedzenia, zanim sama je tknęła, pociła się przy każdym pukaniu. To, że nie zapukał żaden z ludzi Bragiego, nie ukoilo jej skołatanych nerwów. Miała jakąś dziwną pewność, że czekali na właściwy moment, zaciskając mocniej pętlę, zanim wyszarpną jej spod nóg stółek.

Zaczynała ją ogarniać gorączka. A nie było widać kresu. Chyba że ona i jej towarzyszki zostaną zgłodzone na śmierć. Jak w prawdziwym oblężeniu.

Może jeszcze o tym nie pomyśleli.

–Sały, Janey, potrzebuję kilku mężczyzn jako ochrony osobistej. Idziemy na rynek.

–Słucham, proszę pani? Czy uważa pani, że to rozsądne?

–Nie. Nie uważam. Ale po wyjeździe króla znajdziemy się w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Nie ośmielimy się wyjść na zewnątrz. Jeśli jednak tego nie zrobimy, będziemy głodować. Więc zanim naszym wrogom przyjdzie do głowy, żeby tego dopilnować, zgromadzimy zapasy.

Reakcja na jej wyjście była zaskakująca. Wydawało się, że nikt tego nie zauważa, nikogo to nie interesuje, nikt nie zareagował. Ludzie z pałacu, wszyscy oddani Bragiemu, ignorowali ją i nie robili nic, żeby ją powstrzymać. Wartownicy przy bramie pozwolili jej przejść bez żadnego komentarza.

–Hunsicker – Inger zagadnęła towarzyszącego jej strażnika.

–Tak, pani?

–Myślałam, że chcą, żebyśmy były zamknięte. Żołnierz wzruszył ramionami.

–Może zmienili zdanie.

Był jasny, ciepły, wietrzny dzień. W parku śpiewały ptaki. Konary niektórych drzew uginały się pod ciężarem wczesnie dojrzewających owoców. Taki dzień nie pasował do najeżonego trudnościami świata Inger. Chciała chmur i mroku i zacinającego, zimnego deszczu.

Czy powinna teraz uciec? Pojechać przez miasto do posiadłości jednego ze swoich przyjaciół? Podobał jej się ten pomysł...

–Mamy towarzystwo, pani – powiedział Hunsicker. Inger zerknęła przez ramię. Jechało za nimi trzech jeźdźców. – Spróbujemy ich zgubić? – zapytał Hunsicker.

–Nie chcemy popaść w kłopoty większe od tych, które już mamy. – Ogarnęło ją przygnębienie. To tyle, jeśli chodzi o ucieczkę.

Przez cały dzień wyczuwała obecność obserwatorów. Rozpoznała tylko jednego człowieka. Na rynku dostrzegła raz, że z tłumu obserwuje ją Michael Trebilcock. Na widok jego zimnej bladości ciarki przeszły jej po plecach.

Cieszyła się, gdy już wróciła i mogła schronić się w swoich apartamentach.

–Analizowałem to przez trzy dni – powiedział Michael do Prataxisa. – Nie można dostać się tam inaczej jak siłą. A jej ludzie są na tyle lojalni, że będą walczyć.

–Dlaczego? – zapytał Derel. – Przed przybyciem tutaj nie cieszyła się aż taką sympatią. Nie powinna wzbudzać tak silnego uczucia oddania.

–Wiesz tyle co ja. Może Haas znajdzie odpowiedź.

Dahl Haas doprowadził się do skrajnego wyczerpania. Ścigany mężczyzna był starszy od niego i łatwiej się męczył, ale też mocno parł do przodu. Dogonienie Galesa zajęło Dahlowi sporo czasu. Byli w północnym Ruderinie, zaczął deptać uciekinierowi po piętach. Dahl był zadowolony, że Gales zmierza do domu. Żeby dotrzeć do Itaskii, trzeba było przekroczyć w mieście Wspaniały Most nad rzeką Srebrna Wstążka. Postanowił popędzić naprzód, wypocząć i być w dobrej formie, gdy Gales wpadnie do miasta.

Po Vorgrebergu Baxendala była krzepiąco przyjazna. Gdy oddziały wchodziły do miasta, jego mieszkańcy wyszli z domów i wiwatowali. Ustawili się wzdłuż ulic aż do Karak Straberg – górującego nad miastem zamku – i pozdrawiali przejeżdżającego króla.

–Domyślają się, że wydamy tutaj mnóstwo pieniędzy – powiedział Gjerdrum.

–Cynik.

–Nie przeczę. Ten przeklęty kraj z każdego robi cynika. Powinienem być posłuchać swojego ojca. Nigdy nie chciał, żebym wrócił. – Ojciec Gjerdruma, Eanred Tarlson, był marszałkiem, gdy Ragnarson przybył do Kavelinu. Zginął podczas wojny domowej. Ragnarson zajął jego stanowisko. Bragi wstrzymał kolumnę.

–Gjerdrum, spójrz tam. – Wskazywał zachód. Był piękny dzień, a powietrze krystalicznie czyste. Z przełęczu rozpościerał się przed nimi widok na bardziej płaskie tereny. Widok zapierający dech w piersiach. Obramowany ośnieżonymi szczytami.

Gjerdrum przyglądał się temu ponad minutę.

–No dobra – stwierdził w końcu. – Nie mogę powiedzieć, że nie jest tego wart. Jeżeli ty możesz żyć po tym wszystkim, co straciłeś, ja też mogę.

Godzinę później, obserwując ten sam widok z wyżej położonego stanowiska na wieży strażniczej Karak Strabergu, Gjerdrum powiedział:

–Panie... Bragi... Chcę prosić o wielką przysługę.

–Wszystko w granicach rozsądku.

–Chodzi o Julie.

–Julie? A co się stało z Gwendolyn?

–To stare dzieje. Cała rodzina Julie zginęła w czasie wojen. Ona jest sama jak palec.

–Tak słyszałem. Czy jej ojciec nie był w Damhorsterach?

–Miała braci i wujów, i kuzynów w Południowych Strzałach, w lekkiej kawalerii Sedlmayr i w Damhorsterach. Rzeczywiście, jej ojciec był w tych ostatnich. Jest pochowany tam. – Gjerdrum wskazał rozległy cmentarz, na którym spoczywali polegli w toczonych tu walkach. – Ona chce, żebym złożył wieniec.

Przez chwilę Ragnarson wpatrywał się w spokojną, jasną przełęcz, wspominając hałasy

i gwałtowność, przygnębianie i strach minionych dni. Przywołał z pamięci obraz stad smoków krążących w powietrzu, zboczy ciemnych od wschodnich hord, ziemi drżącej od grzmiącej rywalizacji konkurencyjnych cesarzy. Ta ziemia spłynęła krwią wielu dobrych żołnierzy. Zbyt wielu dobrych żołnierzy, po obu stronach, poganianych ambicją swoich kapitanów.

–Złożymy wieńce dla nich wszystkich, Gjerdrum. Dla wszystkich. O co chciałeś prosić?

–Żebyś zaopiekował się Julie. Nie ma nikogo, kto by to zrobił.

Wszyscy zginęli, zginęli za mnie, pomyślał Bragi.

–Dobrze. Żenisz się?

Gjerdrum powiedział nieśmiało:

–Gdy tylko nastanie zima i w tym roku będziemy już bezpieczni. – W zimie Kavelin był chroniony przed atakiem wroga. Wtedy mieszkańcy tego małego królestwa ośmielali się oddawać życiu rodzinnemu.

–Tak – powiedział Ragnarson. – To dobrze.

–O co chodzi? Trochę dziwnie to zabrzmiało.

–O nic. – Bragi się uśmiechnął. – Po prostu nigdy nie myślałem o tobie jak o człowieku, który się ożeni.

–Robię się coraz starszy. I znalazłem odpowiednią kobietę.

–Z tym nie sposób dyskutować. Ci na dole powinni już być gotowi. Co byś powiedział, gdybyśmy zeszli i zabrali się do roboty? Są tu już ludzie z Maisaku?

–Nie. Ale powinni dotrzeć przed zmrokiem. – Dwie kondygnacje niżej Gjerdrum zapytał: – Myślisz, że Hsung naprawdę wycofa garnizon z Gog-Ahlanu?

Bragi wzruszył ramionami.

–Dobrze byłoby to wiedzieć. Tylko tyle mogę powiedzieć. Dobrze byłoby wiedzieć.

Aral Dantice przebudził się ze snu zdominowanego przez wizję kobiety, której nigdy już nie zobaczy.

–Cholera – zaklął. – Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju? Czym ona się różni od wszystkich innych kobiet?

Zaspany głos zamruczał:

–O co chodzi? Co się dzieje, kochanie?

–Nic, nic. Śpij dalej – szepnął. Wstał ostrożnie z łóżka i podszedł do okna. Był środek nocy. Nie spał dłużej niż godzinę. W ogóle nie powinien zasypiać.

–Cholera – powtórzył. – Muszę wrócić, zanim okradną mnie ze wszystkiego. – Ubrał się szybko i pospiesznie zbiegł po schodach.

Lokal był w trzech czwartych pusty, a była to pora największego natężenia ruchu. Podszedł wolnym krokiem do Grubasa i chwycił go za łokieć.

–Nadal kiepsko?

–Okropnie. – Klienci z wyższych warstw społecznych trzymali się z daleka w odwecie za ich podejrzany udział w oskubaniu ludzi przy okazji meczu captures.

–Ruszy się. Tutaj lub w jednym z pozostałych lokali. Ludzie lubią oddawać się

swoim słabostkom.

–Niewątpliwie, niewątpliwie. Wysłałeś już te pudła dla swojego przyjaciela?

–Siedemdziesiąt procent. Potrzeba mnóstwa ludzi, żeby przerzucić taką ilość towaru.

–Dowiedziałeś się, co w nich jest?

–Jasne. Broń. Pełen asortyment. Ale głównie miecze.

–Broń? Aż tyle? Twój przyjaciel wyposaża armię?

–Na to wygląda. – Zanim Aral poprosił swoich przemytników, żeby wykonali to zadanie, skłonił Michaela do złożenia wyjaśnień. Nie, podobało mu się to, co usłyszał. Dostarczanie broni Wybranym El Murida zakrawało na samobójstwo. Ale co on wiedział o polityce zagranicznej? Miał nadzieję, że Grubas się nie dowie. Grubas odczuwał straszną nienawiść do wszystkiego, co zalaływało Uczniem. W wojnach El Murida stracił brata.

–Wyjdę na zewnątrz i połażę trochę – powiedział Aral do Grubasa. – Zobaczę, co się dzieje w okolicy.

Cała dzielnica była cicha jak ich lokal. Aral miał nadzieję, że nie mylił się w kwestii ożywienia się z czasem interesów.

Czas wracać, przespać się trochę. Dziś rano miał się wybrać z Michaelem na przejażdżkę.

Mgła była umówiona na spotkanie z lordem Ch'ieniem Kao E, człowiekiem, któremu w największym stopniu zawdzięczała odzyskanie tronu. Czekala na nie podenerwowana. Lord Ch'ien spędził dzień, reprezentując ją przed Radą Tervola. Przyniesie wieści – dobre lub złe.

Wszedłszy, skinął głową. Zdecydowali się ją poprzeć! Była księżniczką nie tylko tytułarną. Imperium znowu należało do niej, tym razem niepodzielnie. Nie było żadnego O Shinga gdzieś na głębokiej prowincji, który gromadziłby armię, by pozbawić ją władzy. Zeskoczyła z tronu i zarzuciła lordowi Ch'ienowi ręce na szyję.

–Udało się nam, udało się nam, Kao E. Jesteśmy w domu.

Kao E odwzajemnił jej uścisk, lekko, z wahaniem – był to pierwszy czuły gest, jaki u niego widziała. Za nieodmiennie sztywną postawą on także skrywał podekscytowanie. Mgła odsunęła się.

–Dlaczego mnie poparli? Co ich przekonało? – Spodziewała się, że będą grali na zwłokę z powodu jej długiej współpracy z wrogami imperium.

–To, że szybko uspokoiłaś sytuację na froncie południowym i odniosłaś sukces na wschodzie. Lord Ssuma mówił na twoją korzyść, mówił dobrze. Był wielkim wielbicielem lorda

Kuo Wenchina. On przechylił szalę. Myślę, że możemy spodziewać się długiego i spokojnego panowania. Nie ma nawet najmniejszego wymierzonego w ciebie spisku. Tervola są zmęczeni ciągłymi przewrotami. Zobaczyli, jaką cenę płaci się za brak jedności. W całym państwie jest tylko jeden potencjalny wichrzyciel.

–Lord Hsung?

–Właśnie. Nie miałem czasu, żeby go obserwować. Co on ostatnio porabia?

–Nic nowego. Tylko nie odwołał swojego planu zaatakowania Hammad al Nakiru.

–Myślę, że już czas, żebyś go wymieniła, księżniczko.

–Ma mnóstwo przyjaciół. A wielu terwoła podziela jego zapatrywania na kwestię zachodnią. – Uśmiechnęła się łagodnie. Już dawno temu postanowiła, co począć z lordem Hsungiem. – Nie możemy go usunąć, dopóki nie zrobi czegoś, co będzie niekwestionowaną niesubordynacją.

–W którym to momencie będziemy w stanie wojny z El Muridem. Nie jest już grubą rybą, ale nie potrzebujemy żadnych dodatkowych wrogów.

–Czy załatwiłeś wszystko w kwaterze lorda Hsunga?

–Dokładnie według wskazówek.

–To dobrze.

–Nie podoba mi się, że muszę to robić bratu, pani. Jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie.

–Mnie też. Ale są pewne granice. Sam własnymi słowy się skaże i będzie stanowić przykład.

–Skoro tak twierdzisz.

–Właśnie tak. Jeszcze jedna sprawa. Powiedz lordowi Ssumie, żeby przyszedł jutro do mnie. Chcę z nim porozmawiać osobiście.

–Oczywiście.

Podziękować mu? – zastanawiała się Mgła. Już mu podziękowałam. Ale tylko on i ja wiemy, lordzie Ch'ien. Przykro mi, stary przyjacielu, ale nie zamierzam zaspokoić twoich skrytych ambicji. Lord Ssuma lepiej się nadaje do tego zadania. Ale twoja kolej przyjdzie. Obiecuję ci to. Służyłeś mi długo i dobrze. Bądź cierpliwy. Nigdy nie zapominał o swoich przyjaciółach.

Wspomniała starych przyjaciół na zachodzie, przyjaciół, którym by się nie przysłużyła, gdyby lord Hsung postawił na swoim. Miała nadzieję, że Bragi pozytywnie zareaguje na jej gest.

Rok 1016 OUI Gdy sypią się iskry Credence Abaca złożył ręce, zamknął oczy.

–Przeczytaj ostatnią część jeszcze raz. – Jego adiutant zajął ponownie do raportu dostarczonego przez posłańca Michaela Trebilcocka.

–„Dziś wieczór. Oto, co zrobisz. Każ stolarzom zbić szubienicę na szesnaście stanowisk. Poślij zespół Blakely’ego w cywilnych ubraniach. Powiedz mu, żeby zgarnął tych rozrabiaków w chwili, gdy tylko dadzą o sobie znać. Przekaż ich Trebilcockowi”. – Raport Michaela przewidywał zamieszki w okolicy ulicy Arsen.

–Wiesz, o co tu chodzi, prawda? – zapytał Abaca. – To zorganizowane przez ziemian zajście, które ma odwrócić naszą uwagę. Główne przedstawienie odbędzie się gdzieś indziej. Chcą mnie sprawdzić. Odeślij to do Trebilcocka. Niech Adam przekaze wiadomość, że wszyscy mają być w pogotowiu. Zapytaj Trebilcocka, gdzie jeszcze możemy spodziewać się kłopotów.

Zamieszki rozpoczęły się dokładnie tak, jak przewidywał Michael. Abaca był szybki i bezlitosny. Jego szubienica zawałała się z powodu przeładowania. Zwłoki pozostawiano na ulicach. Ludzie, gdy tylko znaleźli chwilę, żeby się zastanowić, byli przerażeni i czuli się zastraszeni.

Przepowiednia Abaki się spełniła. Zamieszki miały odwrócić uwagę od grupy mężczyzn, którzy próbowali zaatakować zamek Krief. Mieli uwolnić królową i niepostrzeżenie przewieźć ją do kryjówki w zachodnim Kavelinie. Podczas tej próby zginęli.

–Doskonałe zakończenie dla tego nie przemyślanego spisku – stwierdził Abaca następnego dnia rano. – Wygraliśmy pierwszą próbę sił. Następnym razem już mnie nie zlekceważą. Co jest z tym śniadaniem?

Dahl wypatrzył Galesa, gdy ten schodził ze Wspaniałego Mostu i skierował się do południowej dzielnicy Itaskii, na ulicę Wharf. Gales pojawił się dzień później, niż się spodziewał Haas, więc miał czas skontaktować się z przyjaciółmi króla w rządzie itaskiańskim.

Był zaskoczony, że okazali się tak chętni do pomocy. Człowiekiem, który miał mu pomagać, był pułkownik z Ministerstwa Wojny. Przyprowadził ze sobą grupę trzydziestu mężczyzn. Rzucił raz okiem na Galesa i powiedział Dahlowi:

–To nie jest sierżant piechoty, kapitanie.

–Słucham, panie pułkowniku?

–Nazwisko się zgadza. Josiah Gales. Ale to pułkownik w siłach zbrojnych rodziny Greyfellów. Jeden z najważniejszych ludzi księcia. Myśleliśmy, że został wyeliminowany. Nie było go kilka lat. Wracajmy do ministerstwa i sprawdźmy, co pamięta pan o jego przyjaciółach.

–A zatem Gales jest agentem Greyfellów?

–Tak. Jest też dobrym żołnierzem. Marnuje się przy nich. Plotka mówi, że trzyma się ich dlatego, że kocha się w Inger, i dlatego, że uważa, iż ma wobec nich dług wdzięczności za uchybienie, którego dopuścił się, gdy strzegł jej, gdy była jeszcze młodziutka.

–Myślę, że już odpowiedział pan na większość pytań króla – powiedział Dahl.

–Wygląda pan na uszczęśliwionego.

–Obawiałem się, że będę musiał pałętać się tutaj parę miesięcy. Zostawiłem przyjaciółkę... – Dahl się zaczerwienił.

–Rozumiem. Zanim popędzi pan do niej z powrotem, niech nam pan da kilka dni. Z pańską pomocą może będziemy w stanie zamknąć tę sprawę tutaj. Odrąbać smokowi łeb, jak to się mówi. Wiedzieliśmy, że ta banda Greyfellów coś knuje, ale nie mogliśmy ustalić co. Myśleliśmy, że chodzi o coś tutaj. Może pan zostać?

–Oczywiście. Chcę pojechać na północ, skoro już tutaj jestem. Król Bragi ma posiadłość w górze rzeki, ja mam tam krewnych.

–Znam to miejsce. Kiedyś mieliśmy tam garnizon wojskowy. Teraz jest opuszczone, mieszka tam tylko paru rolników. Pańscy krewni zajmują się rolnictwem? Dahl skinął głową.

–Mój ojciec przekazał im część posiadłości. Jest pan pewny, że pańscy ludzie będą mieli Galesa na oku?

–Lepiej, niż zrobiłby to pan osobiście. Przeanalizujemy dzisiaj to, co pan wie. A swoich krewnych niech pan jedzie zobaczyć jutro. Gdy pan wróci, przedstawię pełny raport. Omówimy wszelkie nowe kwestie, po czym będzie pan mógł wrócić do domu.

–Brzmi nieźle. – Dahl bardzo chciał zobaczyć stare kąty. Był tam szczęśliwy. Miał nadzieję, że uda mu się odtworzyć dawną atmosferę.

Wieści, na które czekał Bragi, w końcu dotarły z Maisaku. Legion Imperium Grozy, stacjonujący w Gog-Ahlan, zrujnowanym mieście po wschodniej stronie przełęczy Savernake, ruszał w drogę.

–Wychodzimy rano – oświadczył Ragnarson. – Do Maisaku. Gjerdrum spojrzał na niego krzywo. Baron Hardle zapytał:

–Skąd ten pośpiech?

–Nawet szybki jeździec potrzebuje tygodnia, żeby z Gog-Ahlanu dostać się do Baxendali. Chcemy narobić trochę hałasu, gdy jeszcze jest tu ktoś, kto może nas zobaczyć.

–Mam co do tego niedobre przeczucia – powiedział Gjerdrum. – Coś tu śmierdzi.

–Co?

–To tylko przeczucie. Nic, co mógłbym wskazać palcem.

–Przed czy za nami? – Ragnarson odnosił to samo wrażenie, ale intuicja nie podpowiadała

mu, w którą stronę uskoczyć.

–Nie potrafię tego ocenić. Niedawno były te zamieszki. Wieści dotarły szybko, przekazane za pomocą systemu sygnalizacji ogniowej, łączącego Maisak ze stolicą.

–To raczej nie jest problem. Credence to załatwił.

–Może mam te przeczucia dlatego, że jest zbyt wiele zmiennych. Podział na frakcje w domu. Megelin i Norath. Yasmid. Hsung. Mgła. Zbyt wielu ludzi, ciągnących w zbyt wielu kierunkach.

–To możliwe. Jeśli nawet coś jest nie tak, ruszamy jutro. Postaraj się wyglądać wojowniczo, dobra?

Aral pocwałował w kierunku czekającego na niego Michaela. To będzie ich

pierwsza przejażdżka od zamieszek w ubiegłym tygodniu.

–Dawno się nie widzieliśmy – powiedział Michael wesoło.

Aral skrzywił się i zaczął zrzędzić.

–Co się dzieje? Taki piękny dzień. Czy wczorajsza burza bardziej ci odpowiadała?

–Niemal dzisiaj nie spałem.

–Masz wspólnika. Niech prowadzi interes. Zresztą i tak masz pozostać osobą godną szacunku.

–Nie w tym rzecz. Rozmawiałem z paroma przemytnikami. Tymi, którzy wrócili z Throyes, dostarczywszy twoją broń.

–I?

–Mówią, że dojdzie tam do wybuchu. Hsung podjął decyzję. Prze naprzód wbrew rozkazom i zdrowemu rozsądkowi.

–Niewiele możemy na to poradzić, prawda? Skąd więc ta ponura mina?

–Boję się, że król wda się w kolejną szaloną historię.

–Mów dalej.

–On się zmienił. Bez zastanowienia strasznie ryzykuje. Niezachwianie wierzy w swoje szczęście. Podejmuje ryzyko, gdy nie musi. Może królowanie uderzyło mu do głowy.

Michael nie mógł się z tym nie zgodzić.

–Ma skłonność do ignorowania rad, gdy słyszy coś innego, niżby chciał.

–Wyjawię ci coś, Mike. Nasza organizacja nie stawia na niego. Wycofujemy nasze pieniądze z Kavelinu. Nie sądzimy, żeby Bragi długo się utrzymał.

–Dlaczego nie? Wszystko jest pod kontrolą. Wichrzycieli mam namierzonych. Za miesiąc lub coś koło tego... – Nie dokończył. Aral nie musiał wiedzieć o Harishach.

–Mówię, że jeszcze jeden taki zakład i wielu ludzi się od niego odsunie. A o wiele więcej będzie próbowało coś z tego wyciągnąć dla siebie. Musi też przyjmować bardziej realistyczną postawę wobec ludzi. Musi sprawić, żeby chcieli z nim współpracować. Tak właśnie postępował, gdy był marszałkiem.

–Ten bałagan to nie tylko jego wina. Są pewni ludzie, którzy sabotują wszystko, co tylko mogą. Robią wszystko, co najgorsze, żeby ukazać go w niekorzystnym świetle.

–Domyślam się, kim oni są. W mojej części miasta krąży mnóstwo itaskiańskiego złota. Ale ja uważam, że to jego wina. Powinien był to powstrzymać, zanim wymknęło się spod kontroli.

–To po części moja wina, Aral. Już dawno żywiłem pewne podejrzenia. Nie powiedziałem mu o nich. Myślałem, że podejmie jakieś działanie, gdy będzie gotów. Nie chciałem go zranić. Wcześniej stracił niemal wszystkich, którzy coś dla niego znaczyli. To prawdopodobnie część jego problemu. Sublimuje wszystkie uczucia w oddanie Kavelinowi, które staje się patologicznie nierealistyczne.

–Ejże, Michael.

–Co?

–Spójrz namnie. To ja, Aral Dantice, syn człowieka, który dostarczał sprzęt

karawanom. Nie twój kolega z pokoju w Rebsamenie.

Michael roześmiał się.

–Przepraszam.

–Wiem, o czym mówisz, nawet jeśli nie wyrażasz tego słowami, które jest w stanie zrozumieć zwykły śmiertelnik. I prawdopodobnie po części masz rację. Ale tylko po części.

–Cholera, no nie. Już zrobiliśmy kóleczo. A to dzisiaj cały mój wolny czas.

–Przekażesz wiadomość o Hsungu?

–Oczywiście.

–Mikę, mam pewien pomysł.

–Jaki?

–Spotkaj się z królową, cały czas utrzymując ją w strachu.

–Po co?

–Żeby negocjować. Pozwól jej kupić sobie bezpieczeństwo za cenę wyjazdu z Kavelinu.

–Ooo! To niebezpieczne, Aral. Król wpadłby w szal.

–Nawet gdybyście ty, Prataxis i Mundwiller razem się tym zajęli?

–Nie wiem.

–Lepiej zrób coś, zanim czyjeś uderzenie spadnie na nas jak młot. Ponieważ, jak już powiedziałem, mam przeczucie, że Bragi jeszcze raz podejmie niewyobrażalne ryzyko.

–Pomyślę o tym, Aral. Porozmawiam z Prataxisem. Tylko tyle mogę ci obiecać.

To był czysty przypadek. Gales odwiedzał w ministerstwie starego przyjaciela i po prostu wyjrzał przez okno. Zauważył, że ktoś znajomy zmierza w kierunku budynku. – Dahl Haas. Co on tu robi, do diabła?

–Josiah? – zapytał jego przyjaciel.

–Yhm.

–Zrobiłeś się chorobliwie blady.

–Musiałem czymś się struć. – Usiłował być towarzyski, zabawny, zrobić cokolwiek, żeby zyskać na czasie, ale nie bardzo mu się to udawało. Więc po prostu nadużył gościnności i poczekał, aż Haas opuści gmach.

Młody kapitan nie był sam. Towarzyszył mu jeden z najlepszych agentów Itaskii.

–Przestaję cię zanudzać – powiedział Gales do swego gospodarza. – Wyszedł na ulicę najszybciej, jak mógł. Mortin z Greyfellów przebywał w swojej miejskiej willi. Skierował się w tamtą stronę.

Zdał sobie sprawę, że jest śledzony. Uświadomił sobie, że niektóre twarze, które teraz dostrzegł, widział obok siebie od paru dni. Niech go sobie śledzą. Nie robił nic nadzwyczajnego. Nadzwyczajne działania rozpoczną się, gdy dotrze do willi i będzie mógł skorzystać z możliwości Greyfellów.

Jak temu dzieciakowi udało się go wysledzić...? Ważniejsze jednak było to, jak udało mu się zaprzyjaźnić z kimś cieszącym się tutaj dużą przychylnością króla? Ile mu przekazał? Czy operacja „Kavelin” jest zagrożona?

To, jak przypuszczał Gales, było uzależnione od tego, ile powiedziano Haasowi

przed opuszczeniem Vorgrebergu.

Powiniem się tego spodziewać, pomyślał. Powiniem poświęcić więcej uwagi temu, czy jestem śledzony.

Mgła analizowała mapy polowe Ssumy.

–Są uaktualnione?

–Chyba że Hsung jest bystrzejszy, niż sądzimy. Throyeńczycy koncentrują się, by przypuścić atak. Ma jeden legion na pozycji za nimi i drugi powoli zbliżający się od Gog-Ahlanu. On to zrobi.

–Kiedy?

–Jutro? Pojutrze? Niedługo.

–Jakiej reakcji możemy oczekiwać?

–Według jego oceny sytuacji oddziały Ucznia się rozproszą. Spodziewa się niedużej aktywności partyzantów i pewnych kłopotów z wyznawcami Ucznia na terytorium throyeńskim. Oczekuje, że jego aspiranci uporają się z tym w ciągu dwóch tygodni. Zamierza przeć na południe do Souk al Arby, zająć tam pozycje, a potem wdrzeć się na przełęcz Sebil el Selib. Uczeń zostanie pojmany lub ucieknie na zachód, a tam schwytają go siły rojalistów.

–Przypominam sobie, że jego poprzednia ocena sytuacji się nie sprawdziła. Jakie są szanse tym razem?

–Może przeprowadzić swój plan. Nawet wbrew sobie.

Mgła postukała palcem w mapę w miejscu, gdzie w górach M'Hand znajdowała się przełęcz Savernake. Lord Ssuma skinął głową.

–Ragnarson jest w Maisaku z głównymi siłami swojej armii. Tylko na pokaz. Nie ruszy.

Mgła też była tego zdania, ale zapytała:

–Dlaczego?

–Kavelin ma poważne problemy wewnętrzne. Ragnarson nie zmobilizował nikogo z wyjątkiem paru oddziałów milicji na oddalonych obszarach. Gdyby traktował to poważnie, ogłosiłby powszechną mobilizację. Chciałby zabezpieczyć sobie tyły przed wrogami wewnętrznymi.

–Dlaczego robi taki gest? Czy ma to jakiś związek z ludźmi El Munda?

–Musi być jakiś związek. Najwyraźniej nie jest to sojusz. To politycznie nierealne. Ale jakiś rodzaj współpracy. Bo skąd wiedziałby o działaniach lorda Hsunga?

–Od Michaela Trebilcocka. Na swój sposób Michael jest równie niebezpieczny jak Varthlokur. Jest bardzo groźny. Niczego się nie boi. I ma setki przyjaciół w niezwykłych miejscach. Zdaje się wiedzieć o wszystkim.

–Widziałem oceny przygotowane przez ludzi lorda Hsunga i one mówią co innego. Tribilcock cieszy się większą sławą w Kavelinie niż poza granicami. Większość jego wyczynów była możliwa dzięki pomocy Varthlokura. A tą już nie dysponuje.

–Z tego właśnie powodu uważam, że Ragnarson nie zaatakuje. Nie ma już czarodzieja, który by go zabezpieczał.

–Jakie masz plany wobec lorda Hsunga, pani?

–Niech sobie hasa. Niech ściągnie na swoją głowę takie gromy, że Rada jednogłośnie go potępi. Sprawa Matayangi na tyle ich przerażyła, że nie będą tolerować żadnych uchybień w dyscyplinie.

–Jak działania wojenne?

–Dosyć dobrze. Okrążone armie powinny wkrótce paść. Gdy tak się stanie, będziemy mogli przejść do ofensywy.

–Sytuacja nie jest krytyczna?

–Nie. Tylko poważna. Ale może znowu się pogorszyć.

–Damy lordowi jeszcze jeden tydzień, co? Nawet jeśli ruszy naprzód?

–Co najmniej. Może więcej.

W wysokich, dzikich górach zwanych Smoczymi Zębiskami Varthlokkur odwrócił się od lustra, w którym można było zobaczyć wszystko z każdego miejsca na ziemi. Westchnął.

Przewidywał to, ale miał nadzieję, że się pomyli. Teraz ta nadzieja go opuściła.

–Co jest nie tak, Varth? – zapytała Nepanthe.

–Miałem rację. Wilki zamierzają osaczyć Bragiego, chyba że te straszne głupoty, jakie wyczynia, stanowią część planu, którego nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

–Pomożesz mu, prawda?

–Nie pomogę. I nie namawiaj mnie. Zerwaliśmy ze sobą na dobre. Niezależnie od tego, co się zdarzy.

–Ależ z ciebie uparty staruch. A zachowujesz się tak samo głupio jak on.

–Być może. – Właściwie zgadzał się z nią, ale duma nie pozwoliłaby mu zawrzeć pokoju z Ragnarsonem.

Z dołu dobiegały głosy dzieci.

–Lepiej je uspokoję, zanim obudzą Smyrenę – powiedziała Nepanthe.

–Przyślij Ethriana na górę. Popracuję nad nim jeszcze trochę. – Varthlokkur znowu westchnął. Dzieci Mgły go rozpraszały. Czasami żałował, że nie są tak nieobecne, jak stał się Ethrian.

Chłopiec przeżył, ale jego umysł jakby zaniknął. Poruszał się jak we śnie, zdolny sygnalizować tylko najbardziej elementarne potrzeby. Był tak samo bezradny jak jego malutka siostra.

Musi być jakiś sposób, żeby go uwolnić. Cholera, był taki sposób. Gdzieś w tych starych księgach.

Spojrzał w lustro.

–Psiakrew. Tak to właśnie jest. Czy głupcy kiedyś się czegoś nauczą?

Zaskoczony żołnierz zwrócił się do Inger:

–Pani, kapitan Trebilcock chciałby się z panią zobaczyć.

Serce mocno jej zabiło. Trebilcock? Tutaj? O co chodzi? Czy to jakaś sztuczka, żeby podejść na tyle blisko, by ją zabić?

–Jest sam? Powiedział, czego chce?

–Nie, pani. Nie powiedział. Tak, jest sam. I nie jest uzbrojony.

Rozważała możliwość odprawienia go kilkoma aroganckimi słowami. Ale to nie byłoby mądre. Dzięki spotkaniu z nim mogła zyskać na czasie.

A musiała zyskać ten czas. Czas dla Dane'a. Czas na powrót Bragiego z gór. Zwłaszcza o to chodziło. Jego wstawiennictwo stanowiło dla niej jedyną realną szansę.

Być może pojednanie nie było możliwe. Mogła zerwać ze swoją rodziną i starać się na nowo zdobyć jego przychylność. Była matką jego syna.

Nie bądź głupia. Całkowicie zawiodłaś jego zaufanie.

Zerknęła do salonu, do którego żołnierz miała przyprowadzić Trebilcocka, mając nadzieję, zorientuje się w zamiarach Michaela, zanim on ją zobaczy.

Był taki sam jak dawniej, tyle że nie miał broni. Wysoki, blady i zimny, nie znający uczucia strachu. Zastanawiała się nad szalonym pomysłem, by zlecić zabicie go. Zbyt mocno ją przerażał. Był taki sam jak Dane, zwłaszcza jeśli chodzi o brak sumienia.

Zebrała się na odwagę i weszła do komnaty. Wartownicy stanęli na baczność. Michael złożył ukłon. Przestrzegwał zasad ceremoniału należnego jej pozycji.

–Wasza Wysokość. Dobrze pani wygląda. Słyszeliśmy, że była pani chora. – Zachowywał się tak, jakby nie było między nimi żadnej wrogości.

–Wracam do zdrowia. – Czy miała to być gra podwójnych znaczeń i pozorów? Nie. Nie pozwoli na to. – Co pan tutaj robi?

Michael nie odpowiedział tak, jak się spodziewała. Odparł po prostu:

–Mam dla pani propozycję. Sposób przełamania tego impasu i uniknięcia nieprzyjemności, które mogą z niego wyniknąć.

Usiadła i przyjrzała mu się uważnie. Nie zareagował na jej badawcze spojrzenie.

–Wygląda pani na nieszczęśliwą – zauważył. – Zawsze myślałem, że pani najbardziej ujmującą cechą jest zdolność zachowania uśmiechu niezależnie od okoliczności. Zawsze pani tego zazdrościłem. Przykro mi widzieć panią w położeniu tak trudnym, że uśmiech zniknął z pani twarzy.

Zbiło ją to z tropu.

–Wróćmy do pańskiej propozycji.

Trebilcock uśmiechnął się lekko.

–Dobrze. Po pierwsze: rezygnuje pani z praw do tronu Kavelinu. Po drugie: Fulk rzeka się prawa do następstwa tronu. Po trzecie: małżeństwo zostaje unieważnione. Po czwarte: wraca pani do Itaskii, ze wszystkimi swoimi ludźmi, i zapomina o istnieniu Kavelinu. W zamian dopilnujemy, żeby wyjechała pani bezpiecznie, i wypłacimy pani rekompensatę wszelkiego majątek, jaki pani tu nabyła.

–Nie jest to szczególnie ekscytująca propozycja, Michaelu. Musiałabym zrezygnować ze wszystkiego, dla czego żyłam.

–Ale oznacza, że będzie pani żyła.

–Co?

–Krótko mówiąc, Wasza Wysokość, dla pani i Fulka jest to jedyna szansa ujścia stąd z życiem. Nie zniósłbym, gdyby doszło do czegoś innego. Wolałbym później nie słuchać głosu własnego sumienia. Chociaż głupiec ze mnie, to jednak zawsze w moim sercu było szczególne miejsce dla nieosiągalnej damy króla. Nie zniósłbym sytuacji, w której musiałbym dokonywać wyboru między sercem a obowiązkiem.

Inger zerwała się na równe nogi.

–Słucham?

–Ma pani najcudowniejszy uśmiech.

Inger podeszła do najbliższego okna i wyjrzała przez nie, nie widząc jednak dachów i iglic Vorgrebergu. Co to miało znaczyć? Nie byłaby bardziej zdezorientowana, gdyby Derel Prataxis uderzył do niej w konkury. To musi być kłamstwo. Część ich planu.

–Wasza Wysokość – kontynuował Michael – krążyła plotka, że ktoś próbował panią otruć. Zmusiłem doktora Wachtela, żeby mi o tym opowiedział. Niestety, nie udało mi się wykryć osoby, która jest za to odpowiedzialna. Wiem, że narobiła sobie pani wielu wrogów wśród przyjaciół króla. Wiem też, że jeśli ziemianie będą próbowali wywołać kolejne zamieszki, pani życie nie będzie warte złamanego grosza. Ostatnim razem z trudem udało mi się powstrzymać pułkownika Abacę.

Inger odwróciła się od okna i wpatrywała się w Michaela w bezbrzeżnym zdumieniu.

–Pani nieobecność wszystko by uprościła. Stępiłaby pazury ziemianom. Nie mieliby symbolicznego przywódcy, wokół którego mogliby się zorganizować. Rozumie pani? Zatem wolałbym, żeby pani raczej wyjechała cało z Kavelinu, niż tutaj zginęła.

Otworzyła usta, po czym je zamknęła. Cóż mogła powiedzieć?

Michael skierował się w stronę drzwi, ale po chwili się zatrzymał.

–Moi ludzie mogą panią wywieźć. Moglibyśmy udawać, że jest pani tutaj, dopóki nie byłaby pani bezpieczna. Ale jeśli nie spełni pani naszych pozostałych wymagań, będą pani deptać po piętach. Nie jestem jedynym człowiekiem w Vorgrebergu, który ma długie ręce.

Znowu otworzyła usta i zamknęła je.

–Proszę mi szybko dać znać, co pani postanowiła. Dobrze?

Wyszedł. Żołnierz zamknął drzwi. Inger wróciła na swoje krzesło, mając zupełny mętlik w głowie.

Warownia Maisak, która strzegła Kavelinu przed zagrożeniem ze wschodu, była przytulona do górskiego zbocza w najwyższej części przełęczy Savernake. W tym miejscu przełęcz stanowiła kręty kanion o stromych zboczach, a Maisak panował nad całym przebiegającym przez nią ruchem. Sama warownia była niemal niezniszczalna. Jedynie Shinsan zdołał kiedyś ją nadszarpnąć.

Ragnarson zakończył szczegółową inspekcję, którą przeprowadzał z nudów. Gjerdrum i baron Hardle stali obok i kiwnęli potakująco głowami, gdy stwierdził:

–To miejsce jest w pierwszorzędnym stanie. Nie widzę niczego, co wymagałoby ulepszenia.

Dowódca garnizonu pokraśniał z zadowolenia. Ragnarson odwrócił się i popatrzył na kanion. Jego armia obozowała w dole, naprzeciwko pierwszego wschodniego posterunku, który

znajdował się zaledwie kilka mil na wschód od Maisaku. Bragi odczuwał powodującą dreszcze chęć zrobienia czegoś, niemal samobójcze pragnienie parcia naprzód.

Zjawił się posłaniec. Wyglądał blado.

–Sygnał z Vorgrebergu, panie. Od kapitana Trebilcocka.

–No?

–Wojska throyeńskie wdarły się do Hammad al Nakiru. Walki są zażarte. Lord Hsung musiał posłać własne oddziały, żeby wstępnie przełamać linie obrony.

Dreszcz przebiegający skórę Bragiego zamienił się w mrowienie w kościach. Psiakrew! Jego blef nie zadziałał.

–Siedzieliśmy tu na darmo – stwierdził. – Mgła... Mgła... – Nie bardzo wiedział, co o niej powiedzieć. – Hej, posłaniec, czy kapitan Trebilcock powiedział, jak długo szła ta wiadomość?

–Nie, panie.

Bragi ruszył do kanionu. Załóżmy, że Michael otrzymał tę informację od przemytników Arala. To by znaczyło, że wędrowała przez góry wąskimi ścieżkami zwierzyny. Musiała być w drodze co najmniej tydzień. Co znaczy, że Hsung prowadzi atak przynajmniej tyle samo czasu.

–Gjerdrum, wyślij patrol zwiadowczy do tego punktu kontrolnego. Zobacz, jak zareagują.

Gjerdrum wyglądał na zmartwionego.

–Życzysz sobie, panie, żebym się z nimi starł?

–Tak. Naciśnij ich mocno. Chcę zobaczyć, co się stanie. Gjerdrum spojrzał na niego krzywo.

–Ruszaj. Chcę to wiedzieć, zanim zrobi się ciemno.

–Tak, panie. – W głosie Gjerdruma dało się słyszeć napięcie. A twarz barona Hardle'a przybrała dziwny wyraz.

–Nie martwcie się – pocieszał ich Bragi. – Cały czas dochodzi do potyczek granicznych. Nikogo to nie wzrusza.

–Podobno mamy umowę z lordem Hsungiem – powiedział Hardle.

–Podobno. Nie zastosował się do niej. Uwięził pięciuset naszych ludzi.

Powinniśmy czuć się winni?

Hardle nie przestał dziwnie mu się przyglądać. Bragi, poirytowany, poszedł do swojej kwatery. Próbował coś zjeść, zdrzemnąć się, ale nie zdołał zrobić ani jednego, ani drugiego. Miał nerwy napięte jak postronki. Kręcił się niespokojnie.

Wrócił Gjerdrum.

–Posterunek został opuszczony – powiedział. – Byli tam cztery dni temu. Wysłałem zwiadowców w dół kanionu.

–Dobrze. A co o tym myślisz?

–O czym?

–O sytuacji.

–Nie chcę o niej myśleć. Mam złe przeczucia.

–A gdybyśmy znowu ruszyli? Tylko tyle, żeby wkurzyć Hsunga.

–Nie wydaje mi się, żebyś mógł nim wstrząsnąć. On nie dba o to, co ty robisz.

–Nie. Myślę, że uznał, iż blefowałem. Gdybyśmy poszli i zaczęli okupować Gog-Ahlan...

–Panie, on jest zdecydowany. To tervola. Nie zamierza się wycofać. Nie z naszego powodu.

–Prawdopodobnie masz rację. Powinniśmy się zwinąć i ruszyć do domu. Ale, do jasnej cholery, ten człowiek doprowadza mnie do szału. Chciałbym mu dać mocnego kopa w dupę.

–Chyba nie chcesz, żebyśmy mieli go na karku.

–Nie? Już siedzi nam na karku.

W następnym raporcie Michael donosił, że atak Hsunga spowodował aktywność bojówek większą nawet niż oczekiwana przez dowódców Ucznia. Oddziały Yasmid także walczyły z większym uporem, niż się spodziewano.

–Ile czasu upłynie, zanim ruszy Megelin? – zastanawiał się Bragi. – Wtedy Yasmid będzie miała prawdziwe kłopoty. Będzie skakać jak jednonogi strażak. Gjerdrum, posuwaj się dalej w dół przełęcz. Nie zatrzymuj się, dopóki ktoś nie stanie ci na drodze.

–Tak, panie. – Gjerdrum miał kwaśną minę.

–Złapana między tervola a Magdena Noratha... – zamyślił się Bragi. – Nie zazdroszczę jej.

Przełęcz okazała się czysta aż do Gog-Ahlanu.

Michael przysłał kolejną wiadomość. Hsunga powstrzymano. Jego throyeńskie marionetki poniosły poważne straty. Samo Throyes stało w płomieniach. Hsung musiał przenieść swoją kwaterę główną poza miasto. Domagał się posiłków ze swoich legionów w Necremnosie i Argonie.

–To przesądza sprawę – powiedział Bragi. Zwołał swoich kapitanów. – Możemy przechylić szalę. Ruszamy naprzód. Do Throyes.

Rozgorzała głośna i zażarta dyskusja. W końcu Ragnarson położył kres tej debacie, grmiąc:

–Nie pytam! Mówię wam, co zrobimy. Coś takiego jak najazd na Argon na początku Wielkich Wojen Wschodnich. Wymarsz jutro o pierwszym brzasku. Każdego, kto pośle wiadomość do Vorgrebergu, skrócę o głowę. Zrozumiano?

Rezultaty spotkania wywołały gniew i niezadowolenie. Bragi nerwowo obserwował swoich kapitanów. Czy wytrzymają? Lepiej, żeby wytrzymali.

Ależ ten palant Hsung będzie zaskoczony.

Rok 1016 OUIDahl jeszcze raz sprawdził etui na dokumenty, upewnił się, że jego bagaż jest bezpieczny, i wskoczył na siodło. Chciał wiele powiedzieć, ale kontakty międzyludzkie nie były jego najmocniejszą stroną. Powiedział więc tylko:

–Do widzenia, pułkowniku. Dziękuję za wszystko.

–Z Bogiem, chłopcze. Powiedz królowi, że będziemy się starali załatwić to tutaj.

–Dobrze. – Dahl popędził konia. Jeszcze nie świtało. Miał przed oczami Kristen.

Spieszył się do domu.

Do domu? – pomyślał. Zawsze za dom uważałem tę posiadłość. Stare porzekadło mówiło prawdę: „Tam dom twój, gdzie serce twoje”.

Zatopiony we własnych myślach, zastanawiając się, co wyjdzie z jego związku z Kristen, nie zachował czujności. Dopiero gdy zaczął jechać przez tereny rolnicze na południe od Srebrnej Wstążki, nagle uświadomił sobie, że tych trzech mężczyzn trzyma się za nim już od pewnego czasu. Zwiększył tempo. Oni zrobili to samo.

Miał kłopoty.

Co robić? Nie mógł walczyć. Czy uda mu się od nich oderwać? Mało prawdopodobne. Jechali z minimalnym obciążeniem. Jego wierzchowiec był obciążony na długą podróż. Zgubić ich jakoś? Jak? Znajdował się na równinie. Do zalesionych terenów było jeszcze co najmniej piętnaście mil... Z drugiej strony, nie wydawało mu się, żeby bardzo chcieli go dogonić. Po co się spieszyć? Jeśli tylko go śledzili, niech śledzą. Wytrzyma dłużej. Jego koń był niezmordowany. Sam był w najwyższej formie. Mógł jechać, dopóki nie odpadną.

Sensowne rozumowanie. Pewnie by się sprawdziło, gdyby nie gnali go na swoich czekających w lesie współników.

Pułapka zgrabnie się zatrzasnęła. Dahl został otoczony przez jakichś oprychów. Ich kapitanem był Josiah Gales.

Popatrzyli na siebie. Dahl wiedział, że nie było kłamstwa, które mógłby wymyślić, żeby wyjaśnić swoją obecność tutaj. Gales dobrze wiedział, co on robił, podobnie jak on wiedział o Galesie. Westchnął.

–I co teraz, pułkowniku?

–Zobaczysz się z człowiekiem, który chce z tobą porozmawiać.

Haas pokręcił głową, uśmiechnął się blado.

–„Dziewięć kobiet w jeden dzień...”

Gales zmarszczył brwi.

–Nie tutaj, Haas. Tamta gra jest skończona. – Zawrócił wierzchowca. Pozostali poszli

w jego ślady, Dahl został zgrabnie wciśnięty między nich.

Muszę się pozbyć meldunków, pomyślał. Nie mogą wpaść w ich ręce. Zachodził w głowę, jak to zrobić. Nie miał żadnego pomysłu. Nie trafiła się żadna okazja. Jego czujna eskorta stale była blisko.

Zabrali go do małej chaty myśliwskiej. Gales grzecznie poprosił go, żeby wszedł z nim do środka. Dahl postanowił nie robić zamieszania z powodu swoich rzeczy. Wtedy mogliby uznać, że trzeba je przeszukać.

Oczywiście spodziewają się, że coś wiezie. Może ich uwagę odwróci mniejsza torba kurierska, przytroczona z boku.

Gdy przechodził, przyjrzał się chacie. Nie zaprojektowano jej z myślą o tym, że miałyby pełnić funkcje warowni czy więzienia. Gdyby na parę chwil zniknął z oczu tym, którzy go pojмали, mógłby uciec.

Gales zaprowadził go do chudego jak szczapa starca, który zajadał bażanta w małym, wygodnym pokoju obok kuchni.

–Sir Mortinie, to jest kapitan Dahl Haas. Dahl, sir Mortin.

Dahl znał to nazwisko. Podczas swojego pobytu tutaj wiele się dowiedział o rodzinie Greyfellów.

–Dzień dobry panu. Dlaczego kazał pan swoim ludziom mnie zatrzymać?

Mortin uśmiechnął się.

–Możesz pytać, chłopcze, ale po co? Doskonale wiesz dlaczego i wiesz, że ja wiem. Nie bawmy się w ciuciubabkę. Siadaj. – Wskazał nożem krzesło naprzeciwko siebie. – Reeves, przynieś nakrycie dla naszego gościa.

Dahl postanowił na razie współpracować, żeby rozbroić ich swoją uległością.

–Dziękuję, panie, ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego twoi ludzie musieli mnie zatrzymać.

–Młody człowieku! Masz mnie za głupca? Dlatego, że wiesz do Kavelinu pewne informacje.

–Nic, czego król już by nie wiedział. Powstrzymywanie mnie nie ma sensu. Po prostu wracam do domu. Ważne informacje zostały wysłane na południe przez kuriera w dniu, w którym Gales przybył do Itaskii. Został rozpoznany przez ludzi z ministerstwa.

Mortin spojrział na Galesa.

–Josiah?

–To może być prawda, panie. To byłoby nawet rozsądne posunięcie.

–W rzeczy samej, w rzeczy samej. Chłopcze, przez ciebie jestem w rozterce.

–Słucham?

–Najwyraźniej niepotrzebnie zadaliśmy sobie trud, żeby cię schwytać. Ale cię schwytaliśmy. Co więc mamy z tobą zrobić? Śmiało, jedz, bardzo smaczna potrawa. Inaczej się zmarnuje.

Zastanówmy się więc. Zakładając, że kurier rzeczywiście wyjechał, nie masz dla nas znaczenia. Nie mamy z ciebie żadnego pożytku, a twoja wartość dla naszych wrogów jest niewystarczająca, żeby opłacało się ciebie zabić. Jednak pomysł, żeby puścić cię wolno, działa mi na nerwy. Josiah? Masz jakąś propozycję?

–No cóż, sir, moglibyśmy spróbować przeciągnąć go na naszą stronę.

Dahl był zdumiony. Zapragnął rzucić jakieś aroganckie przekleństwo. Zdrowy rozsądek sprawił, że trzymał gębę na kłódkę.

–Dlaczego o tym nie pomyślałem? Któż może być bardziej użyteczny niż będący na naszej liście płac adiutant króla? Jest jednak pewien problem. Z tego, co mi mówiłeś o tym młodzieńcu, będziemy musieli mieć na niego jakiś haczyk. Nie przejdzie na naszą stronę dla pieniędzy, a już z pewnością nie z miłości do naszego

księcia czy królowej Inger. Gales uśmiechnął się.

–Nie. Ale będziemy mieli czas zastanowić się nad tym po drodze, nie sądzisz?

Dahl spojrział na niego ostro, z ust zwiślał mu kawałek bażanciego mięsa.

–Ach, tak, Dahl. Zmierzamy do Kavelinu. Ta banda i dużo więcej, jak z pewnością się zorientowałaś, przebywając tutaj. Z innego powodu niż ten puścić cię nie możemy. Sir Mortinie?

–Zdecydowanie nie. Jego kurier nie mógł o tym wiedzieć. No cóż, synu, będziemy musieli cię ze sobą zabrać. Będę grzecznym gospodarzem, póki ty będziesz grzecznym gościem. Ale nie mogę ręczyć za twoje zdrowie, jeśli zrobisz coś głupiego. Musimy dbać o swoje bezpieczeństwo. Josiah, myślę, że najlepiej będzie trzymać go w spiżarni.

–Tak, panie. Zamknę cię, gdy skończysz jeść, Dahl.

Haas jechał wolno. W głowie kłębiły mu się myśli. Wydawało się, że jego życie nie jest bezpośrednio zagrożone. Ale szanse na ucieczkę z dokumentami oraz na ostrzeżenie króla, że cały ten przeklęty klan Greyfellów jest gotów na niego uderzyć, były mizerne.

Zastanawiał się, co robiono w ministerstwie. Czy już się połapali? Czy ktoś będzie za nimi jechał?

Wyglądało na to, że nadszedł czas na modlitwę.

Rok 1016 OUI Michael patrzył, jak Credence Abaca, utykając, wchodzi do jego gabinetu. Pochylił się do Arala.

–Wygląda na to, że to utykanie zostanie mu już na dobre.

–Słyszałem, że pocięli go dosyć mocno – szepnął Aral.

–Siadaj, Credence. Derel powinien się tu zjawić w każdej chwili. – Michael przypatrywał się Abace. Może powinni wezwać z powrotem Liakopulosa z Karak Strabergu, gdzie szkolił tegorocznych rekrutów. Rany Credence'a goiły się bardzo wolno. Być może stał się z zatrutym ostrzem tervola.

Mogą potrzebować dowódcy garnizonu, który będzie w stanie szybko się poruszać. Liakopulos mógłby przekazać swoich rekrutów komuś innemu.

Wszedł Derel. Wyglądał na wyczerpanego.

–Ciężki dzień w Zgromadzeniu. Ziemianie znowu próbują zablokować ustawę o broni. Ledwo ich przegłosowaliśmy. Mundwiller niemal dostał ataku apopleksji. Dwóch jego ludzi go opuściło. Musieliśmy ściągnąć tutaj Hardle'a, żeby pokazać Nordmenom ich miejsce w szeregu.

Ustawa o broni nadawała wolnym ludziom prawo do posiadania i noszenia broni, a zarazem zobowiązywała ich do tego. Był to najskuteczniejszy sposób ograniczenia władzy szlachty, która już nie odważyła się poniewierać swoimi dzierżawcami. Inne prawo wprowadzone w życie w mniej więcej tym samym czasie praktycznie wyeliminowało poddaństwo, uwalniając chłopów od przywiązania do ziemi, którą uprawiali. Teraz mogli opuścić niesprawiedliwego pana lennego. Także i to prawo nie cieszyło się popularnością wśród ziemian.

Prataxis rozsiadł się na krześle.

–Co tam nowego, Michael? Twoja wiadomość brzmiała rozpaczliwie.

–Możliwe. Czy Cham przyjdzie?

–Nie. Planuje jutrzejszy kontratak. Chociaż ślania się na nogach. Jeśli król szybko nie wróci... O co chodzi? Wyglądasz na przygnębionego.

–Niech Aral ci powie. Po to właśnie tu jest.

Dantice chrząkał i jąkał się. Czuł się nieswojo.

–No, dalej – powiedział Michael. – Po prostu powiedz im to samo co mnie.

–Ta wiadomość przyszła dziś po południu – zaczął Aral. – Od przyjaciela, który dopiero co wrócił z Throyes.

–Zaczynałem się już martwić – powiedział Derel. – Od tak dawna nie mieliśmy żadnych wieści.

–Są ku temu powody – stwierdził Michael. – Mów, Aral.

–Hsung został zamordowany.

–Co? Bojownicy? – Prataxis był zszokowany. Jak zamachowiec mógł dotrzeć do lorda Hsunga?

–Nie. Zrobili to jego ludzie – powiedział Aral. – Nie znam zbyt wielu szczegółów. Wiem tylko, że go zabito, a jego miejsce zajął inny tervola. Przysłany przez Mglę.

–Co oznacza, że to ona stała za zamachem – wtrącił Michael.

Prataxis skinął głową.

–Lord Hsung za bardzo się wychylał. Jestem jednak zaskoczony, że Rada wyraziła zgodę na tak radykalne posunięcia.

–To wszystko jest bardzo ciekawe – powiedział Abaca. – Ale dlaczego tak panikujecie? Ten tervola czy tamten, co za różnica?

–Ten wstrzymał inwazję na Hammad al Nakir – powiedział Aral. – Kazał żołnierzom zatrzymać się i nie walczyć, chyba że zostaną zaatakowani. Próbuje negocjować z Yasmid, mając nadzieję, że ona zgodzi się na zawarcie pokoju.

–A ona się zgodzi – wyraził swoje zdanie Michael. – Wiadomość, którą dostałem z Al Rhemish, również dzięki uprzejmości naszego przyjaciela Arala, mówi, że Megelin wysłał Rahmana, Noratha i pięć tysięcy żołnierzy, żeby zaatakowali Sebil el Selib.

–No to walki się skończyły. I co z tego? – zapytał Abaca.

–To, że od ośmiu dni nie mamy kontaktu z królem – odparł Prataxis. – Czy tak, Michael?

–Właśnie tak. Gdy wysyłam wiadomość do Maisaku, dostaję jakieś wymijające odpowiedzi. Nic bezpośrednio od króla. Przepytalem Liakopulosa. On też nic nie wie. A to sugeruje, że król dostał kręcka i ruszył na Gog-Ahlan. Może nawet postanowił uderzyć na tyły Hsunga.

–Mamy kłopoty – powiedział Prataxis.

–Być może wielkie kłopoty – zgodził się Aral. – Już krążą plotki, że król poszedł na wschód. W tej chwili to tylko bzdura rozpowszechniana przez ziemian, ale za kilka dni ludzie zaczną zadawać poważne pytania. A my nie będziemy mieli odpowiedzi. Michael, mówiłem ci, że Bragi znowu cholernie zaryzykuje.

Trebilcock przymknął oczy.

–Natychmiast przesłałem wiadomość Arala do Maisaku. Zażądałem bezpośrednio odpowiedzi od króla. Potwierdzili przyjęcie. Nic więcej nie usłyszałem. Modłę się, żeby coś od niego dostać. Jeśli jednak nie nastąpi to dosyć szybko, przyjmę, że przekroczył przełęcz.

–Głupi – mruknął Abaca. – Głupi, głupi, głupi. Lepiej wezwę posiłki.

–Lepiej ostrzeż garnizony w Damhorst, Breidenbachu, Forsbergu i Sedlmayr – zasugerował Prataxis. – Jeśli będą kłopoty, to będą szybko szerzyć się od miasta do miasta. Zalecałbym powszechną mobilizację. Michael, zrób też coś z Kristen.

–Rozumiem, że wszyscy spodziewamy się najgorszego? – zapytał Michael.

–Może nie tyle spodziewamy się najgorszego – odparł Prataxis – co przygotowujemy się na taką ewentualność. Bądźmy na to gotowi. Cholera. Szkoda, że nie możemy posłać Zgromadzenia do domu. Rozproszyć ich, żeby dłużej musieli planować swoje świństwa.

–Zabierajmy się do tego – powiedział Michael. – Być może nie zostało nam dużo czasu.

–Zaczynam się zastanawiać – narzekał Abaca – czy to jeszcze w ogóle ma sens. Wydaje się, że wcale nie posuwamy się do przodu.

–Słyszałem to – odparł Derel i ciężkim krokiem wyszedł z pokoju.

–Czasami też mam takie wrażenie, Credence – warknął Michael. – Tak jak teraz. Inger zebrała tych spośród swoich ludzi, którzy uczestniczyli w rodzinnym spisku.

Była gotowa przyjąć ofertę Michaela.

–Czy ktoś ma mi coś do powiedzenia? – Wiedzieli, co chodzi jej po głowie. Ludzie króla przypuścili brutalny atak psychologiczny. – Trebilcock prosił mnie o spotkanie jutro. Chce usłyszeć odpowiedź. Ja jestem w zasadzie zdecydowana. Karl?

–Jeśli możesz, pani, zwlekaj. W końcu udało nam się nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym. Ziemianie mówią, że powinnaś zostać. Być może Ragnarsona poniosło i przekroczył przełęcz. Dowiedzmy się, czy to prawda. To może być ten tak potrzebny nam przełom.

–To pogłoski, prawda? – zapytała Inger. – Z jakiego źródła? Ziemianie? Czy też ktoś taki, że prawdopodobieństwo, iż to wymyślił, jest mniejsze?

–Nie wiem na pewno. Rozsiewają je agenci ziemian, ale twierdzą, że zasłyszeli je na ulicy. Znasz króla najlepiej z nas wszystkich. Czy mógłby tak sobie wyruszyć?

–Tak i nie. Mógłby zrobić coś takiego. Postępował tak już wcześniej. Ale nie w obecnej sytuacji. Podczas najazdu na Argon miał ze sobą połowę czarodziejów zachodu. Teraz nie ma żadnego, a stoi naprzeciwko jednego z tuzina najlepszych tervola Shinsanu. Bragi nie zaatakowały w takich okolicznościach. Nie zrobiłby tego – stwierdziła ostatecznie. – Mógłby pozwolić wszystkim uważać, że tak robi. W ten sposób sprawdziliby, co byśmy zrobili, gdybyśmy myśleli, że gdzieś daleko wpakował się w jakieś szaleństwo. Nie. Jest na przełęczy, gdzie nikt nie może zobaczyć, co robi. Czeka, analizuje informacje. W odpowiedniej chwili spadnie jak orzeł. A każdy, kto był na tyle głupi, że uwierzył w plotki i próbował z tego wyciągnąć jakieś korzyści, zostanie schwytyany jak nieszczęsny zając.

Jej doradcy zamyśliłi się. Jeden z nich zauważył:

–Dziś rano Abaca rozkazał postawić nową szubienicę. Wielką. Może to znaczyć, że czegoś się spodziewa.

Inger poczuła ucisk w żołądku.

–Ziemianie nie planują następnych zamieszek?

–Nie. Ostatnio poszło tak źle...

–Upewnij się. Trebilcock powiedział, że następne rozruchy oznaczają naszą śmierć. Abaca być może buduje tę szubienicę dla nas.

–Abaca wysłał też tajne rozkazy do wszystkich ważniejszych ośrodków dowodzenia – dodał ten sam człowiek. – Wezwał niektóre oddziały do Vorgrebergu. On musi wiedzieć, co się dzieje.

–Wygląda na to – powiedział ktoś inny – że on uczestniczy w tych poczynaniach króla, o których mówiła królowa. Ten zgred siedzi sobie i śmieje się z nas. Jak do tej pory nie mógł nic zrobić, bo wszystko stawiałoby go w złym świetle. Ale jeśli teraz my zrobimy cokolwiek, będzie to wyglądało na zdradę. Nikt nie będzie się specjalnie skarżył, jeśli coś się nam stanie.

–Jest mnóstwo ludzi, którzy będą z tej okazji wiwatować – powiedziała Inger. Mnóstwo, którym nie podoba się, że w pałacu jest tak wielu cudzoziemców. Lubią nas mniej niż mego męża.

–To prowadzi do pytania, na które nigdy nie została udzielona zadowolająca odpowiedź, pani. Co z nim zrobimy? Zakładając, że w ogóle uda się nam przejąć

władzę?

–To kwestia sporna. – I wolę jej unikać, pomyślała Inger. – Przejęcie przez nas władzy nie jest już nawet mrzonką. Teraz chodzi tylko o to, by przeżyć. Musimy postanowić, co mam jutro odpowiedzieć Trebilcockowi.

–Z wódź go.

–Zbyj go.

–A jeśli nie da się zwodzić? – Nie chciała tego robić. Miała dość tego ponurego, małego królestwa z tą jego zarazą samolubnej szlachty, miała dość roli, jaką narzuciła jej rodzina. Miała dość strachu i ciągłego niebezpieczeństwa. Była zdecydowana spełnić warunki postawione przez Michaela. Chciała po prostu wyjechać, wrócić do domu, żeby wychowywać syna i uwolnić się od zmiennych kolei polityki.

Pragnęła odjechać w sposób opisany przez Bragiego, przejść do historii, pozostawiając koronę Kavelinu komuś, kto jej pragnie. Może powinna była zaproponować, że odjedzie razem z nim. To mogłoby być interesujące, żyć z nim tak, jak żyła jego pierwsza żona: codziennie uczciwie walczyć o uczciwą zapłatę...

–Pani?

–Tak? Przepraszam. Śniłam na jawie. Dobrze. Spróbuję go zwodzić. Tymczasem dowiedzcie się, co się dzieje. Spróbujcie ponownie skontaktować się z ziemianami. Gdyby było coś, co powinnam wiedzieć, powiedzcie mi o tym, zanim zjawi się Trebilcock. Teraz idźcie sobie. Muszę pomyśleć.

Tak naprawdę potrzebowała tylko czasu, nie tyle na myślenie, ile na opłakiwanie wszystkiego, co mogłoby się wydarzyć, wszystkiego, o czym marzyła w ciągu kilku godzin pomiędzy oświadczeniami Bragiego a udaniem się do Dane'a po radę.

Marzenia umierają powoli.

Ragnarson dał sygnał. Kompania lekkiej kawalerii ruszyła naprzód, przemknęła z boczem wzgórza, pomknęła ku budynkom ośrodka handlowego zbudowanego obok ruin Gog-Ahlanu.

–Bębny! – krzyknął. – Takt na dwa, naprzód.

Bębny zawarczały. Żołnierze podchwycili rytm i ruszyli szybkim marszem. Ciężka kawaleria toczyła się po obu flankach.

–Dobrze wyglądają – powiedział Ragnarson do barona Hardle'a. – Naprawdę bardzo dobrze.

–Mają dobrych dowódców – odparł kwaśno Hardle. – I wierzą w swojego najwyższego zwierzchnika.

Ragnarson zmarszczył brwi. Hardle był gorszy od Gjerdruma. Ale musiał oddać mu sprawiedliwość: nie sabotował niczego. Wypełniał swoje zadania najlepiej jak umiał.

–Zabieraj swoich ludzi. Septien! – krzyknął na dowódcę zwiadowców Marena Dimura. – Ruszaj. Jeśli ktoś się prześlizgnie, obedrę cię ze skóry.

Zwiadowcy pogalopowali, żeby zablokować drogę do Throyes. Mieli zatrzymać każdego, kto umknie lekkiej kawalerii.

Ragnarson spał wierzchowca ostrogami, popędził na czoło kolumny. Objechał

zobocze wzgórze i rozejrzył się po równinie, na której znajdowały się ruiny.

Nic tam nie było. Przynajmniej w porównaniu z tym, co się tam znajdowało, gdy ostatnio tędy przejeżdżał. Obecna miejscina była wtedy prawdziwym miastem, tętniącym życiem, barwnym i pełnym zaułków. Teraz pozostał z niego tylko regularny geometryczny plan. Miasto koszar, poza nimi po jednej stronie stało tylko kilka niestandardowych budynków. Koszary i otaczający je niski mur obronny wyglądały, jakby zbudowano je z kamienia odzyskanego z ruin.

–To ma sens – mruknął. – Wykorzystuje się materiał, który jest pod ręką. A dlaczego mieliby tu zostać kupcy, skoro handel zmarł?

Ragnarson zwrócił się w stronę trębacza, skinął mu ręką i popędził w kierunku miasta. Był pewien, że będzie zupełnie opuszczone. Tyle wysiłku poszło na marne. Ale przyda się żołnierzom. Będą przyzwyczajeni do marszu, gdy przyjdzie na to pora.

Lekka konnica była już niemal w koszarach, skrzydła zachodziły, żeby otoczyć budynki, gdy wśród walących się cywilnych zabudowań po prawej stronie pojawił się samotny jeździec. Wprowadził konia w galop. Szwadron jeźdźców zawrócił i popędził za nim. Ragnarson uczynił to samo. Znajdujący się dalej Septien także zawrócił, gdy zauważył, co się dzieje.

Mężczyzna usiłował skręcić w jedną stronę, w drugą, po czym zrozumiał, że ucieczka jest niemożliwa. Zatrzymał się i czekał. Po paru chwilach był otoczony.

Bragi wyhamował i obejrzał go od stóp do głów.

–Throyeńczyk. Czy ktoś mówi jego językiem? – Większość Kavelińczyków знаła kilka języków, chociażby dlatego, że w samym Kavelinie posługiwano się czterema. Wielu mówiło jeszcze językiem tego czy innego partnera handlowego królestwa. Najważniejszym z nich było Throyes.

–Ja, panie – powiedział jeden z żołnierzy, a kolejny podniósł rękę.

–Przepytaj go. Pytaj o sprawy, które mogą nas interesować.

Żołnierze zapytali, kiedy wycofano legion, dokąd odeszli cywile, co on sam tu robi. Zapytali o okoliczne tereny i o to, czy jakieś wojska stacjonowały między Gog-Ahlanem a Throyes. Od czasu do czasu Bragi podrzucił dodatkowe pytania. Więzień był niezbyt skłonny do współpracy.

Zostawiono go tutaj, żeby obserwował przełęcz. Z tego, co wiedział, między Gog-Ahlanem a Throyes nie było żadnych oddziałów zbrojnych.

–Sprawy przybrały bardzo zły obrót – powiedział. – El Murid ma nowego generała. Lepszego niż Bicz Boży, tak twierdzą starzy ludzie. Wiem, że przegraliśmy parę dużych bitew. Oni posyłają do boju każdego bez względu na wiek.

Ragnarson wymienił spojrzenia z Hardle'em i Gjerdrumem.

–Mają lepszego dowódcę od Bicza Bożego, hę? – mruknął Bragi.

–Musi być lepszy – powiedział Hardle – skoro tak się opiera wszystkim siłom, które rzucił lord Hsung.

A Gjerdrum dodał:

–Myślisz, że Habibullah przeholował w kwestii słabości Yasmid?

–Nie. On wierzył w to, co mówi. Ci ludzie są dziwni. Będą walczyć jak diabły dla przywódcy, w którego wierzą. Jesteś za młody, żeby pamiętać, co wyczyniali Nassef

i el Kader. Niech baron ci kiedyś opowie. Do cholery, oni podbili niemal cały świat.

Armia rozbiła obóz trzydzieści mil na południowy wschód od Gog-Ahlan.

Ragnarson trzymał swoich kapitanów na nogach do późna. To jego szukanie dziury w całym wyraźnie wskazywało, że nie był pewien, czy postępuje słusznie. Wysławszy pozostałych na spoczynek, sam poszedł na spacer wokół obozu.

Noc była chłodna, zapowiadała nadejście jesieni. Na czarnym aksamicie nieba gwiazdy świeciły jasno i zimno. W obozie panował porządek, a ogniska, na których gotowano strawę, były małe i osłonięte przed przypadkowym, odległym okiem.

To są dobrzy żołnierze, myślał Bragi. Najlepsi, jakich kiedykolwiek prowadziłem. Doskonale wyszkoleni, zdyscyplinowani i umotywowani. Gdyby nie czary, mogliby spokojnie stawić czoło Shinsanowi.

Co się ze mną dzieje? Dlaczego wątpię w siebie?

Dlaczego to robię? Logika przemawia przeciwko temu, o czym przypominają mi każdym spojrzeniem Gjerdrum i Hardle. Nawet jeśli faktycznie uderzę i dokonam największego wyczynu

w swoim życiu, co tak naprawdę zyskam? Co mnie do tego popycha? Dlaczego muszę to zrobić? Bo tak źle dzieje się w kraju? Czy próbuję zrównoważyć swoje niepowodzenia w roli króla sukcesem w tym jednym, co umiem robić dobrze?

Zatrzymał się w najbardziej na południe wysuniętym punkcie obozu, popatrzył w kierunku Throyes. Jego intuicja nic mu nie podpowiadała. Zamiast tego opadły go duchy przeszłości. Wspominał utraconych przyjaciół i ludzi, których kochał, triumfy i klęski, czasy dobre i złe.

–Jestem tutaj, ponieważ nie znam niczego lepszego – wyszeptał. – Albo pędziłem do walki, albo przed nią uciekałem, odkąd skończyłem piętnaście lat. Ten pokój od zakończenia wojen jest najdłuższy, jakiego w życiu zaznałem. Może pomoc, której udzieliłem Mgle, przebudziła coś we mnie.

Na niebie zatoczyła łuk spadająca gwiazda.

–Życie człowieka. Jedna jasna chwila w ciemności. Czy ja pragnę efektownego zejścia ze sceny?

Właściwie ta wyprawa ma cechy samobójstwa. Hsung może sobie być renegatem przeciwstawiającym się swojej księżniczce, ale jest tervola. Gdyby jego oddziały zostały rozbite lub gdyby postawiono go w trudnej sytuacji, jego bracia byłiby o wiele bardziej rozsierzeni, o wiele bardziej zdeterminowani, żeby wyrównać rachunki... Ragnarson podskoczył.

–Panie?

–Zaskoczyłeś mnie, żołnierzu.

–Nie miałem takiego zamiaru, panie. Zachowywałem się cicho, bo sądziłem, że rozmyślasz o czymś ważnym.

Bragi zachichotał.

–Któż to może wiedzieć?

Żołnierz zasalutował i chciał odejść.

–Zaczekaj chwilę.

–Tak, panie?

–Co ty o tym myślisz?

–O czym, panie?

–O marszu na Throyes. Co myślisz? Co myślą szeregowi żołnierze? Tylko szczerze. Sam kiedyś byłem żołnierzem.

–No cóż, panie, nie sędzę, żeby ktokolwiek się z tego cieszył. Nikt nic nie rozumie. Ale większość uważa, że ty, panie, wiesz, co robisz, i że to musi być ważne, bo inaczej nie byłoby nas tutaj.

Ciekawe, pomyślał Bragi. Ciągłe mi ufają.

–Nie ma tak dużo narzekań i zgadywania? – Zwykle każdy żołnierz był generałem, uważając, że wie lepiej niż jego przełożeni.

–Nie, panie. Jak powiedziałem, ludzie się zastanawiają dlaczego, ale psioczą tylko na jedzenie.

–Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Dzięki, synu. Rób dalej obchód. –
Ponownie utkwiał wzrok w odległym Throyes.

Cztery dni, pomyślał. Trudny, szybki marsz. Do miasta. Zdobyć kwaterę główną Hsunga. Zmieść z powierzchni ziemi jego marionetki. Dać prozachodnim i wiernym Throyeńczykom szansę, by się zorganizowali, a potem pomknąć z powrotem do domu.

Mam nadzieję, że weźmiemy Hsunga żywcem... Powinniśmy umieścić go w zoo i sprzedawać bilety.

Cztery dni. Czy nie puszczą mi nerwy?

Dzień wstał rześki. Bragi wypadł z namiotu i wykonał kilka podskoków.

–Co to jest? – krzyknął do swojego kucharza. – Pachnie piekielnie dobrze. – Czuł się znakomicie. Wyspał się doskonale, nie męczyły go żadne sny. To był jeden z takich poranków, kiedy wydawało się, że wszystko jest w porządku, kiedy czuł się gotów rzucić świat na kolana.

Przeszedł za namiot, który stał na szczycie pagórka, i popatrzył w stronę Throyes. Nie może być dalej niż sześćdziesiąt mil, pomyślał. Ostry marsz dzisiaj, porządny wypoczynek w nocy i uderzenie jutro.

Pójdzie dobrze. Wiedział to. Całe to zastanawianie się i zamartwianie było niepotrzebne. Throyes łatwo się podda. Gdyby poszło wystarczająco dobrze, mógłby pomaszerować szybko na południe, pomóc Yasmid zapędzić armię Hsunga do jakiejś dziury i zniszczyć ją.

Czy to przysporzyłoby tervola siwych włosów? Kolejne legiony od niechcienia rozbite przez ich „zachodnią zmorę”? Ha! A Mgła? Bardzo chciałby zobaczyć jej minę, gdy się o tym dowie. Będzie miała za swoje, że nie trzymała Hsunga na krótszej smyczy.

Był pewny, że Hsung nie miał pozwolenia Mgły. Musiała mieć trudności z pokazaniem temu tervola jego miejsca w szeregu. Szlachta mogła się burzyć, o czym sam wiedział aż za dobrze.

–Dzień dobry, baronie – powiedział wesoło, gdy podszedł do niego Hardle. – Czyż to nie cudowny dzień?

Hardle uśmiechnął się.

–W rzeczy samej, panie. Jest coś magicznego w powietrzu, prawda?

–Nie wiem, czy to magia, ale czuję się wspaniale. Mam nadzieję, że nie dotyczy to tylko pana i mnie.

Rzeczywiście, to uczucie udzieliło się wszystkim, mimo że nerwy powinni mieć napięte jak postronki. Ale są takie poranki, gdy wszystko wydaje się doskonałe, a świat jawi się jako piękne miejsce wszystkim z wyjątkiem tych, którzy mają najbardziej zgorzkniałe serca.

Nawet Gjerdrum był wesół. Nie uśmiechał się, odkąd wyruszyli z Maisaku. Na osobności

powiedział Ragnarsonowi:

–Zastanawiałem się, Bragi. Możesz mieć rację w tej sprawie. Może nam się to udać. A jeśli tak się stanie, będzie to wyczyn, którego potrzebujemy. Możemy mieć Shinsan z głowy do końca naszego życia. Może to być uderzenie, które uciszy naszych wrogów w kraju. A oni nie mogą czekać całe życie. Jedynie starzy Nordmeni chcą się nas pozbyć. Nie będzie wielu, którzy mogliby ich zastąpić, gdy oni powymierają.

Bragi poklepał Gjerdruma po ramieniu.

–Teraz zaczynasz rozumieć. Wyglądało to na wielkie ryzyko, gdy zaczynaliśmy, ale teraz uważam, że damy radę. Z czarodziejem czy bez. – Od wielu dni spoglądał przez ramię, spodziewając się, że ujrzy Varthlokkura. Zakładał, że czarodziej ugnie się, zanim armia dotrze do Throyes.

–Myślisz, że się pokaże?

–Jestem tego pewien. Jest uparty, więc najpierw zmusi mnie, żebym się pomartwił, ale będzie tutaj na czas.

Po śniadaniu Ragnarson wydał rozkaz wymarszu. Swoich zwiadowców posłał daleko naprzód. Niedługo powinni natknąć się na najodleglejsze zagrody i dwory otaczające Throyes. Znajdowali się teraz tylko siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt mil od morza. Opady deszczu, chociaż skąpe, pozwalały na uprawę niektórych zbóż.

Nocny chłód szybko mijał. Dzień okazał się ciepły, ale upału nie było. Bezchmurne niebo miało nieprawdopodobnie błękitny odcień. Bragiego ciągle zdumiewała wspaniałość otaczającego go świata. Mijały godziny.

–Spójrz tam, Klaus – powiedział do jednego z członków swojej ochrony osobistej. – Na tego ptaka. To mewa. Przejdziemy przez ten łańcuch wzgórz i, o ile powietrze nadal będzie tak czyste, będziesz mógł zobaczyć morze.

Zbliżyli się do wzgórz. Były to zaokrąglone pagórki, bardzo stare, pokryte uschniętą trawą, która nadawała im płową barwę. Na wschodzie rozciągał się długi, czarny pas ziemi, gdzie kiedyś szalał pożar.

–Tam, panie! – krzyknął jakiś szeregowiec, wskazując ręką kierunek. – Zbliżają się jeźdźcy z awangardy.

Bragi stanął w strzemionach i obserwował zbliżających się zwiadowców. Nie spieszyli się. Rutynowy raport. Usiadł i popędził wierzchowca naprzód.

–Panie – powiedział jeden z nich – natknęliśmy się na mały posterunek obserwacyjny. – Wskazał wzgórze położone nieco z boku trasy ich przemarszu. –

Widać z niego większą część równiny. Nie był obsadzony, ale za wzniesieniem stacjonuje garnizon w forcie zbudowanym z suszonej na słońcu cegły. Jak się zorientowaliśmy, mniej więcej dwudziestu ludzi. Shinsanie. Zachowywali się, jakby nie zdawali sobie sprawy z tego, że tutaj jesteśmy.

–Mhm – chrząknął Bragi. Obejrzał się za siebie. Kolumna wznosiła tumany pyłu. – Czy to jest to samotne wzniesienie, trochę oddalone od reszty łańcucha?

–Tak, panie.

–Widziałeś tam jakichś terwola lub aspirantów?

–Ani śladu, panie.

–Zostawiłeś kogoś, żeby ich obserwował? Ale tak, żeby trzymał się z dala od tamtego wzniesienia?

–Tak, panie.

–Dobrze. Posłaniec, daj mi tu kapitana Tompkina. – Po czym Bragi znowu zwrócił się do zwiadowcy: – Ten fort jest mocny? Są jakieś podstawy, by przypuszczać, że nie zdobędzie go lekka konnica?

–To nie jest tak naprawdę fort, panie. Bardziej przypomina solidny ceglany budynek otoczony murem wysokości czterech stóp. Brama jest wyłamana z zawiasów.

–Nieźle. Pokaż Tompkinowi, gdzie to jest. Niech się przyjrzy ze szczytu wzniesienia i zdecyduje, w jaki sposób najlepiej go zdobyć.

Atak przebiegł gładko. Wrócił Tompkin, żeby donieść, że osiemnastoosobowy garnizon, wzięty przez zaskoczenie, walczył dzielnie, ale na próżno.

–Powinni być w stanie gotowości – powiedział Bragi. – Gdy toczy się wojna, trzeba obserwować tyły z równą uwagą jak front.

Po południu oddziały zaczęły omijać wzniesienia. Bragi nadal był w radosnym nastroju. Dwadzieścia mil wzniesieniami i dziesięć równiną i zaczęły się dobijać do bram Throyes. Dziś w nocy rozbiją obóz na wzniesieniach, a rano uderzą.

–Panie.

Bragi spojrział w kierunku, który wskazywał żołnierz, na lewo za nimi. Zwiadowcy zbliżali się szybko. Za nimi podążała eskorta.

–To nie wygląda dobrze. Wstrzymaj kolumnę. Trąbki, sygnał wzywający do mnie dowódców.

Pierwszy przyjechał Gjerdrum.

–Jedź na to wzniesienie i wypatrz, co się da – polecił mu Bragi.

Rycerz zawrócił konia i już go nie było. Pięć minut później przyjechali zwiadowcy na spienionych, zgonionych i potykających się koniach. Ich dowódca zeskokczył z wierzchowca i zaczął mówić coś podniesionym głosem w języku Marena Dimura.

–Poczekaj, synu. Trochę wolniej. Nie mogę cię zrozumieć, gdy mówisz tak szybko.

Żołnierz miotał się w różne strony i coś wskazywał. Bragi nadal nie wiedział, co on mówi, ale to, czego się domyślał, było wystarczająco jasne. Pojawiły się jakieś kłopoty.

Podjechał kapitan Septien, wysłuchał zwiadowcy i twarz mu poszarzała.

–Panie – powiedział – w naszym kierunku zmierza shinsańska kohorta.

–Widzieli nas?

Dowódca zwiadowców zapytał swego podwładnego i wysłuchał odpowiedzi.

–On nie wie.

–W porządku. Niech to wszystko diabli porwą. Baronie, obejmujesz dowództwo.

Tylna eskorta do przodu. Poprowadź kolumnę za wzgórze. Ja idę na górę się rozejrzeć. Ty, ty i ty. – Wskazał posłańców. – Chodźcie ze mną.

W połowie drogi na szczyt wzgórza spotkał Gjerdruma. Generał twarz miał jeszcze bardziej poszarzałą niż Septien.

–Co to jest?

Gjerdrum przełknął ślinę i powiedział:

–Lepiej będzie, jeśli sam to zobaczysz.

–Niedobrze, co?

–Tak.

Bragi wspiął się do posterunku obserwacyjnego. Zwiadowca miał rację. Pięciuset lub sześciuset żołnierzy stanowiło ciemną plamę poruszającą się w ich kierunku. Drobiazg, naprawdę, tyle że... była to tylko jedna z czterech „plam” nadciągających z różnych stron.

–Gjerdrum, myślisz, że jest ich więcej?

–Tak. Na wzgórzach. Tam właśnie bym ich ustawił.

–Słusznie. Zapewne nie ma wątpliwości, że wiedzą, iż tu jesteśmy? Że nas ścigają?

–Ja nie mam.

–Skąd się dowiedzieli? I skąd przybyli? Mieli walczyć na południu.

–Co robimy?

–Nasza przewaga polega na zwartości. Oni są rozproszeni. Zejdź na dół, weź kawalerię i zetrzyj z powierzchni ziemi... tamtą bandę. Oni są najbliżej. – Żołnierze Imperium Grozy rzadko używali konnicy. Przeciwno zachodniej ciężkiej kawalerii nigdy nie spisywali się dobrze. – Potem przejedź do tamtej bandy prosto na wschód od nas. Potem do tamtej. Wybij dziurę, przez którą będziemy mogli się wymknąć.

–Zamierzasz wziąć nogi za pas?

–Jasne, do cholery. Nie ma sensu walić naprzód, skoro wiedzą, że nadciągamy. Będziemy walczyć tylko tak, żeby się stąd wyrwać. Przemkniemy się przez tę dziurę, powinniśmy być w stanie utrzymać odległość. Jesteśmy w dobrej formie, a oni będą musieli przebić się przez konnicę, żeby dobrać się do reszty.

Bragi jeszcze raz przyjrzał się równinie. Był rozczarowany, ale nie zmartwiony. Nastrój tego dnia nie przysł. Pułapka nie wyglądała na taką, z której nie da się wymknąć.

–Hsung, ty bydlaku, wygrałeś tę rundę. Ale niedługo cię dopadnę. Ruszaj, Gjerdrum.

Goniec, wiadomość dla barona Hardle'a. Zostajemy za tym wzgórzem, dopóki Gjerdrum nie oczyści nam drogi. Idź, przekaż mu to.

Bragi jeszcze raz popatrzył na nadciągające siły wroga, po czym spojrzał na

niebo. Jego plan miał jedną małą wadę. Mogło nie wystarczyć światła, żeby Gjerdrum zrobił wystarczająco dużą lukę.

Gjerdrum rozniósł dwa oddziały wroga, zanim widoczność się pogorszyła. Ale na ich miejsce pojawiły się cztery kolejne grupy. Nie dało się zrobić wystarczająco dużej dziury.

–To musi być cały przeklęty legion – mruknął Bragi. A to znaczyło, że miał przed sobą siły równie liczne jak jego własne. I, ogólnie rzecz biorąc, lepiej wyszkolone, uzbrojone i zdyscyplinowane. Jego żołnierze byli dobrzy, ale żołnierze Imperium Grozy byli lepsi.

–No cóż, baronie, wygląda na to, że tym razem stało się «powiedział przy wieczornym zimnym posiłku, któremu towarzyszyło bicie wschodnich bębnow. – Wpakowałem nas w niezłe tarapaty.

Hardle skinął głową, a potem zaskoczył Ragnarsona, mówiąc:

–Ale wyciągniesz nas z nich. Jak zawsze.

Wiara tego człowieka była wzruszająca.

–Być może. Mamy Południowych Łuczników i jesteśmy wysoko. W nocy mocno się okopimy i jakoś z tego wyjdziemy.

Miał nadzieję.

Pomyślał sobie: Varthlokkurze, gdzie ty się, do diabła, podziewasz? Tkwią po uszy w gównie. Potrzebuję odrobiny pomocy. Czas skończyć z tymi wyglupami.

Rok 1016 OUI Nepanthe ponad ramieniem swego męża spojrzała w lustro, w którym przypominające zjawy postacie kopały rowy na wzgórzu i budowały umocnienia ziemne. Inni żołnierze zajmowali pozycje wokół wzgórza, również tworząc zapory.

–Pomożesz mu teraz, prawda? – zapytała Nepanthe.

Obok niej stał jej syn Ethrian, widmo młodzieńca, patrzące pustym wzrokiem. Gdy tylko spojrzał na lustro, wydawał dziwny, skomlący odgłos. Niemowlę grymasiło, ilekroć usłyszało ten dźwięk. Nepanthe nuciła córeczce półgłosem.

Varthlokkur nie odpowiedział na jej pytanie.

Dzieci Mgły weszły do pokoju, oparły się o krzesło czarodzieja.

–Co to jest, wujku? – zapytało jedno z nich.

–Bitwa. Na południu.

–Możemy popatrzeć?

–Powinniście być w łózkach. Poza tym do jutra nic się nie wydarzy.

Ludzie Ragnarsona dokonywali wypadów na całej swojej linii. Wrogowie tylko ich przepędzali.

–Wydaje się, że Hsung tak naprawdę nie chce walczyć – stwierdziła Nepanthe.

–Rano rzuci swoich tervola – odparł Varthlokkur. – Po co wdawać się w walkę wręcz, skoro Moc może pozwolić odnieść łatwe zwycięstwo?

–A ciebie tam nie będzie. Prawda? Pozwolisz tym ludziom umrzeć tylko dlatego, że zraniono twoją dumę. Jesteś głupcem. Czasami budzisz we mnie wstręt.

–Połóż dzieci spać.

Naburmuszona Nepanthe wyszła, zaganiając dzieci przed sobą.

Varthlokkur wpatrywał się w lustro od godziny. Jego twarz odzwierciedlała zażartą walkę wewnętrzną.

–Cholera jasna! – zaklął w końcu i wstał.

Z pobliskiej półki zdjął skrzynkę i usiadł przy stole. W skrzynce leżał długi na osiemnaście cali łuk i cztery czarne czternastocalowe strzały. Strzały miały srebrne groty i upierzenie z litego złota. Drzewce były inkrustowane czerwonymi i białymi maswerkami tak delikatnymi, że trudno było je rozróżnić. Czarodziej założył na łuk cięciwę z włosa dziewicy i długo mu się przyglądał.

Zaklął ponownie, wziął do ręki pióro i kartkę papieru. Nabazgrał coś, osuszył piaskiem, owinął kartkę wokół drzewca strzały, pomazał je trochę śliną i wypowiedział kilka słów. Papier przywarł mocno.

Wstał, z łukiem i strzałą w rękach zszedł po schodach wijących się spiralą na sam szczyt

wieży, gdzie znajdowała się jego pracownia. Wyszedł na zewnątrz zamkowej baszty, przeciął dziedziniec i wspiął się na mur zwieszający się nad głęboką na dwa tysiące stóp przepaścią. Jego dom, Fangdred, stał na szczycie najwyższej góry w łańcuchu górskim zwanym Smoczymi Zębiskami.

Wpatrywał się w dobrze widoczne gwiazdy. Zdawały się szydzić z niego. „Głupiec”, wołały do niego, tak samo jak nazwała go jego żona. „Uparty głupiec”.

Popatrzył na szczyty w kolorze kości słoniowej, wypowiedział kilka słów w języku swojej młodości. Wyobraził sobie Mgłę. Chwilami jej twarz wydawała się unosić tuż przed nim. Napiął łuk i wypuścił strzałę w kpiące sobie z niego gwiazdy. Drzewce z jękiem ciężki zniknęło w ciemnościach nocy.

Radeachar wypłynął z mroku, zawisł nad czarodziejem, wyczuwając jego wewnętrzne zmagania, czując, że Varthlokkur czegoś potrzebuje, nie wiedząc, co zrobić. Czarodziej dotknął ochronnej kuli Niezrodzonego.

–Mój jedyny prawdziwy, przyjacielu. Chodźmy do środka. Moje kości są stare. Tutaj zamarznę na śmierć.

–P'u Hsiu mówi, że oni otoczyli jego legion, pani – doniósł aspirant.

Mgła odchyliła się od stołu i mapy, którą analizowała, i kiwnęła ręką. Aspirant położył przed nią następną mapę, wygładził ją. Kredką wyrysował sektor w kształcie nerki, a także trochę przerywanych linii oznaczających przybliżone pozycje sąsiednich legionów.

Mgła skinęła głową.

–Co mamy tam w odwodzie?

–Jedną kohortę bez tervola czy aspirantów, dowodzoną przez głównego centuriona Ki Mo-Jo. Wczoraj wieczorem ich zlurowano, żeby mogli odpocząć. Niewiele więcej niż połowa zwyczajnej siły uderzeniowej.

–Kaź Mo-Jo zaatakować z lewej i wypełnić tę lukę.

–Po prawej jest węższa wyrwa, pani.

–I tam właśnie spodziewają się uderzenia. Powiedz Mo-Jo, że jeśli będzie potrzebował, dostanie wsparcie drzewc, ale nie po to, by je marnować. Przydziel mu tuzin.

–Wedle rozkazu, pani. – Aspirant złożył mapę i zajął się wykonaniem polecenia.

Mgła patrzyła na odsłoniętą ponownie mapę sporządzoną w mniejszej skali. Przedstawiała niewesołą sytuację. Kontruderzenie ugrzęzło w masie wroga z Matayangami. Zużywała swoje odwody w walce o utrzymanie linii frontu. Mimo to wyłomy pojawiały się szybciej, niż można było je załatać. Odchyliła się do tyłu, westchnęła, wyczerpana i rozczarowana.

Nigdy przedtem imperium nie stało przed koniecznością negocjowania z pozycji słabszego. Jeśli Matayanganie szybko nie pękną, to zrobią to jej armie. Ich zasoby były niemal na

wyczerpaniu. Wkrótce będzie musiała zacząć uszczuplać Armię Zachodnią i legiony szkoleniowe.

Coś lekko jej dotknęło, jak pajęczyna rozpięta w poprzek samotnej leśnej ścieżki dotyka twarzy wędrowca. Otoczyło ją, zdawało się ją ciągnąć.

Usiadła sztywno wyprostowana. Gdzieś jakiś mistrz Mocy skupiał się na niej. Będzie lepiej, jeśli przygotowuje się do obrony.

Okno wpadło do środka. Pokój wypełnił niski jęk. Rozległ się dźwięk, gdy coś uderzyło w jej stół. Mapy spadły. Drobinki kurzu tańczyły w blasku świecy. W blacie stołu tkwiła krótka strzala. Wokół drzewca owinięto papier.

Przyjrzała się uważnie strzale, wyczuła tylko zakłęcia, które ją tu przyniosły.

Pośliniła palec, dotknęła nim papieru. Zsunął się ze strzały. Podniosła go ostrożnie, przeczytała wiadomość.

–Co?! Lordzie Lunyu, czy mamy portal łączący nas z dowódcą Armii Zachodniej?

–Dzisiaj rano mieliśmy, pani. Sprawdź.

Jeszcze raz przeczytała kilka napisanych słów. Więc to tak. Varthlokkur wiedział, co się dzieje na terytorium throyeńskim. Najwyraźniej wiedział więcej od niej. Lord Shihka’i otoczył Bragiego.

Co za kretyński pomysł, żeby przechodzić przez góry? Dlaczego Bragi tam nie został? Dureń!

Ponownie zjawił się lord Lunyu.

–Portal jest otwarty, pani.

–To dobrze. Znasz lorda Shihka’iego. Idź mu powiedzieć, żeby zakończył obecną operację, nie uciekając się do Mocy.

–Pani?

–Otoczył Ragnarsona.

Lord Lunyu o mały włos zatańczyłby z radości. Mgła kiwnęła lekko głową.

–Tak. Ale właśnie otrzymałam wiadomość od Varthlokkura. Jeśli lord Shihka’i użyje Mocy, czarodziej będzie interweniował. Z całą potęgą, jaką dysponuje.

–Więc?

–Zdaję sobie sprawę z tego, jakie emocje wchodzi tu w grę, lordzie Lunyu. Zdaję sobie również sprawę, że łatwiej byłoby dostać Ragnarsona, korzystając z Mocy. Ale niebezpieczeństwo związane z gniewem Varthlokkura i Niezrodzonego jest o wiele większe niż ryzyko stawienia czoła Ragnarsonowi w zwyczajnej walce. Rozumiesz?

Ociągając się, lord Lunyu przyznał:

–Istotnie, podczas wojen widziałem Niezrodzonego w akcji, pani. Przypuszczam, że lepiej będzie ustąpić czarodziejowi.

–Powiedz też lordowi Shihka’iemu, żeby zwolnił tylu ludzi, ilu może. Jeśli chodzi o odwody, nasza sytuacja jest rozpaczliwa.

–Tak, pani. Czy możemy zaufać czarodziejowi, że nie będzie się teraz mieszał?

–Tak myślę. Zazwyczaj dotrzymuje słowa. Ruszaj. Zbliża się ranek. Lord Shihka’i będzie potrzebował czasu, żeby dostosować swoje plany.

–Wedle rozkazu, pani.

Mgła zebrała mapy. Zaczęła analizować tę, która przedstawiała coraz większe fiasko związane z wtargnięciem argończyków na nadmorskie obszary Matayangi.

–To był dobry pomysł, lordzie Kuo – szepnęła do ducha swojego poprzednika – ale znacznie przeceniłeś armię argońską.

Oficerowie i podoficerowie obejmą ostatnią wartę – powiedział Bragi. – Niech szeregowcy wypoczną. – Spojrzał na obóz wroga. Było po północy. Zrobiono wszystko, co możliwe, żeby umocnić swoje pozycje.

–Byłoby dobrze, gdybyś sam trochę się przespał, panie – zasugerował baron Hardle. – Wyglądasz na przemęczonego.

–Może. – Bragi przetarł oczy, wiedział, że raczej nie zazna snu. Przez całą noc będzie toczył boje ze swoim sumieniem.

To jego chcieli dostać tervola.

Jeszcze raz zlustrował siły wroga. Jeden legion, zgadywał. Jeden legion, który już poniósł jakieś straty. Musiał skłonić ich, żeby go zaatakowali. Jego łucznicy mogą ich pokiereszować. Potem kontruderzenie po długiej flance, żeby stworzyć Gjerdrumowi dość miejsca na przeprowadzenie szarży. Nie zdołają powstrzymać Gjerdruma, gdy on się na nich rzuci. Potem rycerze mogą uderzyć na nich od tyłu.

Prychnął, drwiąc z samego siebie. Brzmiało dobrze, ale się nie uda. Tervola użyją swojej Mocy, a on nie mógł w żaden sposób ich powstrzymać. Chyba że... Popatrzył na północ, ku dalekim Smoczym Zębiskom.

Martwił się. Czy czarodziej naprawdę mógł go zawieść?

–Nie bądź pesymistą – powiedział do siebie. – Sytuacja nie jest beznadziejna.

–Słucham, panie?

–Nic, nic. – Rozmyślał o tym, jak wciągnąć wroga w zasięg swoich strzał.

–Czy w czasie wojen lord Hsung służył na zachodzie? – zapytał Hardle.

–Nie sądzę. Dlaczego pytasz?

–Pod koniec całkiem nieźle się nauczyli, jak radzić sobie z ostrzałem z łuków.

–W takim razie co byś powiedział na negocjacje?

–Panie?

–Hsung chce mnie. Założmy, że nakłonimy go, żeby puścił wolno żołnierzy, jeśli ja oddam

się w jego ręce.

–Nie – powiedział Gjerdrum.

Hardle pokręcił przecząco głową.

–Nawet w ostateczności. Razem do czegoś doszliśmy, razem pójdziemy na dno.

–Chcę zrobić to, co jest najlepsze dla Kavelinu. Co się stanie, gdy Kavelin straci dwie trzecie swoich najlepszych żołnierzy?

–A co się stanie, gdy Kavelin straci króla, który się tym przejmuje? – zapytał Gjerdrum. – Wiesz, kto przejmie władzę. Ziemianie. Inger będzie przypominać chłopską dziewczkę, która próbuje ujeździć dzikiego ogiera. Wykiwali ją w tym całym interesie z sukcesją.

Bragi uśmiechnął się półgębkiem.

–Nie bądź taki pewny. Ziemianie mogą odkryć, że to oni zostali wykiwani. To twarda dama, gdy już na coś się zdecyduje. I ma paru paskudnych przyjaciół.

–Norath – powiedział Gjerdrum. – Niemal o nim zapomniałem.

–Norath. Między innymi. Odpocznijcie trochę. Wygramy czy przegramy, to będzie ciężki dzień.

Ragnarson zasnął, ale zaledwie na kilka godzin. Na długo przed świtem był już na nogach i obserwował obóz wroga. Wcześniej obudził kucharzy, kazał rozdzielić jedzenie między żołnierzy. Dowódcom kompanii polecił jeszcze raz sprawdzić broń i wyposażenie. Kazał swoim oddziałom zająć pozycje na długo przedtem, nim poranny wietrzyk wyniósł słońce nad wschodni horyzont.

Nieprzyjaciel również był gotów. Coraz jaśniejsze światło dnia ukazywało żołnierzy w czarnych zbrojach stojących w szyku bojowym za okopem, który otaczał całe

wzgórze u jego podstawy.

–Nici z posłania tam Gjerdruma! – zagrział. – Przynajmniej dopóki nie będziemy w stanie zasypać tych rowów. Posłaniec, powiedz Gjerdrumowi, że kazałem przeprowadzić konie na szczyt wzgórza. Wszyscy będą walczyć pieszo.

Zerknął na namiot, przy którym zatknęto sztandar Armii Zachodniej. Z boków powiewały dwa sztandary legionów. Nachmurzył się. Dwa legiony? Nie było tam aż tylu żołnierzy... Może była to część dwóch legionów, ci, którzy ocalili z walk na południu.

Zaczął krążyć po szczycie wzgórza, analizując linie wroga. Były kusząco cienkie. Dowódca mniej obeznany z legionami nie byłby w stanie oprzeć się takiej pokusie.

Zapanował nad nią.

–Oni muszą podejść do mnie. Módlmy się, żeby nie chcieli tego zrobić w najprostszy sposób, czyli wziąć nas głodem. – Dla zabicia czasu zaczął się zastanawiać, czy istniał jakiś sposób przekazania Yasmid wiadomości z prośbą o nasilenie działań. Wywarcie presji na

Hsunga, żeby tu skończył i... Czy Hsung już ją pobił? Ale z tego, co mówił ten więzień, ludzie Hsunga dostali tam potężne cięgi.

Wzdrygnął się. Bębny legionów grzmiały nieprzerwanie od chwili ich przybycia. Ten nieustanny łomot działał mu na nerwy.

Co się działo? To, że Hsung był tutaj, musiało coś oznaczać, coś, czego nie potrafił odczytać. Musiało. Coś się stało. Popatrzył na północ.

–Czarodzieju, jak długo jeszcze zamierzasz przypiekać mnie na wolnym ogniu?

Ton wschodnich bębnow zmienił się, gdy słońce wyłoniło się nad horyzont. Oddziały nieprzyjaciela zaczęły wychodzić zza rowów i formować szyk na wprost wzgórza.

–Pięć kohort – mruknął Bragi. – Posyłają niemal połowę swoich ludzi, jak pięć ramion gwiazdy. Ot tak, żeby sprawdzić siłę naszego uporu. – Zaczął się zastanawiać. Hsung nawet nie próbował stworzyć pozorów negocjacji. To sugerowało zarówno zamiar zniszczenia armii Kavelinu, jak i najwyższą pewność, że zdoła tego dokonać.

Dlaczego? – rozmyślał. Nie ma aż tylu ludzi, żeby mieć taką pewność... Czary. Oczywiście. Oni je mają, a ja nie.

Pierwszy niszczący cios mógł spaść w każdej chwili. Powietrze będzie jęczeć, rozrywane śmiercionośnymi zaklęciami.

Rytm bębnow znowu się zmienił. Pięć kohort ruszyło naprzód.

Ragnarson skinął na trębacza. Ten dał, aż mu oczy wychodziły z orbit. Trąbka wydawała jakiś wrzaskliwy dźwięk, nowy w repertuarze sygnalizacyjnym Kavelinu.

Bębny armii Bragiego zaczęły wybijać rytm, który częściowo zagłuszył bicie wschodnich bębnow. Gdzieś na zboczach wzgórza atakujący dotrą do punktu, gdzie nie będą już pewni własnych sygnałów. Miał nadzieję, że wprowadzi to zamieszanie.

Pierwsze strzały zakreśliły łuk na niebie i spadły deszczem na wroga. Paru żołnierzy upadło, ale – jak obawiał się Hardle – dostosowali oni odpowiednio swoje zbroje.

–No, Talison – mruknął Bragi. – Strzelaj z kusz. Niech uniosą swoje tarcze wyżej, a wtedy tnij ich po kolanach.

Szybkim krokiem krążył po szczycie wzgórza, chwilę obserwował jeden oddział nieprzyjaciela, po czym przenosił uwagę na następny. Po zawietrznej stronie wzgórza skłął dowódcę regimentu, który poruszał się trochę za wolno. Niemal natychmiast nad suchą trawą uniósł się dym. Skoczyły płomienie, zaczęły się rozprzestrzeniać, podsycane przez wiatr.

–Dobrze. To powinno spowolnić tę bandę.

Wprowadzające zamieszanie bębny, płomienie, deszcz strzał z łuków i kusz przyniosły pożądany skutek. Impet ataku osłabł. Ale Shinsanie ciągle parli naprzód. Zbliżali się do pierwszego rowu.

Tam odbędzie się prawdziwy sprawdzian.

Bragi zatrzymał się, żeby spojrzeć na kwaterę główną wroga.

–Kiedy zaczniecie używać czarów? – zastanawiał się na głos. – Spóźniacie się. – Nieświadomie skulił ramiona.

Cios jednak nie spadł. Zamiast tego coraz więcej żołnierzy przekraczało w dole rowy i szło w górę korytarzami nie wykorzystanymi do tej pory przez oddziały, które już wspinały się na wzgórze.

–Ach tak. Zamierzacie załatwić całą sprawę przy pierwszej próbie.

Fala atakujących dotarła do pierwszego rowu. Odgłosy bębnów zagłuszył szcęk oręża. Po chwili Bragi mruknął:

–Tak, tervola chcą załatwić sprawę za pierwszym razem. – Hsung zostawił w odwodzie tylko dwie kohorty. Ragnarson oceniał, że na wzgórze próbowało się wdrzeć sześć tysięcy ludzi. Linia obrony pierwszego rowu zaczynała się załamywać. Jedynie po tej stronie, gdzie płonęła trawa, atak się załamał.

Wybrał jakiś fragment zbocza i próbował policzyć ciała poległych wrogów.

–Nieźle – burknął. – Ale mogłoby być lepiej. O wiele lepiej, cholera jasna. – Jego łucznicy bynajmniej nie spisywali się za dobrze. Nie miał też żadnej możliwości oceny własnych strat.

Długi, krwawy dzień ciągnął się i ciągnął. W końcu trzeba było opuścić pierwszy rów. Polegli wypełniali go niemal po brzegi. Jego ludzie wystawili sobie dobre świadectwo. Dowodziła tego ostrożność, z jaką Shinsanie podchodzili do drugiego rowu.

Bragi spojrział na słońce. Minęła ćwierć dnia. Już. A czas zdawał się płynąć tak wolno. Żałował, że nie znajdują się na wyższym wzgórzu i nie mają większej liczby rowów. Trzy wydawały się wystarczyć, gdy sądził, że jego łucznicy zmasakrują całe oddziały.

Gdzie te czary? Dlaczego Hsung marnował życie tylu żołnierzy? Czy miał w zanadrzu coś szczególnie paskudnego, z czym czekał tylko na właściwy moment?

Południe. Musieli oddać drugi rów. Wydawało się, że połowa żołnierzy nieprzyjaciela leży na zboczu. Ale wystrzelono już wszystkie strzały z łuków i kusz. Teraz zostały już tylko miecze i włócznie, sztylety, młoty i kafary. Czy teraz to nastąpi? – myślał Bragi. Potężny, paskudny cios?

Nie. Legioniści po prostu stali, przeszedłszy drugi rów, skryci za swoimi tarczami, zachęcając go do kontrataku. Nie przeprowadził go. I nie zrobi tego. Dopóki nie polegnie ich więcej i dopóki nie będą jeszcze bardziej zmęczeni.

Proporcje, jeśli chodzi o poległych, wypadają korzystnie dla Kavelinu. Walka była krwawą łaźnią, ale to Shinsan krwawił mocniej.

Gjerdrum wykorzystał chwilę spokoju.

–Dobrze sobie radzimy na moim odcinku – poinformował. – Biorąc pod uwagę, przeciwko komu stajemy. Przysięgłbym, że na jednego zabitego po naszej stronie pada trzech tamtych.

–Jest tak dobrze? Może rozpoczniemy kontratak na twoim odcinku, gdy będziemy próbowali się przedrzeć?

–Myślisz, że trzecia linia się utrzyma?

–Trudno powiedzieć. Muszą walczyć z wypoczętymi żołnierzami. Pokażą, jacy są dobrzy, gdy Shinsanom uda się ją przełamać.

–Coś się dzieje tam na dole. Lepiej wróć.

Odwody Hsunga przekroczyły okopy. Tysiąc ludzi, oszacował Bragi. Czy przeprowadzą następny szturm?

Co z tymi przeklętymi czarami?

Bębny Shinsanu zmieniły rytm. Walka rozpoczęła się na nowo.

Trzecia linia okazała się słabsza, niż sądził Ragnarson. Wkrótce rzucał tu i tam odwody, żeby wesprzeć słabe punkty. – Posłaniec! – ryknął w końcu. – Dawaj mi tu Gjerdruma! – Zwrócił wykrzywioną twarz w kierunku Smoczyc Zębisk. – Czarodzieju, módl się, żebym z tego nie wyszedł. Bo jeśli wyjdę, dopadnę cię. – Potem zaśmiał się sam z siebie. – Głupiec. Zrzucasz odpowiedzialność na innych. Wiesz, że to twoja wina.

Gjerdrum zastał go, gdy przygotowywał się do walki. Jego ochrona osobista utworzyła z doboszy, trębaczy, kucharzy i lżej rannych ostatnią grupę odwodów.

–Panie? Chciałeś mnie widzieć?

–Jasne, cholera. Zaczynij wypuszczać swoją konnicę. Czas podjąć próbę ucieczki.

Gjerdrum rzucił okiem na walkę.

–To zbyt mocno osłabi linie obrony, nie sądzisz?

–Być może. Zabieram ten tłum na dół, żeby je wzmocnić.

–Czy to rozsądne? Jeżeli zostaniesz ranny, ludzie upadną na duchu.

–Już w tej chwili by się poddali, gdyby tylko mogli. Połowa z nich uciekłaby, gdyby miała dokąd. Gjerdrum, musimy zejść na dół, chyba że coś tu zdziałamy. Wiem, że tam nie ma miejsca na porządną szarżę, ale spróbujmy.

–A co z rowami?

–A o co chodzi?

Gjerdrum ugryzł się w język. Rowy zabijają ludzi i zwierzęta.

–Nic, panie. Rozumiem. – Sytuacja była gorsza, niż sądził. Nadeszła godzina rozpaczy.

–Varthlokkur ciągle jeszcze może się pokazać, Gjerdrum. Tego się trzymaj. – Ragnarson spiorunował wzrokiem kwaterę główną nieprzyjaciela. Stała tam garstka

tervola, obserwując wzgórze. – Dlaczego nie używają Mocy?

–Nie wiem, panie. Niemal chciałbym, żeby to zrobili.

–Wykonaj polecenie, gdy będziesz gotów, Gjerdrum. Będę zbyt zajęty, żeby wydawać rozkazy.

–Wedle rozkazu, panie. – Gjerdrum odjechał.

Bragi dał nura do swojego namiotu, skąd zabrał własną kuszę i strzały, i dał znak ochroniarzowi, żeby poszedł za nim. Pomaszerował w dół zbocza, wybrał dobry punkt, starannie wypuszczał strzały. Każda trafiała do celu. Straty powstrzymały wroga na tym odcinku. W zamieszaniu Bragi dotarł do linii boju. Powitały go nierówne wiwaty. Przetoczyły się w dół zbocza i wróciły, po czym znowu potoczyły się w dół.

–Przypomnijcie sobie Baxendalę! Przypomnijcie sobie Palmisano! – Szeregowi żołnierze wroga nie będą wiedzieli, co ten okrzyk wojenny znaczy, ale stojący w dole tervola usłyszą go i poczują się dotknięci.

Tarcza uderzała z impetem o tarczę. Szczękały miecze. Bragi wykorzystywał wszystkie znane sobie haniebne sztuczki. Jednym ciosem posłał żołnierza wschodu na kolana. Następny zajął jego miejsce. Napierający tłum walczących rozdzielił ich. Bragi stanął twarzą w twarz z trzecim przeciwnikiem. Żołnierz z prawej strony Ragnarsona padł z krzykiem. Kolejny ochroniarz zajął jego miejsce.

Znowu po wzgórzu przetoczył się okrzyk.

–Przypomnijcie sobie Palmisano!

Bragi ledwo go usłyszał. Działał jak automat. Uderzenie. Podniesienie tarczy. Kopnięcie. Sparowanie. Pchnięcie. Ryk. Przekleństwo. Pot. Zwłaszcza pot. Kolejne przekleństwo, gdy podstępny cios spadł na jego tarczę z taką siłą, że zdrętwiała mu ręka.

Był tutaj tysiące razy. Wszystkie bitwy jego życia stopiły się w tę jedną. Nie wiedział już ani nie troszczył się o to, z kim walczy. Czas się zatrzymał.

Ale nie dla jego ciała. Był mężczyzną po czterdziestce. Nie miał takiej wytrzymałości jak w minionych dziesięcioleciach. Nogi miał ciężkie jak z kamienia, ramiona słabe, jakby miał na nich sztaby ołowiu. Piekący pot zalewał mu oczy. A on ciągle walczył, zagubiony w pyle i smrodzie, huku i szczęku broni.

Nie słyszał trąbek obwieszczających szarżę Gjerdruma. I nie widział jej. Gjerdrum poprowadził atak w dół wzgórza. Bragi zareagował dopiero, gdy sąsiednie kompanie zaczęły się wycofywać, przesuwając się ku luce, którą wybił Gjerdrum.

Krzyki i przekleństwa rozlegały się ze zdwojoną siłą. Konie pozbawione jeźdźców rżały i stawały dęba, starając się przedrzeć przez ścisk. Ranni ludzie i zwierzęta zaścielali ziemię.

Ochroniarze Bragiego krzyczeli, żeby się cofnął, by pozwolił im się otoczyć. Jak szalony zaatakował wroga, po czym odskoczył.

Coś jak młot w rękę boga uderzyło go w żebra po lewej stronie. Powietrze eksplodowało mu w płucach. Nie mógł nawet jęknąć. Czuł, jak połamane żebra trą o siebie. Ochroniarze chwycili go i trzymali w pozycji wyprostowanej. Czerwone plamy zawirowały mu przed oczami, przechodząc w czerń.

Gjerdrum był rozczarowany. Zbyt wielu jeźdźców już padło, a jemu udało się wyrwać z pierwszego okrążenia jedynie część tych, którzy przeżyli. Szacował, że ma co najwyżej pięciuset ludzi, z którymi może podjąć próbę ucieczki. Ustawił ich w szyku: rycerze na czele, lekka konnica z tyłu i na flankach, obarczona zadaniem utrzymania korytarza, który w oddziałach wroga wybija rycerze.

–Gotowi? – zapytał.

–Gotowi, panie – odpowiedzieli oficerowie. Byli bladzi i niepewni. Oni także zdawali sobie sprawę, że rowy będą stanowić duże zagrożenie.

Gjerdrum rzucił okiem na toczącą się walkę. Linie trzymały się. Nierówny okrzyk przypominający o Palmisano obiegił wielokrotnie wzgórze. Może lepiej byłoby zostać tutaj. Miał jednak rozkazy.

–Dajcie sygnał do ataku.

Rozbrzmiały rogi. Gjerdrum ruszył naprzód stępa. Piechota została ostrzeżona. Miał nadzieję, że zwrócili uwagę na sygnał.

Tak, usłyszeli go. Zaczęli tworzyć przejścia. Gjerdrum spiął konia ostrogami.

Miejsca nie było wiele, ale udało mu się nabrać nieco szybkości. Wbił lancę w oko nieprzyjaciela, wyrwał ją, uderzył drugiego. Jego wierzchowiec wdarł się w linię wroga. Wrodzy żołnierze uciekali. Jego lanca pękła. Dobył miecza, ciął nim wokół siebie. Jego towarzysze napierali na niego z tyłu, zmuszając do przebijania się. Jego koń szarpnął do przodu, w stronę rowu.

Rzucił okiem za siebie. W okręgu ziała wyrwa szeroka na sto jardów. Armia już się przez nią przelewała.

Ponownie popatrzył przed siebie, oceniając wielkość, próbował podjąć decyzję, gdzie utworzyć formację, gdy już dotrze na równinę.

Kątem oka dostrzegł jakiś cień. Spojrzał w górę. Kruki już krążyły nad polem bitwy.

Rów! Rozpaczliwie ściągnął cugle. Mógł sobie poradzić w tej sytuacji, zwalniając do stępa.

Ktoś wpadł na niego z tyłu. Jego wierzchowiec potknął się na zwłokach i przewrócił się. Wyrzuciło go z siodła.

–Och, cholera! – Ziemia wybiegła mu na spotkanie. Nie mógł złapać tchu. Nieporadnie próbował stanąć na nogi. Ciężar zbroi okazał się zbyt wielki dla jego osłabionych mięśni.

Udało mu się podnieść na kolana.

Wtem zwałił się na niego jakiś rycerz. Gjerdrum potoczył się do tyłu i wpadł do rowu. Spadł mu hełm. Zgubił miecz. Wreszcie legł na plecach.

Ujrzał rżącego konia i młócacego powietrze rękami jeźdźca, spadających bokiem wprost na niego. Wierzgające dziko, okute żelazem kopyto zbliżało się do jego twarzy. Uniósł rękę. Za późno.

Doświadczył tylko chwili bólu, zanim Mroczna Pani przygarnęła go do swego łona.

Ragnarson, odzyskawszy przytomność, znajdował się na szczycie wzgórza, podtrzymywany przez dwóch ochroniarzy, mając dobry widok na pole walki. Bitwa nadal trwała, ale trzecia linia obrony została przełamana. Wróg wywołał zamieszanie.

Bragi zaklął. Krwawa ślina ściekła mu na brodę.

–Gjerdrum? – wychrypiał.

–Nie żyje – odpowiedział ochroniarz. – Część kawalerzystów się przedarła, panie. Ośmiuset, może tysiąc. Większość po prostu ratowała życie. Nieliczni próbowali zaatakować Hsunga. Odparł ich. – Głos mężczyzny załamywał się. Jego twarz była blada i spocona. Był przerażony.

Bragi usiłował stanąć o własnych siłach. W lewym boku poczuł ból. Niemal osunął się na ziemię.

–Stój prosto, panie. Stój prosto. Musisz stać prosto. Będą walczyć, dopóki widzą, że stoisz.

–Nie – sapnął. – Niech przestaną. Nie pozwólcie im zmarnować życia.

–Tamci nie biorą jeńców, panie. Żadnych jeńców. Zabijają wszystkich, którzy próbują się poddać.

–To głupie. – Ragnarson próbował skłąć Varthlokkura, Hsunga, Mglę i siebie. Zwłaszcza siebie. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa. W końcu, spojrzawszy w oczy jednemu z ochroniarzy, zdołał wysapać: – Przepraszam.

–Stój prosto, panie – powiedział mężczyzna, gdy Bragi znowu się osunął. – Musisz stać prosto.

Jakaś odległa iskierka woli nadała sztywność jego nogom. Stał, ignorując ból, zamykając oczy, aby nie patrzeć na to, co działo się z najwspanialszą armią w historii zachodu.

Z daleka, z bardzo daleka dobiegał go szcęk mieczy, gdy żołnierze wschodu dotarli do pierścienia otaczających go ludzi. Stracił przytomność.

Jakiś żołnierz pociągał barona Hardle'a za wolną rękę, starając się zwrócić jego uwagę.

–Panie. Panie!

Hardle obrócił się na pięcie, tnąc ostrzem. Żołnierz zrobił unik, przewidziawszy cios. Hardle rozpoznał go.

–Przepraszam, żołnierzu. O co chodzi?

–Jesteś potrzebny na górze. Król jest nieprzytomny. Gjerdrum nie żyje.

Hardle odstąpił od walki, spojrzął na szczyt wzgórza. Straż królewska stała w szyku do boju na śmierć i życie. Ujrzał króla uwieszzonego u ramion swoich ludzi.

–Bardzo z nim źle?

–Mocno poturbowany, ale rany nie zagrażają życiu. Zemdlał. Ma połamane żebra. Hardle skierował się w górę zbocza.

–Wyprostuj ten sztandar, żołnierzu! – zagrzemiał. – Trochę godności.

Dotarł na wierzchołek wzgórza, rozeznał się w sytuacji. Nie wyglądała dobrze. Ci, którym udało się wyrwać, nadal uciekali, nie zwracając, żeby pomóc swoim towarzyszom.

–Bądźcie wszyscy przeklęci! – zaryczał Hardle. – Oby wasze tchórzostwo zostało zapamiętane na zawsze. Oby napisano pełne pogardy pieśni, w których wymienione zostaną wasze zhańbione nazwiska. Niech wasze dzieci plują na wasze groby. – Gdy już się tak rozkręcił, rzucanie przekleństw niemal go bawiło. – Szkoda, że nie ma tutaj

Prataxisa, żeby to opisać – mruknął. – Wspaniałe ostatnie słowa łajdaka Nordmena. Talison! Ty odziany na żółto bydlaku, zabieraj się ze swoimi ludźmi na dół i sformuj linię obrony. – Łagodniejszym tonem dodał: – Musimy jakoś przerwać tę bijatykę. Ty, ty i ty. Idźcie tam i wystraszcicie resztę koni. Pognajcie je w dół wzgórza.

–Panie, jeśli je pogonimy, jak my...

–Nie kłopotz swojej ślicznej główki tym, jak się stąd wydostaniesz, kochany. Nie wydostaniesz się. Chyba że przetrzepiemy skórę tym bydlakom. Jeśli czegoś spróbujesz, osobiście skrócę cię o głowę. Czy wyrażam się jasno? Ktoś jeszcze czegoś nie rozumie?

Po piętnastu minutach wydawania rozkazów niemal odzyskał panowanie nad sytuacją. Niemal. Nieobecność żołnierzy, którym udało się uciec, przeważała szalę. Gdy już był pewny, że nic nie można zrobić, popatrzył w dół na kwaterę główną wroga i wymamrotał:

–Wy, tervola, nie wiecie, co dzisiaj zabijacie. Kavelinie, oplakujemy cię, zanim obróciłeś się w proch. – Szturchnął stojących obok żołnierzy, starając się zwrócić ich uwagę. – Ty, ty i wy wszyscy. Zaczniście skandować: Baxendala, Palmisano. Żeby nigdy tego nie zapomnieli.

Koniec zbliżał się powoli, ale nieubłaganie. Szaleństwo dowódców przywiodło wielu żołnierzy wschodu do niepotrzebnej zguby. Ci wielcy głupcy bowiem chcieli dużo więcej niż tylko zwycięstwa. Nic nie było w stanie ich zadowolić.

Jeden po drugim padali najlepsi ludzie Kavelinu.

Hardle był jednym z ostatnich. Zginął z przekleństwem na ustach, przeznaczonym nie dla wrogów, lecz dla swoich towarzyszy, dla tych z jego warstwy społecznej, którzy teraz mogli zrobić z królestwem, co chcieli.

Rok 1016 OUI Niski, krępy tervola w masce niedźwiedzia obchodził wolno wierzchołek wzgórza, przestępując nad okaleczonymi ciałami i zmiażdżonymi kończynami. Zachodzące słońce rzucało długie cienie na pole bitwy. Wrony podrywały się stadami, gdy przechodził. Brzęczały muchy, unosząc się i opadając całymi chmarami. Roily się w oczodołach poległych, składając w nich jaja.

–Skąd one się biorą? – mruknął tervola. – Dlaczego wiatr ich nie przegna?

–Słucham, lordzie Ssuma?

–Nic, lordzie Lunyu. Powiedz mi, czy doniesiesz o tym jako o wielkim dniu w historii imperialnych sił zbrojnych?

–Wyglądasz na niezadowolonego, lordzie Ssuma.

Rzeczywiście, lord Ssuma był niezadowolony.

–To nie powinno się zdarzyć. Było to karygodne marnotrawstwo życia ludzkiego.

–Ale widzieliśmy koniec Ragnarsona. – Lord Lunyu powiedział to tak, jakby to właśnie było kluczowym wydarzeniem współczesnej historii.

–Na pewno? Całkiem sporo ich uciekło.

–Nie on. Stał tutaj na szczycie wzgórza do końca. Poszukajmy ciała.

Zaprezentujemy je przed zgromadzeniem tervola.

–Nie zaprezentujemy.

–Lordzie?

–Są pewne granice, lordzie Lunyu. Chociaż nie podzielam twoich uczuć do Ragnarsona, rozumiem je. Ale nie pozwolę zrobić z jego zwłok eksponatu. Był godnym przeciwnikiem. Zasługuje na honorowe potraktowanie. Co więcej, jestem jego dłużnikiem. Ocalił mi życie w dniu, w którym wykończyliśmy Wybawiciela. Dobrze o tym wiesz. Przyglądałeś się temu z murów Lioantungu.

Lord Lunyu zmarszczył brwi pod maską, ale nie protestował. Lord Ssuma cieszył się wielką popularnością.

–Żałuję jego królestwa razem z nim – ciągnął Shihka’i. – Wracaj do księżniczki. Skończyliśmy tutaj. Donieś jej o wielkim zwycięstwie, jeśli odważysz się kłamać. Powiedz jej, że pošlę na front matayangański tylu ludzi, ilu będę mógł.

–Lordzie...

–Idź, proszę, lordzie Lunyu. Jak zauważyłeś, nie jestem zadowolony. Chcę zostać sam.

–Jak sobie życzysz, lordzie. – Lunyu odszedł.

Shihka’i powoli zbliżał się do wierzchołka, omijając ciała.

Gdzieś tam polegli żołnierze jeszcze oddychali urywanie, cicho pojękiwali, krzyczeli. Błagali o wodę w różnych językach. Poniżej jego ludzie zaczęli uprzętać pole bitwy. Dobijali rannych żołnierzy zachodu. Swoich zanosili do kwatery głównej. Obecni tam tervola zadecydują, których da się uratować. Większość tych, którzy przetrwali do tej pory, przeżyje. Tervola mieli Moc, która pomagała im w leczeniu.

Shihka’i spojrział ku północy, ku domowi czarodzieja Varthlökkura. Potrząsnął głową. Nie rozumiał tego. Człowiek nie powinien opuszczać swoich przyjaciół.

Dotarł do miejsca, gdzie straż królewska stoczyła ostatni bój. Armia Kavelinu biła

się dzielnie. Na tym wzgórzu wyrwano serce i flaki dwóm legionom Shinsanu. Shihka'i pomyślał, że trudno tu odróżnić prawdziwych zwycięzców i pokonanych.

Jakie szaleństwo pchnęło Ragnarsona do przejścia przełęczy? Wszedł w pułapkę całkowicie świadomie... Nie. Nie świadomie. Był przekonany, że wojskami Shinsanu dowodzi lord Hsung. Nie przyszedłby, gdyby wiedział, że jest inaczej. A gdyby lord Hsung ciągle tutaj był, to szalenie ryzykowne przedsięwzięcie opłaciłoby się. Armia Zachodnia zostałaby starta z powierzchni ziemi.

–Ocaliłem wschód, a teraz zachód. I nic nie czuję. Nawet odrobiny dumy. – Spojrzał w kierunku imperium. – Czy teraz rzuci mnie na Matayangę?

Okrażył stos ciał znaczący ostatni punkt oporu żołnierzy zachodu.

–Ten tutaj nazywał się Hardle? Wielki wojownik, tak mówiła księżniczka. To smutne. Najlepsi ludzie Ragnarsona odeszli razem z nim. Jego królestwo stanie się domem wariatów, gdy uciekinierzy tam dotrą. – Popatrzył na równinę. Chmury pyłu wskazywały, gdzie znajdowali się umykający żołnierze zachodu. – Mogliście zwyciężyć – powiedział do ich oddalających się pleców. – Mogliście zwyciężyć. Ale złamaliście dyscyplinę wtedy, gdy była wam najbardziej potrzebna.

Jego ludzie zginęliby do ostatniego, gdyby nie wydano im rozkazu odwrotu.

Wypatrzył martwego króla pod ciałami kilku jego strażników.

–I to właśnie przeważyło szalę, mój przyjacielu. – Odciągnął jednego z poległych. – Może postawię ci pomnik. Nie powinniśmy zapominać o naszych wielkich wrogach. – Odciągnął następnego martwego żołnierza.

Król jęknął.

–No – powiedział Shihka'i. – No, no. Nie jesteś całkiem martwy, co? A to, jak przypuszczam, oznacza, że muszę spłacić mój dług. – Ukląkł, bez kłopotu wyczuł u Ragnarsona puls. Odsunął ostatnie zwłoki i zbadał go. – Połamane żebra. Przebite płuco. Rany cięte i stłuczenia. Poza tym jesteś w dobrej formie, przyjacielu. Mówią, że masz niezwykle szczęście. I chyba mają rację. Może twoje szczęście nie do końca cię opuściło. – Wstał, zwrócił się w kierunku obozu, skupił się na masce swojego najlepszego specjalisty od magii życia. Jego

palce tkwały w powietrzu delikatne wzory. – Przyjdź – wyszeptał. – Przyjdź tutaj.

Kristen zerwała pieczęcie z listu przywiezionego z Vorgrebergu. Sherilee zaglądała jej przez ramię. Posłaniec został przy drzwiach, jednym okiem zerkając na ulicę. Czekał tam tuzin kawalerzystów z Gwardii Pałacowej. Byli niespokojni, zmartwieni.

–Co się stało, Kris?

–Michael uważa, że może dojść do wielkich zamieszek. Chce, żebyśmy wyjechały z kraju. Wysyła nas do swojego przyjaciela w Tamerice.

Weszli Elma i Maykin, niosąc ciężki kufer. Posłaniec krzyknął:

–Podprowadź powozy, Sług!

–Co robicie? – zapytała Kristen.

–Kazano nam jechać z wami – odpowiedział Maykin.

–Dlaczego w ogóle musimy wyjeżdżać? Nie widzę żadnych oznak kłopotów.

–Nie wychodziłaś z domu, pani. Królestwo zmierza w kierunku wojny domowej.

Królowa podsuwa pomysły ziemianom.

–Ta suka! Urwę jej łeb!

–Uspokój się – powiedziała Sherilee. – Kris, lepiej jedźmy. Jeżeli są kłopoty, i ona za nimi stoi, dopadną najpierw nas. Wiesz o tym. Ona to robi dla Fulka. Lepiej, żebyśmy były gdzieś indziej.

–Co robi król? – zapytała Kristen płaczącym tonem. – Dlaczego nie wróci i tego nie powstrzyma?

–Powstrzyma – powiedziała Sherilee. – Gdy będzie gotów. I pozbędzie się też Inger. Zobaczysz.

Kristen złożyła list i wstała.

–To przerażające, Sherry. Naprawdę przerażające. Masz rację. Lepiej jedźmy.

Godzinę później znowu uciekały, bacznie strzeżone przez Slugbaita i jego oddział. Nikt, z wyjątkiem Sługa oraz Trebilcocka i Prataxisa w Vorgrebergu, nie wiedział, że w podwójnych dnach wozów ukryto większą część zawartości królewskiego skarbcza.

–Czy teraz jesteś zadowolony? – zapytała szyderczo Nepanthe. Majstrując przy magicznym lustrze, dowiedziała się, co wydarzyło się na południu. – Gjerdrum nigdy niczym cię nie uraził, prawda? Dla mnie był zawsze dobrym przyjacielem. A baron Hardle... jako jedyny potrafił utrzymać ziemian w ryzach.

Varthlokkur wpatrywał się w swoje stare, wysuszone dłonie, w ogóle nie reagując. Nikt nie musiał go torturować, sam się dręczył.

–Znowu to zrobiłeś. Zniszczyłeś następne królestwo. Tym razem powstrzymując się od działania.

Wstał, podszedł do smaganych wiatrem murów i patrzył w przepaść. Radeachar wisił nad jego ramieniem. Gdyby Niezrodzony miał głos, jęczałby.

Dahl niemrawo dosiadł konia. Porzucił myśl o ucieczce. Ci ludzie zbyt dobrze go pilnowali. Trzymali go w środku grupy. Było ich teraz niemal czterystu, wszyscy to zaprawieni w walce weterani, dowodził nimi książę.

–Zbliża się Gales – zawołał Mortimer.

Dahl podniósł wzrok. Gales i pół tuzina zwiadowców wrócili z punktu kontrolnego na granicy Altei i Kavelinu. Gales zatrzymał konia przed księciem. Wyglądał na zaskoczonego.

–No i, pułkowniku? Możemy przejechać?

–Tak, Wasza Miłość. Z łatwością.

–To skąd ta ponura mina?

–Ponieważ w punkcie kontrolnym nie ma żywej duszy. Alteanie mówią, że Vorgrebianie wyjechali przedwczoraj.

–Czy to coś niezwykłego?

–Bardzo. To zatrważające. Podejrzewam, że koncentruje się wszystkie oddziały w przewidywaniu walk na wschodzie.

–Gdy wyjeżdżałeś, nie było żadnego zagrożenia wojną?

–Żadnego, Wasza Miłość. Król miał parę spraw na głowie, ale jedyny powód mobilizacji, jaki przychodzi mi na myśl, to problemy wewnętrzne.

–Lepiej jak najszybciej dołączmy do Inger. Psiamać, wolałbym coś usłyszeć. Ta cisza jest złowieszcza.

Gales skinął potakująco głową.

–Zgadzam się.

W czasie tej rozmowy serce Dahla zaczęło bić szybciej. Walki między ludźmi króla i królowej? Kristen znalazłaby się w niebezpieczeństwie. Musiał uciec. W jakiś sposób, nieważne jaki, musiał im się wymknąć.

Gales zawrócił i ponownie pojechał naprzód. Księżę popędził za nim.

Gales odwrócił się, gdy księżę go zawołał.

–Tak, Wasza Miłość?

–Jestem ciekaw, czy zwróciłeś uwagę, jak na te wieści zareagował nasz gość?

–Przykro mi, ale nie.

–Był bardzo zmartwiony. Nie udało ci się go zwerbować?

–Nie chciał nawet o tym słyszeć.

–Szkoda.

–Ludzie Ragnarsona tacy są. Sprawia, że są wobec niego lojalni.

–Mówisz, jakbyś go podziwiał. Eh, nieważne. Oszczędź sobie wyjaśnień. Może mimo wszystko Haas będzie pomocny. Nawet nie będąc po naszej stronie.

–Jak, Wasza Miłość?

–Ma się ku synowej Ragnarsona, prawda? Mówiłeś, że ukryto ją gdzieś przed meczem captures.

–Tak.

–Myślisz, że on wie, gdzie ona jest?

–To możliwe.

–Pozwólmy mu uciec. Będziemy go śledzić. Jeśli pojedzie do niej, zrobimy duży krok do przodu. Jeśli nie pojedzie, nic nie tracimy. On nie jest taki ważny.

Gales skłonił głowę, ukrywając swoje obrzydzenie.

–Wyeliminowanie potencjalnych pretendentów do tronu ułatwi zadanie.

–Właśnie o tym myślałem.

–Ucieknie dzisiejszej nocy. Ktoś popełni głupi błąd.

–Dobrze, pułkowniku, dobrze. Czy to jest granica? Tam leży to bajkowe królestwo Kavelinu?

–Tak jest, Wasza Miłość. Nie bardzo się różni od wszystkich innych królestw, na pierwszy rzut oka. – Gales spiął konia ostrogami. Nie bardzo się różni, pomyślał. Ale jest w nim lepiej niż w większości pozostałych. Czuł się, jakby wracał do domu.

Trebilcock opadł na krzesło w gabinecie Prataxisa.

–Ciągłe gra na zwłokę – powiedział. – Dałem jej ostateczny termin. Powiedziałem, że nie jestem w stanie powstrzymać Credence’a dłużej niż do jutra. Myślę, że muszę dorzucić jej coś ekstra, żeby mieć ją z głowy.

Derel skinął głową. Nie podniósł wzroku. Podsunął mu kartkę papieru.

–Spójrz na to. Michael przeczytał.

–Skąd to przyszło?

–Od twojego przyjaciela Dantice’a. Wraz z pożegnaniem. Powiedział, że spotka się

z tobą kiedyś, może na drodze do Tamerice. Wydawało mu się, że pisał zabawny poemat.

–Hmm... Więc tak. Miał całkowitą rację. Bragi rzeczywiście to zrobił. Sześć dni temu?

–Teraz będzie już w Throyes. – Derel wskazał małą, niestarannie wykonaną mapę, która leżała przed nim. Używał skali, żeby oszacować odległości. – A może jest skończony.

–Skończony?

–Albo wykończony. Czy Credence jest gotów? Jeżeli Dantice o tym wie, niedługo będzie wiedzieć cały kraj. Przypuszczam, że nie mamy dużo więcej jak dobę.

Michael przeciągnął się, chrząknął i wstał.

–Powiem Credence'owi. Będzie chciał podwyższyć stan gotowości. Potem popracuję nad królową. Może uda się nam wywieźć ją, zanim wieści się rozniosą.

Młody sygnalista wpadł nie zapowiedziany do komnat Liakopulososa.

–Panie, panie... Lepiej by było, gdybyś przyszedł do wieży, panie.

–Co się stało, chłopcze? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Młodzieniec przełknął kilkakrotnie ślinę, zanim powiedział:

–Może... może... może być gorzej. Panie, być może król nie żyje.

Liakopulos zerwał się na równe nogi. – Co?

–Nie odebraliśmy jeszcze całej wiadomości, gdy sierżant Tipke mnie wysłał, panie. Ale Maisak mówi, że doszło do bitwy. Część ludzi dopiero co wróciła. Twierdzą, że wszyscy pozostali nie żyją.

–Dobra. – Liakopulos sięgnął po miecz i pelerynę. – Chodźmy. I uspokój się. To musi być pomyłka.

To nie była pomyłka. Liakopulos kazał powtórzyć wiadomość. Za drugim razem nie dowiedział się ani dużo więcej, ani niczego nowego, chociaż pojawiło się więcej szczegółów. Dodano, że ci, którzy przeżyli bitwę, właśnie zaczęli powoli wracać.

–To daje nadzieję. Wiadomość dla dowódcy garnizonu w Maisaku – powiedział Liakopulos do sierżanta sygnalisty. – Zatrzymajcie tam wszystkich ocalałych, dopóki cała sprawa się nie wyjaśni. I nie przekazujcie żadnych wieści do Vorgrebergu bez mojego osobistego zatwierdzenia. Sierżancie, ty i twoi ludzie pozostaniecie w odosobnieniu. Nie życzę sobie, żeby rozpowszechniano niestworzone historie, zanim będziemy dokładnie wiedzieli, co się zdarzyło. Zrozumiano?

Sierżant był weteranem zarówno wojny domowej, jak i Wielkich Wojen Wschodnich. Rozumiał.

–Dopatrzę tego, panie.

–Kto ma następną służbę?

–Romin, panie.

–To ten gość z Marena Dimura?

–Tak, panie.

–Bardzo dobrze. Wykonać. – Liakopulos wrócił do swojej kwatery wzburzony. Założmy, że król nie żyje. Jego obowiązki z prawnego punktu widzenia były jasno określone. Musiał poinformować Vorgreberg, zapewnić spokój w okresie

przejściowym. Ale z moralnego punktu widzenia? Prawo stanowiło, że władza przejdzie w ręce ludzi, którzy zażarcie sprzeciwiali się wszystkiemu, co starali się stworzyć Ragnarson, Fiana i stary Krief.

Jakie było jego miejsce w tym równaniu? Zakładając, że Ragnarson zginął, a wraz z nim Gjerdrum i baron Hardle, on teraz dowodzi armią. On i Credence Abaca. A armia, nawet osłabiona porażką, mogła osadzić na tronie, kogo chciała.

Nie chciał tej odpowiedzialności. Przybył do Kavelinu, żeby spłacić dług wobec Ragnarsona, a nie żeby żonglować koroną tego królestwa.

–Bogowie niebiescy i piekielni, miejcie mnie w swojej opiece. Jeżeli ta wiadomość była prawdziwa, sprawcie, by stała się fałszywa. Zdejmijcie to brzemień z moich barków.

Inger nie mogła oderwać wzroku od zwłok. Oblał ją zimny pot. Zaczęła drżeć. Damy dworu podprowadziły ją do krzesła z dala od okna. Bardzo cicho, chropawym głosem, powiedziała:

–To mogłam być ja. Gdyby Karl wtedy nie stanął w oknie, to mogłam być ja.

Hunsicker odskoczył od okna, podszedł do niej. Był blady.

–Człowiek, który posłał tę strzałę, był piekielnie dobrym łucznikiem, pani. Musiała przylecieć aż z wieży Fiany.

–Nie obchodzi mnie, skąd przyleciała, Hunsicker. Nie obchodzi mnie, czy łucznik był świetnie wyszkolony, czy też miał po prostu szczęście. Obchodzi mnie to, że człowiek nie żyje, a gdyby nie zbieg okoliczności, ja byłabym na jego miejscu. – Starła się opanować. Przestała drżeć. – Mam dosyć. Wygrali. Poślij po Trebilcocka.

–Ależ pani...

–Koniec dyskusji. Koniec grania na zwłokę. Karl jest ostatnią ofiarą ambicji mojego kuzyna. Trebilcock ma tu być w ciągu godziny, a to, że nie możesz go znaleźć, nie będzie stanowiło wystarczającego usprawiedliwienia.

–Poddała się – powiedział Michael Derelowi. – Ogarnęła ją panika. W samą porę. Gales wrócił. Jest w Damhorst, z czterema setkami Itaskiańczyków.

–Nadal ani śladu Haasa?

–Żadnego. Martwię się o niego. Ale może nie będziemy go potrzebowali, żeby dowiedzieć się tego, co nas interesuje. Jednym z towarzyszy podróży Galesa jest książę Greyfellów.

–Greyfellów? Tych Greyfellów? Stary wróg króla?

–Nie ten sam człowiek, ale prawdopodobnie taka sama filozofia.

–A zatem ona nie działała tylko w swoim imieniu.

–Od jakiegoś czasu miałem co do tego wątpliwości. Ale tak naprawdę uważam, że ją zadowoliliby uznanie Fulka za następcę tronu.

–Te wasze małe teteatetes nie zmięczyły cię chyba?

Michael zachichotał.

–Byłoby o to trudno. Ale wiem o niej nieco więcej. Nie jest taka zła, jak usiłowaliśmy sobie wmówić.

–A któż jest? Lubimy wszystko postrzegać w czarnobiałych barwach. Uspokaja to

nasze sumienie. Jak zamierzasz to przeprowadzić, żeby nie dotarły do niej wieści o Galesie?

–Sądzę, że dziś w nocy przewieziemy ją do dworu starego Dalthina, a później dalej na północ przez Volstokin i Anstokin. Będziemy musieli poinformować Volstokin i Anstokin, że będzie przejeżdżać. Oficjalna podróż do ojczyzny w celu spotkania się z rodziną i takie tam.

–W porządku. Skontaktuję się z ich ambasadorami. Ty usuniesz ją z zamku. Cholera, chciałbym, żeby król wrócił.

–Lepiej nastaw się na to, że zajmie mu to jeszcze ze trzy tygodnie. Prawdopodobnie dłużej. To będzie zależało od tego, jak długo będzie się tam wygłupiał.

–Trzy tygodnie. Miesiąc. Czy utrzymamy się tak długo?

–Credence wszystko uszczelnił. Gdyby ktoś czegoś próbował, dobierze się do niego. A oni o tym wiedzą. Cham mówi, że Zgromadzenie siedzi cicho jak mysz pod miotłą. Gdy skłonimy Inger do zrzeczenia się jej praw, najgorsze będziemy mieli za sobą.

–No cóż, zabieraj się do tego, człowieku.

–Spokojnie, Derel. Jestem po twojej stronie.

–Nerwy. Brak wypoczynku i nerwy, Michael.

–Gdy tylko będę mógł, wrócę, żeby dać ci znać, jak mi idzie.

Inger powitała Trebilcocka w drzwiach.

–Rozumiem, że w końcu się zdecydowałaś, pani – powiedział.

–Zdecydowałam się. Właśnie się pakuję. Tym razem mnie przekonałeś.

–Jak to się stało? Jeszcze wczoraj, pani, się opierałaś.

–Ta strzała, Michael. Nie żartuj sobie ze mnie. Nic się nie dzieje bez twojej wiedzy, bez twojej zgody. Nie w Vorgrebergu.

–Ach, Inger, gdybyś tylko wiedziała. Do diabła, ty wiesz. Piekielnie dużo dzieje się bez mojej wiedzy. Nie sądzisz? A co z tą strzałą?

–Chodź tutaj. Spójrz na to i okłam mnie. – Poprowadziła go do następnego pokoju.

Na podłodze leżał martwy mężczyzna. Michael ukląkł przy nim.

–Karl. Jak, do diabła...?

–Przez okno. Ta strzała była przeznaczona dla mnie. Karl zrobił krok do przodu w nieodpowiedniej chwili.

Michael podszedł do okna. Wyrzwał przez nie, popatrzył na wieżę Fiany. Ta strzała nie była przeznaczona dla nikogo.

–Nic nie wiem na ten temat, Inger. Powiem tylko tyle. Człowiek, który zabił Karla, był piekielnie dobrym łucznikiem.

Zirytowana Inger syknęła:

–Tak też powiedział mi Hunsicker. Nie obchodzi mnie to. Obchodzi mnie moje własne życie i życie moich ludzi. Nie przywiozłam ich tutaj po to, by zostali wymordowani.

–Dowiem się, kto to zrobił. Będzie wisiał. Możesz być spokojna.

–A jeśli to był Abaca? – zapytała niepewnie. – Cały czas mnie przed nim ostrzegasz.

–Skrytobójstwo, to nie w jego stylu. Gdyby chciał cię zabić, wykombinowałby jakiś sposób, żeby ogłosić stan wojenny, a potem wpadłby tutaj i powiesił cię, zanim ktokolwiek zdołałby mu przeszkodzić. Właśnie coś takiego obmyśla. Dlatego chciałem, żebyś wyjechała. Nie, nie sądzę, żeby zrobił to Credence.

Zmieszana Inger powiedziała:

–W takim razie to ta mała dziwka Kristen. Ona mnie nienawidzi z powodu Fulka.

–Być może. Nieważne, kto to zrobił. Musimy cię stąd wydostać. Gdy tylko zapadnie całkowita ciemność, zabiorę cię do opuszczonego dworu na północ od miasta. Moi ludzie wejdą tutaj i będą udawać, że ciągle tu jesteś. Gdy wszystko zorganizuję, wyślemy cię na północ, przez Anstokin i Volstokin.

–Dlaczego na północ?

–Ponieważ ludzie, którzy usiłują cię zabić, nie będą się spodziewali, że udasz się w tamtym kierunku. Ponieważ Credence nie będzie się tego spodziewał. Staralem się, żeby było dla ciebie jasne, że nie chcę, żeby stała ci się jakakolwiek krzywda. Nie zmuszaj mnie do bardziej otwartego wyrażenia moich uczuć. To nie przystoi słudze twego męża.

Inger spojrzała na niego zakłopotana. Usiadła.

–Kiedy?

Michael spojrzał przez okno.

–Musimy poczekać, aż zapadnie noc. Powiedzmy, że za dwie godziny.

–A czy ci wszyscy ludzie nie będą zwracać uwagi?

–Zwracaliby, gdyby pojechali wszyscy. Nie pojedą. Wybierz cztery czy pięć osób. Reszta zostanie i będzie stwarzać pozory.

Spojrzała na niego twardo.

–Czy na pewno nie próbujesz mnie wywieźć gdzieś, gdzie mógłbyś...

–Nie bądź niemądra. Gdybym chciał cię zgładzić, mógłbym to zrobić w tym pokoju. Credence z przyjemnością by mi pomógł.

–To dlaczego zostawiamy moich ludzi?

–Żeby nie zwracać uwagi. I, szczerze mówiąc, jako zakładników. Wiele dla mnie znaczysz, pani, podobnie jak mój obowiązek wobec Kavelinu.

Inger zrobiła kwaśną minę.

–Obowiązek. Wobec Kavelinu. Szkoda, że nie wiesz, jak bardzo robi mi się niedobrze na

sam dźwięk tych słów.

Michael wzruszył ramionami.

–Król wierzy w to, czego usiłuje tutaj dokonać. Dopóki nie zmieni kursu lub nie zostanie zastąpiony albo dopóki ja nie odejdę, moim obowiązkiem jest wypełniać jego wolę.

–Rozumiem, że nie zawsze się z nim zgadzasz.

Michael spojrzał przez okno na krwawy zachód słońca.

–Nie zawsze. Ale to on wytycza kierunki działań. Reszta je realizuje.

–Kierunki działań wytycza Prataxis. To z jego marzeń Bragi czerpie te swoje szalone pomysły.

–Czasami, czasami. – Stąpasz po grząskim gruncie, Michael – powiedział sobie Trebilcock. Bądź bardzo, ale to bardzo ostrożny.

Dahl Haas zapukał do drzwi domu w Sedlmayr. Nikt nie odpowiedział. Pukał dalej. Po długim czasie drzwi się otworzyły. Haas wślizgnął się do środka.

–To musi być tutaj – powiedział sierżant dowodzący oddziałem, który śledził Haasa. Rozstawił ludzi. – Wy trzej idźcie za dom i sprawdźcie, czy jest drugie wyjście. Jeśli jest, niech dwóch z was zostanie i pilnuje go, a trzeci wróci do mnie z informacją.

–Czy naprawdę musimy ich wszystkich wykończyć? – zapytał jeden z jego ludzi.

–Rozkaz księcia.

–Ale dzieci. Sarge, nigdy nie zabiłem dziecka.

–Przestań! Po prostu wykonaj tę przeklętą robotę. – Sierżant był rozgoryczony i szorstki wobec swoich ludzi. Jemu też nie podobało się to polecenie. Ale rozkaz to rozkaz.

Wrócił jeden z wysłanych przez niego mężczyzn.

–Jest tylne wyjście.

–Czy dwóch ludzi będzie w stanie je zablokować?

–Z łatwością.

–Dobra, panowie. Już czas. I pamiętajcie. Nikt nie może ująć z życiem. Nikt. Bo inaczej książę skróci nas o głowę. Idziemy.

Jedna osoba ocalała. Dahl Haas przedarł się przez tylne drzwi, zostawiając dwóch pilnujących ich ludzi z rozprutymi brzuchami. Zgubił pościg w ciemnych ulicach Sedlmayr.

Generał Liakopulos z czterema towarzyszącymi mu mężczyznami niepostrzeżenie wjechał do Vorgrebergu. Byli ubrani jak myśliwi. Generał pospieszył do swojej kwatery, przebrał się w mundur i wysłał kilka wiadomości.

Prataxis przybył pierwszy. Twarz miał poszarzałą.

–Co ty tutaj robisz? – zażądał wyjaśnień.

–Zaczekaj. Posłałem też po Trebilcocka i Abacę. Nie będę powtarzał.

Abaca zjawił się parę chwil później. Trebilcock tuż za nim. Sama obecność Liakopulosa ich zaalarmowała.

–Siadajcie – powiedział Liakopulos. – Potrzebuję pomocy przy podejmowaniu decyzji.

–O co chodzi? – zapytał Prataxis. Aż drżał z nerwów.

Abaca nadal stał. Trebilcock nie zdradzał żadnych emocji.

–Król nie żyje – powiedział Liakopulos. – Bądźcie cicho! – warknął, gdy trzej mężczyźni zaczęli jednocześnie zadawać pytania. – Była bitwa. Król został otoczony. Jedynie jednej piątej naszych żołnierzy udało się przedrzeć, najwyraźniej dlatego, że uciekli, gdy mieli uderzyć na tyły wroga. Nie znam szczegółów. Sprawdźmy to dokładnie i gdy będzie trzeba, wyciągniemy konsekwencje dyscyplinarne. W tej chwili to nie ma nic do rzeczy. Faktem jest, że większość armii została wybita.

Włącznie z królem, Gjerdrumem i baronem Hardle'em. Wieści zaczęły docierać kilka dni temu. Poczekalem, aż upewniłem się, że to nie histeria. Rozkazałem dowódcy garnizonu w Maisaku zatrzymać tych, którzy uszli z życiem. Przerwałem łączność telegraficzną, żeby wiadomość nie przeciekła. Gdy miałem już pewność, przyjechałem, żeby się z wami skonsultować.

–Zabić ją, zanim sprawa się wyda – warknął Abaca.

–Fulka też chcesz zabić? – zapytał Michael.

–To rozumie się samo przez się.

–Nie zabijam niemowląt.

–Ja to zrobię.

–Nie, Credence, nie zrobisz tego – powiedział Liakopulos. – To nie byłaby obrona Korony. To morderstwo. To królobójstwo. Fulk został królem w chwili, w której umarł Ragnarson.

–Słuszne z prawnego punktu widzenia stwierdzenie – powiedział Prataxis. Ciągle drżał. – Proponujesz zdradę stanu, Credence. A jednak...

–Rozumiecie mój dylemat – wtrącił Liakopulos. – Jeżeli nie złamiemy prawa, nowi panowie zniszczą to, nad czym tak ciężko pracowaliśmy.

–Dwa trupy – warknął Abaca. – I po problemie.

–Jeżeli my sami zakpimy z prawa, czy naprawdę możemy się spodziewać, że ktokolwiek inny będzie go przestrzegał? – zapytał Prataxis.

–Sam rozważałem te kwestie – wtrącił Liakopulos. – To sytuacja bez wyjścia. Postanowiłem, co zrobię. Wasze postępowanie zależy od was i waszych sumień.

–Co zamierza pan zrobić? – zaciekawiał się Abaca.

–Kiedyś przyjechałem do Kavelinu, ponieważ Gildia miała dług wdzięczności wobec Ragnarsona. Nie ma Ragnarsona, nie ma długu. Wracam do Wysokiej Iglicy. Jeżeli wasza trójka postanowi przestrzegać prawa, zostanę, żeby pomóc zapewnić spokój w okresie przejściowym.

Jeżeli wyberzecie bunt, wyniosę się teraz. Nie przyłączę się do was, ale też i nie będę wam przeszkadzał.

Prataxis i Abaca kiwnęli głowami. To dawałoby Credence'owi wyłączone dowództwo nad armią.

–Synowa króla jest dużo bardziej sympatyczna od Inger – powiedział Abaca. – Czy mogłaby być regentką małego Bragiego?

–Pierwszymi na liście króla byli Mundwiller, Gjerdrum i baron Hardle – odparł Prataxis.

–Mundwiller, hę? Mógłbym z nim współpracować.

–Możemy tak rozmawiać do końca świata – powiedział Liakopulos – ale to nie rozmowy są potrzebne. Musimy działać. Ludzie w Maisaku nie mogą wiecznie utrzymywać tych wieści w tajemnicy. Jest pewne, że niektórzy z ocalałych wrócą ścieżkami przemytników.

–Michael – powiedział Prataxis – Kristen i dzieci znajdą się w niebezpieczeństwie, gdy to się wyda.

–Już ich wysłałem poza granice kraju. Z pieniędzmi.

Abaca i Liakopulos spojrzeli na niego krzywo. Ani Prataxis, ani Trebilcock nie wyjaśnili, o co chodzi.

–Po której stronie stoisz, Trebilcock? – zapytał Abaca.

–Dokładnie pośrodku. Jak my wszyscy. Prawdopodobnie pójdę za przykładem generała.

–Ja tak samo – powiedział Prataxis.

–Wy trzej macie dokąd iść. Ja nie. To moja ojczyzna. – Abaca wstał. – Dobra, niech więc tak będzie. Skoro zostałem przegłosowany, to nie ma o czym mówić. – Skierował się w stronę drzwi.

Liakopulos wstał i powiedział:

–Zanim wieści się rozniosą, musimy spotkać się z królową. Przygotować ją na wstrząs.

–Zabiorę cię do niej, generale – powiedział Michael. – Spotkamy się tutaj za godzinę. Wcześniej muszę załatwić parę spraw. Derel, ty przyprowadzisz Credence'a i Chama.

–Dlaczego po prostu nie powiesz nam, gdzie ona jest, i wszyscy byśmy się tam spotkali? – zapytał Abaca.

–To nie jest dobry pomysł – odparł Michael. – Im mniej ludzi wie, tym mniejsze ryzyko.

Abaca spojrział na Michaela nieprzyjaźnie.

–Dobra. Jak uważasz. – Wyszedł.

–Będzie robił trudności – powiedział Prataxis.

–To możliwe – przyznał Michael. – Generale, będę w ciągu godziny.

Liakopulos wyciągnął rękę.

–Trebilcock, miło było. Coś tutaj stworzyliśmy. Przykro mi, że to musi się tak skończyć. Tobie też dziękuję, Prataxis.

Derel uściśnął mu dłoń i mruknął:

–Dlaczego on to zrobił? Nie było żadnego sensownego powodu, żeby ich atakować.

–Miał coś z neurotyka, podobnie tervola – powiedział Liakopulos. – Miejmy nadzieję, że nie zginął na próżno, że tervola są chwilowo usatysfakcjonowani.

–Tylko tego by brakowało – zrzędził Trebilcock. – Shinsanu przygotowującego się do uderzenia. No dobra, do zobaczenia.

–Lepiej poszukam Mundwillera – powiedział Prataxis i udał się w ślad za Michaelem.

Liakopulos usiadł, przymknął oczy i usiłował sobie wyobrazić, czym mógłby się stać Kavelin, gdyby król nie szukał wiatru w polu. W końcu z oczu popłynęły mu łzy.

Rok 1016 OUIW swojej twierdzy w Smocznych Zębiskach Nepanthe i Varthlokkur śledzili w milczeniu wydarzenia w Vorgrebergu. Widzieli, jak dojrzewają pierwsze małe bunty, podsycane rozchodzącą się lotem błyskawicy wieścią, że Inger i Fulk zostali zamordowani przez klikę króla. Widzieli, jak Abaca wydaje zbyt surowe rozkazy stłumienia buntów, i byli świadkami opuszczania armii przez żołnierzy wywodzących się z Marena Dimura.

Varthlokkur odwrócił się od lustra.

–Miałaś rację – powiedział zduszonym głosem. – Myliłem się. Byłem głupcem.

–Co zamierzasz z tym zrobić?

–Teraz? Nie mogę nic zrobić. Jest za późno. Musimy zostawić sprawy własnemu biegowi.

–Mnóstwo ludzi zostanie skrzywdzonych.

–Wiem. Tak to już jest. Ja mogę tylko pogorszyć sytuację. To oczyści ducha narodu. Każdy naród przez to przechodzi. Dla jednostek to będzie koszmar, ale królestwo wyjdzie z tego zahartowane i zjednoczone.

–Daruj sobie.

–Dobrze. Zrozum tylko, przyznaję się do winy. I jest zbyt późno, żebym mógł zrobić coś dobrego.

–Skoro tak twierdzisz.

Jedna wielka łza potoczyła się po policzku czarodzieja. Pomyślał sobie: Nie szarp mnie teraz, kobieto. I bez tego ciężko mi żyć.

Mgła była tak długo pozbawiona snu, że widziała podwójnie.

–Lordzie Ssuma?

–Raport o sytuacji w Kavelinie, księżniczko. O ile cię to interesuje.

–Oczywiście, że tak. Mów.

–Będę się streszczał. Wiem, że jesteś przemęczona, pani. W zasadzie dawny porządek jest skazany na zagładę. Ludzie Ragnarsona mają niewielkie poparcie. Wydaje się, że dojdzie do wojny domowej.

–No tak. Szlachetny eksperyment umiera. I to nie bohaterską śmiercią, ale sromotną, upiory i szakale kłócą się nad zwłokami. Smutny koniec.

–Rzeczywiście smutny, księżniczko. Czy mogę wrócić do swoich obowiązków?

–Tak, lordzie Ssuma. I dziękuję ci, że wypełniłeś wtedy moje rozkazy.

Shihka’i nie odpowiedział. Mgła ponownie skupiła się na Matayandze, wyrzucając Kavelin ze swoich myśli. Shinsan nie zwrócił się ku zachodowi przez długi czas.

Trebilcock i Liakopulos wjechali na trakt wiodący do dworu Dalthina. Michael rozglądał się w poszukiwaniu śladów obecności królowej. Nic nie zauważył, co go usatysfakcjonowało.

–Bogowie, nie cierpię tego – powiedział. – A nie widzę żadnej alternatywy oprócz planu Credence’a.

–Pogodziłem się z tym.

–Przynajmniej nie wyrwała nam tego. Oddaliśmy to walkowerem.

–Możliwe. Możliwe, że to z jej powodu król zrobił to, co zrobił.

–Teraz to bez znaczenia.

–Jesteś pewny, że oni tu są? Dwór wygląda na nie zamieszkaną.

–I tak ma być. – Michaelowi nagle przyszła do głowy straszna myśl. Popędził wierzchowca.

–O co chodzi?

–Może Credence się dowiedział. Gdy tylko nas opuścił, wysłał swoich Marena Dimura za miasto. – Jego i Liakopulosa zatrzymały raporty o sporadycznych buntach, które musieli przeczytać. – W każdym razie Derel powinien już tu być. Chociaż nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak trzyma w ryzach Credence'a, gdyby ten nie chciał się przyzwoicie zachowywać.

Michael planował przyjechać pierwszy, potem był zbyt zajęty, żeby się martwić Abacą. Zatrzymał się przed budynkiem dworu, zeskoczył z konia i pobiegł.

Niepotrzebnie się niepokoił. Inger, cała i zdrowa, powitała go w drzwiach.

–Co ty tutaj robisz? Spodziewałam się ciebie dopiero jutro.

–Czy Derel ci nie powiedział?

–Derel? Nie widziałam się z nim. Michael i Liakopulos wymienili spojrzenia.

–Miał się tutaj z nami spotkać. Jesteśmy bardzo spóźnieni. Wybuchło parę buntów. Twoi przyjaciele utrzymują, że cię zamordowaliśmy.

–Przeglądałam papiery. Mogę je podpisać. Dlaczego przywiozłeś generała? Myślałam, że jest w Baxendali na manewrach.

–Był. Wrócił. Nie zawracajmy sobie głowy papierami. Derel, do cholery, gdzie się podziewasz?

–Co się stało?

–Czy było ci tu wygodnie?

–Na tyle wygodnie, na ile może być w ruinach. Będę szczęśliwa, gdy wydostanę się z Kavelinu. To był jeden ciąg smutków. Byłam głupia, że chciałam uczynić Fulka królem.

–Właśnie, Michaelu – powiedział Liakopulos. – Antydatuj papiery.

Oczy Inger zwężyły się.

–Co tu się dzieje? Dlaczego tutaj jesteście? Dlaczego przyjeżdża Derel? Żeby dać tym buntownikom powód do wrzasków?

Michael roześmiał się słabo.

–Nic z tych rzeczy. To taka pogawędka w większym towarzystwie. Ty, ja, generał, Derel, Mundwiler, Abaca. Tylko że zaczynam się zastanawiać, czy reszta zamierza się tu pokazać. Może bunty się nasiliły albo stało się coś innego. Generale?

Liakopulos wzruszył ramionami.

–Wieści mogły przeciec. Wiesz, co by to oznaczało.

–Michaelu, lepiej przejdź do rzeczy – powiedziała Inger. Michael spojrzał na Liakopulosa. Generał skinął głową.

–No dobrze. Mówiąc wprost, Bragi nie żyje. Fulk jest królem.

–Co? Jak? Jesteś pewny? – Inger zrobiła się blada jak kreda. Jej ręce wykonywały szybkie, bezcelowe ruchy.

–Próbował podejść lorda Hsunga. Gdy nie mieliśmy kontaktu, lord Hsung zginął w

zamachu, został zastąpiony, a jego inwazja na Hammad al Nakir odwołana. Gdy Bragi dotarł do Throyes, legiony już na niego czekały. Tylko nielicznym udało się uciec z życiem. Generał przywiózł te wieści dzisiaj.

–Chodźmy gdzieś, gdzie będę mogła usiąść. – Gdy wpuszczają ich do domu, mruknęła: – Nie żyje? Bragi nie żyje? Nie mogę w to uwierzyć.

–To prawda, Wasza Wysokość – odparł Liakopulos. – Była wielka rzeź, a on zginął jako jeden z ostatnich.

–Oszczędź mi tych chwalebnych szczegółów – wyszeptała. – Nie żyje? Nie wierzę w to. Jak to możliwe? Zawsze był takim szczęściarzem. Nie wierzę nawet w to, że przeszedł przez przełęcz. Myślałam, że jest w Maisaku i czeka, żeby ziemianie zrobili coś, dzięki czemu miałby powód, by wrócić i powiesić paru Nordmenów. – Odwróciła się do Michaela. – To następna z twoich intryg, prawda?

–Nie, Inger. To nie żadna intryga. Przedyskutowaliśmy to dziś po południu. Było gorąco, ale postanowiliśmy przyjść wszyscy i powiedzieć ci o tym. Twój syn jest królem. Ty jesteś regentką. Chcemy cię zabrać z powrotem i oddać rządy w twoje ręce, zanim wieści się rozejdą i Kavelin zacznie się rozpadać.

–On nie jest martwy. Nie wierzę w to. To jakaś sztuczka. – Patrzyła to na jednego, to na drugiego. – Och, wy naprawdę w to wierzycie. Ale to niemożliwe... A w ogóle dlaczego mi o tym mówicie? Przecież chcieliście się mnie pozbyć.

–To było wtedy, gdy spiskowałaś przeciwko Koronie – powiedział Michael. – Teraz Korona to ty. Postanowiliśmy postępować zgodnie z prawem. Wtedy prawo było po naszej stronie. Teraz jest po twojej. Nie za bardzo się z tobą zgadzamy, ale służymy Koronie. Przyjechaliśmy, żeby zabrać cię z powrotem.

Inger usiadła.

–Michaelu, za dużo tego naraz. W naszych wzajemnych stosunkach nie było nic poza goryczą. A teraz nagle zamierzacie stanąć po mojej stronie?

–Niezupełnie – powiedział generał Liakopulos. – Ponieważ Gjerdrum i baron Hardle zginęli wraz z królem, zostałem dowódcą armii, a Cham Mundwiller został głównym rzecznikiem Korony w Zgromadzeniu. Sumienie nie pozwala mi zajmować tego stanowiska dłużej niż przez czas potrzebny do mianowania następcy. Jednak nadal będę utrzymywał porządek. Gdy znajdziesz następcę, udam się do Wysokiej Iglicy.

Inger uniosła brwi.

–Naprawdę?

–Naprawdę – odpowiedział Michael. – Derel zamierza wrócić do Rebsamenu. Nie rozmawiałem z Chamem, ale spodziewam się, że będzie się zaciekle bronił, dopóki całkiem nie pozbędziesz się Zgromadzenia. Abaca nic nie mówił, ale prawdopodobnie wróci do swego ludu. Już rozkazał żołnierzom Marena Dimura wracać do domu.

–Ta mała ropucha! Będzie stwarzał problemy. Nienawidzi mnie.

–Niewiele zrobiłaś, żeby cię pokochał. Spojrzała na niego ostro. Nie odwrócił wzroku.

–A ty, Michael? Co ty planujesz dalej robić?

–Prawdopodobnie to samo co generał. Pomogę utrzymać ład, dopóki nie

zakończy się proces przekazywania władzy, a potem wyjadę. Nie chcę patrzeć na to, co twoi ludzie zamierzają zrobić z Kavelinem. Mam na zachodzie krewnych. Wrócę do interesów, tak jak wiele lat temu się po mnie spodziewano.

–Ty naprawdę myślisz, że ludzie z mojego kraju to grabieżcy, prawda?

–Niewiele świadczy o czymś przeciwnym, Inger. Przypominam sobie zaledwie garstkę Nordmenów, którzy chociaż odrobinę troszczyli się o królestwo czy kogokolwiek poza sobą. A dzieje twojej rodziny są powszechnie znane. Spodziewam się, że twój kuzyn spadnie na Kavelin jak herszt zabójców. Gdy pochwyci w szpony szczątki królestwa, sprzeda to, co zostanie, Imperium Grozy za urząd wicekróla zachodu czy coś w tym rodzaju. A ciebie i Fulka czeka rychła śmierć.

–Masz zbyt jednostronny pogląd na tę sprawę. Nie kłóćmy się o politykę.

–Nie kłóćmy się. Teraz najważniejsze jest to, żeby dostarczyć cię z powrotem na zamek, zanim ludzie dowiedzą się o królu. Jeżeli tego nie zrobimy, rozpęta się prawdziwe piekło. Kavelin nie przetrwa następnej wojny domowej. Zbyt wiele wilków czeka, żeby go pożreć.

–Masz rację. Masz absolutną rację. – Inger patrzyła niewidzącym wzrokiem. – Michael, teraz, gdy to na mnie spadło, tak naprawdę tego nie chcę.

–Będzie ci ciężko. Równie ciężko jak Bragiemu.

–On powtarzał, że też tego nie chciał.

–Bo tak było.

–Wasza Wysokość – powiedział Liakopulos – gdy sny się spełniają, zwykle okazują się koszmarami.

–Koszmar to czy nie, królestwo jest w twoich rękach – rzekł Michael.

–Nie chcę tej odpowiedzialności.

–W takim razie po co było to całe spiskowanie, dwulicowość, interesy z różnymi monstrami, takimi jak lord Hsung i Magden Norath? – zażądał odpowiedzi Michael.

–Wtedy wyglądało to inaczej. Nie wiem, czy potraficie to zrozumieć. Robiłam to, co uważałam za najlepsze dla Fulka. Nigdy nie chciałam sama rządzić. – Przerwała i zamyśliła się. – Chcę, żebyście o czymś wiedzieli. Chcę, żebyście w to uwierzyli.

Nieważne, co się wydarzyło, kochałam go. Bardzo go kochałam. I gdy minie to odrętwienie, mogę się po prostu załamać. Bądźcie ze mną do tego czasu, dobrze?

–Zostanę tak długo, jak zechcesz. Generał także. I Derel. Wiem, że nie przepadasz za nami, ale jesteśmy skłonni ci pomóc, ponieważ...

–Wiem, wiem. Dla Kavelinu. – Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. – Przeklęty pryszcz nie królestwo. Ale i mnie ono jakoś urzekło, trochę. Dotarło do mnie, że troszczę się o nie. Nienawidzę go, ale się troszczę.

Michael uniósł brwi.

–Wydaje się, że to zaraźliwe – powiedział generał. Wślizgnął się jeden z ludzi towarzyszących królowej. Wyglądał jak oberwaniec.

–Pani, na zewnątrz jest człowiek, który woła kapitana Trebilcocka. Ktoś z Gwardii Pałacowej.

–Michael?

–Nie wiem, o co chodzi. Zobaczę, czego chce. Wyszedł na tyły domostwa i okrążył

dom, podczas gdy pozostali podeszli do frontowych okien.

Był to jeden z jego zaufanych ludzi, którzy niepostrzeżenie wyprowadzili Inger z zamku. Michael podkradł się blisko i zapytał:

–O co chodzi, Mark? Mężczyzna podskoczył.

–Panie! Nie słyszałem, jak się zbliżasz.

–Wyglądasz okropnie. Co się stało?

–Bunty... Panie, pułkownik Abaca ogłosił, że król zginął podczas próby ataku na Throyes. Ludzie po prostu oszaleli.

–Niech go szlag! Niech go szlag trafi! Niech mnie trafi! Powinienem to przewidzieć. Jak bardzo jest źle?

–Okropnie, panie. Ćwierć płonie. Zaczęły się grabieże. Wessończycy i Nordmeni walczą ze sobą na ulicach. A razem rzucają się na Siluro. Wszyscy myślą, że królowa też nie żyje. Ziemianie zajęli Zgromadzenie. Próbowali wdrzeć się do pałacu.

Odparliśmy ich za pierwszym

razem, ale kto wie, co będzie później?

–Prataxis. Mundwiller. Co z nimi? Czy oni nie potrafią niczego zorganizować?

–Nie żyją, panie. Przynajmniej Mundwiller był martwy, gdy wyjeżdżałem. Wpadli w zasadzkę na ulicy. Prataxisa zabraliśmy do pałacu, ale doktor Wachtel mówi, że długo nie pożyje.

–A co z garnizonem regularnego wojska? – zapytał Liakopulos, wychodząc z domu. – Co oni robią?

–Pułkownik Abaca po swoim oświadczeniu rozkazał im wracać do koszar, panie generale.

–Generale, przyprowadź królową – powiedział Michael. – Jedźmy tam i spróbujmy coś zrobić.

–Prawdopodobnie jest już za późno.

–Prawdopodobnie.

Inger wyszła z domu. Zaszła w niej radykalna zmiana. Zaczęła zachowywać się po królewsku. Powiedziała swoim ludziom, żeby przyprowadzili konie.

Michael uśmiechnął się.

–Wasza Wysokość. Spojrzała na niego dziwnie.

–Nigdy wcześniej tak się do mnie nie zwracałeś.

–Nigdy wcześniej w moich oczach na to nie zasługiwałaś. Myślę, że teraz jesteś gotowa nosić ten tytuł. Dosiądźmy koni.

–Jeszcze jedno, panie – powiedział Mark. – Wiadomość. Miał ją Prataxis. Dał ją mnie. Powiedział, że tylko do twojego wglądu. – Wręczył mu kartkę.

Michael trzymał list blisko oczu, z trudem go odczytując.

–Mam nadzieję, że to cię usatysfakcjonuje, Inger.

–Słucham, Michael?

–To list od mojego agenta w Sedlmayr. Wysłałem tam Kristen i dzieci króla przed wielkim meczem mistrzostw. Itaskianie najechali ten dom i zabili wszystkich, którzy byli wewnątrz.

Inger wzdygnęła się.

–Co? Jak mogli? Ja... ja nigdy nie pozwoliłabym na coś takiego. Poza tym wszyscy moi ludzie są tutaj.

–Wszyscy twoi ludzie – Michael nachmurzył się, walcząc z ogarniającym go gniewem. – Ale nie twojego kuzyna. Nie wspomniałem ci wcześniej, z przyczyn oczywistych, że Gales wrócił. Wraz z twoim kuzynem księciem.

Inger nie odpowiedziała, dopóki wszyscy nie dosiedli wierzchowców.

–To w stylu Dane’a. Niech go szlag trafi. Odrażający... Michael, wierz mi, nigdy nie chciałam czegoś takiego.

–Może nie. Ale właśnie czegoś takiego mogłaś się spodziewać po swoim kuzynie.

–Odpowie za to. Jedźmy.

Księżę i jego oddział znajdowali się trzydzieści mil od stolicy, jedząc wieczorny posiłek w obozie na terenie posiadłości jednego ze sprzymierzonych Nordmenów. W pobliskim zamku zbierali się przedstawiciele ziemian. Miała się odbyć narada wojenna.

–Wyglądasz ponuro, Gales – stwierdził księżę. – Mortin mówi, że jesteś przygnębiony, odkąd odkryłeś, że Haas wyszedł cię, gdy wracałeś do domu.

–Słucham, Wasza Miłość?

–Nie chcę, żeby mój najlepszy człowiek był nieszczęśliwy. Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić?

Wracaj do domu, pomyślał Gales. Zostaw tych ludzi w spokoju.

–Nie, panie. Tylko nie najlepiej się czuję. To samo przejdzie. Księżę zachichotał.

–Nie pochwalasz tego, co robimy, prawda?

–Nie. Ale jestem żołnierzem. Nie do mnie należy ocena. Księżę pokiwał życzliwie głową. Jego myśliwi wrócili z Sedlmayr. Był w dobrym humorze. Bachor Inger nie miał już rywali w walce o tron. Inger będzie rządzić w imieniu chłopaka, a on, księżę, będzie pociągał za sznurki.

–Mortin. Na dzisiejszym spotkaniu wybierz tych, których musimy się pozbyć w pierwszej kolejności.

Mortin miał właśnie odpowiedzieć, gdy spojrzał ponad ramieniem księcia.

Wytrzeszczył oczy. Gales też spojrzał w tamtym kierunku. Księżę się odwrócił.

–Norath! Co, do diabła, tutaj robisz?

Ogromny mężczyzna wszedł w krąg światła. Za nim postępowali dwaj wysocy, muskularni ochroniarze z oczami jak sople lodu.

–Nasz wspólny przyjaciel prosił, żebym tu zajrzał. – Norath miał wysoki i piskliwy głos, zupełnie nie pasujący do jego potężnego ciała.

Gales zachichotał nerwowo.

–Wolałbym, żeby nie podejmował ciągłe prób przejęcia kontroli.

–On nie uważa, że porozumienie jest ważne tylko wtedy, gdy jest ci to wygodne. A ten kraj interesuje go szczególnie. Kazał mi się upewnić, że nie spieprzysz tego, jak twoja rodzina ma to w zwyczaju.

Mortin wstał i wyciągnął miecz. Jeden z ochroniarzy Noratha wytrącił mu go z ręki. Zaczerwieniony księżę powiedział:

–Spokojnie. Przecież podobno jesteśmy przyjaciółmi.

–Nie – powiedział Norath. – Nie przyjaciółmi. Sojusznikami. Dziś wieczorem jest zebranie. Wezmę w nim udział jako jeden z twoich ludzi. Nikomu nie powiesz, kim jestem.

–Jak chcesz. Ale dlaczego tak naprawdę zjawiłeś się tutaj? Myślałem, że jesteś zajęty w Hammad al Nakirze.

–Tutaj otwierają się większe możliwości. – Usiadł blisko ognia. Jeden z jego ochroniarzy zdjął najlepszy kawałek mięsa z rożna i podał mu go.

Księżę gotował się z wściekłości, opracowując w myśli plany zemsty. Nikt nie będzie go poniżał.

Gales przyglądał się temu z boku, po raz tysięczny zmagając się ze swoim sumieniem. Czy mógł pozostać w służbie człowieka, który zadawał się z ludźmi pokroju Magdena Noratha? Miał dług, to prawda, ale czy nie miał też ważniejszych obowiązków moralnych? Czy ten dług nie został w rzeczywistości w dużej mierze zaciągnięty wobec Inger, a nie rodziny Dane'a?

Wkrótce po pojawieniu się Noratha przybył posłaniec, który powiedział, że dowódca garnizonu w Vorgrebergu ogłosił, że król nie żyje. W mieście panował chaos.

–Doskonale – powiedział księżę. – Przywrócimy porządek i będziemy postrzegani jako zbawcy.

Posłaniec dodał:

–Krażą też plotki, że zausznicy Ragnarsona zamordowali królową i jej syna. Ludzie myślą, że nie ma kto przejąć władzy.

–Ja to zrobię.

–Prawnie, głupcze, prawie – rzucił Norath.

Gales zachichotał. Jeśli Inger nie żyła, plan księcia wziął w łeb. Tyle straconych lat. Nikt nie zasługiwał bardziej na porażkę. Ale humor dopisywał mu tylko przez chwilę. Inger była zbyt wysoką ceną za blamaż Dane'a.

Generał Liakopulos prowadził ich drogą wiodącą na zachód od Vorgrebergu do koszar królewskich, które były położone poza murami miejskimi. Żołnierze byli zdemoralizowani i dezorientowani. Kazał dowódcy ich zebrać.

–Żołnierze – powiedział – słyszeliście, że król nie żyje. Słyszeliście, że królowa została zamordowana. Teraz zadaję kłam tej drugiej wieści. Oto Jej Wysokość Królowa.

Inger wystąpiła krok wprzód. Liakopulos kazał oświetlić ją ludziom z pochodniami, żeby nie było żadnych wątpliwości.

–Na wschodzie doszło do bitwy. Król brał w niej udział. Przegraliśmy, przegraliśmy ją z kretelem. Ale jak dotąd nie mamy żadnego bezpośredniego dowodu, że król zginął. Są tylko plotki rozsiewane przez ludzi, którzy chcą skorzystać na zamieszanu i rozpacz. Coś takiego w Vorgrebergu dzieje się codziennie, z tym że teraz sprawa jest poważniejsza. Nie wierzcie w plotki. Nie siedźcie jak potępieńcy. Jesteśmy żołnierzami. Naszym zadaniem jest utrzymanie porządku. Pora, żebyśmy się do tego zabrali.

Mówił jeszcze przez chwilę, próbując przywrócić morale. Nie miał oporów, by

uciec się do kłamstwa. Gdy skończył, przekazał oddziały ich dowódcom, którzy przygotowali je do działań w mieście.

–Majorze, wydaje się, że jest ich trochę mało. Co się stało?

–Dezercje. Straciliśmy blisko siedemdziesięciu ludzi. Wszystkich zwiadowców Marena Dimura. Większość chłopaków z rodzin nordmeńskich. Wessończycy trzymają się lepiej.

–Oni zawsze byli solidniejsi. No dobrze. Podzielimy siły na dwie grupy. Jedna będzie towarzyszyć królowej do pałacu. Druga pójdzie ze mną do koszar Vorgrebczyków. Weźmiemy ich do galopu, a potem zaczniemy robić porządek na ulicach.

Major wyjrzał przez okno. Pomarańczowa poświata rozjaśniała podstawy chmur.

–To może być zbyt poważne zadanie, biorąc pod uwagę środki, którymi dysponujemy, generale.

–Tak czy owak, spróbujemy, majorze. To nasza praca. Nie dziel się tymi wątpliwościami ze swoimi ludźmi.

–Oczywiście, panie generale. Wybaczy mi pan? Wasza Wysokość.

–Chwileczkę – powiedział Michael, odzywając się po raz pierwszy. – Gdzie jest pułkownik Abaca?

–Nic o nim nie słyszałem, odkąd kazał nam wracać do koszar.

–Rozumiem. Dziękuję.

Gdy mijali nie strzeżoną, opuszczoną i otwartą zachodnią bramę miejską, Michael powiedział do Inger:

–Ten przekłety Credence chciał tego. Domyślam się, że doszedł do wniosku, że nie zostawi ci zbyt wiele. Cholera. To też był dobry żołnierz.

–Niezbyt dużo widziałam w nim dobrego.

–Patrzyłaś na niego jak na Marena Dimura, nie jak na człowieka. Do dzisiaj był doskonałym żołnierzem. Ale dla Bragiego.

Inger nic nie odrzekła.

–Bragi był spoiwem trzymającym to wszystko – zadumał się Michael. – Nawet ziemianie go poważali. Trudno będzie pójść w jego ślady.

–Nie próbuj mnie do niczego przekonywać, Michael.

Od czoła kolumny dobiegły krzyki. Szwadron z hałasem pogonił za bandą szabrowników. Zostali otoczeni, ciasno związani i zmuszeni do marszu obok kolumny. Liczba więźniów stale rosła, chociaż Michael nalegał, żeby trzymać się spokojniejszych części miasta.

–Powinni zostać ścięci tam, gdzie ich złapano – stwierdziła Inger.

–Część problemu stanowi wcześniejsze barbarzyństwo Credence'a – ripostował Michael. – Jest czas na radykalne środki, ale nie wtedy, gdy próbuje się uciszyć wzburzone morze. Gdybyśmy teraz zarzynali każdego, mielibyśmy jeszcze więcej rozwścieczonych ludzi. Nie można zastraszyć tłumu. Rośnie szybciej, niż go rozbijasz. Gdy ma się do czynienia z czymś

zaplanowanym, o mniejszych rozmiarach, jak na przykład niedawne bunty, barbarzyństwo może skutkować.

Rzucił na nią okiem. Inger tak naprawdę nie słuchała. Od opuszczenia dworu coraz bardziej zamykała się w sobie. Zdawała sobie sprawę, jak wielkie brzemię spoczęło na jej barkach. Przy bramie pałacowej kłębił się tłum. Nordmeńscy podżegacze próbowali namówić ludzi, żeby się włamali. Straż, nie otwierając ognia, wykazywała godną podziwu powściągliwość.

–Poczekajcie! Najpierw pozwólcie mi spróbować! – krzyknęła Inger, gdy dowódca kompanii zaczął rozwijać tyralierę, by rozpocząć szarżę.

–Wasza Wysokość...

–Oni myślą, że ja nie żyję. Gdy mnie zobaczą, może się trochę uspokoją.

Michael skinął głową.

–Miałem rację. Jesteś odważna wtedy, kiedy to się liczy. Przepuście ją, kapitanie. Fiana miała zwyczaj postępować podobnie i ludzie ją za to uwielbiali. – Poczul coś chłodnego na policzku. Wyciągnął rękę. Kropi. Spojrzał na chmury o rozognionych brzuchach przepływające po niebie nad Ćwiercią. Wydawało się, że są cięższe i wiszą niżej. – Może padać. Czyż nie byłoby wspaniale?

Inger spojrzała na niego dziwnie.

–Jestem śmiertelnie przerażona, Michael. W przeciwieństwie do ciebie znam uczucie strachu.

Michael poczekał, aż spadnie kilka kropel deszczu, po czym odparł:

–To odwaga, Wasza Wysokość. To właśnie odwaga każe ci iść naprzód, pomimo strachu, i zrobić to, co trzeba. Ach, czuję chłodny wiatr. Doprawdy cudownie.

Inger uśmiechnęła się słabo.

–Podniosło mnie to na duchu. Nieco zawołany komplement, ale krzepiący.

–Pójdę z tobą. Kapitanie, możesz dać nam sześciu ludzi, żeby trzymali się blisko?

–Bardzo proszę. – Kapitan wymienił nazwiska.

Inger ruszyła naprzód. Michael spiął swojego wierzchowca, dogonił ją, śmiejąc się w szumie zrywającego się wichru. Sześciu ludzi pospieszyło za nim.

Przy bramie było dość światła od pochodni tłumu i kagańców na murach, żeby rozpoznać Inger. Wieść szybko się rozniosła. Buntownicy ucichli i tylko się gapili. Podżegacze przełykali ślinę i kryli się w ciemności. Ludzie schodzili Inger z drogi. Paru przyklęło na jedno kolano i skłoniło głowy. Ktoś na szczycie murów wykazał się trzeźwością umysłu: zagrano na trąbkach i w ten sposób wrażenie było jeszcze większe.

Tłum zaczął się rozpraszać, gdy brama się otworzyła i wyszło dwudziestu strażników. Zaczęli odchodzić jeszcze szybciej, gdy Michael wyjął kawałek papieru i laskę węgla drzewnego i zaczął udawać, że spisuje nazwiska. Była to jedyna chwila, gdy jego reputacja na coś się

przydała. Gdy przechodzili przez bramę, Trebilcock powiedział:

–Przekażą nowinę. Sytuacja zacznie się uspokajać. Jeżeli przyjdzie solidna burza, tym lepiej. Rozejdą się do domów, żeby schronić się przed deszczem. – Odległy grzmot podkreślił jego ostatnią uwagę.

–Mam nadzieję, Michael. Jadąc tutaj, zobaczyłam tyle, że wystarczy mi do końca życia.

–Przyzwyczaisz się do tego, jeśli masz zamiar być królową. Takie rzeczy się zdarzają. Nigdy nie udało mi się dociec dlaczego. Jakby Vorgreberg cierpiał na gorączkę, którą w ten sposób musi tak często zbijać.

Strażnik podbiegł do Michaela.

–Kapitanie Trebilcock, doktor Wachtel chciałby natychmiast się z panem zobaczyć.

–W sprawie Prataxisa?

–Tak, panie kapitanie.

–Jak on się czuje?

–Ciągle jeszcze oddycha, panie kapitanie, ale źle z nim.

–Zaraz będę. Kapitanie, wiesz, co robić. Inger, chcesz zacząć przejmować obowiązki?

–A co z Fulkiem? Michael, martwi mnie to, że zostawiłam go tam tylko z dwiema opiekunkami.

Michael uśmiechnął się łagodnie.

–Możesz posłać paru swoich ludzi, żeby go przywieźli, Wasza Wysokość.

Wybaczy pani?

–Oczywiście. – Inger zsiadła z konia i pewnym krokiem szła przez dziedziniec w kierunku wielkiej sali audiencyjnej. Otaczała ją aura królewskość. Michael słyszał, jak wydawała polecenia najbliższemu strażnikowi. Znowu się uśmiechnął.

–Da sobie radę – mruknął. – Da sobie radę. Gdybyśmy tak jeszcze mogli coś zrobić z tym jej kuzynem... – Pospieszył do apartamentów Wachtela.

Gdy tam dotarł, Prataxis był przytomny. Nikły uśmiech pojawił się na ustach wiekowego uczonego.

–Sporo czasu ci to zajęło – wyszeptał. – Czy z nią wszystko w porządku?

–Świetnie. Przejmuje obowiązki. Na ulicach znowu mamy żołnierzy. Znosi się na deszcz, to też będzie pomocne. – Michael spojrzął na stojącego w pobliżu lekarza z nie wypowiedzianym pytaniem w oczach. Wachtę! – pokręcił przecząco głową.

–Michael, jestem już jedną nogą w grobie – powiedział Prataxis. – Nigdy nie sądziłem, że na to mi przyjdzie, gdy tutaj przyjeżdżałem. Kto atakuje uczonych Rebsamenu? – Próbował zachichotać. Z gardła wydobyło mu się jedynie gulgotanie. – Zostań przy niej, Michael. Kieruj nią. Twoja organizacja to niemal gabinet cieni. Wykorzystaj ją. Dla dobra Kavelinu.

Michael westchnął.

–Derel, nie obarczaj mnie tym.

–Czy cała twoja praca ma pójść na marne? Czy po to poświęciłeś tyle lat na budowanie, żeby teraz ot, tak sobie odejść? Możesz osłabić wichry zmian i rozjaśnić zbliżającą się noc. Nie odchodź. Ale pilnuj się. Obok niej znajdują się przerażający ludzie.

–Dobrze – powiedział Michael. – Dobrze. – W tej chwili nie mówił tego serio. Mówił po prostu to, co chciał usłyszeć umierający człowiek. Ale nawet wtedy, gdzieś głęboko w nim, tliła się wiara w spełnienie marzenia.

–Dziękuję ci, Michael. Teraz mam wrażenie, że nie umieram na próżno.

–Umieram? Kto tu umiera? Za parę dni będziesz na nogach.

–Nie udawaj, Michael. Już byłbym martwy, gdybym nie postanowił się z tobą zobaczyć, zanim odejdę.

To prawda, pomyślał Michael. Widział, jak w trakcie rozmowy siły Derela się wyczerpują. Niewiele czasu mu zostało.

–Michael, zrób dla mnie jeszcze jedno.

–Co tylko chcesz.

–W moich apartamentach. W wielkiej cedrowej skrzyni w nogach łóżka. Wszystkie moje notatki i rękopisy. Wszystkie rysunki, które zrobiłem z Varthlokkurem... one są cenniejsze od złota, Michael. Zawieź je do Rebsamenu. – Błagalny ton zabrzmiał w głosie Prataxisa. Błagał, żeby dzieło jego życia przetrwało.

Jakże Michael mógł mu odmówić?

–Załatwione. – I tej obietnicy zamierzał dotrzymać. – Wyjadą stąd przed świtem.

–Dziękuję ci, Michaelu. Dobry z ciebie przyjaciel. Doktorze, to wszystko.

Wachtel gestem wskazał drzwi.

–Powiedział, że wolałby odejść w samotności. Michael skinął głową, zaczął zbierać się do wyjścia. Zanim znalazł się na zewnątrz, Prataxis wypowiedział wysuszonymi ustami ostatnie słowa:

–Bogowie, ocalcie króla.

Michael długo samotnie spacerował, rozmyślając. Prataxis był tutaj jego ostatnim przyjacielem. Został teraz sam we wrogim kraju, otoczony rosnącymi w siłę ludźmi, którzy pałali do niego nienawiścią. Nie pożyłby długo, gdyby został i starał się walczyć o dobrą sprawę.

Bał się. Nie śmierć go przerażała. Ale był samotny, a samotność była jego wrogiem, którego nie potrafił pokonać.

W końcu udał się do apartamentów Prataxisa i zaczął przygotowywać jego rękopisy do wysyłki.

Tam właśnie, późno w nocy, przy przecinających niebo błyskawicach i ulewnym deszczu szumiącym za oknami, znalazł go posłaniec Inger.

–Królowa chciałaby, żeby przybył pan do sali audiencyjnej, kapitanie. „Ustalanie planu

działania”, powiedziała.

Michael podniósł się z posłania Derela. Pomimo bogactwa, które było do dyspozycji uczonego, wiódł spartańskie życie. – Zaraz tam będę.

Rok 1016 OUIBragi doszedł do siebie nagle, jakby przeleciał przez otwarte kopniakiem drzwi. W jednej chwili był nieprzytomny, a w następnej w pełni świadomy. Zlustrował swoje otoczenie. Znajdował się w dużym, bogato umeblowanym pokoju. Był dzień. Powietrze było gorące i parne. Spróbował wstać. Poczł ukłucie bólu w klatce piersiowej. Jego mięśnie jeszcze odmawiały mu posłuszeństwa. Opadł z powrotem na łóżko.

W drzwiach natychmiast pojawił się jakiś mężczyzna. Miał na sobie mundur podoficera i odznakę jednego z legionów shinsańskiej Armii Zachodniej. Przyglądał się chwilę Ragnarsonowi, po czym bez słowa wyszedł.

No tak, pomyślał Bragi. Jestem w niewoli. Musieli zaplanować dla mnie coś szczególnego.

Zaplanowali, prawda? Mgła często go ostrzegała. Nie potrafili przyjąć porażki z wdziękiem.

Wróciła do niego bitwa. Cały jej smród, pot i strach. Wszystkie wspomnienia, jak źle poszło, jak wielką krzywdę wyrządził Kavelinowi. Zalała go fala wstydu. Powinien był to przewidzieć. Strasznie zaryzykował, licząc na swoje szczęście. A ono go opuściło. I tak musiało kiedyś się stać. Tylko głupiec liczy na szczęście. Człowiek mądry akceptuje, gdy koło fortuny się odwraca, ale on już na to nie liczył.

Gdzie jestem, zastanawiał się. Jest zbyt ciepło, żeby to mogło być jakieś miejsce w Shinsanie.

Drzwi się otworzyły. Ponownie zjawił się podoficer, a za nim dwaj tervola bez masek. Niski, krępy nosił odznakę dowódcy armii. Bragi zmarszczył brwi. Hsung był wysoki i szczupły, jak większość jego ziomków.

Wyższy tervola ściągnął z nagiego Ragnarsona narzutę, szturchnął go w lewy bok. Bragi nieznacznie się skrzywił.

–Ciągłe boli?

–Trochę.

–Powinno. Miałeś złamanych sześć żeber i przebite płuco. Nie wspominając ran ciętych, otarć, stłuczeń i wstrząśnienia mózgu. Wyzwanie dla moich umiejętności. Może mówić, lordzie Ssuma. Zawołaj mnie, gdy się zmęczy. Dam mu środek uspokajający. Ciągłe jeszcze musi leżeć, a wygląda na takiego, który zbyt wcześnie wstaje, gdy tylko da mu się taką szansę.

Niższy tervola skinął głową, gestem odprawił drugiego. Przysunął taboret do łóżka Bragiego.

–Przez chwilę myśleliśmy, że cię stracimy – powiedział.

Bragi zmarszczył brwi. Głos brzmiał znajomo.

–Ach, lord Ssuma Shihka’i. Poznaliśmy się w Lioantungu. W dniu, w którym pozbyliśmy się Wybawiciela.

–Teraz sobie przypominam. Nie mówiłeś...

–Szybko uczę się języków. Tłumacze bywają kłopotliwi.

–To prawda.

–Masz pytania. Pewnie chcesz wiedzieć, gdzie jesteś. W Argonie. Przeniosłem

tutaj kwaterę główną Armii Zachodniej. Nękamy matayangańską flankę. Coś jeszcze?

–Dlaczego?

–Słucham?

–Dlaczego tutaj jestem? Dlaczego żyję? Od wieków byłem numerem jeden na waszej liście najbardziej znienawidzonych ludzi.

–Może dla niektórych. Nie dla mnie. Jesteś tutaj, ponieważ ocaliłeś mi życie. Życie za życie. Zostaniesz gościem imperium. Za zgodą księżniczki.

Ragnarson z wielkim wysiłkiem starał się usiąść. Mięśnie znowu go zawiodły. Shihka'i pomógł mu się unieść, podparł go poduszkami.

–Lepiej?

–Dużo lepiej. Co się stało? Myślałem, że przyparłem Hsunga do muru. Robił z siebie głupka. Powinienem mieć Throyes w kieszeni, zanimby się zorientował, że tam jestem.

–Nie wiedziałeś? Jeńcy tak mówili, ale nie wierzyliśmy im. Lord Hsung został usunięty. Z powodu urzędzeń, jak mówią niektórzy. Posłano mnie, żebym go zastąpił, najwyraźniej po tym, jak zerwałeś łączność z Maisakiem. Przerwałem atak na Hammad al Nakir, zgodnie z poleceniem księżniczki, a potem wykryłem, że idziesz na północ. Mało brakowało, a w pułapkę, którą sam zastawiłem, wpadłbym ja, a nie ty. Ponieważ w czasie wojny nie służyłem na zachodzie, nie przywiązywałem należytej wagi do twojej konnicy. Gdybyśmy starli się tego dnia wcześniej, ja byłbym na twoim miejscu. W rzeczywistości gdyby twoi ludzie podczas ostatniej szarży nie ulegli panice, sytuacja mogłaby się odwrócić.

–Uciekli. Przypominam to sobie jak przez mgłę. Najlepsi żołnierze, jakimi dowodziłem w życiu, ale poddali się panice w kluczowym momencie.

–Może gdyby ich dowódca nie zginął na początku szarży...

–Gjerdrum? Tak. Teraz sobie przypominam, ktoś mi mówił, że on zginął. Możliwe. Gdyby żył i pokazał im sposób... Ale jakie to ma znaczenie? Już po wszystkim. Wszystko stracone. Kavelin jest zgubiony. Postąpiłem głupio i dałem wszystkim moim wrogom to, czego chcieli.

–Wszyscy popełniamy błędy.

–Gdy ja je popełniam, są bardzo poważne. Jedna sprawa. Nie mogę pojąć, dlaczego nie użyłeś Mocy. Otoczyłeś nas i przyparłeś do muru. Wystarczyło uderzyć kilkoma paskudnymi zaklęciami. Nie moglibyśmy zrobić absolutnie nic. Ale ty posłałeś piechotę i mało brakowało, a dostałbyś baty. Musiałeś stracić mnóstwo ludzi, a przecież w wojnie z Matayangą liczy się każdy człowiek.

–Rzeczywiście. – Shihka'i wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Nie użyłem Mocy, ponieważ taki dostałem rozkaz. Księżniczce powiedziano, żeby jej nie używała.

–Kto wydaje rozkazy księżniczce?

–To nie był rozkaz. Tylko sugestia. Twojego przyjaciela czarodzieja.

–Varthlokkura?

–Obiecał, że nie będzie się wtrącał, póki nie zastosujemy Mocy. Wtedy tego nie mogłem zrozumieć, a i teraz nie będę udawał, że rozumiem. Ten człowiek od dziesięciu lat stał po twojej stronie. Dlaczego cię opuścił?

–Myślę, że chodzi o urazy osobiste. Ale i ja tego nie rozumiem. No tak.

Wylądowałem tutaj. Będę dożywotnim więźniem?

Shihka’i skinął głową.

–Twoje więzienie nie będzie dokuczliwe. Nie będziesz traktowany jak jeniec czy coś w tym stylu. Będziesz żył w wygodzie. Po prostu nie będzie ci wolno wrócić do domu.

–A gdybym dał słowo? – Myślał teraz o Sherilee i stawał się coraz bardziej melancholijny. Miał jej nigdy nie zobaczyć? To było smutne.

Shihka’i uśmiechnął się.

–Nie sądzę. Według oceny Rady od dawna jesteś uznawany za najgroźniejszego wroga imperium. Starłszy się z twoją armią, którą moje siły przewyższały liczebnie, i niemal się wykrwawiwszy, skłonny jestem zgodzić się z nią. Spłaciłem swój dług. Nie prosz o więcej.

Ragnarson także się uśmiechnął.

–Myślałem o pewnej kobiecie. Strasznie za nią tęsknię.

–Jest teraz królową. I wydaje się, że nadspodziewanie dobrze sobie radzi z przywracaniem porządku.

Bragi nie chciał myśleć o Kavelinie, powiedział tylko:

–Nie miałem na myśli Inger. Nasze drogi się rozeszły, zanim wyprawilem się na wschód. Myślałem o... pewnej dziewczynie, którą znam. Dziewczynie, za którą tęsknię. Łączyło nas coś szczególnego.

Shihka’i krążył po pokoju. Po minucie się odezwał:

–Może coś da się zrobić. Porozmawiamy o tym, gdy to przemyślę. A teraz odpoczywaj. Masz przed sobą długą rekonwalescencję. – Wyjął poduszki spod pleców Ragnarsona.

Gdy Shihka’i miał już wychodzić, Bragi powiedział:

–Lordzie Ssuma, jesteś w porządku.

Shihka’i uniósł pytająco brwi.

–Chcę tylko powiedzieć, że jestem zadowolony, że wśród tervola są przyzwoici ludzie.

Shihka’i uśmiechnął się.

–Dziękuję. Chociaż nie sądzę, żeby moi koledzy się ucieszyli, gdyby to usłyszeli.

–Pewnie nie.

Pobył w domu Sama Chordine’a był dla Sherilee jednym pasmem śmiertelnej nudy. Stała się nerwowa, martwiła się o króla i opędziała się od tego grubasa.

–Kris – powiedziała pewnego ranka – zwariuję, jeśli zostaniemy tu dłużej.

–Może nie zostaniemy. Możemy wrócić.

–Wrócić? Akurat tego nie możemy zrobić.

–Niedawno rozmawiałam z Arale. Miał wieści od Marena Dimura. Inger nadal sądzi, że nie żyjemy. Credence chce, żebyśmy wrócili i udowodnili, że jest inaczej. Żeby dać mu powód do wiecowania.

–Chce, żeby mały Bragi był pretendentem do tronu, o to chodzi?

–Tak.

–Może nim być, nawet gdy tu zostaniemy. Dzieci są zbyt małe, żeby wieść życie typowe dla Marena Dimura, a tak właśnie by było. Ja bym to zniosła, gdybym uważała, że ma to jakiś sens... – Wy buchnęła płaczem.

–Co się stało?

–Kris, tęsknię za nim. Chociaż nie spędziliśmy ze sobą tak dużo czasu, ale czuję się tak, jakby wyrwano część mnie. Po prostu nie mogę uwierzyć, że on nie żyje.

Kristen wzięła przyjaciółkę w objęcia, pocieszyła ją.

–Wiem, wiem. Mnie też wydaje się to nierzeczywiste. Ale będziemy musiały się z tym pogodzić.

–Nie chcę się z tym pogodzić. Chcę wszystkiego, czego nigdy nie będę miała. Nienawidzę polityki.

–Uspokój się. – Ktoś zastukał do drzwi. – Kto tam? – zapytała Kristen.

–Slugbait, pani. Mam wiadomość od kapitana Trebilcocka.

Sherilee przestała płakać. Obydwie kobiety podeszły do drzwi. Sług wsunął do środka przesyłkę kurierską.

–Coś się stało? – zapytał. – Mogę w czymś pomóc?

–Każ Chordine'owi zostawić Sherilee w spokoju! – wybuchnęła Kristen.

–Dobiera się do niej? Połamię mu nogi.

–Nie, nie. Tylko niech się od niej odczepi. Nie krzywdź go. Potrzebujemy go.

–Porozmawiam z nim. – Slugbait odszedł z ponurą miną.

Kristen szarpnięciem otworzyła woreczek. List był długi, zawiły i w obszernych fragmentach niejasny. Po części stanowił zapis ostatnich wydarzeń. Michael opisał w nim swoje złe przeczucia, obawy, boje, które toczył ze swoim sumieniem.

Potraktował ten list tak, jak czasami traktował poranne przejażdżki z Aralem Dantice'em – jak wentyl bezpieczeństwa.

–O czym pisze? – zapytała w końcu Sherilee.

–W zasadzie o tym, że Inger myśli, że nie żyjemy, a on chce, żeby nadal tak uważała. Zamierza tę samą pracę, którą wykonywał dla króla, wykonywać także dla niej, tyle że będzie wierny raczej królestwu niż konkretnej osobie. Jeśli zdoła.

–I to wszystko? W takim długim liście?

–Rozpisał się, ale głównie o swoich obawach, odczuciach i podobnych sprawach. Wydaje się strasznie samotny. A gdybym nie znała go lepiej, powiedziałabym, że trochę się boi. – Kristen oszczędziła Sherilee wiadomości o buntach i śmierci wielu przyjaciół.

–Co zrobimy? – zapytała Sherilee. – Posłuchamy Michaela czy pułkownika Abaci? Naprawdę chcesz, żeby Bragi został królem?

–Nie wiem. Po prostu nie wiem. Nie chcę nawet o tym myśleć.

Slugbait zajrzał do nich znowu późnym popołudniem.

–Pani, pan Dantice wrócił. – Wzrok miał trochę nieprzytomny, jakby zobaczył ducha. – Przyprowadził kogoś.

–Kogo? – Aral zawsze sprowadzał ludzi, którzy mieli możliwości inwestowania. Nie próbował wykorzystywać, chciał tylko pomóc. Czuł się trochę winny, że wyjechał z Kavelinu.

Slugbait uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

–Przyślij ich. – A do Sherilee Kristen powiedziała: – Może powinnam pozwolić mu zainwestować tylko po to, żeby mógł uciszyć swoje sumienie.

Sherilee pokręciła głową.

–Nie sądzę. Nie zapominaj, jak bardzo był zadurzony w Mgle. Nadal nie doszedł do siebie. Ona może go wykorzystywać. Nie daj się wciągnąć w jakieś jej gierki.

Ktoś zapukał do drzwi.

–Cicho. Przyszedł. – Kristen otworzyła. Na jej twarzy odmalowało się ogromne zaskoczenie. – Dahl! Dahl, Dahl, myśleliśmy, że nie żyjesz. Myśleliśmy, że Itaskianie cię zabili.

Haas przestępował z nogi na nogę.

–Uciekłem. – Wydawało się, że nie jest w stanie zrobić następnego kroku.

Kristen precyzyjnie się obok Dantice'a i zarzuciła Haasowi ręce na szyję.

–Dahl. To naprawdę ty. – Oparła głowę o jego pierś. – Wchodź. Wchodź, proszę. Tak się cieszę, że cię widzę. – Chwyciła go za rękę i wciągnęła do środka.

Ze łzami w oczach Sherilee ich opuściła. Dantice wzruszył ramionami, uśmiechnął się, delikatnie zamknął drzwi i wrócił do swoich przyjaciół z podziemia.

Deszcz rozproszył buntowników. Ponowne pojawienie się oddziałów wojskowych zapobiegło wybuchowi kolejnych zamieszek. Bunty w mniej znaczących miastach Kavelinu okazały się niegroźne, chociaż, z wyjątkiem Damhorst, miasta te niechętnie składały hołd lenny

nowej władzy. Głównym problemem stolicy stała się Ćwiartka. Pożary domów wypędziły tysiące ludzi na ulice. A zima nie była wcale odległą perspektywą.

Na pierwszej oficjalnej odprawie u Inger jedynymi przedstawicielami starej gwardii byli Michael i generał Liakopulos, ale – ku zaskoczeniu Michaela – nowi ludzie nie byli ani nordmeńskimi ekstremistami, ani rozbójnikami księcia. Nominacje, które wręczyła Inger, zdumiewały bezstronnością. Mogła to zrobić z wyrachowania, żeby uspić czujność ludności, dopóki nie zostanie rozbrojona, ale nawet gdyby tak było, Michael był zadowolony.

–Plan posiedzenia – powiedziała Inger. – Po pierwsze, brakujące fundusze skarbcza. Po drugie, brak odpowiedzi na nasze wezwanie do złożenia przysięgi wierności przez armię. – Powiedziała to sarkastycznym tonem ze swoim dawnym drwiącym uśmiechem na ustach. Wrócił jej cierpki humor. – Po trzecie, mój kuzyn książę. Michael, co z pieniędzmi?

–Nie udało mi się ich znaleźć. Prataxis kazał je wywieźć, podczas gdy my zastanawialiśmy się, co król robi w Maisaku. Wszyscy, którzy coś wiedzieli, wyjechali razem ze skarbcem. Dokąd go wywieziono, nie wiem.

–Myślisz, że gdybyś bardziej się przyłożył do poszukiwań i odświeżył sobie pamięć, to by coś pomogło? – Inger nie wierzyła mu i on o tym wiedział. Rozpaczliwie potrzebowała tych pieniędzy. Jej gesty wobec ludności były kosztowne. Już zaciągała pożyczki u ziemian. – No dobrze. Generale?

–Zastosowałem wszelką możliwą perswazję, Wasza Wysokość. Żołnierze na odległych posterunkach zostali wybrani ze względu na wierność ideałom króla.

Zwlekają, dopóki kierunek, w którym zmierzasz, nie zostanie jasno określony. Nie chcą składać przysięgi wierności, a potem znaleźć się w trudnym położeniu. Byłoby to łatwiejsze, gdyby twój kuzyn nie był tak bardzo widoczny. Podejście typu „poczekamy, zobaczymy” jest powszechne. Tak naprawdę nie możesz ludzi za to winić.

–Może i nie. Ale tymczasem obserwują nas nasi sąsiedzi. Alteańczycy mogą spoglądać przychylnie, ale Volstokin nie miałyby nic przeciwko temu, żeby odegrać się za lanie, które dostali, gdy wtrącili się do wojny domowej. Skoro już o tym mowa, wszyscy przewidywali jej wybuch, jeśli ja dojdę do władzy. Panuje spokój. Co się stało?

–Oceny dokonano, zakładając, że przejmiesz władzę wbrew prawu – odpowiedział Liakopulos.

–Michael?

–Istnieje opór natury emocjonalnej. Na przykład niektóre oddziały wojskowe mogą się zbuntować, jeśli dojdzie do powstania. Nikt jednak nie chce rozpocząć. Panują buntownicze nastroje, ale nie ma organizacji. Powiedziałbym, że w tej chwili głównym powodem braku oporu jest nieobecność charyzmatycznego przywódcy. Nie ma pretendenta do tronu, nie ma punktu zbornego, jest tylko nieukierunkowane niezadowolenie.

–Brak pretendenta do tronu... – zamyśliła się Inger. Zwróciła się do Galesa. – Josiah, to prowadzi nas do mojego kuzyna. – Jej twarz stała się surowsza.

Dylematy Galesa zostały rozwiązane za niego. Był teraz oddany Inger duszą i ciałem. Dokonała tego metodą starą jak świat – poprzez uwiedzenie. Teraz był jej agentem w obozie kuzyna.

–Wasza Wysokość – powiedział Gales – wszelkie niepokoje w Kavelinie to nic w porównaniu z tym, co się dzieje w obozie księcia. Jest bardzo rozgoryczony. Zachowuje się tak, jakbyś pozbawiła go praw do tronu. Niedługo wraz z czarodziejem Norathem coś uknują. Przypuszczam, że gdy to zrobią, zwrócą się do mnie. Książę myśli, że jestem jego agentem.

Inger skinęła głową.

–Domyślam się, że widziałeś zaledwie dziesiątą część wściekłości Dane’a. Miał nadzieję uczynić z Kavelinu bazę, z której mógłby stworzyć imperium zachodnie. Strasznie go rozczarowałam. Powiedz mi jeszcze o Norathu. On mnie niepokoi.

–Nie mogę, Wasza Wysokość. Nikt go nie widuje. Przebywa w odosobnieniu. Co tam robi? Jakiego typu więzi łączą go z twoim kuzynem? Wielokrotnie rozmawiałem o tym z pułkownikiem Trebilcockiem, ale nie doszliśmy do żadnych wniosków.

–Michael?

–Wysłałem zapytanie do Al Rhemish. Nie dostałem odpowiedzi. Zresztą i tak wątpię, czy dowiedzielibyśmy się czegoś więcej. Norath był głównym doradcą Megelina. Nagle zjawił się tutaj. Być może to będzie cała nasza wiedza na ten temat.

–Mój kuzyn zna odpowiedź. Może uda mi się ją wyciągnąć... Co to ma znaczyć? Ktoś pukał do drzwi. Stojący przy nich wartownik otworzył je.

–Posłaniec do kapitana Trebilcocka – powiedział.

–Idź, Michael. Może znaleziono pieniądze. – Inger posłała mu ironiczny uśmiech.

Michael wyszedł, zaintrygowany i odrobinę podenerwowany. Od wczoraj nie miał kontaktu ze swoimi ludźmi. Co się stało? Przez kilka minut wsłuchiwał się w gorączkowe szepty. Wrócił na spotkanie, przerywając trwające jeszcze spekulacje na temat Magdena Noratha.

–Wasza Wysokość, mimo wszystko mamy zorganizowanych buntowników.

–Słucham, Michael?

–Nie mogę w tej chwili powiedzieć nic pewnego. Powiedziano mi, że meldunki ciągle spływają. Credence Abaca najwyraźniej rozpoczął o świcie ofensywę w całym kraju, z żołnierzami Marena Dimura. Kilka mniejszych garnizonów opowiedziało się za nim. Podobnie ojcowie miasta Sedlmayr. Jak dotąd Credence ogranicza się do ataków na twoich przyjaciół ziemian. Dziwna sprawa, utrzymuje, że jest marszałkiem działającym w imieniu króla Bragiego II. – Michael przeżył wstrząs, gdy się o tym dowiedział. Oczekiwał, że Kristen pozostanie w ukryciu.

Inger pobladła.

–Dzieciak Kristen? Myślałam... – przerwała, zanim wydało się, że wiedziała o zbrodni. – Jaka jest ich siła? Dlaczego nie ostrzegłeś nas, że coś takiego się zbliża?

–Mówiłem już, że to nic pewnego. Nie ostrzegłem cię, ponieważ sam nie wiedziałem. Nie udało mi się spenetrować społeczności Marena Dimura. Oni nie chcą mieć nic wspólnego z obcymi. Jeśli chodzi o liczbę ludzi, Credence nie może mieć ich dużo. Marena Dimura nie są aż tak liczni, nie są też dobrze uzbrojeni. On próbuje dokonać przewrotu. Za kilka dni będzie po wszystkim.

–Generale?

–Zgadza się, Wasza Wysokość.

–Ty i Michael, zajmijcie się tym. Teraz. Oczekuję raportu, zanim udam się na spoczynek.

–Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość – odparł Liakopulos.

–Tym razem Abaca nieźle wdepnął – zauważył Michael, gdy wraz z Liakopulosem przemierzali zamkowe korytarze.

–Powinieneś być się tego spodziewać. Było zbyt spokojnie.

–Być może. Niemniej dzisiaj rozruchy powinny przybrać największe rozmiary, a zanim tydzień dobiegnie końca, będzie po wszystkim.

Przypuszczenia Michaela okazały się błędne. O zachodzie słońca rozpoczęła się druga faza kampanii Abaki. Wprawiała naród w osłupienie. Użył Harishów wypożyczonych od Yasmid. Michael zupełnie o nich zapomniał. Religijni fanatycy uderzyli w pobliżu Vorgrebergu. Trzy zespoły po trzech ludzi rzuciły się na Greyfellów i Noratha. Czary Noratha uratowały jego i księcia, ale obaj byli ciężko ranni. Większość ich dowódców została wymordowana. Josiah Gales cudem uniknął śmierci.

Ziemiańskie ponieśli jeszcze większe straty. Abaca zaplanował wszystko starannie i uderzył w serce opozycji. Wykorzystywał ludzi, którzy nie troszczyli się o to, czy wyjdą z tego żywi. Ich uderzenie umniejszyło możliwości reakcji Inger na rebelię.

Niemal natychmiast kadrowe bataliony Południowych Łuków i Lekkiej Sedlmayr

opowiedziały się za Bragim II.

Michael i Liakopulos siedzieli obok Inger przy stole, na którym leżała mapa Kavelinu. Mówili cichymi i zatroskanymi głosami.

–Nie licz na Delhagen, Holtschlaw, Uhlmansiek i Orthwein – powiedział Michael. – Cholera. Poszły już cztery prowincje. A pół tuzina więcej jest podejrzanych.

–Generale, co z pozostałymi regimentami?

–Damhorster będą przy nas. Vorgrebczycy i Królewscy też. I, oczywiście, Strażnicy.

–Co z Breidenbacherami i Pogranicznikami? I z garnizonem na przełęczy?

–Pogranicznicy są zbyt rozproszeni, żeby opowiedzieć się po którejś ze stron. Ich poglądy

zapewne będą zależeć od sympatii prowincji, w której stacjonują. Maisak gra na zwłokę. Nie mam wiadomości od Breidenbacherów.

–Zróbcie coś. Jeśli pójdą... Spójrzcie na tę przeklętą mapę. Będziemy mieli przeciwko sobie cały wschód. Niektóre ich oddziały są o kilka mil od Vorgrebergu.

–Zapomniałaś o Lekkiej Midlands – powiedział Michael. Lekka Midlands nie brała udziału w letnich manewrach. Żaden z żołnierzy nie poszedł na wschód z Ragnarsonem. Oddziały były nietknięte.

–Nie mówmy o nich – powiedziała Inger. – O nich możemy się modlić. Jeśli i oni ruszą, jesteśmy martwi.

–Nie rezygnuj z nich – powiedział Liakopulos. – To w większości Wessończycy, ale Credence nigdy nie miał wśród nich większych wpływów.

–Dowiedz się – poleciła Inger. – I to szybko. Jeżeli będą przy nas, rzuć ich do boju. Natychmiast.

–Czy mogę przypomnieć Waszej Wysokości, że złożyłem rezygnację? Wydaje mi się, że miał mnie zastąpić pułkownik Gales.

–Obaj jesteście przydatni na swoich obecnych stanowiskach. Zgodziłeś się zostać tak długo, jak długo będę cię potrzebowała, generale. Sumienie nie pozwala ci walczyć z Abacą?

–Możemy z nim walczyć – powiedział Michael. – Ale nie będzie się to nam podobało. On jest naszym przyjacielem.

–Już nie jest. Wybrał wrogość. Posłuchajcie. Chcę odpowiedzieć ciosem na cios. Mocnym i szybkim. Zanim mogłoby dojść do prawdziwej wojny. Czy możecie podciągnąć to pod swoje poczucie obowiązku?

–Dobrze – odparł Michael. – Dobrze. Zaczynamy. Najpierw podwój straż pałacową. Będą kolejne ataki zamachowców. – Nigdy się nie przyznał, że osobiście sprowadził Harishów do królestwa, a potem pozwolił, by Abaca przejął nad nimi kontrolę. Nie przyznał się też, że całkiem sporo wiedział o poczynaniach Credence'a. Miał własne cele, które nie pokrywały się z celami żadnej z walczących stron.

Abaca bez ograniczeń korzystał z zamachowców Harishów. Trzymał siły Korony w szachu. Dochodziło do masowych dezercji po obu stronach. Norath, atakowany od czasu do czasu i jeszcze dwukrotnie raniony przez Harishów, pozbawiony stanowiących jego dumę potworów i niezdolny poradzić sobie z partyzanckimi

działaniami Abaki na terenach leśnych, znalazł wymówkę, żeby wrócić do Hammad al Nakiru. Megelinowi i tak nie szło dobrze pod jego nieobecność.

Gdy nadeszła zima, strony znajdowały się w impasie. Inger kontrolowała miasta i zamki, Abaca zaś większą część terenów wiejskich. Ich żołnierze nie bardzo mieli ochotę zmieniać ten

stan. Nie widzieli żadnego powodu, żeby walczyć z ludźmi, z którymi stali ramię w ramię w czasie Wielkich Wojen Wschodnich.

Michael znalazł się pośrodku, prowadząc grę, której cel i zasady znał tylko on. Obie strony były przekonane, że pracuje dla nich. Przynajmniej na razie. W rzeczywistości zaczął prowadzić własną wojnę, stanowiąc trzecią siłę. Było to ryzykowne i niebezpieczne, a on nie mógł sobie pozwolić na brak czujności nawet przez ułamek sekundy. Niezależnie od tego, co sobie wmawiał, nie miał prawdziwych przyjaciół w Kavelinie. Ta ludożercza suka pożarła wszystkich.

Po raz pierwszy Michael poznał co to strach. Był jak muśnięcie piórka i chodziło głównie o obawę przed porażką, ale niewątpliwie doświadczał strachu.

–Niech cię szlag, Bragi – mruczał często, jak zakłęcie. – Dlaczego musiałeś na koniec zwariować? Dlaczego od nas odszedłeś?

Mniej więcej w środku zimy, gdy ani Inger, ani Credence nie zwracali na niego uwagi, Michael zniknął. Pojawiał się z rzadka, niespodziewanie, w nieoczekiwanych miejscach. Jak zauważył Derel Prataxis na łożu śmierci, Michael Trebilcock miał swoje własne imperium i gabinet cieni. Po prostu wszedł w ten świat, gdzie jego ludzie służyli mu, pozostając lojalni zarówno wobec niego, jak i jego marzenia. Byli niemal wszędzie i podobnie jak on, przypominali widma.

Stał się niewidzialnym głazem w strumieniu wojny, nie widzianym, lecz wyczuwalnym, którego wszyscy się bali. Nikt nie potrafił wyobrazić sobie pobudek, które nim kierowały, ale trzeba go było uwzględniać w każdym planie. Trwał jak skała. Trzeba było przestrzegać niepisanych zasad, najwyraźniej korzystnych dla Kavelinu jako całości. Kto lekceważył Michaela, robił to na własną zgubę.

Celem Michaela było zyskanie na czasie. Wiedział coś, o czym nie wiedzieli pozostali gracze. Tylko z Kristen, Sherilee i dziećmi Ragnarsona podzielił się tym sekretem.

Zyskiwanie na czasie. Oczekiwanie nadejścia okrutnej burzy, która skończy raz na zawsze z niepohamowaną ambicją i sporami... to właśnie Michael uważał za nieuniknione. Okrutną burzę.

W Throyes bowiem mężczyzna, który nie umarł, zaczął kroczyć drogą, która wiodła do chłodu serca.

**This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org**

2010-04-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-11

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/